

Sue Grafion

C JAK CISZA

ROZDZIAŁ 1

Liza Sobota 4 lipca 1953

Gdy Liza Mellincamp myśli o dniu, w którym po raz ostatni widziała Violet Sullivan, ma przed oczami japońskie jedwabne kimono Violet, a właściwie jego kolor, odcień niebieskiego, który, jak się później dowiedziała, nazywa się „lazurowy” - tego przymiotnika nie знаła, gdy miała czternaście lat. Na plecach kimona wyhaftowany był zielono-pomarańczowy smok z dziwnym psim pyskiem i wygiętym cielskiem. Z jego pyska wyłaniały się wijące się wstążki koloru krwi.

Tego wieczoru przysłała do domu Sullivanów o szóstej. Violet miała wyjść kwadrans po szóstej, ale jak zwykle jeszcze się nie ubrała ani nie uczesała. Drzwi wejściowe były otwarte.

Kiedy Liza się zbliżała, Baby - trzymiesięczny płowy szpic - zaczęła ujadać przenikliwym głosem małego pieska, jednocześnie drapiąc w moskitierę przymocowaną do drzwi i robiąc w niej dziury tu i tam. Baby miała małe czarne oczka, nosek jak czarny guziczek i różową kokardeczkę przymocowaną do czoła czymś lepkiem. Violet dostała suczkę niecały miesiąc wcześniej i dosłownie zakochała się w niej, nawet wszędzie ją ze sobą nosiła w dużej słomkowej torbie. Liza nie lubiła Baby i dwa razy, kiedy Violet nie wzięła jej ze sobą, zamknęła suczkę w szafie na płaszcze, żeby nie słyszeć jej szczekania. Skorzystała z pomysłu Foleya, który jeszcze bardziej nie lubił tego szpica.

Liza zastukała we framugę, jednak głośne „hau, hau, hau” omal nie zagłuszyło tego dźwięku. Violet zawołała:

- Wchodź do środka! Jestem w sypialni.

Liza otworzyła pokryte siatką drzwi, stopą odepchnęła na bok psa i kierując się w stronę sypialni Violet i Foleya, przeszła przez salon.

Dobrze wiedziała, że Foley często lądował na noc na kanapie, szczególnie kiedy pił, czyli prawie codziennie, a także kiedy sprzął na kwaśne jabłko Violet, aż przestawała się do niego odzywać na jakieś dwa dni. Foley

nienawidził tych cichych dni, ale ponieważ było mu głupio, że jej przyłał, nie miał odwagi protestować. Mówił każdemu, kto był chętny go wysłuchać, że sama jest sobie winna. Wszystko złe, co się przydarzało Foleyowi, było winą kogoś innego.

Baby przydreptała za Lizą do sypialni, puszysta kuleczka pełna nerwowej energii, przyozdobiona zabawnym ogonkiem. Była za mała, żeby wskoczyć na łóżko, więc Liza pomogła jej. Daisy, jasnowłosa córka Violet, leżała na łóżku i czytała komiks o Małej Lulu, który Liza dała Daisy ostatnim razem, gdy się nią opiekowała, czyli dwa dni temu. Daisy była jak kot - zawsze razem z tobą w pokoju, ale zajęta udawaniem, że robi coś innego. Liza usiadła na jedynym krześle. Wcześniej tego dnia, kiedy wstąpiła na chwilę, na krześle leżały dwie brązowe papierowe torby. Violet wyjaśniła, że to rzeczy dla biednych, ale Liza rozpoznała kilka jej ulubionych ciuchów i wydało jej się dziwne, że Violet oddaje swoje najlepsze ubrania. Teraz brązowych toreb już nie było, a Liza wiedziała, że nie należy o nie dopytywać. Violet nie lubiła pytań. To, co chciała powiedzieć, mówiła wprost i uważała, że reszta nie powinna nikogo obchodzić.

- Czyż nie jest urocza? - zapytała Violet, mając na myśli suczkę, a nie swoją siedmioletnią córkę.

Liza nie odpowiedziała. Zastanawiała się, ile czasu zajęłoby uduszenie szpica, kiedy jego pani wyjdzie. Violet siedziała przy toaletce. Miała na sobie jaskrawoniebieskie kimono ze smokiem na plecach. Kiedy Liza się jej przyglądała, Violet poluzowała pasek i ruchem ramion strząsnęła szlafrok z pleców, aby przyjrzeć się umiejscowionemu nad jedną z piersi siniakowi wielkości pięści Foleya. Liza widziała trzy wersje siniaka odbite w potrójnym lustrze opartym na toaletce. Violet była niewysoka, a jej plecy były idealne - prosty kręgosłup, nieskazitelna skóra. Nad pośladkami, na wysokości miednicy, miała dwa dołeczki, a same pośladki lekko rozchyłały się w miejscu, gdzie stykały się z krzesłem.

Violet nie miała oporów przed paradowaniem bez ubrania w obecności Lizy. Często kiedy Liza przychodziła popilnować małej, Violet

wychodziła z łazienki goła, nieowinięta ręcznikiem, aby skropić zagłębienia pod kolanami fiołkową wodą kolońską, której używała. Liza próbowała nie patrzeć na Violet, która przechadzała się po pokoju, zatrzymując się, aby zapalić, a potem zostawić na brzegu popielniczki old golda. Jednak nie mogła się oprzeć pokusie zerkania na jej ciało.

Gdziekolwiek była Violet, oczy Lizy ruszały za nią. Talia Violet była wąska, a piersi krągłe i lekko opadające, jak woreczki wypełnione niemal do pełna piaskiem.

Piersi Lizy ledwo wystarczały na wypełnienie miseczki A, a jednak Ty zamykał oczy i zaczynał ciężko dyszeć za każdym razem, kiedy się do nich dobierał. Kiedy już się dobrą chwilę całowali, nawet jeśli się opierała, zawsze mu się udawało odpiąć jej bluzkę, odsunąć na bok ramiączko stanika i zamknąć w dłoni pączkującą pierś. Później brał rękę Lizy i przyciskał ją do swojego krocza, wydając odgłos przypominający coś pomiędzy skamleniem i jękiem.

W trakcie kościelnych spotkań dla młodzieży żona pastora często przestrzegała dziewczęta przed pettingiem, który był najprostszą drogą do stosunku oraz innych form rozwiązłego zachowania. No cóż. Najlepsza przyjaciółka Lizy Kathy zaangażowała się ostatnio w Ruch Odnowy Moralnej, który propagował Absolutną Szczerość, Absolutną Czystość, Absolutną Bezinteresowność oraz Absolutną Miłość. Do Lizy przemawiał ten ostatni postulat. Ona i Ty spotykali się od kwietnia, jednak ich kontakty były ograniczone. Jego ciotka nie mogła się dowiedzieć o tych randkach ze względu na to, co się zdarzyło w poprzedniej szkole. Liza nigdy wcześniej się nie całowała ani nie robiła rzeczy, których nauczył ją Ty. Oczywiście wyznaczyła granicę i nie poszłaby z nim na całość, ale uważała, że nie stanie się nic złego, jeżeli Ty popieści trochę jej piersi, skoro sprawia mu to przyjemność. Violet całkowicie się z tym zgadzała. Kiedy Liza w końcu wyznała jej, co się dzieje, Violet zachnęła się:
- Och, doprawdy, słoneczko, robisz z igły widły. Pozwól mu na chwilę zabawy. To przystojny chłopiec, jeżeli mu się nie oddasz, znajdzie się inna chętna.

Włosy Violet były ufarbowane na rudy kolor o niezwykłym odcieniu, bardziej pomarańczowym niż czerwonym, który nawet nie miał wyglądać naturalnie. Jej oczy były przejrzyste zielone, a pomadka, której używała, delikatnie różowa. Wargi Violet przecinały jej twarz niczym dwie szerokie jedwabne wstążeczki. Błada skóra była złotawa, tak jak dobrej jakości papier w książce wydrukowanej dawno temu. Twarz Lizy była piegowata, a na dodatek podczas „tych dni” pojawiały się na niej wypryski. Violet miała włosy jedwabiste jak w reklamie szamponu, ale ich końcówki były zniszczone i rozdwojone od czasu, gdy tydzień wcześniej Kathy nieudolnie próbowała zrobić jej trwałą. Źle zrozumiała instrukcję i niemiłosiernie spaliła włosy koleżanki. Kosmyki wciąż jeszcze śmierdziały jak zepsute jajka.

Violet lubiła wychodzić wieczorem, więc Liza zajmowała się Daisy trzy albo cztery razy na tydzień. Foley spędzał większość wieczorów poza domem, popijając piwo w Blue Moon, jedynym barze w mieście. Pracował na budowie i pod koniec dnia potrzebował, jak to nazywał, przepłukać sobie gardło.

Mawiał, że nie ma zamiaru siedzieć w domu i niańczyć Daisy, a Violet z całą pewnością nie zamierzała nudzić się sama z dzieckiem, gdy Foley używał życia. W czasie roku szkolnego Liza kładła Daisy do łóżka i brała się do odrabiania zadania domowego. Czasami Ty przychodził ją odwiedzić, innym razem Kathy dotrzymywała jej towarzystwa i razem czytały magazyny filmowe. Liza wolałaby „True Confessions”, ale Kathy obawiała się nieczystych myśli.

Violet uśmiechnęła się do Lizy. Ich oczy spotkały się w lustrze, ale po chwili Liza odwróciła wzrok. (Violet wolała uśmiechać się z zamkniętymi ustami, ponieważ kiedyś Foley popchnął ją na drzwi i w ten sposób wyszczerbiła sobie górną jędynkę). Violet ją lubiła. Liza to wiedziała i na samą myśl robiło się jej ciepło na sercu. Sympatia Violet wystarczała, by Liza dreptała za nią wszędzie jak bezdomny szczeniak.

Po zakończeniu inspekcji Violet z powrotem narzuciła kimono na ramiona i przewiązała je w talii. Zaciągnęła się głęboko papierosem, po

czym odłożyła go do popielniczki, żeby dokończyć makijaż.

- Jak tam ten twój chłopak?

- W porządku.

- Lepiej bądź ostrożna. Wiesz, że nie wolno mu się spotykać z dziewczynami.

- Wiem, powiedział mi. To takie niesprawiedliwe.

- Sprawiedliwe czy nie, jego ciotka wpadłaby w szal, gdyby wiedziała, że ma kogoś na stałe, a szczególnie kogoś takiego jak ty.

- O rety, dzięki. Co ona do mnie ma?

- Myśli, że masz na niego zły wpływ, bo twoja matka jest rozwódką.

- Powiedział ci to?

- Mniej więcej - odparła Violet. - Natknęłam się na nią w sklepie i próbowała wycisnąć coś ze mnie. Ktoś widział cię z Ty'em i pobiegł do niej z jęzorem. Nie pytaj kto, nabrała wody w usta. Powiedziałam jej, że chyba zwariowała. To znaczy ujęłam to inaczej, ale jestem pewna, że zrozumiała, o co chodzi. Wy tłumaczyłam jej, że po pierwsze twoja matka nie pozwoliłaby ci jeszcze umawiać się z chłopcami. Masz dopiero czternaście lat... Przecież to jakiś absurd! - tak jej powiedziałam. A po drugie nie mogłabyś widywać się z Ty'em, ponieważ cały wolny czas spędzasz ze mną. To ją chyba przekonało, choć jestem pewna, że ma o mnie równie wysokie mniemanie jak o tobie. Chyba nie jesteśmy wystarczająco dobre dla niej ani dla jej drogiego siostrzeńca. Potem zrobiła tę swoją minę i powiedziała, że w poprzedniej szkole jakaś dziewczyna wpakowała się w kłopoty, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem. Powiedział mi, że było mu jej żal.

- Zrobił jej więc przysługę i przeleciał ją. Ależ z niej szczęściara!

- Tak czy owak, to już skończone.

- Ja myślę. Uwierz mi, nie wolno ufać facetowi, który za wszelką cenę chce się dostać do twoich majtek.

- Nawet jeśli cię kocha?

- Szczególnie jeśli cię kocha. A jeszcze gorzej, jeśli ty kochasz jego.

Violet podniosła szczoteczkę i zaczęła tuszować rzęsy, pochylając się

w stronę lustra, by widzieć dokładnie to, co robi.

- W lodówce jest cola i karton lodów waniliowych, jeśli ty albo Daisy miałybyście ochotę.

- Dzięki.

Odłożyła tusz i powachlowała się dłonią, aby osuszyć imponujące frędzle rzęs pokryte czarną mazią. Otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła sześć bransoletek, cienkich srebrnych kółek, które po kolei wsunęła na prawą rękę. Potrząsnęła nadgarstkiem i bransoletki zadzwięczały jak małe dzwoneczki. Na lewej ręce zapięła wąską czarną sznurkową bransoletę zegarka. Podniosła się i na bosaka podeszła do szafy.

W pokoju z trudem można było dostrzec ślady obecności Foleya.

Swoje ubrania trzymał upchnięte we wciśniętej w kąt szafie z płyty wiórowej i, jak lubiła mawiać Violet, „jeżeli miał choć odrobinę rozumu w głowie, nie powinien narzekać”. Liza obserwowała Violet wieszającą kimono na haku po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Violet miała na sobie białe, przezroczyste nylonowe majteczki, ale nie zawracała sobie głowy stanikiem. Wsunęła stopy w sandały i pochyliła się, żeby je zapiąć, piersi podskakiwały w rytm jej ruchów. Potem włożyła sukienkę na ramiączkach z zamkiem na plecach, lawendową w białe groszki. Liza musiała ją zapiąć. Suknia była opięta, a jeśli Violet wiedziała, że widać było jej spłaszczone i okrągłe jak monety sutki, nie dała tego po sobie poznać. Liza wstydziła się swojej figury, która zaczęła się rozwijać, kiedy Liza miała dwanaście lat. Nosiła luźne bawełniane bluzki - zwykle kupione w Ship'n Shore - ale cały czas miała świadomość, że ramiączko stanika lub halki może prześwitywać przez materiał. W obecności chłopców w szkole wprawiało ją to w zakłopotanie.

Ty miał siedemnaście lat i, jako że przeniósł się z innej szkoły, nie zachowywał się tak głupio jak inni, nie imitował odgłosów przypominających pierdzenie i nie ruszał miarowo dłońmi w okolicach krocza.

- O której są fajerwerki? - zapytała Liza.

Violet nałożyła kolejną warstwę pomadki, po czym potarła wargi o siebie, aby rozprowadzić równomiernie kolor. Zakręciła szminkę.

- Jak tylko się ściemni. Pewnie koło dziewiątej - odpowiedziała.

Pochyliła się do przodu, przyłożyła do ust chusteczkę higieniczną, by zebrać nadmiar pomadki, a potem oczyściła palcem zęby, na których osadziło się jej trochę.

- Wracacie potem z Foleyem prosto do domu?

- Nie, pewnie wstąpimy jeszcze do Moonu.

Sama nie wiedziała, po co pyta. Zawsze tak robili. Wracali do domu o drugiej nad ranem.

Liza, zaspana i półprzytomna, dostawała swoje cztery dolary i ruszała przez ciemność do domu.

Violet zebrała włosy, podniosła do góry i zakręciła prowizorycznego koczka:

- Jak myślisz, spiąć czy rozpuścić? Ciągłe jest gorąco jak w piekle.

- Lepiej rozpuścić.

Violet uśmiechnęła się.

- Próżność ponad wygodę. Cieszę się, że czegoś cię nauczyłam.

Puściła włosy i potrząsnęła głową, aż ruda fala omiotła jej plecy.

Tę sekwencję Liza pamiętała w całości - początek, środek i zakończenie. Jak krótki fragment filmu odtwarzany ciągle na nowo. Daisy czytająca swój komiks, Violet naga, a potem zapinająca swoją sukienkę w groszki. Violet unosząca swoje jaskrawoczerwone włosy, a później potrząsająca głową. Ze względu na późniejsze zdarzenia w tle przewijała się myśl o Ty'u Eddingsie. Kolejny i jedyny krótki moment, który zapamiętała, dotyczył chwili późniejszej o dwadzieścia minut. Liza była w ciasnej i nie-bardzo-czystej łazience, w której unosił się zapach stęchlizny. Daisy brała kąpiel, delikatne blond włosy miała spięte klamerką. Siedziała w chmurze bąbelków, które zgarniała i układała na ramionach niczym piękne futro. Kiedy kąpiel będzie skończona, a Daisy ubrana w swoją letnią piżamkę, Liza da jej pigułkę, którą jak zwykle przygotowała Violet.

Wilgotne i ciepłe powietrze w łazience pachniało sosnowym płynem do kąpieli, który Liza wlała pod strumień bieżącej wody. Siedziała na opuszczonej klapie toalety, pilnując, by Daisy nie zrobiła niczego głupiego, jak na przykład utopienie się albo włożenie sobie mydła do oczu. Liza już była znudzona, ponieważ opieka nad Daisy stawała się niezbyt ciekawym zajęciem po wyjściu Violet.

Pilnowała Daisy tylko dlatego, że Violetta o to prosiła, bo kto zdołałby jej odmówić?

Sullivanowie nie mieli telewizora. W całym miasteczku jedyny odbiornik był u Cramerów.

Liza i Kathy oglądały telewizję niemal każdego popołudnia, chociaż ostatnio Kathy dąsała się, częściowo z powodu Ty'a, a częściowo przez Violet. Jeżeli zależałoby to od Kathy, ona i Liza spędzałyby ze sobą każdą chwilę. Kathy na początku była świetną przyjaciółką, jednak z czasem Liza zaczęła mieć poczucie, że się dusi.

Pochyliła się i musnęła ręką wodę w wannie. W tym samym momencie Violet uchyliła drzwi i wsunęła do środka głowę. Miała na rękach Baby. Pies, rozpromieniony i szczęśliwy, zaczął je oszczekiwać w raczej chełpliwy sposób.

- Cześć, Lies, już mnie nie ma. Do zobaczenia później - powiedziała Violet. Często zwracała się do niej „Lies”, co było zdrobnieniem od Liza, jednak w ustach Violet brzmiało inaczej. Przynajmniej tak się wydawało Lizie.

Daisy podniosła twarzyczkę i zrobiła dziubek:

- Całuska!

- Cmok, cmok ode mnie dla ciebie, cukiereczku. Mama dopiero co uszminkowała usta i nie chce się rozmazać. Bądź grzeczna i słuchaj Lizy. Violet posiała Daisy całusa. Dziewczynka udała, że go łapie, a potem odesłała z powrotem.

Jej oczy błyszczały na widok olśniewająco wyglądającej matki. Liza pomachała i wtedy drzwi się zamknęły. Pozostał jedynie zapach fiołkowej wody kolońskiej, który dotarł do niej wraz z podmuchem chłodnego

powietrza.

ROZDZIAŁ 2

Sprawa Violet Sullivan zwała mi się na głowę po telefonie Tannie Ottweiler. Poznałam ją przez mojego przyjaciela porucznika Dolana, detektywa z wydziału zabójstw, z którym pracowałam zeszłej wiosny. Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem, zwykle zajmuję się dwunastoma, góra piętnastoma sprawami dotyczącymi czyjejś przeszłości, oszustw ubezpieczeniowych czy wiarołomnych małżonków uwikłanych w zajadły spór w trakcie rozwodu. Lubiłam pracę z Dolanem, ponieważ dzięki niej mogłam zostawić swoją zwykłą papierkową robotę i wyjść w teren.

Kiedy usłyszałam głos Tannie, natychmiast stanęła mi przed oczami: czterdzieści kilka lat, przyjemna twarz, zero albo odrobina makijażu, ciemne włosy spięte z tyłu rogowymi grzebieniami, aureola papierosowego dymu. Była barmanką, kierowniczką, a czasem kelnerką w małej dziurze znanej jako Sneaky Pete. Właśnie tutaj Dolan po raz pierwszy namówił mnie, żebym mu pomogła. On i jego kumpel Stacey Oliphant, emerytowany pracownik Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Teresa, prowadzili śledztwo w sprawie niewyjaśnionego zabójstwa sprzed osiemnastu lat. Żaden z nich nie cieszył się dobrym zdrowiem, więc poprosili mnie, żebym odwaliła za nich trochę czarnej roboty. Ta fucha i Tannie Ottweiler nieodparcie kojarzyły mi się ze sobą i budziły we mnie pozytywne emocje. Potem spotkałam ją jeszcze kilka razy, ale nigdy nie wyszłyśmy poza zdawkowe uwagi, które wymieniałyśmy również teraz. W trakcie rozmowy Tannie paliła, a to znaczyło, że jest lekko zdenerwowana. Wreszcie powiedziała:

- Słuchaj, dzwonię, bo zastanawiam się, czy miałabyś czas na pogawędkę z moją przyjaciółką.

- Pewnie, nie ma sprawy. Na jaki temat?

- Chodzi o jej matkę. Pamiętasz Violet Sullivan?

- Nie bardzo.

- Rusz głową, na pewno pamiętasz. Serena Station, północna część

hrabstwa San Diego. Zaginęła dawno temu.

- Racja, teraz kojarzę. Zapomniałam o niej. To było w latach czterdziestych, tak?

- Nie tak dawno. W Święto Niepodległości 1953.

Kiedy miałam trzy lata, pomyślałam. Był wrzesień 1987. W maju skończyłam trzydzieści siedem lat i zauważyłam, że zaczynam odnosić każde wydarzenie do mojego wieku. Jak przez mgłę coś mi się przypomniało:

- Dlaczego mi się to kojarzy z samochodem?

- Bo niewiele wcześniej mąż kupił jej chevroleta bel air, który zniknął razem z nią. Piękna maszyna: pięcioosobowy coupe. Widziałam taki na wystawie samochodów w zeszłym roku - Tannie zaciągnęła się papierosem. - Ludzie plotkowali, że miała romans z jakimś facetem i uciekli razem.

- Nie byłaby pierwsza ani ostatnia.

- Jakbym nie wiedziała. Żebyś słyszała historie, które ludzie mi opowiadają, wyplakując się nad piwem. Praca w barze mnie skrzywiła. W każdym razie wiele osób uważa, że to mąż Violet ją wykończył, choć nigdy nie znaleziono na to żadnego dowodu. Nie ma ciała, nie ma samochodu, nie ma niczego innego, więc kto wie?

- A co to ma wspólnego z jej córką?

- Daisy Sullivan to moja dobra przyjaciółka. Teraz ma urlop i przyjechała do mnie na parę dni. Dorastałam w północnej części hrabstwa, więc znamy się od dziecka. Była dwie klasy niżej ode mnie, od podstawówki przez całą szkołę średnią. Jest jedynaczką, całe to zamieszanie z jej matką zupełnie ją rozwaliło.

- W jaki sposób?

- No, po pierwsze za dużo pije, a kiedy pije, to flirtuje, a kiedy flirtuje, to zawsze z największymi frajerami. Zupełnie nie ma gustu, jeśli chodzi o facetów...

- Hmm, połowa znanych mi kobiet nie ma gustu, jeśli chodzi o facetów.

- Taaa, ale Daisy ma go jeszcze mniej. Cały czas szuka „prawdziwej miłości”, ale sama nie wie, co to znaczy. Nie to, żeby ja wiedziała, lecz ja przynajmniej nie wychodzę za tych palantów. Ma za sobą cztery rozwody i jest w niej dużo gniewu. Jestem jej jedyną przyjaciółką.

- Gdzie pracuje?

- Prowadzi dokumentację medyczną. Całymi dniami siedzi w swoim boksie ze słuchawkami na uszach i wpisuje do kart medycznych te wszystkie pierdoły, które jej dyktują lekarze. Nie jest nieszczęśliwa, jednak powoli dochodzi do niej, jak bardzo sama się ogranicza. Jej świat zmniejszał się i zmniejszał, aż osiągnął rozmiar trumny. Daisy uważa, że nie przestanie o tym myśleć, dopóki się nie dowie, co się naprawdę stało.

- Brzmi jak stara sprawa. Ile Daisy ma lat?

- Hmm, ja kończę w tym miesiącu czterdzieści trzy, więc Daisy musi mieć czterdzieści, czterdzieści jeden... coś koło tego. Z trudem pamiętam o swoich urodzinach, a co dopiero o jej. Daisy miała siedem lat, kiedy jej matka dała nogę.

- A co z ojcem? Gdzie teraz jest?

- Ciągłe na miejscu, ale jego życie to piekło. Nikt nie chce mieć z nim do czynienia. Ludzie się od niego odsunęli, tak jak w tym starym plemiennym gównie. Facet mógłby równie dobrze być duchem.

Posłuchaj, wiem, że szanse są niewielkie, lecz Daisy naprawdę chce spróbować. Jeżeli jej ojciec to zrobił, Daisy ma prawo wiedzieć, a jeżeli nie, no cóż, pomyśl, ile to dla niej będzie znaczyło. Nie masz pojęcia, jaka jest pokręcona. On zresztą też, skoro o tym mowa.

- Nie jest już trochę za późno?

- Myślałam, że lubisz wyzwania.

- Chyba żartujesz, minęły trzydzieści cztery lata!

- Nie uważam, żeby było aż tak źle. Okej, minęło parę lat, ale spójrz na to z innej strony: być może zabójca dojrzał do wyznania swoich grzechów.

- Dlaczego nie pogadasz z Dolanem? On zna wielu gliniarzy z północnej części hrabstwa. Może mógłby pomóc, a przynajmniej

doradzić, gdzie możecie szukać pomocy.

- Nie, nie ma szans. Już z nim rozmawiałam. Razem ze Staceyem wyjeżdżają na trzy tygodnie na ryby, więc powiedział mi, żeby zadzwonić do ciebie. Mówi, że nie odpuszczasz, jeśli chodzi o takie sprawy.

- Dzięki za uznanie, ale nie potrafię wytropić kobiety, która zniknęła trzydzieści cztery lata temu. Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Mogłabyś przejrzeć stare gazety.

- To bez dwóch zdań, choć jestem pewna, że Daisy zrobi to równie dobrze. Wyślij ją do czytelnici...

- Ona już wszystko zebrała. Powiedziała, że z przyjemnością pokaże ci wycinki.

- Tannie, nie chcę być niegrzeczna, ale w mieście jest z pół tuzina prywatnych detektywów. Spróbuj pogadać z którymś z nich.

- To nie takie proste. To znaczy samo wprowadzenie ich w sprawę zajęłoby mi sto lat. Ty przynajmniej, w odróżnieniu od większości, słyszałaś o Violet Sullivan.

- Słyszałam też o Jimmym Hoffie, ale to nie znaczy, że mam zamiar go szukać.

- Proszę tylko, żebyś z nią pogadała.

- Nie ma sensu gadać...

Tannie mi przerwała:

- Zrobimy tak. Wpadnij do Sneaky Pete'a, a ja ci zrobię kanapkę.

Gratis. Ja stawiam. Zupełnie za darmo. Nie musisz nic robić, chcę tylko, żebyś jej wysłuchała.

Obietnica darmowego jedzenia zupełnie zbiła mnie z tropu. Kanapka, o której mówiła Tannie, była w Sneaky Pete specjalnością zakładu i, jak twierdził Dolan, jedyną rzeczą wartą zamówienia - pikantne salami i roztopiony ser w bułce kajzerce. Tannie wymyśliła, żeby dodać jeszcze jajko sadzone. Wstyd się przyznać, jak łatwo mnie przekupić. Zerknęłam na zegarek, była jedenasta piętnaście, a ja umierałam z głodu:

- Kiedy?

- Może teraz? Mieszkam blisko, Daisy dotrze tu szybciej na piechotę

niż ty samochodem.

Postanowiłam się przejść, żeby choć trochę odwlec tę rozmowę - mieszkałam sześć przecznic dalej. Było zwyczajne wrześnieowe przedpołudnie, jeden z tych dni, które równie dobrze można nazwać letnimi lub jesiennymi: świat zalany słońcem, rano kilka chmurek, temperatura sięgająca siedemdziesięciu kilku stopni Fahrenheita, ale w nocy tak zimno, że człowiek miał ochotę wpełznąć pod puchową kołdrę. Nade mną klucz zaalarmowanych jesiennym światłem ptaków odlatywał na zimę w inne miejsce. Takie są plusy życia w południowej Kalifornii. Co do minusów - jest monotonnie. Nawet idealna pogoda może się znudzić, kiedy się nigdy nie zmienia.

W tym tygodniu lokalni stróżowie prawa przygotowywali się do konferencji poświęconej zapobieganiu przestępczości, w związku z czym wiedziałam, że Cheney Phillips - zastępca w Departamencie Policji w Santa Teresa - będzie w najbliższym czasie zajęty. Całkiem mi to odpowiadało. Jestem kobietą drażliwą i lubię spędzać czas w samotności. Cheney i ja „umawialiśmy się na randki” od trzech miesięcy, jeżeli można tak powiedzieć o dwóch rozwiedzionych osobach pod czterdziestkę. Nie byłam pewna, o co mu właściwie chodzi, ale ja nie planowałam ponownego ślubu. Po co wszystko psuć? To całe bycie razem może człowiekowi naprawdę zająć za skórę.

Nawet bez wysłuchiwanie długiej i smutnej opowieści Daisy wiedziałam, jakie są szanse na sukces. Nie miałam pojęcia, jak szukać kobiety, która zniknęła ponad trzy dekady temu. Jeżeli żyje, musiała mieć swoje powody, żeby uciec i nigdy się nie skontaktować ze swoim jedynym dzieckiem. Z kolei mąż Violet ciągle był na miejscu, więc jaka była jego rola w tym wszystkim? Jeżeli chciał, żeby żonę odnaleziono, już dawno powinien był wynająć detektywa, zamiast czekać, aż wiele lat później zrobi to Daisy. Z drugiej strony, jeśli wiedział, że Violet nie żyje, po co się bawić w poszukiwania i tracić pieniądze?

Problem polegał na tym, że lubiłam Tannie, a skoro Daisy była jej przyjaciółką, automatycznie otrzymywała specjalny status. Nie bardzo

specjalny, ale wystarczający, żeby jej wysłuchać. Właśnie dlatego, kiedy nas już sobie przedstawiono, udawałam, że z uwagą jej słucham, zamiast ślinić się na myśl o kanapce na talerzu przede mną. Kajzerka została posmarowana masłem, a potem przypiekano ją na grillu tak długo, aż chleb stał się złocistobrązowy i chrupiący. Krążki pikantnego salami były sklezione roztopionym serem z wiórkami czerwonej papryki. Zajrzałam do środka i przekonałam się, że żółtko jajka sadzonego jest ciągle miękkie, więc wiedziałam, że kiedy wgrzyzę się w kanapkę, wycieknie i wsiąknie w chleb. Aż dziw bierze, że na samą myśl o tym nie zawyłam.

Przyjaciółki siedziały naprzeciwko mnie. Tannie mówiła jak najmniej, żebyśmy z Daisy mogły się lepiej poznać. Kiedy patrzyłam na Daisy, trudno mi było uwierzyć, że jest zaledwie dwa lata młodsza od Tannie. Tannie, czterdziestotrzylatka, miała skórę pokrytą siateczką delikatnych zmarszczek - efekt zbyt dużej ilości papierosowego dymu i niewystarczającej ochrony przed słońcem. Daisy miała bladą, drobną twarz. Jej oczy były niewielkie, pełne niepokoju i łagodnie niebieskie. Proste jasnobrązowe włosy zebrała z tyłu i spięła na karku w nieporządny węzeł za pomocą pałeczki. Kilka niesfornych kosmyków wymykało się z węzła, więc miałam nadzieję, że wyjmie pałeczkę i jeszcze raz zepnie włosy. Zamiast trzymać się prosto, garbiła się - być może dlatego że nie miała matki, która suszyłaby jej głowę, żeby stała prosto. Jej paznokcie były tak bardzo obgryzione, że aż miałam ochotę schować w dłoniach własne, tak na wszelki wypadek.

Podczas gdy ja rozkoszowałam się kanapką, Daisy grzebała w swojej i odrywała małe kawałki, które piętrzyły się na talerzu. Na trzy kęsy jeden lądował w jej ustach, a dwa pozostałe - na talerzu. Nie uważałam, żebym była z nią na tyle blisko, by błagać o te resztki. Jak na razie pozwalałam jej kierować rozmową, ale minęło już pół godziny, a ona nie podjęła tematu swojej mamy. To była moja przerwa na lunch. Nie mogłam jej poświęcić całego dnia. Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i mieć to z głowy. Wytarłam dłonie w papierową serwetkę, zgmiotłam ją i wsunęłam pod talerz.

- Tannie mi mówiła, że jesteś zainteresowana odnalezieniem swojej matki.

Daisy zerknęła na przyjaciółkę, jakby prosząc ją o wsparcie. Skończyła już posiłek i zajęła się obgryzaniem kciuka. Podobnie palacz po jedzeniu sięga po papierosa.

Tannie uśmiechnęła się do niej:

- Wszystko w porządku, naprawdę. Kinsey przyszła tutaj, żeby cię wysłuchać.

- Nie wiem, co powiedzieć. To długa, skomplikowana historia.

- Tyle sama wiem. Może najpierw mi powiesz, czego tak właściwie się spodziewasz.

Daisy rozejrzała się po barze, jakby szukała drogi ucieczki. Patrzyłam jej w oczy, podczas gdy ona walczyła sama z sobą, żeby coś powiedzieć. Próbowałam być cierpliwa, ale taka przedłużająca się cisza sprawia przeważnie, że mam ochotę kogoś ugryźć.

- Chcesz, żeby... co? - powiedziałam, wykonując w jej stronę gest ręką.

- Chcę się dowiedzieć, czy żyje.

- A co ci podpowiada intuicja?

- Nic wiarygodnego. Sama nie wiem, co byłoby gorsze. Czasem wydaje mi się, że żyje, a czasem wręcz odwrotnie. Jeżeli żyje, chcę wiedzieć, gdzie jest i dlaczego nigdy się ze mną nie skontaktowała. Jeżeli nie żyje, pewnie mnie to dobije, ale przynajmniej poznam prawdę.

- Po tylu latach żadna odpowiedź nie przyniesie ci ulgi.

- Wiem, ale nie mogę tak żyć. Całe życie się zastanawiałam, co się z nią stało, dlaczego odeszła, czy chciała wrócić, a jeśli tak, to co jej w tym przeszkodziło.

- Przeszkodziło?

- Może jest w więzieniu albo coś w tym stylu.

- Przez te wszystkie lata nie dała znaku życia?

- Nie.

- Nikt jej nie widział, do nikogo się nie odezwała?

- O ile mi wiadomo, nie.

- A jej konto? Coś się na nim działo?

Daisy pokręciła głową:

- Nigdy nie miała ani bieżącego, ani oszczędnościowego rachunku.

- Rozumiesz, co to znaczy. Prawdopodobnie nie żyje.

- Dlaczego więc nas nie powiadomiono? Kiedy wychodziła, wzięła ze sobą torebkę. Miała prawo jazdy stanu Kalifornia. Jeżeli zdarzył się wypadek, przecież ktoś by nam o tym powiedział.

- Pod warunkiem że ją odnaleziono - zauważyłam. - Świat jest wielki.

Mogła spaść z urwiska albo może leży na dnie jeziora. Od czasu do czasu ktoś wypada za barierki. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak się właśnie dzieje.

- Ciągle myślę o tym, że może ktoś ją napadł lub uprowadził albo może na coś zachorowała. Może uciekła, bo nie umiała sobie z tym poradzić? Pewnie się zastanawiasz, co za różnica, ale dla mnie to ważne.

- Naprawdę wierzysz, że po tych wszystkich latach można ją odnaleźć?

Pochyliła się w moją stronę:

- Posłuchaj, mam dobrą pracę i dobrą pensję. Stać mnie, żeby zapłacić, ile będzie trzeba.

- Nie o to chodzi. Chodzi o prawdopodobieństwo. Mogę stracić mnóstwo czasu i cholernie dużo twoich pieniędzy, a na końcu znajdziesz się dokładnie w tym punkcie, w którym tkwisz teraz. Równie dobrze mogę ci zagwarantować...

- Nie proszę o żadne gwarancje.

- A więc o co?

- Pomóż mi, to wszystko. Proszę, powiedz, że spróbujesz.

Siedziałam i wpatrywałam się w nią. Co miałam odpowiedzieć?

Kobieta mówiła poważnie - to jej musiałam przyznać. Spojrzałam na swój talerz i zobaczyłam, że została jeszcze odrobinka sera. Używając palca wskazującego, włożyłam ją do ust. Pyszne.

- Mam pytanie. Czy nikt nie przeprowadził wtedy śledztwa?

- Biuro szeryfa się tym zajęło.

- Świetnie. Bardzo dobrze. Pytałaś, co zrobili?

- Miałam nadzieję, że ty zapytasz. Wiem, że tata wypełnił formularz. Widziałam kopię, więc wiem na pewno, że tata rozmawiał z co najmniej jednym detektywem, choć nie pamiętam jego nazwiska. Wydaje mi się, że już jest na emeryturze.
- To powinno być łatwe do sprawdzenia.
- Nie wiem, czy Tannie o tym wspominała, ale tata uważa, że matka miała romans i uciekła z kochankiem.
- Romans. Dlaczego tak uważa?
- Ze względu na jej sposób bycia. Matka była dzika... przynajmniej tak wszyscy mówią.
- Załóżmy, że w jej życiu był mężczyzna. Kto to mógł być?
- Nie mam pojęcia, ale miała odłożoną wystarczającą sumę pieniędzy, żeby sobie poradzić. W każdym razie przez pewien czas.
- Ile?
- To kwestia dyskusyjna. Twierdziła, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale nikt tego nie zweryfikował.
- Skąd wzięła tyle pieniędzy?
- Z ubezpieczenia. O ile dobrze zrozumiałam, kiedy się rodziłam, był jakiś problem. Chyba doktor spaprał robotę i musieli wyciąć jej macicę. Wynajęła prawnika i poszła do sądu. Nie wiem, ile zgarnęła. Podpisała klauzulę poufności, w której zobowiązała się nie ujawniać szczegółów.
- Najwyraźniej nie dotrzymała słowa.
- No tak, ale nikt jej nie wierzył. Trzymała coś w skrytce depozytowej, którą opróżniła kilka dni przed ucieczką. Wzięła też ze sobą chevroleta, którego tata kupił jej dzień wcześniej.
- Tannie mówi, że samochód też zniknął.
- Właśnie. Jakby matka wyparowała razem z autem.
- Ile miała lat, kiedy zniknęła?
- Dwadzieścia cztery.
- Czyli ile miałaby teraz? Jakież pięćdziesiąt osiem?
- Tak.
- Jak długo rodzice byli małżeństwem?

- Osiem lat.

Może nie jestem matematycznym geniuszem, ale tyle potrafię obliczyć:

- Miała więc szesnaście lat, kiedy za niego wyszła.

- Piętnaście. Miała szesnaście, kiedy się urodziłam.

- A ile on miał lat?

- Dziewiętnaście. Musieli się pobrać, bo zaszła w ciążę.

- Nietrudno na to wpaść - spojrzałam na nią uważnie. - Tannie mówi, że ludzie w Serena Station myślą, że to on ją zabił.

Daisy rzuciła Tannie szybkie spojrzenie. Przyjaciółka wyjaśniła:

- Daisy, taka jest prawda. Musisz jej wszystko powiedzieć.

- Wiem, ale tak ciężko jest o tym mówić, szczególnie że jego tu nie ma i nie może przedstawić swojej wersji.

- Możesz mi zaufać albo nie. Twój wybór - odczekałam chwilę, a potem dodałam: - Właśnie próbuję podjąć decyzję. Nie mogę działać po omacku. Potrzebuję wszystkich dostępnych informacji.

Daisy lekko się zaróżowiła:

- Przepraszam. Ich związek był, jak to się mówi, „burzliwy”. Nawet ja to pamiętam. Kłótnie i wrzaski. Policzkowanie się. Stłuczone talerze. Trzaskanie drzwiami. Oskarżenia, groźby - włożyła palec wskazujący do ust i zaczęła obgryzać paznokieć. Było to tak denerwujące, że z trudem się powstrzymałam, żeby jej nie dać po łapach.

- Czy któreś z nich kiedyś cię uderzyło?

Zdecydowanie potrząsnęła głową:

- Zwykle podczas awantur siedziałam w swoim pokoju.

- Czy kiedykolwiek zadzwoniła na policję?

- Z tego, co pamiętam, dwa albo trzy razy, ale chyba zdarzało się to częściej.

- Niech zgadnę. Groziła, że wniesie oskarżenie, ale w końcu zawsze się wycofywała i zaczynało się migdalenie.

- Wydaje mi się, że ktoś z biura szeryfa zajmował się tą sprawą.

Pamiętam, że przychodził do domu. Funkcjonariusz w jasnobrązowym

mundurze.

- Próbował ją namówić, żeby poszła do sądu.
 - Właśnie. Nieźle mu poszło. Ktoś mi powiedział, że wystąpiła o nakaz sądowy, ale coś nie wyszło i sędzia go nigdy nie podpisał.
 - A więc biorąc pod uwagę to, jak wyglądało ich małżeństwo, kiedy zniknęła, ludzie szeryfa rozmawiali z twoim ojcem, bo podejrzewali, że mógł w tym maczać palce.
 - No tak, ale ja nie wierzę, że to zrobił.
 - A co, jeśli odkryję, że jednak jest winny? Wtedy stracisz oboje rodziców. Teraz masz przynajmniej jego. Nie boisz się ryzyka?
- Pod dolnymi powiekami Daisy łzy utworzyły cieniutkie srebrne strumyczki.
- Muszę wiedzieć - przycisnęła rękę do ust, żeby przestały drżeć. Na jej twarzy pojawiły się czerwone placki, jakby nagle dostała pokrzywki. To, czego się podjęła, wymagało odwagi, tyle musiałam jej przyznać. Rozgrzebywała stare brudy, które większość ludzi bez mrugnięcia oka zgarnęłaby pod dywan.
- Tannie wyjęła z kieszeni dżinsów chusteczkę i podała ją Daisy. Daisy niespiesznie wytarła oczy i wysiękała nos, chciała nad sobą zapanować, zanim odłoży chusteczkę:
- Przepraszam.
 - Mogłaś to zrobić już dawno temu. Dlaczego akurat teraz?
 - Zaczęłam się zastanawiać. Ciągle jeszcze żyją ludzie, którzy ją znali, jednak inni umarli, a jeszcze inni wyjechali. Jeżeli nadal będę to odkładać, nie zostanie nikt.
 - Czy twój tata wie, co masz zamiar zrobić?
 - Nie chodzi o niego. Chodzi o mnie.
 - Ale to może wpłynąć również na jego życie.
 - To szansa, a ja muszę z niej skorzystać.
 - Bo?

Usiadła na rękach, upychając dłonie pod uda. Chciała je ogrzać albo powstrzymać ich drzenie:

- Utknęłam. Nie umiem sobie z tym poradzić. Moja matka odeszła, kiedy miałam siedem lat. Pstryk - i już jej nie było. Chcę wiedzieć dlaczego. Mam prawo do tej informacji. Co złego zrobiłam, że mnie to spotkało? Właśnie o to pytam. Jeżeli nie żyje, w porządku. Jeśli okaże się, że to on ją zabił - niech i tak będzie. Przynajmniej będę wiedziała, że mnie nie odrzuciła.

W jej oczach zebrały się łzy. Zamrugowała gwałtownie, żeby się ich pozbyć.

- Czy ktoś cię kiedyś porzucił? Wiesz, jak to jest? Myśleć, że ktoś po prostu miał cię w dupie?

- Miałam tego rodzaju doświadczenie - odpowiedziałam ostrożnie.

- To zmieniło całe moje życie - każde słowo wymówiła powoli i wyraźnie.

Chciałam coś powiedzieć, ale mi przerwała:

- Wiem, co masz mi do powiedzenia. „To, co zrobiła, nie miało z tobą nic wspólnego”. Wiesz, ile razy już to słyszałam? „To nie twoja wina. Ludzie mają swoje powody, żeby postępować tak, jak postępują”. Gówna prawda. A chcesz wiedzieć, co jest najgorsze? Zabrała ze sobą psa. Jazgoczącego szpica o imieniu Baby, którego miała niecały miesiąc. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc siedziałam cicho. Przez chwilę milczała.

- Nie mogę mieć mężczyzny na stałe, bo nie potrafię nikomu zaufać. Sparzyłam się kilka razy i jestem przerażona, że to się może powtórzyć. Wiesz, na ilu kozetkach już leżałam? Wiesz, ile pieniędzy straciłam, próbując odnaleźć spokój? Wyrzucają mnie. Słyszałaś o czymś takim? Rozkładali ręce i oznajmiali, że nie chcę nad sobą pracować. Jak to - p r a c o w a ć? A jak ja niby mam pracować nad czymś takim? To tak boli. Dlaczego zostawiła mnie, a wzięła ze sobą tego pieprzonego psa?

ROZDZIAŁ 3

Spotkałam się z Daisy Sullivan w moim biurze o dziewiątej rano następnego dnia. Po wczorajszym wybuchu nie pozostał nawet ślad, uspokoiła się. Sympatyczna, rozsądna i chętna do współpracy kobieta.

Zrobiłyśmy tak: wypisała mi czek na dwa tysiące pięćset dolarów, czyli pięć dni pracy po pięćset dolarów za dzień. Kiedy ten czas minie, zobaczymy, czy zdobyłam wystarczająco dużo informacji, żeby warto było kontynuować śledztwo. Był wtorek, Daisy miała dzisiaj wracać do Santa Maria, gdzie pracowała w archiwum centrum medycznego. Plan był taki: wyruszamy dwoma autami, wstępujemy do niej, zostawiamy tam mój samochód i jej autem jedziemy piętnaście mil do małego miasteczka Serena Station. Chciałam zobaczyć dom, w którym mieszkali Sullivanowie, gdy jej matka zniknęła.

Jechałyśmy na północ stojedynką, a ja obserwowałam tył hondy Daisy z 1980 roku w kolorze zadymionej bieli. Miała ogromne wgniecenie na bagażniku. Ciekawe, w jaki sposób powstało. Wyglądało, jakby na samochód zważyło się drzewo. Daisy była typem kierowcy, który zawsze trzyma się pobocza, jej światła hamowania migały jak lampki na bożonarodzeniowym drzewku. Płowe wzgórza - pokryte młodym lasem dębowym, gęstym i szorstkim jak nowy wełniany koc - na przemian zbliżały się i oddalały. Szara mgiełka zeszcłej trawy falowała koło drogi smagana przez pęd powietrza unoszący się spod kół przejeżdżających aut. Po niedawnym pożarze krajobraz wyglądał jak jesienny - zbocza wzgórz miały złotobrazowy kolor fotografii w sepii. Liście spłowieły i przybrały papierowy, beżowy kolor. Krzewy zamieniły się w czarne badyle. Pnie ściętych drzew jak złamane rury sterczały z ziemi koloru popiołu. Od czasu do czasu widziałam drzewo tylko w połowie osmalone, jakby brązowe gałęzie zostały chirurgicznie przeszczepione do zielonej części.

Przede mną Daisy włączyła kierunkowskaz i skręciła z autostrady w biegnącą na północny zachód drogę numer sto trzydzieści pięć.

Pojechałam za nią. Leniwie sięgnęłam po mapę, którą przed wyjazdem złożyłam i rzuciłam na siedzenie pasażera. Zerknęłam i zobaczyłam, że okolica usiana jest mnóstwem miniaturowych miejscowości, małych kropek na mapie: Barker, Freeman, Tullis, Arnaud, Silas i Cromwell. Ta ostatnia była największa, populacja sięgała tam sześciu tysięcy dwustu

osób. Zawsze interesowało mnie, w jaki sposób powstają takie miejscowości. Jeśli będę miała czas, przejadę się po okolicy i obejrzę je. Dom Daisy stał niedaleko Donovan Road, na zachód od drogi numer sto trzydzieści pięć.

Wjechała na podjazd dzielący dwa ozdobione sztukaterią domy z lat siedemdziesiątych, lustrzane odbicia siebie nawzajem, tyle że dom Daisy był ciemnozielony, a jej sąsiadów - szary. Przed domem rosła bugenwilla, jej pnącza docierały aż na asfaltowy, okryty gontem dach i pokrywały go płataniną kwiatów o kształcie i kolorze gotowanych krewetek.

Zaparkowałam na krawężniku i wysiadłam z auta, a Daisy wprowadziła hondę do garażu i wyjęła z bagażnika walizkę. Stałam na werandzie i patrzyłam, jak Daisy otwiera drzwi.

- Pozwól, że najpierw otworzę okna - powiedziała, wchodząc.

Podążyłam za nią. Dom był przez kilka dni zamknięty, więc w środku było gorąco i sucho.

Daisy przeszła przez salon i jadalnię do kuchni, po drodze otwierając wszędzie okna.

- Łazienka jest w korytarzu, po prawej.

- Dzięki - ruszyłam w poszukiwaniu łazienki głównie dlatego, że dawało mi to okazję zerknąć do innych pokoi. Parter był rozplanowany w sposób typowy dla tego rodzaju domów. Salon połączony z jadalnią w kształcie litery L, kuchnia ciągnąca się wzdłuż domu po lewej, a po prawej korytarz łączący dwie małe sypialnie i znajdującą się między nimi łazienkę.

Dom był czysty, ale trochę zaniedbany.

Zamknęłam za sobą drzwi do łazienki i puściłam wodę z kranu - uprzejmy sposób dania do zrozumienia, że się siusia. Kafelki były koloru kasztanów, a umywalka wykończona dwucalowym beżowym występem. Toaleta miała ten sam kasztanowy odcień. Na drzwiach wisiał szlafrok Daisy - jedwabne japońskie kimono w kolorze intensywnie błękitnego nieba, z wyhaftowanym na plecach zielono-pomarańczowym smokiem. Dałam za to Daisy dodatkowe punkty. Wyobrażałam ją sobie raczej w

czymś zbliżonym do babcinej podomki - flanelowym, w różowe wzorki, długim do kostek i pruderyjnym. Widocznie Daisy ma w sobie zmysłowość, której dotąd nie dostrzegłam.

Wróciłam do kuchni. Daisy postawiła już czajnik na kuchence, mocno podkręcając ogień, żeby woda szybko się zagotowała. Na stole leżała herbata ekspresowa i dwa ciężkie ceramiczne kubki.

- Zaraz wracam - Daisy oddaliła się w stronę łazienki, a ja skorzystałam z okazji, żeby wyjrzeć przez okno. Przypatrzyłam się uważnie schludnie utrzymanemu podwórku. Trawa była przystrzyżona. Krzaki róży uginały się pod ciężarem bujnych kwiatów w kolorach: różowym, pąsowym, brzoskwińowym i herbacianym. Wiedziałam od Tannie, że Daisy za dużo pije.

Nawet jeśli zniknięcie matki zraniło jej duszę, życie zewnętrzne Daisy było uporządkowane, być może na zasadzie kontrastu z bałaganem emocjonalnym. Kiedy jej nie było, z czystej grzeczności powstrzymałam się od zerknięcia do kosza na śmieci, żeby sprawdzić, czy nie leżą tam butelki po wódce. Czajnik zaczął gwizdać, więc wyłączyłam gaz i nalałam wrzątku do kubków.

Daisy wróciła z brązowym skoroszytem, który położyła na stole. Usadowiła się na krześle i włożyła na nos okulary do czytania w okrągłych metalowych oprawkach, takich jakie można znaleźć na stojaku w drogerii. Wyjęła plik spiętych razem wycinków z gazet i kartkę schludnie zapełnioną notatkami, litery były okrągłe i równe.

- To wszystko, co znalazłam w gazetach. Nie musisz czytać teraz, ale pomyślałam, że może ci się przydać. A tutaj masz nazwiska, adresy i numery telefonów ludzi, z którymi może będziesz chciała porozmawiać.

Wskazała pierwsze nazwisko na liście:

- Foley Sullivan to mój tata.

- Mieszka teraz w Cromwell?

Skinęła głową:

- Nie mógł zostać w Serena Station. Może kilka osób powstrzymało się od wydania na niego wyroku, ale większość już wcześniej nie miała o

nim najlepszego zdania. Zanim matka odeszła, był pijakiem, lecz potem przestał pić i do dziś nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Następne nazwisko: Liza Clements, z domu Mellincamp. To ona się mną opiekowała tej nocy, kiedy matka odeszła... uciekła... nazwij to, jak chcesz. Liza właśnie skończyła czternaście lat i mieszkała przecnicę dalej. Ta pannica, Kathy Cramer, była jej najlepszą przyjaciółką - a właściwie nadal jest. Jej rodzina mieszkała kilka domów dalej - miała duży i ładny dom, w porównaniu z innymi. Matka Kathy była okropną plotkarą, Kathy mogła co nieco się od niej dowiedzieć.

- Ciągłe tam mieszkają?

- Tylko ojciec, Chet Cramer. Mój ojciec znalazł ten samochód właśnie w jego salonie. Kathy wyszła za mąż i razem z mężem kupili dom w Orcutt. Jej matka zmarła siedem albo osiem lat po zniknięciu mamy, a Chet po pół roku ożenił się ponownie.

- Założę się, że zyskał tym sobie przychylność ogółu. - Wskazałam następne nazwisko. - A ten człowiek?

- Calvin Wilcox to jedyny brat Violet. Wydaje mi się, że w tamtym tygodniu widział się z nią, więc może czegoś się od niego dowiesz. Ten facet, B.W., był barmanem w knajpie, do której chodzili moi rodzice. A to inni stali bywalcy, którzy często stawali się świadkami ich sławnych publicznych przepychanek.

- Rozmawiałaś z nimi wszystkimi?

- No, nie. To znaczy znam tych ludzi od lat... ale nigdy ich o nią nie pytałam.

- Nie sądzisz, że poszłoby ci lepiej niż mnie? Jestem tu obca. Dlaczego mieliby zwierzać się mnie?

- Ponieważ ludzie lubią mówić, lecz mnie mogliby nie chcieć powiedzieć wielu rzeczy. Kto by chciał opowiadać kobiecie, jak często jej tatuś dawał w twarz jej matce? Albo nawiązywać do pewnego wieczoru, kiedy matka wpadła w szal i oblała winem jakiegoś faceta? Od czasu do czasu coś się komuś wyrwie, ale zwykle robią, co mogą, żeby ukryć prawdę. Wiem, że chcą dobrze, ale to mnie doprowadza do szalu.

Nienawidzę sekretów. Nienawidzę myśli o tym, że nie jestem dopuszczona do tych wszystkich informacji. Kto wie, co wygadują za moimi plecami, nawet teraz, kiedy minęło tyle lat.

- Regularnie będę sporządzać pisemne raporty, więc będziesz na bieżąco ze wszystkim, czego się dowiem.

- Dobrze. To mi się podoba. Najwyższy czas - powiedziała Daisy. - Och, a tutaj... Chcę, żebyś to zatrzymała. Powinnaś wiedzieć, o kogo w tym wszystkim chodzi.

Wręczyła mi niewielką czarno-białą fotkę otoczoną białą obwódką wycinaną w ząbki, a potem nie spuszczała ze mnie wzroku, kiedy ją oglądałam. Odbitka była kwadratowa - każdy bok mierzył cztery cale - i przedstawiała uśmiechniętą kobietę w kwiecistej sukience na ramiączkach. Miała nieodgadnionego koloru włosy - raczej ciemne, długie i ułożone w delikatne fale. Była drobna i ładna w stylu lat pięćdziesiątych, ale jej kształty dzisiaj uchodziłyby za zbyt kobiece. Przez ramię miała przewieszoną słomianą torbę, z której wystawał pyszczek małego, puszystego pieska, wpatrującego się w aparat oczkami jak czarne paciorki.

- Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Wydaje mi się, że na początku czerwca.

- A pies ma na imię Baby?

- Baby, tak. Czystej krwi szpic. Wszyscy go nienawidzili, oprócz mamy, która dosłownie przepadała za tym małym gównem. Tata, jeśli tylko miałby okazję, wziąłby łopatę i walił w niego, aż wszedłby w ziemię jak kolek do namiotu. Jego słowa.

Podtrzymujący werandę filar wyglądał tak, jakby wyrastał z głowy Violet. Za nią, na balustradzie, można było odcyfrować końcówkę numeru domu: 08.

- Czy to dom, w którym mieszkaliście?

Daisy przytaknęła:

- Zawiozę cię tam, kiedy będziemy w Serena Station.

- Świetnie.

W drodze do Serena Station milczałyśmy. Niebo miało blado-błękitny kolor, jakby wypłowiło od słońca. Wzgórza toczyły się leniwie w stronę horyzontu, a trawa miała kolor brązowego cukru. Nie licząc samochodu Daisy, droga była pusta. Mijałyśmy opuszczone platformy wiertnicze, przeżarte rdzą i nieruchome. Po lewej mignął mi stary kamieniołom i rdzewiejące tory kolejowe, wiodące znikąd donikąd. Na jedynym czynnym ranczo zobaczyłam dziesięć sztuk bydła. Zwierzęta siedziały na ziemi jak przerośnięte koty w prażkowanym cieniu zagrody.

Miasteczko Serena Station wyłoniło się zza zakrętu dwupasmówki opatrzonej tabliczką informującą, że droga nosi teraz nazwę Land's End Road. Ulica biegła linią prostą przez trzy kwartały, a potem urywała się gwałtownie przy zamkniętej bramie. Za bramą wiała się w górę niskiego wzgórza, ale wyglądało na to, że dłuższy czas nikt nią nie przejeżdżał. W miasteczku stało wiele samochodów - na podjazdach, wzdłuż ulic, za sklepem - lecz nie licząc powiewów wiatru, wszystko było pogrążone w bezruchu. Kilka domów miało okna zabite deskami, ich ściany były wyprane z kolorów. Ze stojącego przed jednym z nich białego płotu zdrapano farbę, część ogrodzenia się zapadła. Na nierównych trawnikach ostały się zeschnięte resztki trawy, a ziemia wyglądała na twardą i nieprzystępną. Na jednym podwórku pod pomarszczoną, zwisającą do ziemi zieloną plastikową płachtą leżała naczepa. Były tam również pnie drzew i płatanina gałązek na podpałkę. Opuszczony warsztat samochodowy nie miał dachu.

Wysoka ciemna palma górowała nad ogrodzeniem z kraty, które ciągnęło się z tyłu budynku.

W innym miejscu piętrzyła się sterta pięćdziesięciopięciogalonowych beczek na ropę. Chwasty rozrosły się w suche krzaki, które z czasem wiatr odczepi od podłoża i potoczy środkiem ulicy.

Jakiś kundel truchtał boczną uliczką, zaaferowany swoją psią misją. Za miasteczkiem wznosiły się wzgórza, których w żadnym razie nie można było nazwać górami. Były nierówne, pozbawione drzew, gościnne dla natury, ale nieprzyjazne dla wędrowców. Widziałam łagodnie

opadające między jednym a drugim domem linie wysokiego napięcia oraz słupy telefoniczne strzelające ku niebu, jakby były pospiesznie naszkicowane ołówkiem. Zaparkowałyśmy, wysiadłyśmy z auta i powoli ruszyłyśmy środkiem popękanej asfaltowej szosy. Nie było chodnika ani lamp ulicznych.

Nie było ruchu ulicznego ani sygnalizacji świetlnej.

- Raczej nie tętni tu życie - zauważyłam. - Nawet warsztat samochodowy splajtował.

- Należał do brata Tannie, Steve'a, który przeniósł interes do Santa Maria, bo doszedł do wniosku, że jeśli komuś zepsuje się samochód, to właściciel nigdy nie zdoła go tu dostarczyć. A on nie mógł zaoferować transportu. Miał wtedy tylko jeden samochód z lawetą, który zwykle stał zepsuty.

- Raczej marna reklama warsztatu samochodowego.

- Taaa, zresztą i tak kiepsko mu szło. Kiedy się przeniósł, zatrudnił kilku mechaników i teraz świetnie sobie radzi.

Daisy pokazała mi dom, w którym mieszkał Chet Cramer z obecną żoną.

- Cramerowie byli jedyną rodziną z niezłym dochodem. Mieli pierwszy telewizor, jaki zobaczyliśmy na oczy. Jeżeli dobrze to rozegrałeś, mogłeś obejrzeć Howdy Doody albo Your Show of Shows. Liza raz mnie tam wzięła, ale nie przypadłam Kathy do gustu, więc nie zostałam już nigdy zaproszona.

Dom Cramerów był jedynym piętrowym budynkiem w okolicy - staroświecki wiejski dom z szeroką drewnianą werandą. Przed wyjazdem wepchnęłam do kieszeni kurtki paczkę karteczek, teraz wyjęłam jedną, żeby naszkicować na niej prowizoryczną mapę miasteczka. Miałam zamiar porozmawiać z wieloma aktualnymi i byłymi mieszkańcami, zatem pomyślałam, że warto wiedzieć, gdzie mieszkali i z kim sąsiadowali.

Daisy przystanęła przed otynkowanym na bladozielono domem z płaskim dachem.

Bezwiednie uniosła rękę i zaczęła obgryzać paznokcie. Krótka ścieżka wiodła z ulicy na werandę. Posesję otaczało ogrodzenie z kraty, na którym wisiała tabliczka z napisem: „Wstęp wzbroniony!” Podwórko było opustoszałe. Do okien przybito płyty ze sklejki, a drzwi wyjęto z zawiasów i oparto o ścianę. Był to dom numer 3908.

- To tutaj mieszkaliście. Poznaje werandę z fotografii.

- Tak. Chcesz wejść do środka?

- A wolno nam?

- Teraz tak. Kupiłam ten dom. Nie pytaj dlaczego. Moi rodzice wynajmowali go od człowieka o nazwisku Tom Padgett, to on potem mi go sprzedał. Znajdziesz go na liście. Był w barze parę razy, kiedy rodzice się awanturowali. Tata pracował na budowie, więc czasem mieliśmy pieniądze, a czasem nie. Kiedy miał pieniądze, przepuszczał je, a kiedy ich nie miał - tym gorzej. Nie przejmował się, jeśli miał długi. Gdy pogoda nie dopisywała, nie było pracy, innym razem wylewali go, bo przychodził pijany. Nie to, że migał się od płacenia rachunków, ale czasami tak to wyglądało. Kiedy był w nastroju, zajmował się rachunkami, ale na to nie można było liczyć. Padgett ciągle go nachodził, bo tata zwykle spóźniał się z zapłatą za czynsz, o ile w ogóle płacił. Padgett straszył nas eksmisją, a kiedy tata wreszcie odzłował i zapłacił, uważał, że dzieje mu się wielka krzywda.

Daisy weszła przez bramę, a ja za nią. Wiedziałam, że musiała wracać tu ze sto razy. Czego szukała? Wyjaśnienia, wskazówki, odpowiedzi na pytania, które ją dręczyły?

Wnętrze rozplanowano w prosty sposób. Salon był połączony z jadalnią. W kuchni mogły się pomieścić jedynie krzesła i stół, chociaż dawno już ich tu nie było. Sprzęt kuchenny usunięto, ze ścian wystawały rury i druty. Kwadraty stosunkowo czystego linoleum wskazywały, gdzie stały kuchenka i lodówka. Zlew ciągle tu był, podobnie jak wyszczerbione blaty z metalową obwódką. Otwarte drzwiczki kredensu odsłaniały puste półki wyłożone zwijającym się w kątach papierem. Nie myśląc o tym, co robię, podeszłam i zamknęłam jedną szafkę.

- Przepraszam. Takie drobiazgi działają mi na nerwy.

- Mnie też - odparła Daisy. - Ale poczekaj chwilę. Wychodzi się stąd, a po powrocie drzwiczki są znowu otwarte. Człowiek prawie zaczyna wierzyć w duchy.

- Dlaczego ich nie naprawisz?

- Może kiedyś, chociaż nie wyobrażam sobie, że mogłabym znowu tu zamieszkać. Lubię swój dom.

- W którym pokoju mieszkałaś?

- Tutaj.

Pokoik - zaledwie dwanaście stóp długości i dziewięć szerokości - pomalowany był na nieprzyjemny odcień różowego, który pewnie miał być dziewczęcy.

- Łóżko stało w kącie. Komódka tutaj. Szafa. Pudło na zabawki. Stolik i dwa krzesła. - Daisy oparła się o ścianę i rozejrzała po pomieszczeniu. - Uważałam się za szczęściarę, bo miałam własny pokój. Nie zdawałam sobie sprawy, jaki jest tandetny. Większość ludzi, których znaleźliśmy, przedła równie cienko jak my. Przynajmniej teraz tak to odbieram.

Kiedy przechodziła do następnego pokoju, zatrzymała się w drzwiach. Druga sypialnia miała ściany koloru lawendowego, a tapeta tuż pod sufitem ozdobiona była szlaczkiem skomponowanym z fiołków.

Cofnęłam się trzy kroki i zajrzałam do łazienki. Umywalka i wanna ciągle tkwiły na swoim miejscu. Muszli klozetowej już nie było, a dziurę, która po niej pozostała, zatkało szmatą - śmierdziała zgniłymi jajkami.

Możliwe, że był to najbardziej przygnębiający dom, jaki widziałam.

Daisy stanęła za moimi plecami, być może zobaczyła ten dom moimi oczami.

- Możesz mi nie wierzyć, ale matka robiła co mogła, żeby było tu trochę ładniej. Koronkowe firanki w salonie, narzuty, papierowe wycinanki na meblach - takie drobiazgi. Podczas jednej z ostatnich kłótni, które pamiętam, tata wpadł w szał i zerwał jedną z jej cennych koronkowych firanek. Sądzę, że nie mógł zrobić nic gorszego. Właśnie tak to z nimi było, nie umieli przestać, wzajemnie się prowokowali.

Matka zniszczyła resztę, zdarła firanki z karnisza i wyrzuciła je do śmieci. Słyszałam, jak krzyczy, że skończyła. Gotowe. Powiedziała, że ojciec niszczy wszystko, co ona próbuje upiększyć, i że nienawidzi go za to. Bla, bla, bla. To było kilka dni przed jej zniknięciem.

- Bałaś się tego? Tych kłótni?

- Czasami. Zwykle myślałam, że tak właśnie się zachowują rodzice - odpowiedziała. - W każdym razie w efekcie cierpię na chroniczną bezsenność. Psychoanalitycy mają na mnie używanie. Spałam smacznie tylko wtedy, kiedy byłam mała, a rodziców nie było w domu. Widocznie tylko wtedy czułam się bezpieczna, bo byłam pod opieką Lizy i wiedziałam, że mogę jej zaufać.

- Pamiętasz jeszcze coś z tych ostatnich dni?

- Kąpiel w bąbelkach. Drobiazgi najbardziej zapadają w pamięć. Siedziałam w wannie, a ona właśnie wychodziła. Zajrzała do łazienki... trzymała na rękach tego hałaśliwego psiaka... i posłała mi całusa. Gdybym wiedziała, że to ostatni raz, nie pozwoliłabym jej odejść bez prawdziwego buziaka.

ROZDZIAŁ 4

Wróciłyśmy do Santa Maria inną drogą. Daisy odbiła na północ i zatoczyła szeroki łuk, na którego trasie, według mapy, powinnyśmy natknąć się na miasteczka Beatty i Poe. W rzeczywistości nie zobaczyłam żadnego z nich. Utkwiłam wzrok w oknie:

- Gdzie jest Poe? Mapa mówi, że powinno być dokładnie tutaj, obok miejsciny o nazwie Beatty.

- Myślę, że to mogą być nazwy przedsiębiorstw. Nic nie wiem na temat Poe, ale mamy tutaj Beatty Oil and Natural Gas. Jeśli kiedykolwiek były tu jakieś miejscowości, może zostawili ich nazwy na mapie, żeby okolica nie wydawała się taka opustoszała.

Otoczały nas tereny wyłącznie rolnicze: pola sałaty, buraków cukrowych i fasoli ciągnęły się aż po horyzont. W powietrzu unosił się zapach selera. Jaskrawoniebieskie toalety stały na baczność wzdłuż drogi jak wartownicy. Koło niektórych pól parkowały samochody. Na płaskich

naczepach ciężarówek piętrzyły się wysoko drewniane skrzynki, a wędrowni robotnicy zbierali owoce, pochylając się nad rzędami jakiejś rośliny, której - pędząc z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę - nie rozpoznałam. Droga zakreślała szerokim łukiem na północ. Krajobraz był upstrzony platformami wiertniczymi, a w jednym miejscu stała mała rafineria wydzielająca odór podobny do smrodu spalanych opon.

Widziałam również długi na jedną czwartą mili sznur nieruchomych wagonów kolejowych rozebranych na części.

Spojrzałam w okno od strony kierowcy. Tuż obok drogi, wtulony w kępę sosen, stał wspaniały stary dom wyłożony kamieniem. Wszystko wskazywało na to, że opuszczony.

Zbudowany był częściowo w stylu Tudorów, choć pewne elementy nawiązywały do stylu alpejskiego, całość nie pasowała do otaczających go zaoranych i niezaoranych pól. Drugie piętro było z muru pruskiego i miało trzy ściany szczytowe przerywające linię dachu.

- Co to, do diabła?

Daisy zwolniła.

- To właśnie cel naszej podróży. Tannie i jej brat Steve odziedziczyli ten dom i trzysta akrów ziemi uprawnej. Część gruntu oddali w dzierżawę.

Dom był jakby wzięty w nawias przez dwa masywne kamienne kominy. Wąskie okienka na drugim piętrze musiały należeć do pokoi dla służby. Wspaniały dąb zasadzony - pewnie jakieś dziewięćdziesiąt lat temu - przy jednym z rogów domu ocieniał wejście. Po drugiej stronie szosy rozciągały się pola.

Podwórko było zupełnie zarośnięte. Chwasty się rozplenily, a niegdyś dekoracyjne krzewy rozrosły się do prawie ośmiu stóp wysokości i zakrywały okna na parterze. Niegdyś pełen wdzięku podjazd - szeroka alejka z cegieł otoczona bukszpanem - teraz był prawie nieprzejezdny. Ktoś, jeżdżąc małym traktorem, robił porządek z chaszczami koło drogi, gromadząc je w stertę. Zarośla rosnące bliżej domu prawdopodobnie trzeba będzie usunąć ręcznie. Sporo roboty, pomyślałam.

- Popatrz na tył domu - powiedziała Daisy, kiedy mijałyśmy budynek. Obróciłam się w fotelu i zerknęłam przez ramię, widziałam teraz dom pod innym kątem.

Szeroka alejka wysypana żwirem, prawdopodobnie kiedyś służąca za podjazd, teraz zlewała się z odbijającą w prawo drogą dojazdową.

Domyślałam się, że prowadziła do jednej z tych głównych dróg starego hrabstwa, których przestano używać, gdy zbudowano New Cut Road.

Z tyłu na trzecim piętrze nie zostało się prawie żadne okno, a framugi i belki poczerniały od ognia, który zniszczył połowę dachu. W widoku tym było coś bolesnego, wzdrygnęłam się:

- Jak to się stało?

- Włóczędzy. To było rok temu. Teraz rozgorzała gorąca debata, co dalej robić z domem.

- Dlaczego go zbudowano tak blisko drogi?

- Tak właściwie to go przy niej nie zbudowano. Dom stał w szczerym polu, ale wtedy puszczono tędy nową drogę. Dziadkowie pewnie potrzebowali pieniędzy, bo sprzedali duży kawał, może połowę swojej ziemi. Na czeku jeszcze nie wysechł atrament, a już prowadzono negocjacje w sprawie oddania tego terenu pod zabudowę, co w końcu nie doszło do skutku. To tyle, jeśli chodzi o politykę lokalną. Teraz Tannie ma dylemat, bo musi zdecydować, czy ratować dom, czy też może zrównać go z ziemią i budować się gdzie indziej. Jej brat uważa, że powinni sprzedać posiadłość, dopóki jest okazja. W tym momencie są chętni, ale Steve to facet, który zawsze przewiduje apokalipsę, więc wzięli się z siostrą za łby. Jeżeli Tannie będzie teraz zwlekać, potem będzie musiała go spłacić. Zatrudniła kilku ludzi, którzy pomagają jej uporać się z zaroślami, kiedy ma wolne. Władze hrabstwa zrobiły się drażliwe na punkcie zagrożenia pożarowego od czasu zeszłorocznego pożaru.

- Tannie chce się zająć uprawą ziemi?

- Wątpię. Może planuje otworzyć pensjonat. Musisz ją o to zapytać.

- Niesamowite - zobaczyłam Tannie Ottweiler w zupełnie nowym świetle. Dotąd sądziłam, że ledwo wiąże koniec z końcem, przez myśl mi

nie przeszło, że jest panią wielkich włości.

- Rozumiem, że ma zamiar przeprowadzić się tutaj.

- Bardzo by chciała. Przyjeżdża w czwartki i piątki, więc jeśli w tym tygodniu też się wybiera, możemy zjeść w trójkę lunch.

- Byłoby świetnie.

Przez następne piętnaście mil jechałyśmy w milczeniu.

Daisy była rozmowna, lecz nie poczuwała się do obowiązku bezustannego paplania, co całkiem mi odpowiadało. Wreszcie się odezwała:

- A twoja historia?

- Moja?

- Cały czas zadajesz mi pytania. Teraz twoja kolej.

Nie lubiłam takich wymuszonych rewanżów. Jak zwykle zredukowałam przeszłość do kilku podstawowych elementów. Nie chciałam współczucia i dodatkowych pytań. W każdej wersji koniec był taki sam, byłam znudzona recytowaniem:

- Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam pięć lat. Wychowała mnie ciotka, stara panna, która nie bardzo radziła sobie z dziećmi.

Odczekała chwilę, na wypadek gdybym chciała coś dodać:

- Jesteś mężatką?

- Teraz nie. Byłam - dwa razy, ale mam wrażenie, że sto.

- Ja się rozwodziłam cztery razy. Wygląda na to, że jestem większą optymistką.

- Albo wolniej się uczysz.

Uśmiechnęła się, ale raczej blado.

Kiedy dotarłyśmy do domu Daisy, wsiadłam w swój samochód i odbyłam godzinną przejażdżkę z powrotem do Santa Teresa, do swojego biura, gdzie podsumowałam minione popołudnie. Odsłuchałam wiadomości, które zebrały się w czasie mojej nieobecności, a potem zajęłam się przeglądaniem notek prasowych dotyczących zniknięcia Violet. Pierwsza wzmianka na temat zaginionej kobiety ukazała się

dopiero ósmego lipca w środę - w następnym tygodniu. Artykuł był krótki, proszono w nim o pomoc w sprawie zaginięcia Violet Sullivan, ostatnio widzianej w sobotę, w Święto Niepodległości, kiedy wyszła z domu, żeby spotkać się z mężem w parku w Silas, Kalifornia, dziewięć mil od jej domu w Serena Station. Najprawdopodobniej pojechała dwudrzwiowym chevroletem bal air coupe w kolorze złamanego fioletu, z naklejką dealera na przedniej szybie. Każdy, kto był w posiadaniu jakichkolwiek informacji, proszony był o kontakt z sierżantem Timem Schaeferem z Biura Szeryfa w Santa Teresa. Dołączono numer telefonu do komisariatu w północnej części hrabstwa.

Daisy wycięła jeszcze dwa artykuły, jednak nie znalazłam w nich prawie nic nowego. W jednym znajdowała się wzmianka, że Violet miała pieniądze, ale nie podano dokładnej kwoty.

Dyrektor banku w Santa Teresa zadzwonił do biura szeryfa z informacją, że wczesnym popołudniem pierwszego lipca w środę Violet odwiedziła kasę oszczędnościowo-pożyczkową w Santa Teresa. Najpierw zwróciła się do niego - pokazała mu klucz i poprosiła o udostępnienie swojej skrytki depozytowej. Jako że już był spóźniony na lunch, skierował ją do jednej z urzędniczek, niejakej pani Fitzroy, która już wcześniej zajmowała się panią Sullivan i znała ją z widzenia. Kiedy pani Sullivan złożyła podpis, pani Fitzroy go zweryfikowała i odprowadziła klientkę do skarbcza, gdzie wydano jej skrytkę. Następnie zaprowadzono panią Sullivan do niewielkiego pomieszczenia. Kilka minut później oddała skrytkę. Ani urzędniczka, ani dyrektor nie mieli pojęcia, co było w skrytce i czy Violet Sullivan ją opróżniła.

W trzecim artykule, który ukazał się piętnastego lipca, pracownik działu public relations biura szeryfa oświadczył, że przesłuchano Foleya Sullivana, męża zaginionej kobiety. Sullivan - który nie jest podejrzanym, a „osobą zainteresowaną” - zeznał, że po godzinie dwudziestej pierwszej trzydzięci, kiedy zakończył się pokaz fajerwerków, wstąpił na piwo. Niedługo potem dotarł do domu i zobaczył, że nie ma samochodu. Przypuszczał, że minął się z żoną w parku i że Violet wkrótce wróci.

Przyznał, że był nietrzeźwy, i powiedział, że poszedł prosto do łóżka. Dopiero nazajutrz o ósmej rano, kiedy obudziła go córka, zdał sobie sprawę, że żony ciągle nie ma. Każdy, kto był w posiadaniu jakichkolwiek informacji etc.

Później od czasu do czasu powstawały obszerne artykuły dotyczące tej sprawy - w większości laurki. Butny ton i niewiele treści. Maglowano i upiększono te same podstawowe fakty, co było mało odkrywczе.

Zorientowałam się, że nigdy nie zajmowano się tym w systematyczny sposób. Niepewny los Violet wyniósł ją do rangi lokalnej gwiazdy, jednak tylko wśród nielicznej społeczności rolniczej. Wyglądało na to, że nikt z zewnątrz się nią nie zainteresował. Do artykułów dołączano czarno-białe zdjęcie Violet i oddzielnie fotografię samochodu - oczywiście nie auta Violet, ale wozu tej samej marki.

Samochód mnie zainteresował, ten fragment przeczytałam dwa razy.

Trzeciego lipca 1953 w piątek Foley Sullivan wziął dwa tysiące sto czterdzieści pięć dolarów kredytu. Pojazdu nigdy więcej nie zobaczono, więc Foley został zmuszony do spłacania kredytu przez następne trzydzieści sześć miesięcy, aż do całkowitego wywiązania się z umowy. Samochód nigdy nie został zarejestrowany. Prawo jazdy Violet Sullivan straciło ważność w czerwcu 1955, właścicielka nigdy nie starała się o odnowienie go.

Jedna rzecz wydała mi się dziwna - Daisy opisała swojego ojca jako człowieka zwykle migającego się od płacenia rachunków, więc nie rozumiałam, dlaczego płacił za ten samochód.

Przecież to perwersja, bulić kupę szmalu za auto, którym twoja żona mogła uciec z innym mężczyzną. Ponieważ dealer w żaden sposób nie mógł odzyskać samochodu, Foley był w kropce. Nie mogłam zrozumieć, czemu miałby się przejmować, czy dealer będzie próbował pozwać go i zmusić do zapłaty całej sumy albo przekaże sprawę firmie windykacyjnej. Wielka rzecz. I tak był zadłużony po uszy, co by mu szkodziło jeszcze jedno zobowiązanie? Odłożyłam to pytanie na później - miałam nadzieję, że odpowiedź na nie sama się znajdzie we właściwym czasie.

O piątej po południu zamknęłam biuro i wróciłam do domu. Moja kawalerka znajduje się przy bocznej uliczce, przecznicę od plaży. Gospodarz Henry przekształcił mały garaż w mieszkanie połączone z jego domem przeszkloną wiatą. Mieszkałam tam sobie szczęśliwie od siedmiu lat. Henry jest jedynym mężczyzną, za którego byłabym skłonna wyjść, jeśli (i tylko jeśli) nie dzieliliby nas pięćdziesiąt lat różnicy. To przykre, gdy wreszcie spotykasz idealnego mężczyznę, a on ma na karku dziewięty krzyżyk...
nawet
jeżeli
jest
młodym
osiemdziesięciosiedmiolatkiem. Henry to szczupły, przystojny, inteligentny facet. Ma białe włosy i niebieskie oczy. Prowadzi aktywny tryb życia. Mogłabym wyliczać jego zalety w nieskończoność, ale chyba już wiecie, o co chodzi.

Zaparkowałam i weszłam przez skrzypiącą bramę, która oznajmiła moje przybycie.

Przeszłam na tył domu i weszłam do swojego mieszkania, gdzie po krótkiej walce z sumieniem włożyłam ciuchy do biegania i zrobiłam sobie trzymilową przebieżkę po plaży.

Kiedy czterdzieści minut później wróciłam do domu, na sekretarce czekała na mnie wiadomość od Cheney'a Phillipsa. Proponował wrzucić coś na ząb i powiedział, że jeśli nie oddzwonię, przed siódmą będzie na mnie czekał u Rosie. Wzięłam prysznic i z powrotem wskoczyłam w dzinsy.

- Przyznaję, interesujące zlecenie - skomentował Cheney, kiedy mu wszystko wyłożyłam.

Rosie przyjęła zamówienie: zapytała nas, na co mamy ochotę, po czym zanotowała to, co już wcześniej ustaliła, że nam zaserwuje, czyli danie o niemożliwej do wymówienia nazwie, które pokazała nam w menu.

Okazało się, że to gulasz z mięsa wołowego i wieprzowego, tak hojnie zaprawiony kwaśną śmietaną, że oprócz niej nie było czuć nic innego. Spędziliśmy kilka minut, ukradkiem dosypując tyle soli i pieprzu, że aż nas oczy szczypały. Rosie zwykle gotuje smacznie, więc żadne z nas nie miało pojęcia, co się z nią dzieje. Cheney pił piwo, a ja niedobre białe wino - Rosie nic innego nie serwowała.

- Wiesz, co mnie martwi? - zapytałam.

- Mów.

- Że może się nie udać.

- Bywają gorsze rzeczy.

- Wymień jedną.

- Leczenie kanałowe. Kontrola podatków. Śmiertelna choroba.

- Ale te rzeczy przynajmniej nie wpływają na innych ludzi. Nie chcę brać pieniędzy od Daisy, jeżeli w zamian nic dla niej nie zrobię. A jakie są szanse, że coś zdziałam?

- Daisy jest dorosła. Mówi, że właśnie tego chce. Masz jakiś powód, żeby wątpić w jej szczerłość?

- Nie.

- Dlaczego więc nie ustalisz, ile możesz na to wydać?

- Zrobiłam to. Nie bardzo pomogło.

- Będzie dobrze. Daj z siebie wszystko, przynajmniej tyle możesz zrobić.

W środowy poranek wykonałam z biura kilka telefonów i umówiłam się z najważniejszymi osobami z mojej listy. Nie sądziłam, że kolejność rozmów ma jakieś znaczenie, ale ustawiłam spotkania zgodnie z osobistymi preferencjami. Najpierw rozmawiałam z sierżantem Timothy Schaeferem, który był oficerem śledczym, kiedy zniknęła Violet. Chciałam się dowiedzieć, jak sprawy wyglądały z jego punktu widzenia, a poza tym myślałam, że będzie dobrą osobą do naświetlenia tła. Umówiliśmy się na pierwszą. Dał mi wskazówki, jak dojechać do jego domu w Santa Maria. Następny na mojej liście był Foley Sullivan. Daisy mu mówiła, że będę dzwonić, ale i tak poczułam ulgę, gdy okazał

się chętny do współpracy. Umówiłam się z nim po spotkaniu z sierżantem Schaeferem. Następnie zadzwoniłam do Calvina Wilcoksa, jedyne go brata Violet. Linia była zajęta, zatem przeszłam do kolejnej osoby. Czwarta na mojej liście była opiekunka do dziecka, Liza Clements, z domu Mellincamp.

Była jedną z ostatnich osób, które przebywały w towarzystwie Violet. Miałam nadzieję, że stworzę kalendarium wydarzeń, zaczynając od Lizy i powoli się cofając, rekonstruując zajęcia i spotkania Violet w ciągu ostatnich dni przed jej zniknięciem. Wykręciłam numer. Liza odebrała po szóstym dzwonku, właśnie kiedy miałam odłożyć słuchawkę.

Przedstawiłam się, a ona powiedziała:

- Przepraszam, ale czy mogłybyśmy porozmawiać kiedy indziej? Mam wizytę u dentysty, właśnie wychodziłam.
- Może dzisiaj po południu? O której wracasz?
- Dzisiaj jestem taka zabiegana... Może jutro?
- Pewnie, pasuje mi. O której?
- Czwarta?
- Może być.
- Masz mój adres?
- Dostałam od Daisy.
- Świetnie. Do zobaczenia jutro.

Zajęłam się teraz Kathy Cramer. Wtedy ona i Liza miały po czternaście lat, czyli teraz były grubo po czterdziestce. Wiedziałam, że Kathy jest mężatką, ale najwyraźniej postanowiła zachować nazwisko panieńskie, ponieważ figurowała na liście wyłącznie jako Cramer.

Wykręciłam numer, a kiedy miałam ją na linii, wyjaśniłam, kim jestem i co zleciła mi Daisy.

- Żartujesz - jej głos był zduszony ze zdziwienia.
- Obawiam się, że nie - upewniłam ją. To takie nudne. Nie bawiło mnie przechodzenie przez to samo w trakcie co drugiej rozmowy telefonicznej.
- Szukasz Violet Sullivan po tylu latach?
- Właśnie w tym celu mnie wynajęto. Mam nadzieję, że odpowiesz na

kilka moich pytań.

- Rozmawiałaś już z Lizą Mellincamp?

- Widzę się z nią jutro po południu. Byłabym wdzięczna, gdybyś poświęciła mi pół godzinki.

- Chyba da się to zrobić. Może być jutro o jedenastej rano?

- Pewnie.

- Jaki masz adres? Właśnie się przeprowadziliśmy.

Wyrecytowałam adres z mojej listy, ale okazał się nieaktualny. Dała mi nowy wraz ze wskazówkami, które w pośpiechu zanotowałam.

Na końcu zadzwoniłam do Daisy, żeby jej powiedzieć o planowanym wypadzie do Santa Maria. Przewidywałam, że w czwartek będę miała trochę wolnego czasu, więc zaproponowałam lunch i szybki raport ustny.

Spodobał jej się ten pomysł, powiedziała, żebyśmy się spotkały w kafeterii koło jej pracy. A ponieważ Tannie też będzie w czwartek w Santa Maria, Daisy zatelefonuje do niej i zapyta, czy do nas dołączy. Daisy mogła wyjść na lunch o każdej porze, zatem miałam do niej zadzwonić, kiedy będę mieć przerwę.

Po odłożeniu słuchawki złożyłam listę, zgarnęłam karteczki, zatankowałam volkswagena i ruszyłam na północ. Już mi się nie chciało jechać godzinę w każdą stronę, nie uśmiechało mi się również nabijanie kolejnych mil na liczniku mojego trzynastoletniego auta.

ROZDZIAŁ 5

Kathy Środa 1 lipca 1953

Kathy Cramer pracowała w należącym do jej ojca salonie Chevroleta.

Właśnie siedziała w biurze, gdy z rozklekotanego pika-pa Foleya wysiadła Violet i zaczęła oglądać auta. Miała ze sobą dużą słomianą torbę, a w niej małego pieska, który od czasu do czasu wystawiał łebek, jak diabełek z pudełka. To była pierwsza praca Kathy, ojciec płacił jej dolara za godzinę - dwadzieścia pięć centów więcej niż wynosiła minimalna stawka - czyli dwa razy więcej niż zarabiała jej przyjaciółka Liza, opiekując się dziećmi. Dolar na godzinę to całkiem przyzwoita stawka dla czternastolatki, nawet jeśli ojciec zatrudnił ją nie do końca z

własnej woli. Kiedy jego sekretarka wyszła za mąż i rzuciła pracę, ojciec chciał dać ogłoszenie. Tu jednak włączyła się matka Kathy, która uparła się, że mąż może poszukać sekretarki na jesieni, kiedy Kathy wróci do szkoły. Do obowiązków Kathy należało odbieranie telefonów, porządkowanie papierów i od czasu do czasu napisanie czegoś na maszynie - wszystko to regularnie zawałała. W tym momencie interesy raczej nie szły dobrze, więc zajmowała się głównie czytaniem magazynów filmowych, które również teraz trzymała na kolanach. Jej ulubioną gwiazdą z Hollywood był James Dean. Lubiła też Jean Simmons, z którą się kompletnie utożsamiała. Widziała Androklesa i Iwa oraz Młodą Bess, filmy, w których Jean Simmons występowała z mężem Stewartem Grangerem (według Kathy ustępował pola jedynie Jamesowi Deanowi).

Był lipiec, słońce niemiłosiernie prażyło. Biuro - małe i oszklone ze wszystkich stron - tak się nagrzało, że nie dało się wytrzymać. Nie było klimatyzacji, więc Kathy postawiła na podłodze elektryczny wiatrak, a dla uzyskania lepszego efektu skierowała go sobie wprost na twarz. Powietrze nie stało się mniej gorące, ale przynajmniej się ruszało. Nie mieściło się jej w głowie, że można aż tak się pocić, siedząc i nic nie robiąc. Na wiosnę jej nauczycielka gimnastyki zasugerowała matce, że nie zaszkodziłoby, gdyby Kathy zrzuciła trzydzieści pięć funtów. Matka wcale się tym nie przejęła. Uważała, że dziewczęta i tak przywiązują za dużą wagę do błahostek, takich jak waga, ubrania i fryzury, podczas gdy tak naprawdę liczy się wewnętrzne piękno. Najważniejsze zaś to być dobrym człowiekiem, z którego inni mogą brać przykład. Matka wyjaśniła Kathy, że z czasem jej buzia się wygładzi, pod warunkiem że nie będzie jej dotykać brudnymi palcami. Kathy co wieczór smarowała twarz preparatem na trądzik o nazwie Noxzema, lecz jak na razie nie przyniosło to efektów.

Dziewczyna zdjęła okulary i przetrąła szkła brzegiem spódnicy. Okulary były świeżym zakupem, miały modnie wygięte czarne oprawki „kocie oko” i Kathy uważała, że wygląda w nich bosko. Przyglądała się

przechadzającej się po parkingu Violet, która miała włosy ufarbowane na wulgarny czerwony kolor i była ubrana w obcisłą fioletową sukienkę z głębokim dekoltem. Winston Smith - sprzedawca zatrudniony przez ojca Kathy miesiąc temu - nie mógł oderwać oczu od zagłębienia między cyckami Violet. Wszyscy wpatrywali się w nią zawsze jak w obrazek, aż robiło się niedobrze. A już szczególnie przyjaciółka Kathy Liza nie widziała świata poza Violet. Kathy poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro wrzątku. Kiedy była starsza, zrozumiała, że był to zwyczajny atak zazdrości, ale w tym momencie zastanawiała się, czy w tak młodym wieku krew może uderzyć do głowy. Nieraz widziała, jak matka wachluje się, kiedy nagle oblała ją fala gorąca, i wydawało jej się, że w tej chwili czuje coś bardzo podobnego.

Winston nie miał stałego wynagrodzenia, zarabiał tylko wtedy, kiedy coś sprzedał, i prawdopodobnie dlatego tak mu się teraz spieszyło, żeby porozmawiać ze spacerującą między rzędami używanych samochodów Violet. Miał dwadzieścia lat. Jego ciemnoblonde włosy kręciły się na czubku głowy, boki były zaczesane i tworzyły z tyłu głowy fryzurę zwaną KK, czyli „kaczy kuper” - tego wyrażenia Kathy nigdy nie powiedziała by na głos. Kathy widziała, jak Winston gestykuluje i udaje znawcę, chociaż prawdę mówiąc, jeszcze nigdy niczego nie sprzedał. Był uroczy - tak łatwo można go było przejrzeć. Chłopak chciał zarobić na drugi rok w college'u i szczerze wierzył, że mu się to uda dzięki sprzedawaniu samochodów. Nie ukrywał, że nie idzie mu tak dobrze, jak się spodziewał. Nawet nie polubił tego zajęcia, jednak był zdecydowany doskonalić swoje umiejętności, biorąc sobie za wzorzec pana Cramera. Chwilowo, rzecz jasna.

Winston był tak przystojny, że mógłby zostać gwiazdą filmową. Według Kathy wyglądał szalowo w swoich wyprasowanych w kantkę spodniach, rozpiętej pod szyją koszuli i białych mokasynach. Właściwie to przypominał jej Jamesa Deana - te same kości policzkowe i długie rzęsy, ta sama szczupła sylwetka. Miał smutny wyraz twarzy, jakby gnębiły go kłopoty, z których nikomu się nie zwierzał. Kathy wyobrażała

go sobie pracującego po studiach dla jej ojca, ale on miał inne marzenia, opowiadał jej, że może skończy prawo. Kathy często wypytywała go o różne rzeczy i zachęcała do wynurzeń.

W szufladzie trzymała pudełko ze śliczną różową papeterią, na której pisała swoje wiersze.

Podobały jej się róże okalające wszystkie kartki i zdobiące je bladobłękitne motyle. Wiersze powstawały na zwyczajnym papierze w szeroką linię, dopiero ostateczna, całkowicie satysfakcjonująca autorkę wersja była przepisywana na piękny papier. Kathy kupiła tę papeterię dla Lizy, która w piątek trzeciego lipca miała urodziny, ale kiedy zobaczyła, jaka jest cudowna, postanowiła zatrzymać ją dla siebie. Zawsze przecież mogła obdarować Lizę pudrem o zapachu konwalii, który ktoś jej dał w zeszłym roku.

Utwór, nad którym teraz pracowała, nie był jeszcze gotowy. To dopiero jej czwarty wiersz, lecz wiedziała, że wyszedł jej najlepiej. Może nie był jeszcze doskonały, ale nauczyciel angielskiego tłumaczył, że każdy dobry pisarz bezustannie poprawia swoje utwory. Tak właśnie działo się w przypadku Kathy. Prawie cały poranek niestrudzenie szlifowała swój wiersz. Teraz wyjęła kartkę i jeszcze raz go przeczytała.

Myślała, żeby nadać mu tytuł Do W..., nie zdradzając, dla kogo został napisany. Wiedziała, że wielu sławnych poetów, na przykład William Szekspir, tytułowało swoje utwory właśnie w ten sposób.

Do W...

Kiedy pierwszy raz spojrzałam w twoje oczy,
Natychmiast zrozumiałam, jak jesteś uroczy.

Od razu całym sercem tak cię pokochałam,
Że nawet swoje życie chętnie bym ci oddała.

Mojej miłości nie wysłowi nawet śpiew anieli,
Kiedy będziemy razem, nic nas nie rozdzieli.

Marzę teraz jedynie, byś mnie wziął w ramiona...

Zawahała się. Trudno było znaleźć satysfakcjonujący rym do „ramiona”. Może „wykrwawiona”, ale jak to zgrabnie wpleść w wers? W

zamyśleniu podniosła ołówek do ust, po czym przekreśliła ostatnią linię. Może później przyjdzie jej do głowy coś lepszego. Jej myśli znów poszybowały w stronę Winstona. W siódmej klasie zapisana się na zajęcia z etykiety randkowej, przewidując, że w ósmej klasie niejednym raz będzie miała okazję wykorzystać w praktyce zdobyte tam informacje.

Dowiedziała się, na jakie tematy należy rozmawiać z chłopcem i co powiedzieć przed domem na zakończenie wieczoru. W jej marzeniach twarz amanta, który zabierał ją na randkę, zmieniała się w zależności od tego, w której gwiazdce filmowej się akurat podkochiwała. Wyobrażała sobie, że chłopiec jest miły i delikatny oraz całkowicie pod wrażeniem jej licznych zalet. Nie przeczuwała wtedy, jak szybko w jej życie wkroczy Winston, ucieleśnienie wszystkich jej marzeń. Teraz myślała, że był nią zainteresowany, przynajmniej dopóki na horyzoncie nie pojawiła się Violet. Violet i Winston zbliżali się do dumy salonu, sali, gdzie oświetlony rześkim światłem, podkreślającym jego szlachetną linię, pysznił się najlepszy samochód - dwudrzwiowy chevrolet bel air coupe. Violet spostrzegła samochód już z daleka, a Winston nawijał i nawijał, jakby od tego zależało jego życie. Tak jakby Violet mogła kupić takie cacuszko. Bardzo zabawne! Ha, ha, ha! Kathy słyszała, że Violet i Foley są tak biedni, iż ledwo ich stać na opłacenie czynszu.

Winston otworzył szklane drzwi i przepuścił Violet przodem. Kathy zauważyła na jej podbródku wielki niebieski siniak. Violet zawsze tak paradowała, nawet nie starała się ukryć tych śladów. Bez ciemnych okularów. Bez makijażu. Bez kapelusza z szerokim rondem, które ukryłoby w cieniu to i owo. Załatwiała swoje sprawy - zakupy, poczta, szkoła Daisy - z jednym lub dwoma podbitymi oczami, napuchniętym policzkiem, wargami obrzmiałymi i zniekształconymi od ciosów Foleya. Nigdy nie wymyślała żadnych wymówek i nigdy niczego nie wyjaśniała. W ten sposób Foley wychodził na głupka - jak mógł się bronić, skoro nic mu nigdy nie zarzucała? Każdy w mieście wiedział, że Foley bije żonę, ale nikt się do tego nie mieszał. To były ich prywatne sprawy, choć matka Kathy powtarzała, że to hańba. Uważała Violet za

śmiecica i mawiała, że Liza sama się prosi o kłopoty, spędzając z nią tyle czasu. Nie dalej jak zeszłej nocy Kathy przycupnęła u szczytu schodów, gdy rodzice rozmawiali w salonie, i słyszała, jak matka mówi o Violet i Jake'u Ottweilerze, których widziano, jak tańczyli ciasno do siebie przytuleni w Blue Moon. Violet była niewyżyta seksualnie, prawdziwa nimfomanka (cokolwiek to oznacza), i matka dziwiła się, że Jake się z nią zadaje. Matka była coraz bardziej zdenerwowana i mówiła coraz głośniej (dzięki temu Kathy lepiej słyszała), aż wreszcie ojciec też się wściekł:

- Jezu Chryste, Livia! Naprawdę nie masz niczego innego do roboty, tylko siedzieć bezczynnie i wymyślać obrzydliwe ploty? Co, do diabła, jest z tobą nie tak?

Pokłócili się, a matka uciszała męża, żeby córka przypadkiem czegoś nie usłyszała. Kathy obiema rękami podpisywała się pod opinią matki. Violet była lafiryndą.

Wzięła plik papierów i podeszła do stojącej koło drzwi szafy na dokumenty, żeby lepiej słyszeć, o czym rozmawiają Violet z Winstonem. A tych dwoje tak się skupiło na samochodzie, że nawet nie zauważyli, że ktoś się kręci w pobliżu. Winston wyjaśniał:

- Proszę się nie dać zwieść pozorom, to nie jest zwyczajny sedan. To jest pięcioosobowy chevrolet coupe. Silnik dwieście trzydzieści pięć, automatyczna skrzynia biegów Powerglide, podwójny gaźnik i rura wydechowa. Komplet kołpaków oraz, proszę sobie wyobrazić, filtr ulowy. Violet najwyraźniej nie odróżniała filtra od fileta rybnego.

- A mnie się podoba ten kolor - powiedziała, gładząc przedni błotnik. Na masce wymalowany był orzeł albo sokół w pełnym locie - na przodzie dziób, z tyłu skrzydła - mknący przez przestworza w wystylizowanej pozie.

- Ten kolor powstał na zamówienie, jest jedyny w swoim rodzaju. Wie pani, jak się nazywa? Violet Slate. Mówię serio.

Violet uśmiechnęła się do niego promiennie. Starannie dobierała kolory ubrań, nosiła wyłącznie różne odcienie fioleto: fiołkowy, lawendowy, liliowy, lilaróż. Winston pochylił się i otworzył drzwiczki od

strony kierowcy. Panel deski rozdzielczej wykończony był w kolorze różowej orchidei.

- Może zechce pani wsiąść?

Za pomocą korbki otworzył okno i odsunął się, żeby nie zasłaniać

Violet widoku. Siedzenia były obite błękitnym pluszem i wykończone -

podobnie jak panele boczne - różowo-niebieskim wzorem w kształcie

plamienia, w którym kolory zlewały się i tworzyły nowy odcień:

fioletowy. Kiedy samochód dostarczono do salonu, pan Cramer otworzył

bagażnik i Kathy zobaczyła, że również tam królują te dwa kolory. Nawet

koło zapasowe było otulone błękitnym pluszem, jak imbryczek przykryty

ocieplaczem.

Violet wślizgnęła się za kierownicę i położyła na niej ręce. Była

zachwycona i podekscytowana:

- Jest piękny! Uwielbiam ten wóz! - Nabożnym ruchem przesunęła

dłoń po siedzeniu. - Ile kosztuje?

Winston parsknął śmiechem. Myślał, że Violet żartuje.

- Powiedziałaś coś zabawnego?

Wbił wzrok w czubki swoich butów i zerkał na Violet spod swoich

ciemnych rzęs. Jednocześnie uśmiechał się i marszczył brwi:

- Ależ nie, nic. Tylko wydaje mi się, że ten wóz jest poza pani

zasięgiem. Tak jak i poza moim.

- Mam pieniądze.

- Nie tyle - powiedział lekko, jakby chciał to obrócić w żart. Kathy

rozumiała, że chce osłodzić Violet nieuchronne rozczarowanie, którego

kobieta dozna, kiedy wreszcie padnie cena auta. Pomyślała, że Violet

trochę przesadza, tak się obruszając. Oj, zaraz będzie naprawdę paskudnie

zaskoczona. Violet już się nie uśmiechała:

- Sądzisz, że mnie nie stać na taki ładny samochód?

- Pani Sullivan, tego nie powiedziałem. Absolutnie tak nie sędzę.

Kathy nie mogła uwierzyć, że kobieta nadal draży ten temat, a jednak

Violet nalegała:

- Odpowiedz więc na moje pytanie.

- Oficjalnie samochód kosztuje dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów. Szef może trochę spuścić, ale nie za wiele. To samochód z najwyższej półki, więc nie mamy, jak to się mówi, dużego pola do manewru.

Kathy miała szczerą nadzieję, że Violet wreszcie się zorientuje, jak bardzo się zagalopowała. Jednak Violet nadal wlepiała wzrok w Winstona wyraźnie nieco rozkojarzonego jej dekoltem, który odkrywał dość dużo, nawet gdy stała, a gdy usiadła, odsłonił jeszcze więcej.

- Jestem zainteresowana jazdą próbną.

- Pewnie, nie ma sprawy. To jest do załatwienia.

Wyciągnęła rękę przez okno:

- Masz kluczyki?

- Nie, nie przy sobie. Pewnie będą w biurze... tam - niepotrzebnie wskazał ręką.

- Cóż, Winston. Wygląda na to, że będziesz musiał tam iść i mi je przynieść. Myślisz, że dasz sobie radę? - Chociaż ton jej głosu był jedwabisty i słodki, jakby flirtowała, zdaniem Kathy próbowała obrazić Winstona.

- Niestety, szef jest na lunchu, zostałem tylko ja.

- A więc?

- A więc nie mogę tak sobie po prostu odjechać. Jestem odpowiedzialny za salon.

- Jeśli się nie mylę, na miejscu jest jeszcze mechanik. A właściwie dwóch mechaników. Ten ma na imię... Floyd? Czy tak?

Zarówno Kathy, jak i Winston spojrzeli na serwis i Floyda grzebiącego przy niedawno przywiezionym używanym samochodzie. Pan Padgett miał zamiar wymienić to auto na nowszy model, ale potem zdecydował się poczekać do jesieni, kiedy na rynek wejdą nowiutkie modele 1954. W tym czasie przyszło mu do głowy, że trochę pieniędzy nie zaszkodzi, więc po prostu sprzedał samochód za gotówkę.

Winstonowi wyraźnie ulżyło, Violet podsunęła mu idealną wymówkę:

- Pani Sullivan, Floyd nie może mnie zastąpić. Nie ma pojęcia o

sprzedawaniu samochodów, tak jak ja nic nie wiem o ich naprawianiu.

- A właściwie czemu musisz, jechać ze mną? Chcę się tylko trochę przejechać po okolicy. Nie ufasz mi?

Jabłko Adama Winstona zadrżało:

- Ależ ufam. To nie tak. Po prostu wydaje mi się, że lepiej by było poczekać, aż wróci szef, żeby mogła pani z nim porozmawiać. On zna ten wóz na wylot, o wiele lepiej niż ja. A poza tym jak przychodzi co do czego, to on zajmuje się tą całą papierkową robotą, więc nie ma się co spieszyć.

- Papierkową robotą?

- No wie pani, zaliczka, terminy, takie rzeczy. No i oczywiście pani mąż będzie musiał przyjść i podpisać co trzeba.

Violet wyglądała na rozbawioną.

- A niby po co? Foley nie ma złamanego grosza. Mam zamiar zapłacić gotówką.

- Całość?

- Wiesz, ile mam pieniędzy? Nie powinnam ci mówić, ale wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję - zniżyła głos.

- Pani Sullivan, nie powinna mi pani mówić niczego, co ma charakter poufny. Proszę omówić kwestie finansowe z panem Cramerem.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Winston zachichotał nerwowo.

- Serio?

- Oczywiście. Dlaczego miałabym żartować?

- Skąd pani wzięła tyle pieniędzy? Obrabowała pani bank?

- Z ubezpieczenia. Chciałam więcej, ale tyle zaoferowali od ręki.

Prawnik powiedział, żeby brać, więc wzięłam. Prawdopodobnie był z nimi w zмовie. Nigdy nie powiedziałam Foleyowi, ile dostałam, bo roztrwonilby każdego centa. Widzisz? - dotknęła palcem siniaka na podbródku. - Pewnego dnia Foley posunie się o krok za daleko. Odejdę. Te pieniądze to mój bilet do wolności. - Wyciągnęła rękę. - Czy teraz mogę prosić o kluczyki?

Kathy widziała, że Winstonem targają sprzeczne odczucia. Wiedziała, że nie najlepiej sobie radzi w takich sytuacjach, szczególnie jeśli chodziło o kobiety w typie Violet. Z drugiej strony ojciec poinstruował go wyraźnie: „Nigdy nie pozwalaj klientowi na jazdę próbną bez sprzedawcy. Nigdy nie zostawiaj salonu bez opieki”.

- Ile zarabiasz na takim samochodzie? - zapytała Violet, jak gdyby interes już był ubity.

- Jakieś cztery procent.

- Wystarczy na chesne i podręczniki do końca studiów czy też może się mylę?

- Nie myli się pani.

Nawet Kathy była pod wrażeniem spływającej na Winstona fortuny.

- Chcesz sprzedać ten wózek czy nie?

Winston zerknął na zegarek.

- Pani Sullivan, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. Pan Cramer będzie lada chwila z powrotem...

- Na miłość boską! Daj mi te kluczyki i miejmy to z głowy. Zrobię tylko małą rundkę po okolicy.

Kathy zatrzasnęła szufladę i wzniosła oczy ku niebu. Kobieta nie powinna być bezczelna - to prawda powszechnie znana - ale bluźnierstwo było już niewybaczalne. Wróciła za biurko i usiadła. Violet chyba miała nie po kolei w głowie. Nie ma mowy, żeby Winston pozwolił jej odjechać tym wozem. Na razie nie zapłaciła ani dolara. Bardzo zabawne. Ha, ha, ha. Kathy podniosła plik papierów i starannie wyrównała brzegi. Potem otworzyła i zamknęła szufladę, udając, że jest bardzo zajęta.

Przed biurkiem pojawił się Winston. Pod pachami miał wielkie okrągłe plamy. Kathy czuła zapach jego potu.

- Mam problem.

- Wiem. Taka z niej tupeciara, że aż się człowiekowi niedobrze robi.

- Poproszę o kluczyki do bel aira.

Kathy gapiła się na niego, mrugając oczami.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Czy mogłabyś mi dać te kluczyki? Ona kupuje ten samochód i ma ochotę na przejażdżkę.

- Nie mam kluczyków.

- Owszem, masz. Widziałem, jak ci je dawał.

Kathy siedziała nieruchomo, ponieważ nagle przyszło jej coś do głowy. Poprzedniego dnia przy kolacji tata powiedział mamie, że Winston miał ciężki pomysłunek, a za to lekką rękę do wydawania pieniędzy. A jeśli Violet naprawdę ma pieniądze, lecz zrezygnuje z kupna? Jeżeli Kathy narobi rumoru i z interesu nic nie wyjdzie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Czowała, że jej policzki płoną.

Zirytowany Winston przechylił się nad biurkiem i otworzył szufladę.

W samym środku, ogromne jak kula ziemską, pyszniły się kluczyki na kółku z logo Chevroleta, do którego doczepiony był okrągły biały brelok z wykaligrafowaną marką i modelem auta. Winston sięgnął po nie.

- Pożałujesz tego - powiedziała Kathy, nie patrząc mu w oczy.

- Bez wątpienia - odparł i wrócił do salonu. Violet czekała w samochodzie.

Kathy była pewna, że ojciec się wścieknie, kiedy się dowie, co się stało. Ale co mogła na to poradzić?

Winston podał Violet kluczyki. Violet bez słowa je wzięła i odpaliła samochód. Włączyła bieg wsteczny i wycofała wóz w kierunku szerokiej stalowej bramy na końcu salonu. Kathy patrzyła, jak Winston podchodzi do bramy i szarpie za wajchę. Brama, cichutko mrużąc i szemrając, powoli ruszyła do góry. Winston pochylił się w stronę auta, prawdopodobnie chciał udzielić Violet ostatnich wskazówek. Jednak ona przemknęła koło niego i skręciła w najbliższą uliczkę, nie obdarzając go nawet jednym spojrzeniem.

Kathy zobaczyła, że Winston zerka na swój zegarek, i poczuła lekki niepokój. Wiedziała, o czym myśli. Nawet jeżeli Violet wcale nie będzie się spieszyć, przejażdżka nie powinna potrwać dłużej niż pięć minut. A to oznacza, że kiedy jej ojciec wróci z lunchu, samochód może jak gdyby nigdy nic stać na swoim podwyższeniu.

ROZDZIAŁ 6

Sierżanta Timothy'ego Schaefera znalazłam w warsztacie na tyłach posiadłości na Hart Drive w Santa Maria. Jego dom powstał, sądząc po wyglądzie, w latach pięćdziesiątych. Mieszczący trzy sypialnie budynek był tak nieskazitelnie biały, jakby został albo świeżo odmalowany, albo obity ostatnio sidingiem. Warsztat sierżanta musiał być kiedyś szopą na narzędzia, stopniowo powiększaną, aż osiągnęła rozmiar połowy małego garażu. Ściany wewnątrz zostały obite surowym drewnem z widocznymi sękami. Schaefer użył gazet jako izolacji. Gdybym podeszła wystarczająco blisko, prawdopodobnie mogłabym prześledzić lokalne wiadomości z ostatnich lat.

Przez telefon Schaefer powiedział mi, że zakończył pracę w Biurze Szeryfa w Santa Teresa i przeszedł na emeryturę w 1968, kiedy miał sześćdziesiąt dwa lata, co oznaczało, że teraz ma osiemdziesiąt jeden. Był potężnie zbudowany, miał na sobie luźne szare spodnie i jasnobrązowe szelki. Brązowo-niebieska krata na jego spranej flanelowej koszuli zamieniła się w bladą mieszaninę łagodnych barw. Włosy miał białe i puszyste jak wata cukrowa, a nisko na nosie nosił dwuogniskowe okulary, znad których od czasu do czasu rzucał w moją stronę przenikliwe spojrzenie.

Przed nim na solidnym stole okalającym warsztat z trzech stron leżał niedawno odnowiony fotel na biegunach, który nie miał jeszcze siedzenia. Narzędzia leżały schludnie ułożone w rząd: para cienko zakończonych szczypiec, dwa szpikulce do lodu, nóż, linijka, słoiczek gliceryny i spięte klamerkami do bielizny wiązki wikliny. Żeby prowizorycznie przymocować wiklinę do fotela, zanim podwiąże ją od spodu, użył tee do golfa.

- Córka mnie w to wciągnęła - wyjaśnił niespiesznie. - Po śmierci matki wymyśliła, że potrzebuję jakiegoś hobby, żeby się nie pakować w kłopoty. W weekendy robimy rundkę po pchlich targach i wyprzedażach garażowych, wybieramy stare wysłużone krzesła, jak to tutaj. Okazało się, że to całkiem dochodowe zajęcie.

- Jak się pan tego nauczył?

- Czytałem książki i robiłem dokładnie tak, jak było napisane. Chwilę trwało, zanim załapałem, o co chodzi. Gliceryna nadaje wiklinie giętkość. Namaczasz za krótko - jest za twarda, żeby coś z nią zrobić. Namaczasz za długo - robi się słaba i łamliwa. Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym nie przerywał pracy? Obiecałem, że krzesło będzie gotowe pod koniec tygodnia.

- Nie ma sprawy.

Przez chwilę obserwowałam go w milczeniu. Czynności, które wykonywał, przypominały haftowanie albo robienie na drutach, coś bliskiego medytacji. Było w nich coś hipnotycznego, gdybym miała czas, mogłabym tak stać i patrzeć prawie cały dzień.

Kiedy wczoraj dzwoniłam do niego, wspomniałam Staceyę Oliphanta, co natychmiast zapewniło mi w jego oczach wiarygodność, jako że ci dwaj całe lata pracowali razem.

Schaefer i ja przez kilka minut rozmawialiśmy o wspólnym znajomym. Potem mu powiedziałam, że szukam informacji o Violet Sullivan, i upewniłam się, czy nie potrzebuje oficjalnego zezwolenia na omawianie tej sprawy.

- To nikogo nie obchodzi - odpowiedział. - Już tylko kilku z nas pamięta ten przypadek. Violet Sullivan nadal figuruje w kartotece jako zaginiona, ale nie sądzę, żeby pani po tylu latach coś osiągnęła.

- Warto spróbować - skwitowałam. Teraz zapytałam: - Znał ją pan?

- Pewnie, że tak. Wszyscy znali Violet. Pyskate maleństwo z ognistymi rudymi włosami. Piękna dziewczyna, a poza tym miała w sobie coś z buntownika. Kiedy Foley podbił jej oko, nie próbowała tego ukryć. Obnosiła się z siniakiem, jakby to był powód do dumy. Cholernie dziwna sprawa. Nawet cała poobijana i tak była najładniejsza w mieście. Nie miałem na tyle rozumu w głowie, żeby trzymać gębę na kłódkę, i moja żona omal nie eksplodowała z zazdrości. Violet była kobietą, o jakich mężczyźni fantazjują. Wielu żonom utarła nosa.

- Jak dobrze znał pan Foleya?

- Lepiej niż jego żonę, a to z powodu jego licznych kontaktów z wymiarem sprawiedliwości. Właśnie dlatego po raz pierwszy miałem z nim do czynienia - bił ją. Byłem do nich wzywany jakieś pół tuzina razy. Nikt z nas nie lubił wezwań do rodzinnych awantur. Po pierwsze, to niebezpieczne, a po drugie, potem nie mogłeś przestać myśleć, co, do diabła, jest nie tak z tymi ludźmi. Violet i Foley posuwali się naprawdę daleko. Nie wyglądało to dobrze. Jej córeczka była już na tyle duża, że niedługo znalazłaby się na linii ognia. Przemoc zatacza coraz szersze kręgi. Zaczyna się od współmałżonka, a zaraz potem są dzieci.

- A Violet? Miała jakąś przeszłość kryminalną?

- Nie.

- Foley nigdy nie oskarżył jej o napaść?

- Nie. Nawet jeżeli go uderzyła, pewnie wstydził się do nas zadzwonić.

- Kurczę. Żadnych zdjęć policyjnych, żadnych odcisków palców.

Szkoda - powiedziałam.

- Była zupełnie czysta, kiedy tu przyjechali. Nie miała numeru ubezpieczenia, bo nigdy nie pracowała, więc to jeszcze jedna ślepa uliczka. Jeśli chodzi o jej kontakt z prawem, to pozwała Jake'a Ottweilera do sądu grodzkiego. Jego pitbull zaatakował i zabił jej miniaturowego pudla. Wydaje mi się, że zgarnęła kilkaset dolarów. Prawdopodobnie Foley pożyczył każdego centa, żeby zapłacić rachunki.

- Daisy pamięta bijatyki w domu. Mówi, że ani matka, ani ojciec nigdy nie podnieśli na nią ręki, ale i tak awantury zostawiły ślad na jej psychice.

- Nie wątpię - zgodził się. - Nieraz próbowaliśmy przemówić Foleyowi do rozumu, lecz jak większość szubrawców zwał winę na innych.

Utrzymywał, że Violet go prowokuje, więc to wszystko jej wina, nie jego.

- Ile to trwało?

- Dwa, trzy lata, aż do jej zniknięcia. Po naszej wczorajszej rozmowie zadzwoniłem do jednego z funkcjonariuszy i poprosiłem o przejrzanie starych akt. Zajrzał do raportów i powiedział mi, że do ostatniej awantury doszło dwudziestego siódmego czerwca, w sobotę, tydzień przed zniknięciem Violet. Foley rzucił w nią dzbankiem do kawy i trafił w

brodę. Zadzwoiła po nas. Pojechaliśmy, aresztowaliśmy żalostnego sukinsyna i zatrzymaliśmy na noc, żeby trochę ochłonał. W międzyczasie ona oskarżyła go o naruszenie nietykalności cielesnej...

- Czemu o naruszenie?

- Obrażenia nie były poważne. Inna sprawa, gdyby złamał jej szczękę.

Radziliśmy jej wtedy, żeby się starała o zakaz zbliżania się, lecz powiedziała, że wszystko w porządku. Kiedy tylko wyszedł, wrócił prosto do domu. Błagał ją, żeby wycofała zarzuty, ale zanim coś z tego mogło wyniknąć, Violet zniknęła i to byłoby wszystko.

- Kiedy zgłosił jej zaginięcie?

- Siódmego lipca. W tamtych czasach, jeżeli nie podejrzewano morderstwa - a w tym wypadku nie podejrzewano - trzeba było odczekać siedemdziesiąt dwie godziny. Minęła niedziela i poniedziałek, a Violet nie dała znaku życia. We wtorek rano Foley przyszedł na posterunek, żeby zgłosić jej zaginięcie. Osobiście go przepytalem, choć o sprawie było już głośno i wiedzieliśmy, że mamy problem.

- W jakim był nastroju?

- Wydawał się zmartwiony, choć myślę, że martwił się głównie o siebie. Biorąc pod uwagę swoją przeszłość, musiał wiedzieć, że będzie pierwszym podejrzanym, jeśli weźmiemy sprawę pod lupę.

Wydrukowaliśmy ulotkę z opisem Violet i samochodu, którym prawdopodobnie odjechała. Najpierw rozprowadziliśmy ją po hrabstwie, a dwa dni później po całym stanie. Skontaktowaliśmy się z gazetami na całym wybrzeżu. Szczerze mówiąc, sprawa nie wzbudziła większego zainteresowania. Większość puściła małą notkę na drugiej stronie, inni w ogóle nic nie wydrukowali. Podobnie radio. Lokalne radiostacje nawet się zainteresowały, jednak nie za bardzo.

- Nie wzbudziło to sensacji? Dlaczego?

- Media nie były tak chętne do polowania na skandale jak dzisiaj.

Violet była dorosła. Niektórzy uważali, że uciekła z własnej woli i wróci, kiedy jej to będzie na rękę. Inni skłaniali się ku opinii, że w ogóle nie wyjechała. Przynajmniej nie za życia.

- Myśli pan, że Foley ją zabił?

- Tak wtedy myślałem.

- Dlaczego?

- Ponieważ był coraz bardziej agresywny, a Violet miała zamiar pozwać go do sądu, co nie było po jego myśli. Tak jak mi powiedział zastępca prokuratora okręgowego: „Nie ma świadka, nie ma sprawy”. Jeżeli doszłoby do procesu, mógłby skończyć w więzieniu. Z pewnością jej zniknięcie wyszło mu na dobre.

- Zakładam, że przeprowadzono śledztwo.

- O, tak. Wiemy, co robiła wieczorem, zanim opuściła dom. Wyszła mniej więcej za kwadrans szósta, kiedy zjawiła się opiekunka do dziecka. Jeszcze było jasno, ściemniło się dopiero przed dziewiątą. Kilkoro ludzi widziało, jak jechała przez miasto. Ich zdaniem była sama, nie licząc pieska, który siedział na jej kolanach i ujadł przez okno. Na stacji koło Tullis zatrzymała się i zatankowała do pełna, więc wiemy, że dotarła aż tam.

- O której to było?

- Szósta dwadzieścia pięć wieczorem, coś koło tego. Facet przy pompie umył jej przednią szybę i sprawdził opony, czego zresztą nie potrzebował robić. Samochód był nowiutki i chłopak chciał się dowiedzieć, czy dobrze się prowadzi. Kilka minut o tym rozmawiali. Pytałem go, czy nie zauważył czegoś niezwykłego, bo chciałem wiedzieć, w jakim była nastroju. Jeżeli właśnie opuszczała na zawsze swoją małą córeczkę, można by przypuszczać, że była w jakiś sposób przygnębiona. Ale powiedział mi, że wyglądała na szczęśliwą.

„Wesolutka” - tak to ujął. Oczywiście, widział ją po raz pierwszy w życiu, więc jeśli o niego chodzi, mogła zawsze taka być. Miałem nadzieję, że wspomniała, gdzie się wybiera, lecz nie mieliśmy tyle szczęścia. Jej pies szczekał jak najęty i skakał z przedniego siedzenia na tylne. Wreszcie go wypuściła, żeby załatwił swoje sprawy w trawie. Kiedy zapakowała psa z powrotem do auta, poszła zapłacić za benzynę i kupiła colę z lodówki. Wsiadła do auta i odjechała w kierunku Freeman.

Otworzyłam torbę, żeby wyjąć pióro i mapę Santa Maria:

- Może mi pan pokazać tę stację? Chciałabym na nią rzucić okiem.

Poprawił okulary i uważnie przyjrzał się mapie, najpierw całkiem ją rozłożył, a potem z powrotem złożył:

- To by było tutaj - powiedział, zaznaczając odpowiednie miejsce znacznikiem. - Stacja ciągle tam stoi, chociaż chłopak od pompy i kasjer już dawno stąd wyjechali. Z tego miejsca mogła pojechać wszędzie.

Jedną z tych bocznych dróg aż do stojedynki, a potem na południe do Los Angeles albo na północ do San Francisco. Mogła zrobić kółko i wrócić do domu. Obliczyliśmy, jak daleko mogła zajechać na jednym baku benzyny, i sprawdziliśmy wszystkie stacje w pobliżu, kupa roboty. Nikt jej nie pamiętał, co wydawało mi się dziwne. Samochód był piękny, podobnie jak jego właścicielka. Można by pomyśleć, że ktoś by zauważył, gdyby się gdzieś zatrzymała, żeby coś zjeść, skorzystać z toalety, pospacerować z psem. Nie wiem, jakim cudem tak zniknęła. Dosłownie bez śladu.

- W gazetach pisano, że Foley nie był podejrzany.

- Oczywiście że był. Nadal jest. Powiedzieliśmy lak, żeby go nakłonić do powiedzenia wszystkiego, co wie, lecz nie dał się nabrać. Natychmiast zatrudnił prawnika i nabrał wody w usta. Nigdy nie znaleźliśmy nic na niego.

- Nie udzielił żadnych wyjaśnień?

- Zdołaliśmy co nieco z niego wyciągnąć, zanim zamilkł. Wiemy, że zatrzymał się na parę piw w Blue Moon. Twierdził, że zaraz potem wrócił do domu, czyli byłby tam pomiędzy dziesiątą a dziesiątą trzydzieści wieczorem. Kłopot w tym, że opiekunka do dziecka Liza Mellincamp powiedziała, że widziała go dopiero między północą a pierwszą w nocy. To by oznaczało, że jeżeli ją zabił, miał czas, żeby się pozbyć ciała.

- Musiał odwalić kawał dobrej roboty, skoro nigdy jej nie odnaleziono.

Schaefer wzruszył ramionami:

- Podejrzewam, że kiedyś się odnajdzie. Pod warunkiem że zwierzaki coś z niej zostawiły.

- No i pod warunkiem że ją zabił, co wcale nie jest pewne.

- Święta racja.
- Nie żebym się opowiadała za albo przeciw.
- Rozumiem. Ja też się waham, choć miałem sporo czasu, żeby rozważyć wszystkie możliwości.
- Czy ktoś potwierdził, że Foley wrócił do domu po dziesiątej wieczorem?

Schaefer potrząsnął głową:

- Nikt. Wiedzą, o której z grubsza opuścił Moon, ale nikt nie wie, gdzie poszedł. Może do domu, a może nie. Słowo Lizy przeciwko jego słowu.
- A co z samochodem? Jak rozumiem, również zapadł się pod ziemię.
- Myślę, że już dawno zniknął, pewnie rozebrany na części. A jeżeli nie, w Europie i na Środkowym Wschodzie zawsze znajdują się chętni na kradzione samochody. W Kalifornii ten interes kwitnie głównie w LA i San Diego.
- Wtedy też tak było?
- Tak, proszę pani. Może kradziono mniej aut, ale procentowo wychodziło na to samo. W zeszłym roku tylko w tych dwóch miastach ukradziono mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy samochodów. Kradną je, wiozą do lokalnych portów i pakują w skrzynkach na statek. Jest jeszcze druga możliwość - przejechać autem przez granicę i tam go opchnąć. Jeżeli w Meksyku i Ameryce Środkowej auto nie znajdzie nabywcy, po prostu zostawia się je na ulicy, skąd jest zabierane na parking policyjny. Jedziesz do Tijuany i widzisz tysiące pojazdów - osobowe, ciężarowe, kempingowe. Niektóre stoją tam od lat i nigdy nie wrócą do prawowitego właściciela.
- Auto należało do niego czy do niej?
- To on wziął kredyt, ale samochód był jej. Upewniła się, że każdy o tym wie. W tamtych czasach żona nie mogła dostać kredytu, nawet jeśli pracowała. Papiery musiały być na nazwisko męża.
- Ale po co by to robił? Jednego dnia kupuje jej auto, drugiego ją zabija. Bez sensu.
- Mógł ją zabić pod wpływem impulsu, uderzyć w gniewie. Nie musiał

tego wcześniej planować.

- Ale po co w ogóle kupował ten samochód? Daisy mi powiedziała, że z trudem znajdował pieniądze na rachunki. Słyszałam również, że Violet miała wystarczająco dużo gotówki, żeby kupić ten wóz od ręki.

- Powiem pani, co myślę. Zrobił to z poczucia winy. Zawsze tak się zachowywał: wściekał się, prał ją na kwaśne jabłko, a potem robił coś miłego, żeby jej to wynagrodzić. Może dotarło do niego, że Violet ma zamiar pozwać go do sądu, i próbował ją przekupić. Szalała na punkcie tego samochodu.

- Słyszałam, że Foley musiał spłacić auto, choć już go na oczy nie zobaczył. To dziwne.

- Wszystko zależy od umowy z dealerem - wyjaśnił szeryf. - Facet, z którym powinna pani o tym pogadać, to Chet Cramer z Chet Cramer Chevrolet w Cromwell. Dam pani jego adres.

- Dzięki. Daisy mi o nim wspominała. Jestem zaskoczona, że po tylu latach dalej jest w branży.

- Jasne, że tak. Nie w głowie mu emerytura. Mocno trzyma wodze w garści i raczej padnie trupem, niż je komuś odda.

W myśli przebiegłam wzrokiem relacje prasowe, które wcześniej czytałam.

- Jedna z gazet napisała, że Violet w tamtym tygodniu odwiedziła bank w Santa Teresa i zaglądała do swojej skrytki depozytowej. Ma pan jakiś pomysł, co tam mogło być?

- Nie. Podejrzewam, że coś cennego. Ja też słyszałem, że miała sporo gotówki, ale trzeba to przyjąć na wiarę. Kiedy już było jasne, że zniknęła na dobre, dostaliśmy nakaz sądowy i otworzyliśmy skrytkę. Nic w niej nie było.

- A potem? Wiem, jak Stacey traktuje takie sprawy. Takie niewyjaśnione zagadki cholernie go gnębią.

- Ma pani rację. Od czasu do czasu ktoś przegląda akta, jednak to do niczego nie prowadzi. W śledztwie nigdy nie nastąpił przełom, a my nie mieliśmy wystarczającej liczby ludzi, żeby przeprowadzić kolejne

dochodzenie. Detektywi w ST nie narzekają na brak roboty. Raz na jakiś czas któryś nowicjusz odgrzebuje tę sprawę, ale to wszystko.

- A co z teorią o romansie Violet?

- Tak właśnie utrzymuje Foley, ale ja mam wątpliwości. Niech pani popyta ludzi, przekona się pani, że większość usłyszała to od niego. Violet pieprzyła się z kim popadnie, co do tego nie ma wątpliwości. Natomiast jeżeli z kimś uciekła, to jak to możliwe, że nikt inny nie zniknął?

ROZDZIAŁ 7

Stacja obsługi, na której po raz ostatni widziano Violet, znajdowała się niedaleko Tullis, kropeczki na mapie, którą łatwo przeoczyć, jeśli z całej siły nie wyczerpie się wzroku. Na niewielkim skrawku ziemi skupiło się kilka wiosek - jak gwiazdy w konstelacji - a łączące je wąskie dwupasmowe drogi tworzyły nieregularną siatkę. Tullis znajdowało się po wschodniej stronie, punkcik na prostej linii prowadzącej do Freeman, a stamtąd do stojedynki.

W okolicy było tak niewiele stacji, tak od siebie oddalonych, że nietrudno zrozumieć, dlaczego Violet wybrała właśnie tę. Była wtedy właścicielką auta zaledwie od jednego dnia, ale najwyraźniej już zdołała wyjeździć bak benzyny. A może w ramach przygotowań do tego, co miało nastąpić - czyli śmierć albo wyjazd z miasta - chciała mieć zapas paliwa. Zauważyłam, że nie mogę się zdecydować, w co wierzę. Zachowywała się jak ktoś, kto się właśnie wybiera w wesołą podróż. Tylko dokąd? I ważniejsze pytanie - czy zdołała tam dotrzeć?

Wjechałam na stację i zaparkowałam koło toalety dla pań, żeby skorzystać z łazienki, dopóki mam okazję. Spłuczka działała, ale suszarka do rąk była zepsuta. Ponieważ papierowe ręczniki wyeliminowano w imię higieny, musiałam wytrzeć ręce w dzinsy, co zrobiłam, spacerując wokół stacji.

Stacja znajdowała się na przecięciu dwóch dróg, Robinson i Twine.

Popołudnie było skwarne, nieruchome słońce bezlitośnie grzało.

Mieliśmy wrzesień, w lipcu więc musiał tu panować upał jak w piekle.

Wokół ciągnęły się pola - niektóre już po żniwach, inne zieleniące się młodymi pędami. Violet zatrzymała się tutaj pod wieczór, wszystko musiało wyglądać podobnie jak teraz. Wietrznie i sucho, nie było nawet kępki drzew, które zapewniłyby cień.

Wyobraziłam sobie rude włosy Violet tańczące wokół jej twarzy, kiedy stała tutaj, gawędząc z facetem, który zatankował paliwo do jej samochodu. Czego się spodziewała po następnych kilku godzinach?

Właśnie to mnie niepokoiło - myśl o jej intencjach i niewinności.

Wróciłam do auta i skierowałam się na zachód, skręcając ze stacji na lewo w Twine Road.

Minęłam znak wskazujący New Cut Road i zdałam sobie sprawę, że jestem niecałą milę od posiadłości Tannie. Jak na zawołanie w oddali zamajaczył wielki dom stojący tak blisko przy drodze, jakby chciał złapać stopa. Znowu przyszło mi do głowy, że bardzo nie pasował do tego płaskiego rolniczego krajobrazu.

Gdy znalazłam się już w Cromwell, rzuciłam okiem na wskazówki Daisy. Foley Sullivan pracował jako dozorca w kościele prezbiteriańskim na Second Street. Kościół był zwyczajny w najmielszym znaczeniu tego słowa - biały budynek z wieżyczką usytuowany na rozległym zielonym trawniku. Z jednej strony dobudowano obszerne skrzydło z cegły.

Zaparkowałam na przykościelnym parkingu i ruszyłam alejką w stronę wejścia.

Żeby dostać się do środka, popchnęłam jedno skrzydło ogromnych podwójnych drzwi, które, o dziwo, były otwarte. Weszłam. Przedświątynny przedsionek był pusty. Drzwi do świątyni stały otworem, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Powiedziałam coś w stylu: „Halo, halo”, żeby zaznaczyć swoją obecność, miałam nadzieję, że nie zostanę oskarżona o bezprawne wtargnięcie do domu Bożego. W świątyni panowała całkowita cisza.

Ruszyłam nawą główną w stronę ołtarza, bezwiednie starając się stąpać jak najciszej, żeby nie zakłócić spokoju tego miejsca. Ściany kościoła zdobiły wyszukane witraże, pod nogami miałam chodnik w kolorze czerwonego wina. Masywne mosiężne piszczałki organów

układały się za prezbiterium w odwrócone „V”. Puste drewniane ławki lśniły w promieniach słońca.

Powietrze przesycone było zapachem goździków i lilii, choć nie widziałam tu kwiatów. Po prawej, za amboną, widniał chór. Z przodu, również po prawej - drzwi, które, jak zgadywałam, prowadziły do zakrystii. Z lewej widziałam podwójne drzwi ze szklanymi szybkami, prawdopodobnie prowadzące do korytarza łączącego kościół z jego bardziej nowoczesną dobudówką.

Przecisnęłam się przez podwójne drzwi i znalazłam w szerokim, wyłożonym chodnikiem korytarzu. Po prawej mieściły się sale szkółki niedzielnej, większość ze składanymi krzesłami, a dwie z niskimi stołami i krzeselkami dla dzieci. Panował tu idealny porządek. Czułam zapach windeksu, pronto i płynu do polerowania mebli. Przez kolejne podwójne drzwi weszłam do wielkiej auli. Długie stoły ustawiono w formie bankietowej, ale metalowe składane krzesła piętrzyły się na wózkach stojących pod ścianą. Sala mogła być umeblowana lub pusta, w zależności od imprezy i tłumu, który miałyby pomieścić. Zastanawiałam się, czy parafianie nadal organizują składkowe kolacje. Miałam nadzieję, że tak. Gdzie indziej można by skosztować placka z wołowiną i makaronem albo duszonego zielonego groszku z zupą grzybową? Gdy byłam dzieckiem, często mnie wyrzucano ze szkółek niedzielnych różnych wyznań, ale nie chowam urazy. Jak zwykle myśl o jedzeniu przetrwała i przeżycia zmieniły się łagodnie we wspomnienia aromatyczne i słodkie jak gorące brownies domowej roboty.

Weszłam do kuchni przez drzwi wahadłowe, znowu wołając: „Jest tu kto?”, i zatrzymałam się w progu na wypadek, gdyby ktoś odpowiedział. Pomieszczenie zalewało światło słoneczne.

Błaty były ze stali nierdzewnej, a ponad dwoma olbrzymimi piecami wisiały ogromne gary na zupę. Emaliowane zlewy miały kolor śnieżnobiały. Nie wiedziałam, gdzie jeszcze szukać męża Violet. Już niedługo, Foley, pomyślałam. Byłam tak zajęta poszukiwaniami, że kiedy się za mną pojawił i poklepał mnie w ramię, podskoczyłam, złapałam się

za serce i ze zdziwienia wydałam odgłos przypominający szczeknięcie.

- Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem.

- Po prostu nie wiedziałam, że pan tu jest - powiedziałam, zastanawiając się, jak długo za mną szedł. Myśl o tym sprawiła, że poczułam się niezręcznie. Musiałam zwalczyć to uczucie: - Dziękuję, że zgodził się pan ze mną tak szybko spotkać.

- Nie ma sprawy.

Był wysoki i wychudzony, długie ręce wystawały mu z przykrótkich rękawów. Miał szczupłe nadgarstki i wielkie dłonie. Był gładko ogolony, miał wydatne kości policzkowe i mocno zaznaczony podbródek. Jego twarz przypominała mi czarno-białe fotografie zrobione w czasach Wielkiego Kryzysu - wynędzniali mężczyźni o nawiedzonym wyglądzie z pełnymi rozpaczyci oczami utkwionymi w aparacie. Jego oczy, głęboko osadzone i niebieskie, otaczały ciemne koła. Widziałam już kiedyś kogoś takiego, chociaż w tym momencie nie mogłam sobie przypomnieć, kto to był. Kiedy Foley mówił, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Spoglądał na mnie z oddali, dzielił nas dziwaczny dystans pomiędzy jego wewnętrznym „ja” a światem zewnętrznym. Rysy twarzy w niczym nie przypominały rysów Daisy, może z wyjątkiem smutku, którego przyczyną była Violet. Miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat, lecz jego nieufne oczy mogłyby należeć do stuletniego starca.

- Proszę za mną. Pokażę pani, gdzie mieszkam. Możemy porozmawiać na dole, tam nam nikt nie będzie przeszkadzał.

- Jasne, w porządku - powiedziałam i ruszyłam za nim, zastanawiając się, czy mądrze postępuję. Tylko ja i ten facet w wielkim pustym kościele. Nikt oprócz Daisy nie wiedział, że tu jestem. Zeszliśmy schodami w dół, do sutereny, suchej i dobrze utrzymanej. Foley otworzył drzwi do pomieszczenia, które w pierwszej chwili wzięłam za duży składzik.

- To moje mieszkanie. Proszę usiąść.

Pokój, do którego mnie zaprosił, mierzył może dziesięć stóp na dziesięć - białe ściany, podłoga pokryta lśniącym beżowym linoleum. Na środku stał niewielki drewniany stół kuchenny z czterema krzesłami do

kompletu. Foley miał kuchenkę, małą lodówkę wkomponowaną w blat ciągnący się pod ścianą, kanapę, jedno tapicerowane krzesło oraz mały telewizor. Kolejne drzwi prowadziły do mniejszego pokoju, widziałam kawałek jakiegoś mebla, chyba łóżka na kółkach. Domyślałam się, że za sypialnią jest łazienka.

Usiadłam przy stole. Na środku stała miska z orzeszkami ziemnymi w skorupkach. Foley też usiadł, wydawał się rozluźniony. Patrzył mi prosto w oczy, ale jego wzrok był dziwnie pusty. Wskazał na orzeszki:

- Proszę się poczęstować.

- Dziękuję.

Wziął orzeszka, zmiażdżył jeden koniec skorupki i przechylił tak, aby połowa zawartości wpadła mu wprost do ust.

Po czym zmiażdżył drugą końcówkę i zjadł kolejne nasionko. Ten dźwięk przypominał mi odgłos wydawany przez konia gryzącego wędzidło. Trzymał w garści pustą skorupkę.

Widziałam, jak bada palcami chropowatą powierzchnię, koniuszki jego palców poruszały się wzdłuż krawędzi, tam gdzie ze skorupki wystawały włókna. Ja mam zwyczaj zjadania skorupki po orzeszkach ziemnych, w ten sposób problem bałaganu znika.

Wziął z miski następnego orzeszka i przeturlał go między dłońmi, lekko go ściskając, aby sprawdzić twardość. Jego palce żyły własnym życiem. Turlały, naciskały.

- Pani jest prywatnym detektywem. Gdzie pani pracuje?

- W Santa Teresa. Jestem w tym biznesie od dziesięciu lat. Przedtem byłam gliniarzem.

Potrząsnął głową:

- Dlaczego Daisy to robi?

- Musi pan ją zapytać.

- Ale co mówiła, kiedy panią zatrudniała?

- Była zdenerwowana. Mówiła, że nigdy nie pogodziła się z odejściem matki.

- Żadne z nas się z tym nie pogodziło - powiedział. Odwrócił ode mnie

wzrok i wzruszył ramionami, jakby kwitując jakąś wewnętrzną debatę: - W porządku. Myślę, że najlepiej mieć to z głowy. Może pani pytać o wszystko, lecz najpierw chcę wyjaśnić jedno: pastor tego kościoła jest jedynym człowiekiem w mieście, który ma miłosierdzie w sercu. Kiedy Violet odeszła, wylali mnie z roboty i nie mogłem znaleźć następnej. Przedtem pracowałem na budowie, ale nagle nikt mnie już nie chciał zatrudnić. A niby dlaczego? Nigdy mnie nie aresztowano. Nigdy nie postawiono mi żadnych zarzutów. Nigdy nie spędziłem ani dnia w więzieniu w związku z tą sprawą. Ta kobieta uciekła. Nie wiem, ile razy mam to powtarzać.

- Zatrudnił pan prawnika?

- Musiałem. Potrzebowałem ochrony. Wszyscy myśleli, że ją zabiłem, więc co miałem robić? Musiałem utrzymać Daisy, a nie mogłem zdobyć roboty. Jak można udowodnić, że się czegoś nie zrobiło, kiedy całe miasto wierzy w twoją winę?

- Jak pan zarabiał na życie?

- Nie zarabiałem. Musiałem iść na zasiłek. Było mi wstyd, ale nie miałem wyjścia. Kiedy byliśmy małżeństwem, Violet nigdy nie pracowała. Chciała być w domu z Daisy, a ja nie miałem nic przeciwko, chociaż dodatkowy grosz by się przydał. Czasami nie byłem w stanie zarobić tyle, żeby starczyło na rachunki. Wtedy było ciężko. Niektórzy myślą, że nie miało dla mnie znaczenia, czy zalegam z rachunkami, choć tak wcale nie było. Starałem się, ale kiedy odeszła, nie miałem pojęcia, co mam robić. Jeśli zostawiłem Daisy choćby na minutę, rozklejała się. Musiała mnie mieć cały czas na oku. Musiała wiedzieć, gdzie jestem. Musiała mnie trzymać za nogawkę, bo się bała, że nagle zniknę. Właśnie tak było. Violet zrobiła, co jej pasowało, nie oglądała się na nas. Była samolubną kobietą, nie umiała być dobrą matką.

- A kim?

- Słucham?

- W czym była dobra? Pytam, bo chciałabym zrozumieć... nie tylko jak się zachowywała, ale jaka była.

- Lubiła się zabawić. Zostawała do późna na mieście i piła. Czasem tańczyła.

- A pan? Pan też lubił tańczyć? - zapytałam, zastanawiając się, czy używa tego słowa jako metafory.

- Nie tak często jak miała ochotę.

Odłożył nietkniętego orzecha do miski i położył swoje wielkie ręce na kolanach, pod stołem. Słyszałam trzaskanie, wyłamywał sobie palce.

- Czy miała jakieś hobby albo zainteresowania?

- Na przykład jakie? Wyplatanie makram? - zapytał z odrobiną goryczy w głosie. - Raczej nie.

- Na przykład gotowanie albo coś w tym stylu.

- Przyrządzała obiady z puszek. Tamales owinięte w papier. Czasami nawet nie pofatygowała się, żeby je wrzucić na patelnię i postawić na kuchence. Wiem, że marudzę, i przepraszam za to. Może i miała jakieś dobre cechy, ale ja żadnej nie zauważyłem. Była piękna, to jej muszę przyznać. Zawróciła mi w głowie.

- Dlaczego jej pan nie zostawił?

- Chyba byłem głupi. Nie wiem, to było tak dawno temu. Czasem nie mogę sobie przypomnieć, jak nam było. Niedobrze, tyle wiem. Nie zostawiłem jej, bo kochałem tę kobietę nad życie.

- Rozumiem - powiedziałam, choć brzmiało to niedorzecznie, jeśli wziąć pod uwagę, co wcześniej słyszałam.

Mówił dalej:

- W każdym razie nie tylko ja miałem powody do narzekań. Ona też nie była szczęśliwa, a jednak mnie nie zostawiła. Przynajmniej do czasu.

- Daisy mówi, że według pana żona miała romans.

- Ja to wiem.

- Skąd ta pewność?

- Oprócz tego, że mi powiedziała?

- Doprawdy? Co powiedziała?

- Powiedziała, że był dwa razy bardziej męski niż ja. Powiedziała, że w łóżku był jak tygrys. Nie chcę wchodzić w szczegóły. Zraniła mnie

głęboko, tak jak zamierzała.

- Może to zmyśliła?

- Nie, proszę pani. Nie ona. Na pewno ktoś był. Może mi pani wierzyć.

- Domyśla się pan kto?

- Nie.

- Nikogo pan nawet troszeczkę nie podejrzewał?

Potrząsnął głową:

- Najpierw myślałem, że to ktoś z Santa Maria albo Orcutt, z tamtych okolic, ale ponieważ nikt nie zgłosił tam zaginięcia współmałżonka, ludzie nie dali wiary moim słowom.

- Porozmawiajmy o panu. Opowie mi pan o sobie?

- Niby co miałbym opowiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

- Był pan w wojsku?

Potrząsnął głową i skrzywił się, jakbym dopisała kolejną pozycję do jego listy skarg.

- Nie wzięli mnie. W 1941 roku, gdy wybuchła wojna, miałem piętnaście lat. Kiedy tylko skończyłem osiemnaście, chciałem się zaciągnąć, ale przez badania nic z tego nie wyszło. Moje zęby im nie odpowiadały. Trzeba było mieć sześć zdatnych do gryzienia i sześć zdatnych do żucia w rzędzie. Ja swoje naprawiłem dopiero później. Do tego czasu zorientowałem się, że pójście do wojska to nie taki świetny pomysł. Kilku chłopaków z tych stron pojechało na wojnę i już nie wróciło.

- Daisy mi mówiła, że Violet miała piętnaście lat, kiedy się pobraliście.

- I pewnie dodała, dlaczego to zrobiliśmy.

- Wiem, że Violet była w ciąży. Myśleliście o oddaniu dziecka do adopcji?

- Violet by to zrobiła albo nawet coś gorszego, ale ja stanąłem jej na drodze. Chciałem tego dziecka. Chciałem się ożenić i założyć rodzinę.

Violet zachowywała się tak, jakbym ją do tego zmusił - zresztą może tak było - ale myślałem, że przywyknę.

- Piętnaście lat to niewiele - stwierdziłam mało odkrywczo, żeby podtrzymać rozmowę.
- Violet nigdy nie była młoda. Powiedziała mi kiedyś, że kręciła z facetami, zanim skończyła dwanaście lat. Nie byłem pierwszym, który ją wziął, a już na pewno nie ostatnim.
- Przejmował się pan tym?
- Jej przeszłością? Nie obchodziła mnie. Przejmowałem się tym wszystkim, co było potem. Pewnie słyszała pani, że ją biłem, ale każda historia ma dwie wersje. Zdradzała mnie bez przerwy. Proszę mi pokazać mężczyznę, który powie, że z czymś takim można żyć.
- Po to są rozwody - zauważyłam sucho.
- Wiem, ale ja ją kochałem. Nie mogłem bez niej żyć. Myślałem, że w ten sposób nauczę ją rozumu. Tylko o to mi chodziło. Wiem, że się myliłem. Czasem trudno mi uwierzyć, że tak myślałem, lecz tak właśnie było. Była uparta... nieposłuszna... nigdy się nie poprawiła. Byłem dla niej tak dobry, jak mogłem, a ona i tak nas opuściła. Prawie złamała mi serce.
- Nigdy się pan ponownie nie ożenił?
- Niby jak? Nie mam nic do zaoferowania. Nie mogę powiedzieć, że jestem rozwiedziony, nie mogę powiedzieć, że jestem wdowcem. Nie żeby jakaś kobieta pytała. Kiedy Daisy się wyprowadziła, dostałem tę robotę. Pastor pozwolił mi tu mieszkać i od tego czasu jestem tutaj. Przez chwilę milczał, wyglądał na spokojnego, ale wewnątrz kotłowały się emocje.
- Proszę mi opowiedzieć o samochodzie.
- Powiem pani, jak było. Pokłóciliśmy się. Nie pamiętam o co. Zerwałem z karnisza jej koronkową firankę, a Violet wpadła w szal, zerwała resztę i wyrzuciła do śmieci. Poszła do Moonu, a ja za nią. Zaczęliśmy pić i trochę się uspokoiła. Myślałem, że wszystko już w porządku, ale jej nagle się odwidziało i powiedziała, że odchodzi. Mówiła, że to koniec i że następnego dnia wyjeżdża. Nie wierzyłem w ani jedno słowo. Jednak tym razem płakała tak bardzo, że było mi jej żal.

Wstydzilem się tego, co zrobiłem. Wiedziałem, że te koronkowe firanki wiele dla niej znaczyły. Chciałem jej to i wszystko inne wynagrodzić. Zobaczyła ten samochód kilka dni wcześniej i nie przestawała o nim mówić, więc poszedłem do salonu i kupiłem go. Tego samego dnia podjechałem nim i zaparkowałem przed domem, potem wszedłem do środka i powiedziałem jej, żeby wyjrzała na zewnątrz. Kiedy zobaczyła auto, cieszyła się jak dziecko. Nigdy nie widziałem jej takiej szczęśliwej.

- Kiedy to było?

- Trzeciego lipca. Dzień przed odejściem.

- Czy mówiła, że się gdzieś wybiera? Może na wycieczkę?

- Ani słowa. Od dawna nie była taka miła, więc myślałem, że wszystko dobrze się układa. Spędziliśmy sobotni ranek razem, cała trójka - ona, ja i Daisy. Wczesnym popołudniem musiałem wyskoczyć coś załatwić, ale zaraz wróciłem i zajęliśmy się domem. O piątej po południu Violet przyrządziła Daisy kolację - przysmażony bekon i jajecznicę, ulubione danie małej. O szóstej miała przyjść dziewczyna do dziecka, żeby wykapać Daisy i położyć ją do łóżka. Violet chciała się przebrać, więc powiedziała, że spotkamy się w parku przed fajerwerkami. Po drodze wstąpiłem do Blue Moon. Przyznaję, że wypłem kilka piw... więcej niż kilka, jeśli chce pani znać prawdę. Kiedy dotarłem do parku, już sił prawie ściemniło i fajerwerki właśnie miały się zacząć. Rozglądałem się wszędzie za Violet, ale wreszcie znalazłem sobie miejsce i sam obejrzałem pokaz.

- Ludzie pana widzieli?

- Owszem, tak. Przynajmniej tyle musieli mi przyznać. Zaraz koło mnie siedziała Livia Cramer i coś do mnie gadała jak najęta. Kiedy wróciłem do domu, zauważyłem, że na podjeździe nie ma auta.

Wszedłem do domu i zobaczyłem, że Violet też nie ma.

- Ale dziewczyna do dziecka była, tak?

- Ona tak twierdzi. Ja nie byłem wtedy w stanie jasno myśleć.

- Dlaczego?

- W parku znowu wypłem kilka piw, a w drodze do domu wstąpiłem

do Moonu, dlatego trudno mi było utrzymać się na nogach. Poszedłem do sypialni i położyłem się w poprzek łóżka. Nie zaglądałem do pokoju Daisy, bo mi to nie przyszło do głowy. Myślałem, że jest na przejażdżce z Violet. Sądziłem, że Violet zmieniła zdanie i uznała, że Daisy powinna obejrzieć fajerwerki. Następną rzecz, jaką pamiętam, to rano i Daisy ciągnącą mnie za rękę.

- A wtedy co?

- Wtedy przeżyłem dwa najcięższe dni w moim życiu. W niedzielę rano zadzwoniłem do biura szeryfa, żeby sprawdzić, czy czegoś nie wiadomo. Myślałem, że może została aresztowana albo miała wypadek samochodowy. Funkcjonariusz powiedział, że o ile nie odnajdzie się do wtorku, powinienem przyjść i zgłosić jej zaginięcie. Właśnie tak zrobiłem, kiedy nie wróciła. Tamtego dnia rzuciłem picie i nie wziąłem już do ust ani kropli alkoholu.

- Nigdy się z panem nie skontaktowała?

- Żadnego telefonu. Żadnej kartki. Ani słowa od dnia zaginięcia do dziś.

- Dlaczego nadal spłacał pan ten samochód?

- Żeby pokazać, że ją kocham. Żeby pokazać, że naprawdę się zmieniłem. Wierzyłem, że wróci. Chciałem, żeby w dniu powrotu - jeśli taki nastąpi - przekonała się, że nigdy nie straciłem wiary.

- Nie denerwowało pana spłacanie samochodu, którym uciekła?

- Było mi smutno, ale tak właściwie... jeżeli musiała odejść... byłem szczęśliwy, że wzięła ten samochód - jak pożegnalny podarunek.

- Wtedy już wszyscy myśleli, że to pan jej coś zrobił.

- To jest moje brzemię i mam nadzieję, że dźwigam je jak mężczyzna. Może brzmi to gorzko, ale nie chodzi o nią. Chodzi o to, że mnie osądzono i potępiono.

Sięgnął do miski z orzeszkami, wziął jednego, potem zmienił zdanie i odłożył. Podniósł na mnie swoje podkrążone, zapadnięte oczy:

- Wierzy mi pani?

- Nie mam zdania. Zajmuję się tą sprawą jeden dzień. Jest pan dopiero

drugą osobą, z którą rozmawiam, więc nie mam prawa wierzyć panu albo nie. Zbieram informacje.

- A ja się z panią dzielę tym, co wiem.

- Jak to było z tymi pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, które podobno miała?

- To się stało, kiedy urodziła Daisy. Nie znam szczegółów, wiem tylko tyle, że poród trwał bardzo długo. Wody odeszły w piątek o dziewiątej wieczorem, ale nic się nie działo. Od czasu do czasu miała skurcze, lecz prawie nie czuła bólu. Myślała, że może to nie jest takie straszne, jak słyszała. Nie wiem dlaczego, ale kiedy dziewczyna zajdzie w ciążę, inne kobiety natychmiast wyciągają okropne opowieści. Mówią, że to ciężkie, że czyjaś kuzynka wykrwawiła się na śmierć, że niektóre dzieci rodzą się zdeformowane. Violet była śmiertelnie przerażona i odwlekała pójście do szpitala tak długo, jak długo to było możliwe. Całą noc graliśmy w karty, w remika, centa za punkt. O ile pamiętam, zgarnęła jakieś piętnaście dolarów. Po jakimś czasie bóle stały się tak silne, że nie mogła się skoncentrować. Powiedziałem jej, że powinniśmy jechać, i wreszcie się zgodziła. W szpitalu wzięli ją na porodówkę. Była szósta rano. Po chwili pielęgniarka powiedziała mi, że rozwarcie jest dopiero na cztery centymetry. Wpuścili mnie na salę i mogłem z nią posiedzieć.

Przechodziła męki, ale lekarz nie chciał jej dać nic przeciwbólowego, żeby nie opóźnić porodu. W południe wyszedłem, żeby coś zjeść. Kiedy wróciłem do poczekalni, właśnie przyszedł lekarz. Pielęgniarka po niego zadzwoniła, ponieważ jej zdaniem poród nie przebiegał tak, jak powinien. Nie znam szczegółów tego, co się stało później. Wiem, że z winy doktora Rawlingsa coś poszło nie tak. Z Daisy było wszystko w porządku. W końcu około siódmej wieczorem przyszła na świat za pomocą kleszczy. Były jakieś kobiece komplikacje i w końcu Violet usunięto łożo. Właśnie tak, szesnaście lat i już nigdy nie będzie mogła mieć dziecka. Nie sądzę, żeby ją to szczególnie obchodziło, ale wyczuła, że może zarobić trochę gotówki. Myślę, że pozwała go o pół miliona dolarów i dostała dużo mniej. Nabrała wody w usta, nigdy mi nie powiedziała, jaka to suma.

Mówiła, że to jej pieniądze i nie powinny mnie obchodzić. Powiedziała, że ciężko na nie zapracowała i nie pozwoli, żebym je dostał w swoje ręce. Nie wpłaciła tych pieniędzy na zwyczajny rachunek, bo bała się wspólnoty majątkowej. Wynajęła skrytkę depozytową i tam trzymała pieniądze. Powiedziałem jej, że to głupie. Mówiłem, że powinna zainwestować, ale była niewzruszona. Myślę, że dzięki tym pieniądzom czuła, że ma władzę.

Siedzieliśmy wpatrzeni w siebie, a ja przetwarzałam informacje.

Wreszcie powiedziałam:

- Doceniam pańską szczerłość. W tej chwili nie mam więcej pytań. Być może później będę musiała o coś dopytać.

- Rozumiem - odparł. - Proszę tylko, żeby zachowała pani otwarty umysł.

- Zachowam - powiedziałam. - Mam nadzieję, że jeśli coś nowego wyjdzie na jaw, będę mogła znowu z panem porozmawiać.

- Oczywiście.

ROZDZIAŁ 8

Wyjechałam z przykościelnego parkingu, znalazłam zaciszną boczną uliczkę i zaparkowałam przy krawężniku. Wyłączyłam silnik i wyjęłam plik karteczek, żeby zanotować to, co zapamiętałam z rozmowy. Kiedy zaczynałam karierę detektywa, próbowałam używać dyktafonu, ale ciężko to szło. Dyktafon onieśmiał mojego rozmówcę, a poza tym oboje przyglądaliśmy się obracającej się szpuli, żeby się upewnić, że urządzenie działa. Czasami głośne „klik” oznajmiające, że skończyła się kaseeta, przerywało mojemu rozmówcy w pół zdania. Musiałam wtedy przełożyć ją na drugą stronę i przewinąć - było to co najmniej zniechęcające.

Przepisywanie wywiadu denerwowało jak wrzód na tyłku, z powodu marnej jakości dźwięku i odgłosów z tła zagłuszających słowa. Robienie na bieżąco notatek było równie rozprasające.

Wreszcie dałam sobie spokój i zdałam się na los, starając się wyciszyć wewnątrz, żeby słyszeć słowa rozmówcy. Teraz mam tak wyćwiczoną pamięć, że bez problemu zapamiętuję, o czym była mowa, jednak ciągle

wolę spisać szczegóły, kiedy je mam na świeżo w pamięci. Z czasem pewne rzeczy mogą umknąć i chociaż ciągle pamiętam ogólny zarys rozmowy, diabeł przecież tkwi w szczegółach.

Jako zdeklarowany cynik zastanawiałam się, czy Foley nie rzucił picia, ponieważ obawiał się, że pewnego dnia alkohol rozwiąże mu język i powie kilka słów za dużo. Z tego samego powodu miałam wątpliwości co do przyczyn, dla których nie znalazł sobie nikogo od czasu zniknięcia Violet. Poczucie winy sprawia, że człowiek robi się samotny. Pokusa, żeby się zwierzyć, bywa nieodparta. Chociaż bardzo cierpiał, nigdy nie szukał ukojenia, a przynajmniej tak twierdził.

Jeszcze raz spojrzałam na mapę, szacując odległość między stacją, na której Violet zatankowała, parkiem w Silas a domem Sullivanów.

Poszczególne miejsca musiało dzielić mniej więcej piętnaście albo dwadzieścia mil. Całkiem możliwe, że Violet napełniła bak i pojechała do domu, a co za tym idzie, była tam, kiedy wrócił Foley. Jednak jeżeli tak, dziewczyna do dziecka na pewno by o tym powiedziała. Spięłam gumką spory stosik karteczek, odpaliłam silnik, wrzuciłam bieg i ruszyłam do domu.

Kiedy miałam wejść do mieszkania, Henry wyszedł ze swojej kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Wyglądał bardzo sztywnie jak na faceta, który zwykle nosi szorty i japonki. Pomachał do mnie, więc zaczekałam, aż przeszedł przez patio. Popołudnie powoli chyliło się ku końcowi, zatem sądziłam, że wybiera się do Rosie.

- Właściwie to jadę do Olvidado, zabieram Charlotte do kina. Chcemy zdążyć na seans o piątej, a potem zjeść razem kolację.

Charlotte pracowała w handlu nieruchomościami, Henry już dwa razy był z nią na randce.

Cieszyłam się, że mimo ostatniego nieudanego romansu kimś się zainteresował.

- Brzmi nieźle. Na jaki film idziecie?

- Bez wyjścia, z tym aktorem, Kevinem Costnerem. Jak sądzisz, w

porządku? - podniósł ręce, żebym mogła dokładnie zobaczyć jego spodnie i koszulkę z kołnierzykiem.

- Wyglądasz dobrze.

- Dzięki. A ty co porabiasz?

- Mam robotę w okolicach Santa Maria. Będę jeździć tam i z powrotem, więc się nie martw, jeżeli nie będzie mnie kilka dni. Lepiej już idź. O tej porze mogą być korki.

Patrzyłam, jak idzie do swojego podwójnego garażu i staje niezdecydowany, które auto wybrać. Jego dumą i radością był chevrolet rocznik 1932, pięciodrzwiowy coupe, pomalowany na jaskrawożółty kolor. Drugim samochodem było kombi do codziennego użytku, nic szczególnego, ale na chodzie. Wyprowadził tyłem zabytkowego chevy i pomachał mi na pożegnanie.

W mieszkaniu rzuciłam torbę na kuchenny stołek i oddałam się rytuałowi sprawdzania wiadomości na sekretarce oraz przeglądania poczty. Cheney zostawił wiadomość, dzwonił, żeby się przywitać, i powiedział, że będzie próbował mnie łapać później. Korespondencja - nic ciekawego. Zajrzałam do lodówki, jej zawartość wcale mnie nie zaskoczyła. Same dodatki - musztarda, pikle, oliwki, słoiczek papryczek jalapeños oraz odrobina masła, główka zwiędłej kapusty i sześciopak dietetycznej pepsi. Od kilku dni nie robiłam zakupów, więc miałam do wyboru wycieczkę do supermarketu albo kolację w mieście.

Niezdecydowana, oddzwoniłam do Cheney'a. Wiedziałam, że go nie będzie, więc zostawiłam przydługą wiadomość - opowiedziałam mu, czym się zajmuję. Sprecyzowane plany miałam tylko na jutro, nie wiedziałam, co będzie potem, ale obiecałam, że będę w kontakcie. To wszystko zaczynało przypominać związek na odległość, taki sam, jaki łączył mnie z Robertem Dietzem. Jak ja to robię, że zawsze się na tym kończy?

W połowie drogi do Rosie - raczej nie byłam zachwycona perspektywą zjedzenia tam posiłku - pomyślałam o Sneaky Pete. Wiedziałam, że Tannie będzie w pracy, i przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy

pogawędzić o Daisy i Violet, podczas gdy ja zajęłabym się kolejną kajzerką z pikantnym salami i innymi pysznościami. Odwróciłam się na pięcie, pobiegłam do samochodu i pojechałam do miasta.

Sneaky Pete jest kameralną knajpką, w której stołuje się okoliczna klientela, tak jak u Rosie.

Tannie zauważyła mnie, kiedy weszłam. Usiadłam na stołku przy barze, a ona dokończyła nalewanie dwóch piw dla pary przy oknie. Jeszcze nie było szóstej i - jak na środowy wieczór - niewiele się działo. Nawet muzykę z szafy grającej ściszo do przyzwoitego poziomu.

Tannie wróciła do baru, wzięła kieliszek do wina i butelkę Edna Valley:

- Pijesz chardonnay, prawda?

- Masz dobrą pamięć.

- Na tym polega mój zawód. Daisy mówi, że jemy jutro we trójkę lunch.

- Taki jest plan. Powiedziałam jej, że zadzwonię, kiedy tylko będę wolna. O której tam będziesz?

- Jeszcze nie wiem, ale na pewno wcześniej. Dowiem się, gdzie jesteście, i dołączę do was.

Nalała mi wina, po czym podniosła do ust papierosa, żeby się jeszcze raz zaciągnąć, zanim go zgasi.

- Kiedyś to rzucę. Gdy tu pracujesz, musisz palić w obronie własnej.

No, jak tam twoja batalia? Daisy mówi, że się ostro wzięłaś do roboty.

- Hmm, robię, co mogę. Pokazała mi okolicę, żebyśmy się mogła zorientować w terenie. Serena Station to przygnębiające miejsce.

- Zgadza się - odpowiedziała. - Poznałaś Foleya?

- Najpierw rozmawiałam z emerytowanym sierżantem z biura szeryfa, a potem z nim.

- To musiał być ciężki dzień.

- Bardzo. - Wypiłam łyk wina. - Nie mówiłaś, że masz dom. Daisy zawiozła mnie tam wczoraj po południu. Cholerny pożar.

- Mieliśmy szczęście, że udało się go w porę ugasić, inaczej

stracilibyśmy cały dom. Teraz policjant pilnuje, czy nie kręci się tam jakaś hołota. Mój brat nienawidzi tego miejsca.

- Daisy mówi, że chcesz go spłacić.

- Jeżeli tylko da się namówić. Jest uparty jak osioł, ale myślę, że w końcu się zgodzi. Jego żona jest po mojej stronie. Nie uśmiecha się jej mieć na głowie takie domiszcze. Ja kocham to miejsce, ale muszę przyznać, że to studnia bez dna.

- Ziemia musi być warta fortunę.

- Żebyś zobaczyła, jakie podatki płacimy. Trudność polega na tym, że te tereny mają zostać na nowo zagospodarowane. W mieście gadają, że stara rzeźnia została sprzedana i będzie zburzona. Ta posiadłość przylega do naszej, więc deweloperzy nie dają mi chwili spokoju. Próbują się załapać, zanim sprawa wyjdzie na jaw. Chciałabym się wstrzymać, lecz jeśli się zdecydujemy na sprzedaż, zarobimy kupę forsy.

Sięgnęła pod ladę i wyjęła rolkę papieru zabezpieczoną recepturką:

- Chcesz zobaczyć, co im chodzi po głowie?

Zdjęłam gumkę i rozwinęłam rolkę grubego papieru. Miałam przed sobą akwarelowy szkic, przedstawiający okazałe wejście na strzeżone osiedle willowe o nazwie Tanner Estates. U stóp dwóch potężnych kamiennych filarów wił się podjazd otoczony z obu stron bujnym trawnikiem. W oddali można było dostrzec kilka dachów, domy stały w dużej odległości od siebie, otoczone starymi drzewami. Na lewo był pięknie namalowany dom Tannie. Dzięki kunsztowi artysty wyglądał jak przed pożarem.

- Rany, dziś po południu inaczej to wyglądało. Gdzie się podziały te wszystkie ohydne zbiorniki na ropę naftową i ogrodzenia z drutu kolczastego?

- Kiedy się ma wystarczająco dużo zielonych, można wyczarować nawet takie cacuszko. Nie wierzę, żeby hrabstwo zatwierdziło te plany, ale według Steve'a to kolejny powód, żeby sprzedawać, dopóki mamy okazję.- Bez sensu. Jeśli nowy plan zagospodarowania terenu dojdzie do skutku, wartość ziemi pójdzie w górę, czyli warto się wstrzymać.

- Spróbuj mu to powiedzieć. On chce mieć problem z głową.

Puściłam brzegi papieru, który sam się zwinął:

- Czy właśnie tam dorastałaś?

Tannie potrząsnęła głową:

- Dom należał do moich dziadków, Hairla i Mary Clare. Mama, Steve i ja mieszkaliśmy tam, kiedy tata był na wojnie. W 1942 wstąpił do armii, a matka wróciła do rodzinnego domu. Nie miała żadnych kwalifikacji, a tata nie był w stanie nas utrzymać ze swojego żołdu.

- Powiedziałaś, że twój dziadek nazywał się Hairl?

Uśmiechnęła się:

- Miał mieć na imię Harold, ale moja prababcia nie umiała dobrze pisać, więc takie imię zapisała w jego akcie urodzenia. Matka otrzymała imię po obojgu rodzicach - Hairlu i Mary Clare - co dało Mary Hairl.

Dzięki Bogu, że zarzucili tradycję nadawania dzieciom łączonych imion, bo szkoda gadać, jak by mnie nazwali.

- A „Tannie” to skrót od czego?

- Od „Tanner”, panińskiego nazwiska mojej matki.

- Podoba mi się. Pasuje do ciebie.

- Dzięki. Też je lubię. W każdym razie Hairl i Mary Clare mieszkali w tym domu od 1912 roku, kiedy został wybudowany, do 1948, kiedy babka miała wylew i trafiła do domu spokojnej starości. Dziadek kupił dom bliźniak w Santa Maria, żeby być blisko niej.

- A wy zostaliście w tamtym domu?

- Matka nie dawała sobie rady sama, więc wprowadziliśmy się do drugiej części bliźniaka. W ten sposób mogła dopilnować dziadka.

Przychodził do nas na wszystkie posiłki.

- Duże zmiany zaszły w twoim życiu.

- I ciężkie. Tęskniłam za życiem na wsi. Nie miałam tam przyjaciół, ale mogłam się swobodnie wałęsać. Mieliśmy psy i koty. Uważałam, że to raj, ale mama powiedziała, że nowe mieszkanie będzie tak blisko miasta, że będę mogła jeździć do szkoły na rowerze albo chodzić piechotą.

Wreszcie przywykłam do nowego miejsca. Kiedy tata wrócił z wojny,

próbował różnych zawodów, ostatnią pracę miał w Union Sugar. Zawsze kochał rolnictwo - nie żeby kiedyś zarobił na tym choćby parę centów - ale po wojnie stracił serce do ziemi i nie radził sobie z pracą. Mama pomagałaby mu, jeśli udałoby nam się tam wrócić. Nawet kiedy babcia umarła, ciągle miałam nadzieję, chociaż teraz widzę, że szanse były z roku na rok coraz mniejsze. Dziadek zostawiłby ten dom matce, gdyby nie umarła przed nim.

- Ile miała lat?

- Trzydzieści siedem. W 1951 wykryto u niej raka macicy, umarła dwa lata później. Steve miał wtedy szesnaście lat, a ja dziewięć.

- Musiało wam być ciężko.

- Szczególnie tacie. Zupełnie się załamała. Wyprowadziliśmy się z dziadkowego bliźniaka do małego domku w Cromwell. Chodziłam do różnych szkół w północnej części hrabstwa, właśnie wtedy poznałam Daisy. Daisy i ja byłyśmy parą smutasów. Obie straciłyśmy matki i dlatego nasze życie stanęło na głowie.

- Wiele przeszłaś.

- Owszem. Potrzebowałam jakiejś ciągłości. Steve i ja spotykaliśmy się z dziadkiem, kiedy tylko mieliśmy okazję. Jednak wtedy był już zgorzkniałym starcem, z pretensjami do całego świata. W swoim czasie rządził własnym magicznym królestwem. Potem nagle został wdowcem, a jego jedyne dziecko umarło. Zachowywał się tak, jakby uważał, że tata jest odpowiedzialny za wszystko, co poszło nie tak.

- Twój ojciec? Dlaczego?

- A kto to wie? Może źle mu się kojarzył. Kiedy widział tatę, przed oczami musiała stawać mu cała bolesna przeszłość. Prawdopodobnie dziadek przeżył trzy najszczęśliwsze lata swojego życia, kiedy tata był na wojnie, a on u władzy. Umarł miesiąc po mamie.

- Przykro mi.

- Poczekaj chwilę - podeszła do okienka, wzięła talerz i zaniósła facetowi przy końcu baru.

Widziałam, jak zabiera się on do kajzerki, jajko sadzone kapało mu na

talerz, a ja w ustach czułam smak gorącego salami i sera. Kiedy Tannie zobaczyła moją minę, nawet nie musiała pytać, od razu zamówiła dla mnie kanapkę. Musiałam wyglądać żałośnie jak pies, który prosi o resztki ze stołu.

- Powiem ci, z kim powinnaś pogadać. Winston Smith. Masz go na liście? To facet, który sprzedał Violet samochód.

- Nie przypominam sobie takiego nazwiska, ale mogę sprawdzić. A co z nim?

- Właściwie nic. Po prostu mam przeczucie. Zawsze mi się wydawało, że wie więcej, niż daje po sobie poznać.

- A co sądzisz o Foleyu? Chyba mi jeszcze tego nie mówiłaś. Chodzi mi o niego jako o człowieka, nie o to, co być może zrobił, a być może nie. Zorientowałam się, że patrzy w inną stronę. Do środka wszedł nowy klient i Tannie podeszła do niego, gdy sadowił się na stołku w połowie baru. Złożył zamówienie. Patrzyłam, jak Tannie przyrządza drinka. Widziałam, jakie trunki nalewa, ale nie potrafiłam rozpoznać, jaki to koktajl. Musiała znać tego faceta, bo gawędziła z nim, biorąc z półek kolejne butelki i niedbale nalewając - taka niedbałość przychodzi z doświadczeniem. Kiedy już go obsłużyła, skorzystała z przerwy w naszej rozmowie i zrobiła rundkę dookoła sali, przyjęła zamówienie na trzy drinki i zajęła się nimi, zanim do mnie wróciła. Wtedy zapaliła papierosa i odpowiedziała na pytanie, tak jakby się wcale nie oddalała:

- Zawsze był mendą. Nie nabrałam się na tę jego świętoszkowatą przemianę. Słyszałam, że rzucił gorzałkę, ale nie robi to na mnie żadnego wrażenia. To jest taki typ człowieka - nowa skóra, ale pod spodem to co zawsze. Tyle że teraz lepiej się maskuje.

- Często z nim miałaś do czynienia?

- Wystarczająco. Daisy i ja byłyśmy przyjaciółkami, ale tata nigdy nie pozwalał mi zostawać u niej na noc. Po pierwsze, mieszkali wtedy w obrzydliwej, ciasnej norze, a po drugie, tata uważał, że dziewczęta nie powinny zostawać same z takim facetem jak Foley. Daisy zawsze była mile widziana u mnie w domu. Kiedy Foley ją przywoził, próbował mnie

nagabywać. Miałam tylko dziesięć lat, a już wiedziałam, że jest światowej klasy dupkiem.

- Tak myślałaś, kiedy miałaś dziesięć lat?

- Przejrzałam go na wylot. Dzieciaki posługują się intuicją i trudno je oszukać. Nigdy nie mówiłam Daisy, co o nim myślę - i tak miała wystarczająco dużo problemów - ale unikałam go jak zarazy. Nawet tata, choć trzyma się raczej w męskim towarzystwie, go nie szanował.

- Twój ojciec jeszcze żyje?

- O, tak. Świetnie się trzyma. Daisy mówi, że wpisała go na listę osób, z którymi powinnaś pogadać. Nie sądzę, żeby znalazł Violet. To znaczy znał ją, każdy ją znał, ale tylko dlatego, że ona i Foley byli stałymi bywalcami Blue Moon. Tata jest teraz współwłaścicielem.

- Czy to nie ten Blue Moon, w którym Sullivanowie urządzali swoje sławne awantury?

- Ten sam - odpowiedziała. - Możesz zapytać B.W., barmana. Był świadkiem większości z nich. Właściwie to on i tata weszli w spółkę i kupili Moon niedługo po zniknięciu Violet. Namawiają mnie, żebym zajęła się prowadzeniem tej knajpy, jeśli wrócę do miasta.

Tłum gęstniał, więc kiedy Tannie przyniosła mi kanapkę, zostawiłam ją w spokoju, żeby się mogła zająć pracą. W torbie miałam karteczki. Zajadając, przeglądałam notatki i próbowałam zorientować się, w jakim miejscu jestem i jaki powinien być mój następny krok. Mur minionego czasu pomiędzy mną a Violet Sullivan wydawał się tak niedostępny jak zawsze, ale miałam wrażenie, że jej postać miga mi w oddali.

ROZDZIAŁ 9

Chet Środa 1 lipca 1953

Chet Cramer był spóźniony. Jadł dziś lunch z Tomem Padgettem i dlatego spędził ciągnące się w nieskończoność trzy godziny na rozmowie o ewentualnej współpracy w przemyśle budowlanym. Chet sądził, że Padgett jest głupcem. Poślubił kobietę piętnaście lat starszą od siebie. Tom miał teraz czterdzieści jeden lat, a to oznaczało, że jego żona musi mieć mniej więcej pięćdziesiąt sześć - stary, pomarszczony babsztyl.

Wszyscy w mieście wiedzieli, że połasił się na jej pieniądze. Była wdową, po dwudziestu pięciu latach małżeństwa jej mąż Loden Galsworthy zmarł na atak serca. Loden był właścicielem sieci zakładów pogrzebowych, które Cora po nim odziedziczyła wraz z resztą majątku szacowanego na milion dolarów, na który składały się: dom, dwa samochody, akcje, obligacje i ubezpieczenie na życie. Tom miał wielkie plany, ale bardzo mało zdrowego rozsądku. Naciągnął żonę na pożyczkę, która miała mu pomóc w założeniu interesu. Ponadto zaciągnął kredyt w banku. Twierdził, że nie miał wystarczających funduszy na rozkręcenie interesu, więc teraz zamierzał rozszerzyć działalność i zbić kapitał na maszynach budowlanych, na które popyt w gwałtownie rozbudowującej się Santa Maria systematycznie rósł. Przedsiębiorcy budowlani musieli skądś pożyczać sprzęt, czemu nie od niego? Chet uważał, że ten pomysł jest sensowny, ale nie przepadał za Padgettem i za cholerę nie chciał wchodzić z nim w interesy. Podejrzewał, że w najbliższym czasie Tom będzie musiał spłacić dług w banku i tak naprawdę chodzi mu o zdobycie na pewien czas gotówki. Pewnie Cora przykręciła mu kurek i nie ma zamiaru wyciągać go z tarapatów.

W Klubie, nad pstrągiem z grilla, Chet był uprzejmy i udawał zainteresowanego propozycją Padgetta, chociaż, szczerze mówiąc, co innego mu było w głowie. On i Livia chcieli zostać członkami Klubu i Chet miał nadzieję, że Tom i Cora wprowadzą ich. To miejsce skupiało ludzi od pokoleń zamożnych, Chet chciał się poczuć jak jeden z nich. Wystrój był wykwintny, chociaż Chet zauważył, że korytarz prowadzący do jadalni jest nieco zaniedbany. Tylko bogaci ludzie są wystarczająco pewni siebie, żeby sadzać gości na starych skórzanych fotelach z popękkanymi siedzeniami. Bywali tu najbardziej wpływowi obywatele miasta, więc przynależność do Klubu pozwoliłaby Chetowi przejść na „ty” z większością z nich.

Nawet do lunchu mężczyźni musieli tutaj zasiadać w marynarkach i pod krawatem.

Chetowi to się podobało. Rozglądał się wokół, zastanawiając się, co

przyjemnego mógłby tu robić. Livia była zapaloną, ale kiepską kucharką i Chet zrobiłby wszystko, żeby odwieść ją od zapraszania znajomych na kolacje. Nie uznawała alkoholu, ponieważ, jak twierdziła, jest niezgodny z duchem Pisma. Wskutek tego w czasie posiłków było naprawdę ponuro. Według Cheta picie dużych ilości alkoholu było jedynym sposobem na przetrwanie entuzjazmu Livii, więc wykorzystywał cały swój spryt, żeby mieć przy sobie szklaneczkę wypełnioną czymś smaczniejszym niż osłodzona mrożona herbata serwowana przez Livię.

Członkowie Klubu i ich goście popijali koktajle - martini, manhattany, wymyślne drinki przyrządzane na bazie whisky i soku z cytryny. Chet mógłby zacząć grać w golfa, a Livia i Kathy wylegiwałyby się koło basenu, obsługiwane przez kolorowych kelnerów w białych marynarkach, którzy serwowaliby im sandwicze spięte kolorowo udekorowanymi wykałaczkami. Nawet nie trzeba było od razu płacić za posiłek. Podpisywało się tylko rachunek, który był regulowany pod koniec miesiąca.

Oczywiście Padgett miał swój rozum. Chyba wyczuł, o co chodzi Chetowi, i miał zamiar to wykorzystać, aby zachęcić Cheta do tak zwanej współpracy. Jak na razie Chet zyskał trochę czasu, prosząc Toma o napisanie biznesplanu, na który on i jego księgowy mogliby rzucić okiem. Powiedział Padgettowi, że kiedy już będzie wiedział, o jaką sumę chodzi, będzie mógł rozmówić się z bankiem. Nie było w tym ani słowa prawdy. I bez księgowego wiedział, że angażowanie się w projekt Padgetta teraz, kiedy walczył o utrzymanie prestiżu salonu, byłoby szaleństwem. Można powiedzieć, że on i Padgett jechali na tym samym wózku. Ludzie z Chevroleta spodziewali się, że wraz z wprowadzeniem do oferty używanych aut Chet powiększy salon oraz wprowadzi nowe usługi, części i akcesoria. Musiał im również płacić za logo produktu, logo salonu i „każde inne niezbędne logo”, które do tanich nie należały. Poza tym miał w mieście konkurencję w postaci dziewięciu innych dealerów - Studebakera, DeSoto, Packarda, Buicka, Dodge'a, Plymoutha, Chryslera, Hudsona i Cadillaca. W tym okresie nieźle sobie radził, ale wiedział, że

aby zyskać nad nimi przewagę, musi sporo zainwestować.

Biedny głupi Padgett zaliczył już dwa genialne pomysły niewypały na szybkie wzbogacenie się. Jego pierwszy projekt, park rozrywki, pochłonąłby fortunę, drugim był przygłupiasty pomysł na kupienie stacji telewizyjnej. Telewizja była w porządku, ale kupienie stacji do niczego nie prowadziło. Odbiornik telewizyjny firmy Ardmore - taki jak Cheta - kosztował trzysta pięćdziesiąt dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. Ilu ludzi było na to stać? Mniej niż dziesięć procent gospodarstw domowych w Ameryce posiadało telewizor. Poza tym w kraju nadawało już trzysta dwadzieścia sześć stacji telewizyjnych, z czego dziewięć w Los Angeles. Po co dodawać kolejną?

Branża budowlana przynajmniej dobrze rokowała, choć Padgett znalazłby prawdopodobnie sposób, żeby - mówiąc metaforycznie - i ten interes uziemić. Chet liczył na to, że Padgett nie ma pojęcia o tworzeniu biznesplanów. A jeśli nawet poradzi sobie z liczbami, zawsze można zwalić winę na księgowego, który nie zaakceptował planu. Chet miał zamiar zwodzić Padgetta aż do chwili, gdy zostanie członkiem Klubu, i dopiero wtedy podzielić się z nim smutnymi wieściami. Trzeba będzie skądś wytrzasnąć dziesięć tysięcy dolarów na opłatę za członkostwo w Klubie, ale coś się wymyśli.

Chet zajechał przed salon i zaparkował na swoim stałym miejscu.

Kiedy przejeżdżał koło budynku, zauważył, że wielki lśniący coupe zniknął ze swojego podwyższenia, co wzbudziło w nim iskierkę nadziei. Ten samochód to prawdziwe cacuszko - duża moc, piękna linia, mnóstwo najnowocześniejszych gadżetów. Oczywiście dostał go wyposażonego we wszystkie możliwe akcesoria, których nie zamawiał. Jednak był dobry w przekonywaniu klientów do zainwestowania w różne kosztowne drobiazgi. Auto znajdowało się w salonie dopiero od dwóch dni, taka szybka sprzedaż wyglądałaby imponująco w raporcie, który sporządzał raz na dziesięć dni. Co miesiąc musiał powiadomić tych z centrali, jakich obrotów się spodziewa w ciągu najbliższego kwartału. Te dane pomagały im ustalić, ile samochodów muszą wyprodukować. Jednak jeżeli miałyby

problem z osiągnięciem zamierzonych wyników, nie przysyłałaby mu dobrych aut, a jeżeli nie miałby atrakcyjnego asortymentu, interes zamarłby powoli.

Salon opustoszał tego popołudnia, ponieważ w pracy nie było dwóch z trzech sprzedawców, którzy podali Chetowi niezmiernie irytujące powody swojej nieobecności. Jeden zadzwonił z informacją, że ma katar. Na litość boską, co to za człowiek? Przez wszystkie lata Chet ani razu nie wziął sobie dnia wolnego z powodu choroby. Jerry Zimmerman, drugi sprzedawca, wymyślił równie kiepską wymówkę, a to oznaczało, że Chet musiał się zadowolić nowym pracownikiem, Winstonem Smithem, w którym nie pokładał większych nadziei.

Winston miał za sobą to samo wyczerpujące szkolenie co wszyscy sprzedawcy Chevroleta, ale ani śladu ognia w sobie. Chet nie był pewien, czego chłopak chciał od życia, lecz na pewno nie było to sprzedawanie samochodów. Miał jakieś niedorzeczne marzenia, jednak zamiast się brać do ich spełniania, tylko o nich gadał. Prawdopodobnie uważał sprzedawanie aut za środek do osiągnięcia celu, a nie - jak Chet - za powołanie. Na początku wydawało mu się, że chłopak rokuje jakieś nadzieje, ale nic z tego nie wyszło. Winston nie miał w sobie zapału i za nic nie mógł pojąć, o co chodzi w sprzedawaniu. Handel nie polega na długich, sympatycznych pogawędkach z klientami. Istotą handlu jest ubić interes, skłonić ludzi do podpisania umowy.

Chłopak musi się nauczyć przejmować kontrolę i narzucać innym własną wolę. Jak na razie był szczery i przystojny, może to mu wystarczy do czasu, gdy nabierze rozumu.

Chet przeszedł przez biuro, nie zwracając sobie głowy faktem, że jego córka o twarzy kartofla zajmowała się gryzmoleniem czegoś na różowym papierku, który na jego widok pospiesznie wsunęła do szuflady. Działo mu na nerwy, że płaci dolara za godzinę komuś, kto nie ma żadnych umiejętności biurowych. Nie potrafiła nawet odbierać telefonów, zawsze musiał być w pobliżu, żeby wynagradzać klientom jej humory i niegrzeczny ton.

Kathy była jedynaczką. Livia chciała mieć troje dzieci i to najszybciej, jak to możliwe.

Chet się ożenił, kiedy miał trzydzieści dwa lata, zamierzał przedtem coś w życiu osiągnąć. Gdy spotkał Livię, sprzedawał fordy w Santa Maria i miał już dosyć pracy na rachunek kogoś innego. Skrzętnie odkładał każdego centa i szacował, że nie później niż za rok uda mu się kupić własny salon. Nalegał, żeby poczekali z dziećmi co najmniej pięć lat, do czasu kiedy zdobędzie koncesję i rozkręci interes.

Livia wpadła (a przynajmniej tak twierdziła) niecałe pół roku po ślubie, co oznaczało, że plany na przyszłość trzeba było trochę skorygować. Teraz już się z tym pogodził, ale ciągle prześladowała go myśl, o ile lepiej by mu się powiodło, gdyby Livia go posłuchała. Złożył wtedy ukradkową wizytę pewnemu lekarzowi w Santa Teresa i dzięki małemu ciach-ciach zabezpieczył się przed kolejnymi tego rodzaju wpadkami.

Mimo to kiedy Kathy się urodziła - sześć tygodni za wcześnie - serce prawie mu pękło z dumy. Pierwszy raz zobaczył ją na sali noworodków przez wielką szklaną szybę. Wisiała przy niej karteczka: „Córka Cramerów”. Była taka maleńka, tylko trzy funty czternaście uncji. Livia została w szpitalu przez dwa tygodnie, a dziecko jeszcze przez cztery, dopóki nie osiągnęło wagi pięciu funtów. Rachunek tak mu dał po kieszeni, że przez kilka lat nie mógł dojść do siebie. A jednak nie narzekał. Był szczęśliwy, że córeczka jest zdrowa i śliczna jak obrazek. Wyobrażał sobie, że wyrośnie z niej piękna młoda dama, mądra i starannie wykształcona, całym sercem oddana swojemu tatusiowi. Zamiast tego miał na głowie tego wałkonia, spasionego i ponurego, a na dodatek z rozumkiem nie większym niż ziarnko maku.

Zniechęcony Chet wszedł do swojego gabinetu i usiadł w obitym skórą fotelu, obracając się tak, żeby widzieć rzędy mieniących się w oczach samochodów. Seria Advance Design pojawiła się na rynku w czerwcu 1948, a on wciąż podziwiał te samochody - otwierana na przodzie maska, ukryte zawiasy, wysoka, złożona z dwóch elementów przednia szyba.

Dwa lata później firma wprowadziła NAPCO, napęd na cztery koła. Ponieważ tego napędu nie dało się zainstalować, klient musiał kupić nowego chevroleta albo ciężarówkę GMC. Sprzedaż szła świetnie i zyski rosły.

Chet znał na wylot każdy samochód, który trafiał do jego salonu, znał również potrzeby okolicznych farmerów, hydraulików, dekarzy i cieśli. W rezultacie sprzedawał więcej samochodów niż inni dealerzy w hrabstwie i zamierzał zrobić wszystko, aby tak pozostało.

- Panie Cramer? Czy mogę prosić na słówko?

Chet się obrócił i zobaczył, że w drzwiach stoi Winston. Popołudniowe słońce wywindowało słupek rtęci na termometrze do jakichś dziewięćdziesięciu stopni i Winston był bardzo spocony, co nie wyglądało najlepiej. Będzie go trzeba poinstruować, żeby używał antyperspirantu.

Chet zerwał się z miejsca i obszedł biurko, wyciągając do Winstona rękę:

- Naturalnie, synu. Dobrze, że już jesteś. Widziałem, że zabrałeś coupe, mam nadzieję, że kroi się coś poważnego. Zobaczmy, czy pamiętasz, czego cię uczyłem o sprzedawaniu.

Miał zamiar pójść z Winstonem do salonu, aby uścisnąć dłoń nabywcy i pogratulować mu wyboru. Klienci lubili, kiedy właściciel salonu okazywał im zainteresowanie. Czuli się wtedy ważni. Odpowie na każde pytanie, sam o coś zapyta i dopilnuje, żeby wszystko poszło, jak trzeba.

Chet pomyślał, że Winston, niedoświadczony sprzedawca, będzie mu wdzięczny, jeśli wkroczy do akcji i pokaże mu, na czym polega sprzedaż.

Czoło Winstona było zroszone kropelkami potu. Musiał użyć chusteczki, by otrzeć pot z górnej wargi. Jego jabłko Adama zadrgało:

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Klient chciał wypróbować auto, żeby zobaczyć, jak się będzie czuć za kierownicą...

- Wysłałeś klienta z jednym z mechaników? Synu, to nie był najlepszy pomysł. Tu chodzi o sprzedaż, a to twoja działka. Wszelkie szczegóły techniczne mogą poczekać do czasu, kiedy interes jest już ubity.

Znajdę sposób, żeby obrócić to na naszą korzyść, ale na drugi raz do tego nie dopuszczaj.

Widział, że Winstonowi wcale się nie podoba jego reprimenda, jednak w pewnych sprawach są tylko dwie drogi postępowania: właściwa i niewłaściwa. Winston mógł zastosować się do wskazówek zwierzchnika. W drodze do salonu Chet minął biurko Kathy, Winston nie odstępował go na krok. Kathy udawała bardzo zajęta przerzucaniem papierów na biurku, jednak kiedy mężczyźni przechodzili koło niej, zerknęła ukradkiem na Winstona. Chet już wcześniej zauważył, że córka snuje się koło nowego sprzedawcy i jest w nim zakochana, jednak dzisiaj w jej oczach dostrzegł poczucie winy. Chyba się do niej nie przystawiał? Nie, nie mógł być aż tak głupi.

Nagle do Cheta dotarło, że obaj mechanicy pracują na serwisie, jednak samochodu nadal nie ma. Gwałtownie przystanął, a Winston omal na niego wpadł, jakby byli śmiesznymi ludzikami z kreskówki.

- Panie Cramer... To było tak... Klientka... jest bardzo zainteresowana tym wozem. Długo rozmawialiśmy i właściwie to już powiedziała, że go kupi. Nawet wspomniała, że za gotówkę.

Kiedy więc zapytała o jazdę próbną, wyjaśniłem jej, że nie mogę zostawić salonu, a ona powiedziała, że w porządku, że nie potrzebuje mojego towarzystwa, ponieważ ma zamiar przejechać się po okolicy i zaraz wraca.

Chet obrócił się i wlepił wzrok w Winstona. Poczul ból w sercu, jakby ktoś uderzył go pięścią w klatkę piersiową. BUM, BUM - w rytm uderzeń jego żyły napełniały się gęstą lodowatą substancją. Musiał coś źle zrozumieć, bo to, co usłyszał, po prostu nie mogło być prawdą. Jediną kobietą w mieście, która dysponowała wystarczającymi środkami, żeby wejść do salonu, wybrać auto i zapłacić za nie gotówką, była Cora Padgett. Jednak podczas lunchu Tom powiedział, że Cora jest poza miastem. Pojechała do Napa, aby razem z mieszkającą w Walnut Creek siostrą, Margaret, zwiedzić winiarnie. Miała wrócić dopiero w przyszłą środę - chyba że planowała niespodziankę i opowiedziała Tomowi tę historyjkę, żeby nie wiedział o zakupie.

- O kim ty mówisz? Jaka klientka?

- Pani Sullivan.

- Sullivan?

- Tak, proszę pana. Violet Sullivan. Jest na kupnie samochodu.

- Pozwoliłeś Violet Sullivan wziąć to auto i samej gdzieś pojechać?

Czy ty masz nie po kolei w głowie?

- Przepraszam. Wiem, jak to może wyglądać, to niezgodne z polityką firmy i w ogóle... Powiedziałem jej, że to nie jest dobry pomysł i żeby zaraz wracała, wie pan...

- Ile już jej nie ma? - głos Cheta był ostry. Czuł, że traci panowanie nad sobą. Starał się zawsze używać uprzejmego tonu w czasie rozmowy z podwładnymi, ale okropność tego błędu i możliwe konsekwencje...

- Nie patrzyłem na zegarek...

- Mniej więcej, kretynie!

- Chyba pojechała koło południa. Nie wiem, może nawet trochę wcześniej, ale mniej więcej koło południa.

Załóżmy, że próbował umniejszyć swoją winę. O czym my tu mówimy: cztery godziny?

Pięć? Chet zamknął oczy i cicho powiedział:

- Już tu nie pracujesz. Wynoś się.

- Ale proszę pana, mogę wszystko wyjaśnić...

- Natychmiast opuść salon. Zejdź mi z oczu albo dzwonię po policję.

Policzki chłopca płonęły ze wstydu, a spojrzenie, które utkwił w Checie, było żalosne. Chet zaczekał, aż chłopak wyjdzie. Wtedy obrócił się na pięcie i wrócił do gabinetu. Będzie musiał powiadomić szeryfa oraz drogówkę. Jeżeli miała wypadek albo ukradła samochód, do tej pory mogła być wszędzie. Miał kompleksową polisę, więc każdy samochód był ubezpieczony. Jednak jeśli wystąpi o odszkodowanie, jego składki ubezpieczeniowe natychmiast będą dwa razy wyższe. A i tak cienko ostatnio prządl. Opadł na fotel obrotowy i sięgnął po telefon.

- Tato? - w drzwiach stała Kathy.

- Co znowu?

- Pani Sullivan właśnie wróciła.

Spojrzał przez szybę i na widok coupe poczuł cudowną ulgę. Na pierwszy rzut oka samochód nie był zniszczony, przynajmniej te jego części, które mógł stąd dojrzeć. Ruszył do salonu ze świadomością, że Violet absolutnie nie mogła sobie pozwolić na zakup coupe.

Gdy nadchodził, obróciła się w jego stronę. Promieniowała niewiarygodną radością życia - ogniste włosy, kremowa cera, przejrzyste zielone oczy. Nigdy wcześniej nie widział jej z tak bliska, ponieważ Livia na jej widok ostentacyjnie przechodziła na drugą stronę ulicy, ciągnąc go za sobą. Livia uważała, że Violet to ładaczka, w tych swoich przezroczystych nylonowych bluzeczkach, przez które wszystko było widać. Dzisiaj Violet miała na sobie sukienkę na ramiączkach, która podkreślała jędrność jej ramion, a jej zwiewny dół śmiało odsłaniał nogi. Livia miała szeroką talię i wąskie horyzonty. Krytykowała każdego, kogo poglądy i przekonania stanowiły wyzwanie dla jej własnych. Cheta irytowały jej zjadliwe uwagi, ale trzymał język za zębami. Z oddali widywał Violet flirtującą z żonatymi mężczyznami i zastanawiał się, jak by to było, gdyby to na nim skupiała się cała jej uwaga.

- Witaj, Chet. Przepraszam, że tak długo mnie nie było.

Krążył wokół samochodu, dopóki się nie przekonał, że nie stało się z nim nic złego. Pod wpływem impulsu pochylił się i sprawdził licznik: dwieście pięćdziesiąt siedem mil. Na moment oniemiał. Zrobiła z tego pięknego, nowiutkiego bel aira kawałek używanego gówna.

- Proszę za mną do biura - warknął.

Violet dogoniła go i wsunęła mu rękę pod ramię, zmuszając go w ten sposób, żeby zwolnił.

- Jesteś na mnie zły, Chet? Mogę mówić do ciebie „Chet”?

- Może pani do mnie mówić „panie Cramer”, jak wszyscy. Nabiła pani dwieście pięćdziesiąt siedem mil na licznik tego auta. Gdzie, do kurwy nędzy, pani pojechała? - od razu pożałował, że zaklął, ale na Violet nie zrobiło to wrażenia. Otworzył drzwi do gabinetu, a kiedy przeszła obok niego, owiał go zapach jej wody kolońskiej.

Jego serce znów mocniej zabiło, jednak tym razem substancja w

żyłach była ciepła.

Odsunął się od niej.

- Proszę usiąść.

- Tak, proszę pana.

Usiadł za biurkiem, nagle świadomy władzy, jaka jest w jego rękach.

Musiała wiedzieć, że jest winna i że on może zażądać wszystkiego, co mu przyjdzie na myśl. Dwieście pięćdziesiąt siedem mil na liczniku nowiutkiego wozu? Zastanawiał się, czy przypadkiem nie ukartowała wszystkiego. Może obserwowała go w ten sam sposób, w jaki on ją obserwował? Teraz wpatrywała się w niego z zainteresowaniem, najwyraźniej nie przestraszyła się ani jego gniewu, ani szorstkich komend.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów. Był dżentelmenem, więc zaoferował jej ogień. Pochyliła się nad biurkiem, pozwalając mu zerknąć na wypukłość piersi, kiedy zapalała papierosa. Na podbródku miała siniaka. Dobrze wiedział, skąd się tam wziął. Wróciła na krzesło i założyła nogę na nogę. Zauważył, że za szklaną szybą w sekretariacie czai się Kathy.

Wpatrywała się w tył głowy Violet mściwym wzrokiem swojej matki, obmyślając nowe argumenty potwierdzające, że ma prawo czuć się lepsza. Kiedy zauważyła, że ojciec ją obserwuje, wstała i poszła nalać sobie zimnej wody. Miała dopiero czternaście lat, a już była sztywna, wredna i nadęta jak mamusia. Wyjęła kawałek różowego papieru i ułożyła go równo na środku biurka. Mógł dostrzec jej niezgrabne pismo, wściekle bazgroły przecinające papier.

Podniósł ołówek i bezmyślnie stukał nim w blat biurka. Nie miał pojęcia, jak to rozegrać, ale podobało mu się, że to on dyktuje warunki.

- Co z tym zrobimy, pani Sullivan?

Uśmiechnęła się powoli, z jej ust wypłynął obłoczek dymu, jakby w środku płonęła.

- Panie Cramer, cukiereczku, mam pewną propozycję, ale to chyba nie jest najlepsze miejsce na jej omówienie. Postaw mi drinka, a na pewno

dojdziemy do porozumienia.

Każda sylaba w jej ustach brzmiała jak obietnica. Jej wzrok był utkwiony w jego ustach i pełen żądz, jakiej nigdy nie widział w oczach kobiety, a już na pewno jakiej sam nigdy nie odczuwał. Czy to się dzieje naprawdę? Mógł ją mieć w każdej chwili. Był tego tak pewny jak swojego nazwiska. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, miał konwencjonalne upodobania. Czterdzieści siedem lat na karku i w ciągu piętnastu lat małżeństwa nigdy nie zdradził żony. Nie z braku okazji, ale - pojawił to teraz - zrozumienia. Po pierwszych paru miesiącach małżeństwa seks z Livią stał się rutyną - przyjemny i oczywiście przynoszący ulgę, ale pozbawiony ognia. Może Livia nie była dziko atrakcyjna i można jej było wiele zarzucić, musiał jednak przyznać, że nigdy mu nie odmówiła ani nigdy nie zająknęła się, że nie lubi seksu. Nie żeby był niezaspokojony, po prostu nie rozumiał, o co ludzie robią tyle szumu. W jednej chwili to się zmieniło.

Oto siedziała przed nim Violet Sullivan. Bezczelna i zuchwała, rozpałała go, wznieciła w nim pożądanie tak nieposkromione, że z trudem łapał oddech. Pomyślał, że może to właśnie ludzie nazywają sprzedaniem duszy diabłu. Bo w tym momencie wiedział na pewno, że dla Violet mógłby nawet zgnieć w piekle.

ROZDZIAŁ 10

W czwartek jak zwykle wstałam o szóstej, żeby zaliczyć trzymilowy jogging. Wolę mieć ćwiczenia z głowy, zanim zacznę dzień. Późnym popołudniem zbyt łatwo jest pozwolić sobie na siedzenie na tyłku. Poranne powietrze było lekko chłodne, a niebo zdołały warstwy bladuróżowych i bursztynowych chmur, zachodzących na siebie jak falbanki okalające jasnoniebieski obrus. Krótki spacer na plażę potraktowałam jako rozgrzewkę, potem pobiegłam truchtem. Wzdłuż ścieżki rowerowej stały nieruchome palmy, nawet najmniejszy wietrzyk nie poruszał ich liści. Pomiedzy ścieżką rowerową a plażą rozciągał się szeroki na piętnaście stóp dywan intensywnie różowych kwiatów. Za nimi kłębił się i kotłował ocean. Jakiś mężczyzna zaparkował na postoju i

rzucał na trawę okruszki. Ze wszystkich stron nadlatywały mewy, krążyły mu nad głową i radośnie skrzeczały. Przyspieszyłam, bo moje ciało już się rozgrzało, a mięśnie - rozluźniły. To nie była najlepsza przebieżka w moim życiu, ale i tak było nieźle.

Kiedy wróciłam do domu, wzięłam prysznic, wskoczyłam w dżinsy, buty i T-shirt, a następnie zjadłam talerz płatków, przeglądając lokalną gazetę. O ósmej trzydzieści rano dotarłam do biura, gdzie przez godzinę wykonywałam telefony niezwiązane ze sprawą Violet Sullivan. O dziewiętej trzydzieści zamknęłam biuro, zataczałam do auta walizkową maszynę do pisania i ruszyłam do Santa Maria na spotkanie z Kathy Cramer. Niewiele się po nim spodziewałam. W 1953 Kathy była za młoda, żeby uważnie obserwować dorosłych, jednak doszłam do wniosku, że warto spróbować. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś informacja albo przypadkowo rzucona uwaga wypełnią puste miejsce na płótnie, które kawałeczek po kawałeczku zamalowywałam.

Budowa The Uplands - położonego przy polu golfowym osiedla willowego, na które się właśnie wprowadziła Kathy Cramer - nie była jeszcze zakończona. Pole golfowe przypominało kształtem literę „V” i miało rozmiary niewielkiej doliny. Nieregularne alejki przecinały jaskrawozielony trawnik. Pomiędzy dziewięcioma znajdującymi się z przodu i dziewięcioma znajdującymi się z tyłu dołkami lśniło sztuczne jezioro. Wille przycupnęły na biegnącym wzdłuż jednego boku pola wzniesieniu, podczas gdy na przeciwległym wzgórzu teren był rozparcelowany i oznaczony małymi chorągiewkami. Wiele domów było już gotowych, stały otoczone darniowymi trawnikami, różnymi krzaczkami i małymi drzewkami. Inne dopiero budowano, niektóre miały tylko szkielec lub składały się ze świeżo odlanych płyt. Po drugiej stronie niskich, falujących wzgórz widziałam wiele domów, mniej lub bardziej wykończonych.

Dom Kathy był gotowy, ale jeszcze bez zieleni wokół. Wzdłuż ulicy stały budynki wyglądające tak samo jak dom Kathy - żółtawy tynk i czerwone dachówki. Zaparkowałam przy krawężniku, wśród tekturowych

pudeł oczekujących na przyjazd śmieciarki. Podeszłam ścieżką do drzwi. Na niskiej werandzie już stały dwa krzesła ze sztucznej wikliny i kanapa, a na podłodze leżała wycieraczka z napisem „Witajcie”.

Akurat pukałam do drzwi, kiedy na podjazd wjechał samochód i wysiadła z niego kobieta z burzą kręconych blond włosów przytrzymywanych granatową opaską. Miała na sobie tenisówki, granatowe szorty i granatową kurtkę do kompletu, spod której wyglądał biały trykot. Jej nogi były szczupłe i umięśnione jak nogi rowerzysty.

- Przepraszam, mam nadzieję, że nie czekałaś długo.

Myślałam, że zdążę, zanim przyjedziesz. Jestem Kathy - powiedziała.

- Cześć, Kathy, jestem Kinsey. Miło cię poznać - przedstawiłam się. -

Świetnie przewidziałaś czas, właśnie przyjechałam.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie, po czym Kathy odwróciła się i otworzyła drzwi.

- Pojechałam na wcześniejsze zajęcia jazzercise, ale w drodze do domu utknęłam w korku. Chcesz wody z lodem? Muszę uzupełnić płyny.

- Nie, dziękuję. Lubisz jazzercise?

- Powinnam. Chodzę na zajęcia sześć-osiem razy w tygodniu - rzuciła torbę na stolik przy drzwiach. - Rozgość się, zaraz wracam.

Zniknęła w głębi holu, kierując się do kuchni, jej gumowe podeszwy

piszczały przy zetknięciu z płytkami ceramicznymi. Obróciłam się w prawo i zeszłam dwa stopnie do znajdującego się na niższym poziomie salonu. Ściany były olśniewająco białe. Na jednej z nich wisiało potwornie duże malowidło kupione w sieci komercyjnych galerii prezentujących prace jednego artysty. Przedstawiało rozmyty, jesienny pejzaż - kłacz i źrebak na pastwisku o świcie.

Okna były gołe, światło sączyło się przez mgiełkę pyłu, jaki unosi się w nowych mieszkaniach. Jasnoniebieska włochata wykładzina musiała tu być od niedawna, ponieważ po podłodze plątały się kawałeczki materiału - kłaczki i skrawki -zostawione przez posadzkarzy.

Komplet składający się z kanapy i dwóch krzeseł był obity kremową szenilą. Na stoliku do kawy Kathy ułożyła stosik magazynów o urządzaniu i aranżowaniu wnętrz, dekorację z bladoniebieskich jedwabnych kwiatów i kilka kolorowych fotografii w srebrnych ramkach. Dziewczynki na zdjęciach były trzema wersjami matki - te same oczy, ten sam uśmiech, te same gęste blond włosy. Między najstarszą a najmłodszą było jakieś sześć lat różnicy. Najstarsza miała prawdopodobnie trzynaście lat, a na zębach błyszczący aparat ortodontyczny.

Pozostałe dwie mogły mieć jedenaście i dziewięć. Średnia była wystrojona w mundurek mażoretki i wysoko nad głowę trzymała pałkę. Kathy wróciła do salonu z dzbankiem wody z lodem. Znalazła podkładkę pod szklanekę i ruszyła w stronę granatowych foteli klubowych stojących wokół stolika ze szklanym blatem, jakby przygotowanych do jakiejś konferencji. Wyobraziłam sobie spotkanie stowarzyszenia sąsiedzkiego, podczas którego pod ostrzałem krytyki znajdą się tandetne ozdoby na podwórkach innych ludzi. Usiadła w fotelu, a ja naprzeciwko niej. Nie musiałam się specjalnie przypatrywać, żeby zapamiętać, jak wygląda. Na oko była młodą czterdziesto-ośmio- albo czterdziestodzieciolatką. Chudą, ale wyglądającą na osobę, która musi pilnować wagi.

Wydawała się spięta, jednak zaraz po treningu jej energia mogła być

efektem godziny forsownych ćwiczeń. Pewnie całe lato pracowała nad opalenizną, oczami wyobraźni widziałam basen w ogródku z tyłu poprzedniego domu.

- To twoje córki? - zapytałam.

- Tak, ale to stare zdjęcia. Tiffany miała wtedy dwanaście lat. Teraz ma dwadzieścia pięć i za rok w lipcu wychodzi za mąż.

- Miły facet?

- Przystojniaczek. Studiuje prawo na UCLA, więc nie wyprowadzą się daleko.

- A pozostałe dwie?

- Amber ma dwadzieścia trzy lata. W gimnazjum była mażoretką w szkolnym zespole. Teoretycznie jest na ostatnim roku studiów, ale wzięła sobie rok wolnego i podróżuje. Brittany za rok kończy dwadzieścia lat. Chodzi do Allan Hancock - wyjaśniła, podając nazwę lokalnej szkoły przygotowującej do studiów.

- Są do ciebie bardzo podobne. Pewnie trzymacie sztamę.

- Och, są wspaniałe. Świetnie się razem bawimy. Chcesz zobaczyć resztę domu?

- Z przyjemnością.

Wstała i ruszyliśmy na obchód.

- Kiedy się wprowadziliście?

- Tydzień temu. Ciągle mam tu bałagan - powiedziała, oglądając się przez ramię, kiedy szliśmy holem. - Połowa paczek jest nierozpakowana. Większość rzeczy już tu przewieźliśmy, ale niektóre pokoje będą nieumeblowane do Bóg wie kiedy. Muszę znaleźć dekoratora, z którym się dogadam. Zwykle są tacy uparci, zauważyłaś?

- Nie pracowałam jeszcze z żadnym.

- I niech tak zostanie.

Oprowadziła mnie po domu, objaśniając to, co sama widziałam: pusta jadalnia, pokój kredensowy, obszerna kuchnia, garderoba i pralnia. Przez kuchenne okna widać było podwórko z tyłu domu, betonowe patio tkwiące jak wyspa pośrodku nagiej ziemi. Na piętrze pięć pokoi -

apartament państwa Cramer, sypialnie dziewcząt i pozbawiony mebli pokój gościnny.

Kathy paplała i paplała, całkowicie pochłonęły ją własne pomysły na urządzenie domu, a ja rzucałam beztroskie, nieszczerze uwagi:

- Och, szaleję na punkcie Ludwika XIV! Wspaniale będzie tu wyglądał.

- Tak myślisz?

- Dokładnie. Świetnie to wymyśliłaś.

Ściany sypialni Tiffany były jasnokremowe, pokój umeblowany, ale odniosłam wrażenie, że dziewczyna nie ma zamiaru się wprowadzać.

Żyła już przyszłością, w której będzie tu wracać na wakacje jako mężatka, w towarzystwie małżonka i dzieci. Pokój Amber był urządzone na fioletowo i również robił wrażenie opuszczonego. Brittany, dziesięcioletka, ciągle sprawiała wrażenie przywiązanej do swojej kolekcji pluszowych zwierzątek. Wybrała kolorystykę różowo-białą - paseczki, kratka, kwiatki. Wszystko było ozdobione falbankami, łącznie z toaletką, narzutą i baldachimem nad jej łóżkiem. Kathy szczegółowo omówiła liczne triumfy odniesione przez każdą z dziewcząt, ale do tego czasu już przestałam jej słuchać.

- Dom jest cudowny - zauważyłam, ciężko schodząc po schodach.

- Dzięki. Mnie też się podoba - uśmiechnęła się do mnie.

- Czym się zajmuje twój mąż?

- Sprzedaje auta.

- Tak jak twój ojciec.

- Pracuje u taty.

- Świetnie. Wpadnę go odwiedzić. W najbliższych dniach zajrzę do salonu, żeby pogadać z twoim ojcem o Violet. Czy to nie on sprzedał jej tamten samochód?

- Owszem, ale wątpię, czy się od niego dowiesz czegoś nowego.

- Każdy strzępek informacji może się przydać. To jak układanie puzzli, kiedy się nie ma obrazka na pudełku. W tym momencie sama nie wiem, na co patrzę.

Kiedy znalazłyśmy się z powrotem w salonie, Kathy usiadła na kanapie, a ja zajęłam krzesło obite szenilą. Potrząsnęła szklanką, aż zagrzechotał lód, po czym wypila pół cala wody, które się zebrało, kiedy my oglądałyśmy dom.

- Jak dobrze znałaś Violet?

- Nie za dobrze. Miałam czternaście lat i rzadko ją widywałam. Matka szczerze jej nienawidziła. Jak na ironię, sześć miesięcy po śmierci mamy tata ożenił się z kobietą, która wyglądała całkiem jak Violet - takie same ufarbowane na rudo włosy, takie same maniery białej biedoty. Caroleena nie ma jeszcze czterdziestu pięciu lat, jest trzy lata młodsza ode mnie, wyobrażasz sobie? Miałam nadzieję, że to przejściowe, ale są już małżeństwem od dwudziestu lat, więc raczej zagościła u nas na stałe. Niestety.

- Taaa - powiedziała, bo nie mogłam wymyślić nic lepszego.

Zreflektowała się i dodała:

- To żenujące, ale co można zrobić? Chyba powinnam się cieszyć, że ma kogoś, kto o niego zadba. Oszczędza mi to fatygi. Oczywiście idę o zakład, że jak tylko tata zachoruje, Caroleena powie mu „do widzenia”.

- Ile jest między nimi lat różnicy?

- Trzydzieści sześć.

- Rany!

- No właśnie, „rany”. Kiedy się pobierali, on miał sześćdziesiąt jeden lat, a ona dwadzieścia pięć. Nawet mnie nie pytaj, dlaczego to zrobiła. Żyje w dostatku i wie, jak dostać wszystko, czego zapragnie - Kathy potarła kciuk o palec wskazujący gestem oznaczającym pieniądze.

Uniosłam brwi, zastanawiając się, czy „nowa” pani Cramer spróbuje odebrać jedynej córce Cheta należny jej spadek.

- A Violet? Musiałaś coś o niej myśleć.

- Och, daj spokój. Matka zadbała, żebym myślała dokładnie to co ona. Violet rzucała się w oczy, ale to by było wszystko. Mężczyźni latali za nią jak psy za suką, więc musiała coś w sobie mieć. Cokolwiek to było, ja tego nie dostrzegałam.

- Czy tamtego wieczoru poszłaś oglądać fajerwerki?

Wyrównała krawędzie magazynów o urządzaniu wewnątrz.

- Tak. Ja i Liza miałyśmy iść razem, ale Violet poprosiła Lizę, żeby się zaopiekowała dzieckiem, więc z fajerwerków nici. Myślę, że Liza poszła tam o szóstej, żeby wykąpać Daisy i położyć ją do łóżka.

- Widziałaś może Foleya w parku?

- Pewnie. Przez chwilę rozmawiał z mamą. Wcześniej wstąpił do Blue Moon i jak zwykle był pijany, więc on i mama pokłócili się.

- O co?

- Kto to wie?

- Ty też z nim rozmawiałaś?

- Ja nie. Bałam się go, nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

- Czy odwiedzałaś Lizę, kiedy zostawała z Daisy?

- Od czasu do czasu. Cieszę się, że mama nigdy tego nie odkryła. Była abstynentką i wierzyła, że całe zło na świecie bierze się z butelki.

- Co w Foleyu było takiego groźnego?

- Raczej zapytaj, co nie było. Był brutalny, porywczy, nagle wybuchał gniewem. Kiedy się z nim przebywało, nie można było przewidzieć, co się zaraz stanie. Myślałam, że skoro mógł uderzyć Violet, to czemu nie Lizę albo mnie.

- Widziałaś kiedyś, jak bije Violet?

- Nie, ale widziałam, jak Violet wyglądała na drugi dzień. To mi wystarczało.

- Kiedy się dowiedziałaś, że odeszła?

- W niedzielę rano. Nie wiedziałam, że odeszła na dobre, ale usłyszałam, że nie wróciła do domu. Po kościele przyszedł do nas na lunch pan Padgett i to on powiedział mamie.

- Skąd to wiedział?

- W miasteczku wielkości Serena Station wszyscy wszystko wiedzą. Może ktoś zauważył, że przed domem Sullivanów nie ma samochodu. Wystarczyłoby, żeby ludzie rozpuścili języki.

- Czy były jakieś plotki na temat mężczyzny, z którym się spotykała

Violet? Musiał być jakiś podejrzany.

- Niekoniecznie. Violet była lafiryndą, więc to mógł być każdy. Jakiś facet, którego poderwała w barze.

- Rozumiem, że nie byłaś zaskoczona, kiedy uciekła?

- Do diaska, nie. To było w stylu Violet.

- Nawet jeśli to znaczyło, że już nigdy nie zobaczy Daisy?

Kathy skrzywiła się:

- Daisy była wtedy płaczkliwym bachorem. No i pomyśl, co oni mieli za życie. Sullivanowie byli nędzarami, ich dom był obrzydliwy, a Foley lał Violet, kiedy tylko miał okazję. Raczej należy zapytać, dlaczego tak długo zwlekała.

Z osiedla Kathy Cramer pojechałam do miasta. Na parkingu centrum handlowego znalazłam budkę telefoniczną. Wykręciłam numer do pracy jedyne go brata Violet. Odebrała kobieta:

- Wilcox Construction.

- Dzień dobry. Nazywam się Kinsey Millhone. Czy mogę rozmawiać z Calvinem Wilcoxem?

- Można zapytać w jakiej sprawie?

- Chodzi o jego siostrę.

Chwila ciszy.

- Pan Wilcox nie ma siostry.

- Może teraz nie, ale kiedyś miał. Zapyta go pani, czy może poświęcić mi kilka minut?

Chciałam z nim porozmawiać.

- Proszę zaczekać, sprawdzę, czy jest.

Pomyślałam, że mówi tak, żeby po chwili spokojnie poinformować mnie, że „nie ma go przy biurku”, ale zamiast tego w słuchawce usłyszałam męski głos:

- Wilcox.

Wyłuszczyłam, o co mi chodzi, usiłując się streszczać, bo miał głos mężczyzny, który lubi konkrety.

- Jeżeli może pani tu przyjechać w ciągu pół godziny, to w porządku.

W innym przypadku w grę wchodzi dopiero przyszły tydzień.

- Zaraz tam będę.

Biuro Wilcox Construction mieściło się przy autostradzie numer sto sześćdziesiąt sześć, w stalowym budynku z gotowych prefabrykatów, stojącym na wąskiej parceli otoczonej drucianą siatką. Zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz budynek był funkcjonalny. Przy biurku koło drzwi siedziała sekretarka-recepcjonistka, do której obowiązków należało zapewne pisanie na maszynie, prowadzenie dokumentacji, robienie kawy i wyprowadzanie na spacer drzemiącego koło biurka owczarka niemieckiego.

- To pies podwórzowy - wyjaśniła, przyglądając mu się z czułością. -

Może wygląda tak, jakby przesypiał godziny pracy, ale jego zmiana zaczyna się o zachodzie słońca. Tak przy okazji, jestem Babs. Pan Wilcox rozmawia przez telefon, ale zaraz będzie wolny. Kawy?

Właśnie zaparzyłam.

- Raczej nie, ale dzięki.

- W takim razie proszę usiąść.

Napełniła kubek kawą z dzbanka ze stali nierdzewnej, a kiedy tylko usiadła, zadzwieczał telefon.

- To on. Może pani wejść.

Calvin Wilcox miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Nosił dżinsową koszulę z krótkimi rękawami i dżinsy spięte paskiem pod średniej wielkości brzuszkiem. W kieszonce na piersi widać było zarys paczki papierosów. Miał przerzedzone rude włosy i piegowate ramiona. Jego policzki były ogorzałe, zielone oczy błyszcząły na tle rumianej twarzy. Wiedziałam, że patrzę na męską wersję zielonych oczu Violet i jej farbowanych, rudych włosów.

Pochyliliśmy się nad biurkiem, żeby uścisnąć sobie dłonie. Był dużym mężczyzną, nie wysokim, ale postawnym. Poczekał, aż się usadowię, i wtedy też usiadł w fotelu obrotowym.

Odchylił się do tyłu i oparł but o krawędź biurka, prawdopodobnie była to jego ulubiona pozycja. Podniósł ramiona i splótł palce nad głową.

Wyglądał na rozluźnionego i otwartego, ale wątpiłam, czy tak się czuje. Na ścianie za nim wisiała czarno-biała fotografia przedstawiająca go na budowie. Kask ocieniał mu twarz, a biznesmeni stojący koło niego nie mieli nic na głowach i mrużyli oczy. Jeden trzymał łopatę, więc sądziłam, że to ceremonia położenia fundamentów.

Uśmiechnął się, obserwując mnie przebiegłymi oczami.

- Moja siostra Violet. Znowu daje o sobie znać.

- Przepraszam za kłopot. Wiem, że co kilka lat ktoś do tego wraca.

- Powinienem już przywyknąć. Jak szło to stare porzekadło? „Natura nie znosi próżni”. Ludzie chcą jakiegoś zakończenia. Inaczej zawsze może się zdarzyć coś nowego. Jak długo pracuje pani dla Daisy?

- Niedługo.

- Rozumiem, że Daisy może wydawać swoje pieniądze, jak chce, ale co ona próbuje osiągnąć?

- Chce znaleźć matkę.

- Taaa, tyle wiem, a potem co?

- To zależy od tego, gdzie ją znajdzie.

- Nie chce mi się wierzyć, że po tych wszystkich latach ciągle ją to gryzie.

- A pan? Pana też to dręczy?

- Ani trochę. Violet zrobiła tak, jak jej pasowało. Jej życie - jej sprawa. Rzadko kiedy się do mnie zwracała, a gdy jej coś radziłem, natychmiast robiła dokładnie na odwrót. To mnie nauczyło trzymać gębę na kłódkę.

- Czy mówiła, że Foley ją bije?

- Nie musiała o tym mówić. To było oczywiste. Złamał jej nos i dwa żebra, wyszczerbił ząb. Nie wiem, dlaczego to znosiła. Jeżeli chciałaby się wyrwać, pomógłbym jej, ale ona zawsze do niego wracała. Wreszcie dałem sobie spokój.

- Jest pan starszy czy młodszy od Violet?

- Dwa lata starszy.

- Macie inne rodzeństwo?

- Chciałbym. Kiedy rodzice się starzeją, dobrze jest mieć kogoś, z kim

można się podzielić obowiązkami. A z Violet nie miałbym żadnego pożytku, to bardziej niż pewne.

- Rodzice jeszcze żyją?

- Nie. Ojciec miał kilka ataków serca w 1951. Trzy, jeden po drugim, ostatni śmiertelny. Lekarze stwierdzili, że to wrodzona wada. Miał czterdzieści osiem lat. Jak dotąd przeżyłem go o trzynaście. Matka umarła parę lat temu, miała osiemdziesiąt cztery lata.

- Jest pan żonaty?

- Tak. A pani ma męża?

- Nie mam, a oboje rodzice nie żyją.

- Ma pani szczęście. Moja matka wiele lat spędziła w domu spokojnej starości. Hmmm, nazwijmy to miejsce „zakładem”, bo nazwa „dom” nie pasuje. Dzwoniła do mnie sześć albo siedem razy w tygodniu i błagała, żebym ją stamtąd zabrał. Jeśli o mnie chodzi, zrobiłbym to, ale moja żona nie chciała o tym słyszeć. Jest maklerem giełdowym. Za nic nie zrezygnowałaby z pracy, żeby się zajmować matką. Nie mam do niej pretensji, ale bywało ciężko.

- Ma pan dzieci?

- Czterech chłopaków, wszyscy dorośli, są już na swoim. Dwóch mieszka tutaj, w mieście. Trzeci jest w Reno, a czwarty w Phoenix - zerknął na zegarek. - Jeśli chce pani pytać o Violet, proszę się pośpieszyć. Zaraz mam spotkanie.

- Przepraszam. Ludzie tak mnie ciekawią, że się zapominam.

- Mnie to nie przeszkadza. Taki ma pani fach.

- Rozumiem, że pan i Violet nie byliście sobie bliscy?

- Zgadła pani. Ostatni raz się widzieliśmy, kiedy przyszła do biura i prosiła o pieniądze. Byłem taki głupi, że jej dałem.

- Ile?

- Dwa patyki. Na wypadek gdyby się pani zastanawiała - to był pierwszy lipca. Prosto stąd poszła do matki i ją też zbałamuciła. Matka nie miała wiele, ale Violet zdołała wyłudzić od niej pięćset dolarów. Miesiąc później odkryliśmy, że przy okazji ukradła najlepszą biżuterię

matki: diamentowe bransoletki, kolczyki, dwa perłowe naszyjniki - wszystko. Bizuteria miała wartość trzech tysięcy dolarów, których nigdy więcej nie zobaczyliśmy.

- Skąd pan wie, że to jej sprawka?

- Matka sobie przypomniała, że Violet musiała skorzystać z toalety. Po drodze przechodziła przez sypialnię, a kasetka z biżuterią leżała na toaletce. Matka nie otwierała jej aż do dnia swoich urodzin, kiedy z Rachel zaprosiliśmy ją na kolację do Klubu. Chciała się wystroić i właśnie wtedy okazało się, że wszystko zniknęło.

- Zgłosił pan kradzież na policję?

- Chciałem, ale matka się nie zgodziła. Powiedziała, że skoro Violet tak bardzo tego potrzebowała, to niech sobie zatrzyma.

- Czy Violet przedtem coś ukradła?

- Nie, ale kiedy tylko miała okazję, pożyczła pieniądze, zwykle niewielkie sumy. Twierdziła, że to dla Daisy, żebyśmy jej nie odmówili.

- To dziwne. Chwaliła się, że ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Foley mówi, że dostała te pieniądze z ubezpieczenia, nie jest pewien co do sumy, jednak wie, że je miała.

- Mnie mówiła to samo, ale myślałem, że to g... prawda. Jeżeli miała tyle pieniędzy, po co próbowałaby wycygnąć ode mnie dwa patyki?

- A jeśli chciała zebrać jak najwięcej, bo zamierzała wyjechać?

- Też możliwe.

- Czy mogła się skontaktować z matką? Wydaje mi się, że nawet jeśli się jej udało rozpocząć nowe życie, to może nie chciała zupełnie zrywać z przeszłością.

- Ze mną się z pewnością nie kontaktowała. O ile mi wiadomo, Violet nie była do nikogo przywiązana. Nie mogła dotrzeć do matki bez mojej wiedzy. Po pierwsze, jej numer był zastrzeżony, a cała poczta przechodziła przez moje ręce. Przez pewien czas matkę mieli na celowniku naciągacze, przysyłali jej listy z „lukratywnymi” propozycjami finansowymi albo pisali, że wygrała na loterii i teraz musi jedynie uiścić opłatę manipulacyjną. Była tak łatwowierna, że oddałaby nawet meble,

gdyby ją ktoś o to poprosił.

- Ten zakład był dobrze strzeżony?

- Myśli pani, że Violet mogła się tam zakraść? Proszę o tym zapomnieć. Po co jej była matka, skoro już nie można było jej nic ukraść? Oczywiście teraz, kiedy matka nie żyje, to nieistotne, ale proszę mi uwierzyć - jeżeli Violet zdołała rozpocząć nowe życie, nie ryzykowałaby wszystkiego dla kobiety, którą miała w dupie.

- Ma pan jakiś pomysł, gdzie mogła pojechać?

- Gdziekolwiek ją droga zaprowadziła. Kierowała się impulsem, nie robiła długoterminowych planów.

- Ale jak pan myśli? Sądzi pan, że siostra żyje?

- Tego nie powiedziałem. Jeżeliby żyła, wróciłyby, żeby błagać, pożyczać albo kraść. Nie przetrwałyby nawet miesiąca bez zapomogi. Zdjął nogę z biurka, pochylił się i oparł łokcie na biurku.

- Chce pani wiedzieć, co myślę?

- Pewnie, słucham.

- Chce pani uszczęśliwić Daisy? W porządku. Zarobić parę dolców? Pani sprawa. Ale niech pani nie robi z tego swojej świętej życiowej misji. Znajdzie pani Violet - tylko narobi pani kłopotów.

- Komu?

- Każdemu, łącznie z Daisy.

- Czy wie pan coś, czego ja nie wiem?

- Wiem, jaka jest Violet. Nic dobrego z tego nie będzie.

ROZDZIAŁ 11

Chet Cramer Chevrolet - trzy akry lśniących samochodów, piętnaście przestronnych stanowisk serwisowych i dwupoziomowy oszklony salon - mieścił się na Main Street w Cromwell. Na parterze znajdowało się sześć małych oszklonych biur, każde wyposażone w biurko, komputer, zestaw szafek na dokumenty, dwa krzesła dla klientów, wyeksponowaną kolekcję rodzinnych zdjęć oraz dyplomy za osiągnięcia w sprzedaży. W jednym takim boksie toczyła się właśnie ożywiona dyskusja między dobrze zbudowanym sprzedawcą a parą klientów, którzy najwyraźniej byli mniej

niż on chętni do ubicia interesu.

Nigdzie nie widziałam recepcji, ale zauważyłam strzałkę wskazującą dział części i akcesoriów. Ruszyłam naprzód krótkim korytarzem, mijając po drodze toalety oraz poczekalnię z wygodnymi krzesłami, w której dwoje ludzi czytało czasopisma. Można było zjeść tam paczka, a automat serwował za darmo herbatę, gorącą czekoladę, kawę, cappuccino i latte. Znalazłam kasjerkę i powiedziałam jej, że jestem umówiona z panem Cramerem.

Zapytała mnie o nazwisko i zadzwoniła do jego gabinetu, by go zawiadomić, że już przyszedłam.

Pan Cramer wciąż się nie zjawiał, więc wróciłam do salonu i przechadzałam się między kabrioletem corvette a kombi caprice.

Najlepiej prezentował się jaskrawoczerwony kabriolet iroc-Z camaro z jasnobrązowym wnętrzem. Dach był odsunięty, a skórzane siedzenia miękkie.

Spróbujcie tylko śledzić kogoś w takim cacuszku. Odwróciłam się i stanęłam oko w oko z panem Cramerem. Włożył ręce do kieszeni i razem ze mną podziwiał ten wóz. Policzyłam na palcach i wyszło mi, że miał niewiele ponad osiemdziesiąt lat. W młodości musiał być przystojny. Unosiła się wokół niego jakby aura dawnej wielkości - zanim się skurczył z upływem lat, pewnie był potężnym mężczyzną. Nosił garnitur w rozmiarze, który śmiało mógłby włożyć młody chłopak.

- Jakim autem pani jeździ? - zagadnął.

- Volkswagensem rocznik 1974.

- Nie będę pani nic reklamował, bo wygląda pani na kobietę, która wie, czego chce.

- Chciałabym tak myśleć - odpowiedziałam.

- Przyszła pani porozmawiać o Violet Sullivan.

- Tak.

- Chodźmy do mojego gabinetu. Jeśli ludzie zauważą, że tu jestem, nie dadzą mi chwili spokoju.

Poprowadził mnie przez salon i schodami do góry. Kiedy znaleźliśmy

się przed drzwiami jego gabinetu, otworzył je i przepuścił mnie przodem. Pokój był urządzone z prostotą - drewniane biurko, kanapa, trzy fotele i białe ściany, na których powiesił mnóstwo czarno-białych fotografii przedstawiających jego samego z lokalnymi grubymi rybami. Izba Handlowa Cromwell wręczyła mu pochwałę za działalność charytatywną. Całkiem możliwe, że meble stały tu od początku jego kariery.

- Skończyła pani studia? - okrążył biurko i usiadł.

Usadowiłam się naprzeciwko, torbę położyłam na podłodze, koło stóp.

- Tak bym tego nie ujęła. Studiowałam dwa semestry, ale to się chyba nie liczy.

- To i tak więcej niż ja. Mój ojciec kopał rowy i nigdy nie zaoszczędził nawet centa. Zginął w wypadku samochodowym, kiedy kończyłem szkołę średnią. Przez tydzień padało, szosa była śliska jak szklanka, stoczył się z mostu. Byłem najstarszy z czterech chłopaków, musiałem iść do pracy. Ojciec nauczył mnie jednej rzeczy - trzymać się z daleka od pracy fizycznej. Nienawidził swojej roboty. Mówił mi: „Synu, jeśli chcesz zarobić, poszukaj takiej pracy, żebyś musiał brać prysznic przed pójściem do niej, a nie po powrocie”. Twierdził, że jeśli chodzi o brudną robotę, zawsze można kogoś wynająć. Tego trzymam się do dzisiaj.

- Dlaczego akurat sprzedawanie samochodów?

- Z desperacji. Wszystko w końcu się ułożyło, ale na początku nie wyglądało tak różowo. Jedyнным człowiekiem, który chciał mnie zatrudnić, był George Blickenstaff, właściciel lokalnego salonu Forda. Był starym przyjacielem rodziny i, jak sądzę, zlitował się nade mną. Zacząłem sprzedawać fordki, kiedy miałem dziewiętnaście lat. To był rok 1925. Nieszczerólnie to lubiłem, ale przynajmniej miałem robotę. Okazało się, że mam dryg do handlu. Cztery lata później giełda się załamała.

- Pewnie nie wpłynęło to dobrze na interesy.

- W niektórych miejscach tak, ale tutaj nawet nie. Zawsze byliśmy tylko plotkami, więc nie był to dla nas taki cios jak dla większych salonów. Kiedy nadszedł Wielki Kryzys, radziłem sobie już całkiem

nieźle - w każdym razie w porównaniu z innymi. Do tego czasu byłem już najlepszym sprzedawcą u Blickenstaffa. Można by pomyśleć, że handel miałem we krwi. Oczywiście byłem zarozumiały i uważałem, że należy mi się własny salon.

- I wtedy kupił pan to miejsce?

- Nie, wiele lat później. Problem w tym, że kiedy tylko miałem w banku pieniądze, zawsze trafiały się jakieś niespodziewane wydatki i znowu byłem spłukany. Wysłałem braci na studia, a kiedy właśnie kończyłem spłacać dom matki, staruszka zachorowała. Najpierw przyszedł ogromny rachunek za szpital, a potem doszły wydatki związane z pogrzebem i koszt nagrobka, no i z oszczędności nici. Ożeniłem się, dopiero kiedy miałem trzydzieści dwa lata, i to znowu był krok do tyłu, bo rodzina to kolejne wydatki.

- Jednak nie poddał się pan.

- Ach, za mało powiedziane. W 1939 zorientowałem się, co jest grane. Kiedy tylko Niemcy napadły na Polskę, zacząłem namawiać starego Blickenstaffa, żeby robić zapasy opon, części samochodowych i benzyny. Nie chciał mnie słuchać, ale ja wiedziałem, że takiej okazji nie można przepuścić. Udział Stanów w tej wojnie był pewny. Każdy głupi to rozumiał - oczywiście oprócz niego. Wiedziałem, że kiedy Stany przystąpią do wojny, racjonowanie będzie nieuniknione, a nas nie może to zaskoczyć. Nie zdołałem go przekonać, ale wiedziałem, że mam rację, i nie odpuściłem. Intuicja mnie nie zawiodła. Kiedy wybuchła wojna, w okolicy nie było równie dobrze zaopatrzonego dealera. Ludzie pchali się drzwiami i oknami, błagali o benzynę, błagali o opony, a dla moich uszu to było jak muzyka. Mówiłem im, że z przyjemnością im pomogę, pod warunkiem że odpowiednia ilość gotówki przejdzie z rąk do rąk. Klienci chcieli produktów i usług, a jeżeli Chet Cramer mógł przy okazji zarobić kilka zielonych, to czemu nie? Blickenstaff nie chciał w to wejść. Jego syn zginął na wojnie i staruszek uważał, że czerpanie zysków z wojny, na której ci wszyscy chłopcy tracą życie, jest naganne z moralnego punktu widzenia - właśnie tak to ujął, „naganne z moralnego punktu widzenia”.

Tak naprawdę był po prostu zmęczony, powinien był wycofać się z interesu.

- Kupił pan od niego salon?

- Nie, proszę pani. Otrzymałem koncesję na prowadzenie salonu Chevroleta i wykończyłem starucha - w 1945 zamknął interes, a ja za bezcen odkupiłem jego salon. Może brzmi to cynicznie, ale tak to już w życiu jest: niczego nie osiągniesz, jeśli się boisz działać. Opracuj plan. Zaryzykuj. W ten sposób osiąga się cele.

- A pańscy bracia? Czy któryś pracuje z panem?

- Salon jest mój. Nie wchodzę w spółki. Zrobiłem dla nich wystarczająco dużo, teraz muszą radzić sobie sami - odsunął fotel i oparł się na biurku. - Ale nie przyszła pani tutaj, żeby rozmawiać o mnie.

Chciała pani dowiedzieć się czegoś o Violet Sullivan.

- Owszem, ale interesuje mnie również jej samochód. Możemy od niego zacząć?

Machnął lekceważąco ręką:

- Nie wiem, dlaczego Foley kupił ten wóz. Powinien się wstydzić.

Sullivanowie byli cholernie biedni. Pani wybaczy język...

- Nic nie szkodzi - powiedziałam.

- Violet ubzdurała sobie, że musi mieć ten samochód, a Foley znał ją za dobrze, żeby jej stawać na drodze. Ja z kolei nie miałem zamiaru rezygnować z okazji, więc ubiliśmy interes.

- Na jakich warunkach?

- Wziąłem w rozliczenie jego ciężarówkę, choć nie była wiele warta.

Czysta grzeczność z mojej strony. Postawiłem sprawę jasno: kiedy tylko nie zapłaci raty, przejmuję wóz. Żadnych wymówek, żadnych opóźnień i co do centa tyle, ile było umówione. Nic mnie nie obchodzi, czy to zgodne z prawem - samochód wraca do mnie.

- Biorąc pod uwagę jego przeszłość, podejmował pan spore ryzyko.

- Ach, przez myśl mi nie przeszło, że mu się uda. Byłem pewien, że przed upływem trzech miesięcy samochód wróci do salonu, a wtedy ja go sobie wezmę.

- Myślałam, że to Winston Smith dokonał transakcji.
 - To od niego zaczęła Violet. Był smarkaczem, miał jakieś dwadzieścia lat. Taka kobieta jak Violet zawsze znajdzie sposób, żeby dostać to, czego chce. Wchodzi tu jak gdyby nigdy nic, mnie nie ma, więc zaczyna go urabiać. Gdybym wiedział, co się święci, nigdy nie dopuściłbym do tego. Najpierw namówiła go, żeby pozwolił jej samej pojechać bel airem na jazdę próbną. Poważnie. Była w samochodzie samiutka. W życiu nie powinien być się zgodzić, ale tak się starał jej zaimponować, że nawet nie wiedział, z której strony padł cios. Kiedy wreszcie wróciła, na liczniku nowiutkiego auta było nabite dwieście pięćdziesiąt siedem mil. Z miejsca wyrzuciłem go z pracy i zadzwoniłem do Foleya, żeby się tutaj pofatygował. Wreszcie pojawił się w piątek rano i dopełniliśmy formalności - kredyt i reszta papierkowej roboty.
 - Ciągle nie rozumiem, dlaczego mu pan sprzedał ten wóz. Z tego, co słyszałam, wynika, że jego finanse nie prezentowały się najlepiej.
 - Gardziłem Foleyem - nie miał w głowie ani krztyny rozumu. Natomiast żal mi było Violet. Myślałem, że choć jest głupia, zasługuje na coś miłego za lata użerania się z nim.
 - A pan co z tego miał?
- Uśmiechnął się z zakłopotaniem:
- Hej, nawet mnie, starego wygę, stać od czasu do czasu na dobry uczynek. Ludzie myślą, że taki ze mnie twardziel, ale kiedy chcę, potrafię być bezinteresowny. Oczywiście mogła to być ostatnia dobra rzecz, jaką zrobiłem. Kiedy samochód zniknął, omal nie umarłem. Jednak Foley spłacił wóz, to mu muszę przyznać.
 - Nic pan więc na tym nie stracił?
 - Ani centa.
 - Czy Violet mówiła, jak zdołała nabić na licznik dwieście pięćdziesiąt siedem mil?
 - Nie, ale łatwo można się domyślić. Właśnie tego dnia pojawiła się w banku w Santa Teresa, żeby opróżnić swoją skrytkę depozytową. Skojarzyłem to później, odległość mniej więcej się zgadzała - sto

dwadzieścia pięć mil w jedną stronę. Powiedziała, że dzień był przepiękny i nie mogła się oprzeć. Pomyślałem, że pojechała na północ, wzdłuż wybrzeża, ale to były tylko moje domysły, ona niczego takiego nie powiedziała.

- Jeżeli chciała pojechać do Santa Teresa, dlaczego nie wzięła furgonetki Foleya?

- To był wrak. Nic dziwnego, że wolała przejechać się moim pierwszorzędnym autkiem. Może zamierzała zamieszać w głowie dyrektorowi banku, żeby udzielił jej pożyczki.

- Czy w jakiś sposób dała do zrozumienia, że planuje opuścić miasto?

- Nie wspomniała o tym nawet słówkiem. Nie żeby miała powody zwierzać się akurat mnie. Prawie jej nie znałem. A właściwie to co miała w skrytce depozytowej?

- Foley myśli, że pieniądze z ubezpieczenia. Pięćdziesiąt tysięcy, jak słyszałam. Ponadto jej brat mówi, że w tamtym tygodniu w środę pożyczył jej dwa tysiące.

- Calvin Wilcox. To też ciekawa sprawa.

- W jakim sensie?

- Tych dwoje zawsze skakało sobie do gardeł. On zajmował się rodzicami, a Violet nawet nie kiwnęła palcem. Kiedy zniknęła, nic go to nie obeszło. Jestem pewien, że zacierał ręce z radości, kiedy matka umarła, a wszystkie pieniądze trafiły do jego kieszeni. Jeżeli siostra byłaby na miejscu, musiałyby się z nią podzielić.

Byłam jak kot, który traci zainteresowanie dla całego świata, kiedy usłyszy za ścianą skrobanie myszy. W tym momencie moja uwaga skupiła się na jednym:

- Pieniądze?

- O, tak. Całkiem spory majątek. Roscoe Wilcox zrobił fortunę na doskonaleniu fluorescencyjnych farb. Opatentował nową, ulepszoną formułę, tak przynajmniej słyszałem. Za każdym razem, kiedy widzisz błyszczący napis, tak naprawdę masz przed oczami pieniądze w banku - a w tym przypadku w kieszeni Calvina.

- Jak dobrze go pan zna?
- Jesteśmy członkami tego samego klubu, obaj należymy też do stowarzyszenia lokalnych biznesmenów. Zaczynał od zera i za to go podziwiam. A co myślę o nim jako o człowieku? Mam pewne wątpliwości. Może dlatego że on i ta jego żona nigdy za mną nie przepadali.
- A co się stało z Winstonem Smithem? Chciałabym z nim porozmawiać. Wie pan może, gdzie go znajdę?
- To łatwe pytanie. Tydzień po tym, jak stracił pracę, przyjąłem go z powrotem. Powiedziałem mu: „Nie warto działać w pośpiechu. Czasem nawet tragedia obraca się na naszą korzyść”.
- To znaczy?
- Skończyło się na tym, że ożenił się z moją córką, a teraz mają te trzy wspaniałe dziewczyny. Naprawdę mu się poszczęściło.

ROZDZIAŁ 12

Jake 1 lipca 1953

Jake Ottweiler usiadł na krześle koło szpitalnego łóżka swojej żony, jak codziennie wieczorem od siedemnastego czerwca, kiedy poszła do szpitala. Mary Hairl przyjmowała silne leki. Spała głęboko i często, jej twarz była nieruchoma, jak wyrzeźbiona w kamieniu. Dłoń kobiety spoczywała w dłoni męża, chłodne palce były splecione z jego, cieplejszymi. Była blada jak papier, przez skórę na ramionach prześwitywały lawendowe żyły. Bardzo szczupła, wyglądała na kruchą i czuć było wokół niej zapach śmierci. Wstydział się, że to zauważył, i wstydział się, że chciał się od niej odsunąć. Mary Hairl miała trzydzieści siedem lat i obdarzyła Jake'a dwójką wspaniałych dzieci.

Tannie - lat dziewięć - była silną, odważną dziewczynką, ruchliwą i garnącą się do ludzi.

Kościste łokcie, chude kolanka i mnóstwo radości życia. Ładnie grała na pianinie i czytała książki przeznaczone dla starszych dzieci. Jake wiedział, że nigdy nie będzie ślicznotką, nawet okres dojrzewania niczego tu nie zmieni. Ani piersi, ani zniknięcie dziecięcego tłuszczu nie

wpłyną na pospolity wygląd buzi. Jednak Tannie była mądrą, zabawną dziewczynką i to się liczyło dla jej ojca.

Steve miał szesnaście lat i był nie tylko przystojny, ale również mądry - może nie był najlepszym uczniem w klasie, ale z pewnością jednym z lepszych. Grał w szkolnej drużynie i w drugiej klasie, w trakcie swojego pierwszego sezonu, zdobył najwięcej punktów. Jako skaut zgromadził wszystkie dwadzieścia jeden odznak. Śpiewał tenorem w kościelnym chórze młodzieżowym. Ślubował, że przez całe życie nie tknie alkoholu, i Jake wiedział, że dotrzyma słowa, choć rówieśnicy na pewno będą go namawiać do picia. Steve miał twarz dziecka i chłopięcą sylwetkę. Jake żywił nadzieję, że z tego wyrośnie - być mężczyzną na tym świecie jest wystarczająco trudno, nawet jeśli się nie wygląda na młokosa.

Mary Hairl była dobrą matką dla tych dzieciaków. Jake nie miał pewności, jak sobie bez niej poradzi. Będzie taki jak ona - stanowczy, potrafiący ich z uwagą wysłuchać - i pozwoli im popełniać błędy, pod warunkiem że nie będzie chodziło o nic ważnego. Nic już nie pozostanie takie samo, ale jakoś sobie z tym muszą poradzić. Mieli inne wyjście? Pochylił się i oparł twarz na brzegu szpitalnego łóżka, na pościeli świeżo wyprasowanej i kojąco chłodzącej jego spalone słońcem policzki. Był niewyobrażalnie zmęczony. Kiedy po wojnie wrócił zza oceanu, nie miał siły ani ochoty znów zostać farmerem. Pracował to tu, to tam, ostatnio w Union Sugar. Jednak przez chorobę Mary Hairl tyle razy zwalniał się z pracy, aż go wreszcie wylali. Teraz, jeśli chodzi o pieniądze, było naprawdę niewesoło. Gdyby nie pomoc finansowa jej ojca, wylądowaliby na ulicy. Przedtem nie rozumiał, jak kolosalną pracę wykonuje jego żona. Teraz, kiedy właściwie stał się samotnym rodzicem, wziął się do planowania posiłków, zakupów, prania i w ogóle do prowadzenia domu. W połowie kwietnia, tuż przed tym jak zabrano ją do szpitala na operację, Mary Hairl zasadziła warzywa, które później mieli sprzedać. Roślinki pięknie rosły.

Mary nigdy nie poświęcała sobie wiele uwagi, więc kiedy wreszcie zdecydowała się odwiedzić lekarza w związku z bólami brzucha i

wzdęciami, guz osiągnął już znaczne rozmiary. Operacja potwierdziła, że to rak, który zdążył zaatakować tak wiele organów, że nic nie można było zrobić. Chirurg po prostu ją zaszył i rozpoczęło się oczekiwanie na koniec.

Jake dodał do listy zajęć plewienie, nawożenie i usuwanie zbędnych pędów z niezliczonych krzaczków pomidorów. Dzieciaki też nie próżnowały. Steve po szkole brał się do koszenia trawnika albo mył ciężarówkę. Tannie sprzątała dom i przygotowywała brązowe torby z lunchem. Ojciec Mary Hairl nadal przychodził do nich na kolację, więc każdego wieczoru gromadzili się we czwórkę przy stole, co bez Mary stało się rytuałem pozbawionym choćby odrobiny radości. Zaraz po posiłku Hairl zniknął, a dzieci sprzątały po kolacji. Steve mył naczynia, Tannie je wycierała i odkładała na półki. Jake wkładał wtedy kurtkę i jechał do szpitala, docierał na miejsce około siódmej wieczorem. Nawet nie zauważył, że się chwilę zdrzemnął. Myślał o tamtej nocy na początku maja, kiedy Mary Hairl po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy poszła do szpitala. Zanim wreszcie, pełna wątpliwości, zgodziła się zadzwonić do lekarza, zadbała, aby jej ojciec i dzieci dostali kolację. Lekarz przyjął ich niecałą godzinę później na oddziale nagłych wypadków. Steve został w domu z Tannie. Kiedy Jake i Mary Hairl wychodzili, dzieci odrabiały zadanie domowe. Przez prawie cały dzień żona miała okropne bóleści, więc odczuł ulgę, kiedy powierzył ją siostrze przełożonej. Miał nadzieję, że jej ból szybko zostanie uśmierzony. Cierpienie przypominało mu, jak niewiele może dla niej zrobić w obliczu choroby. Został przy jej łóżku do dziewiątej wieczorem, obserwował wolno sączące się z kroplówki lekarstwo i czekał, aż zacznie działać. Wpatrywał się w zegarek, marząc, żeby wskazówki ruszały się szybciej. Kiedy wreszcie zasnęła, po prostu stamtąd uciekł. Wyjechał ciężarówką ze szpitalnego parkingu w Santa Maria i pojechał prosto do Blue Moon, jedyne miejsce w Serena Station, gdzie można było kupić piwo. Od czasu do czasu kropił deszcz. Majowy wieczór był chłodny, więc Jake podkręcił ogrzewanie i wkrótce powietrze w szoferce

stało się gorące jak w wylęgarni. Na drogach było ciemno, a oświetlone domy w Serena Station robiły wrażenie samotnych ognisk. Jake musiał się napić. Musiał się odprężyć w miejscu, które nie miało nic wspólnego z krwią, cierpieniem i zbliżającym się wielkimi krokami rozstaniem.

W Blue Moon było prawie pusto. Przy barze z butelką piwa w rękę siedział Tom Padgett.

Gawędził z Violet Sullivan i barmanem B.W. McPhee. B.W. był krępyim gościem, barczystym i twardym, w razie potrzeby pełnił funkcję ochroniarza. Jake usiadł przy barze i niespiesznie przeniósł wzrok na Toma i Violet, oddalonych od niego o cztery stołki. Violet miała zapuchnięte od łez oczy i potargane włosy. Najwyraźniej coś się wydarzyło. Tom próbował ją pocieszyć. Jake miał zamiar pilnować swojego nosa i nie wtrącać się w sprawy Violet. Jednak B.W., otwierając dla Jake'a butelkę blata, szepnął mu, że Violet i Foley znów się pokłócili, Violet na odlew uderzyła męża w twarz, a ten wpadł w szal, przewrócił stół i połamał krzesło.

B.W. zagroził, że zadzwoni po policję, jeżeli za minutę Foley wciąż tu będzie.

Teraz Foley już tu nie było. Padgett mówił za cicho, żeby cokolwiek zrozumieć, za to wypowiedzi Violet były wyraźne. Mówiła o swoich pieniądzach, brzmiało to trochę jak przechwałki, a trochę jak skarga. Nieraz słyszał już tę śpiewkę, zwykle kiedy Foley jej przylał i chciała od niego odejść. Nie miał pojęcia, czy naprawdę miała te pieniądze. Nigdy nie powiedziała, o jaką sumę chodzi, ale wydawało mu się dziwne, że po prostu nie weźmie tych pieniędzy i nie ruszy w świat.

Padgett wrzucił monety do szafy grającej i zaczęli tańczyć. Violet miała na sobie szmaragdową sukienkę z dużym dekoltem na plecach.

B.W. obserwował zza baru, jak ruszają się na parkiecie. Również Jake od czasu do czasu się odwracał, przyglądał tańczącym i potrząsał głową. On i B.W. wymienili spojrzenia.

- Właśnie ten ich taniec rozwścieczył Foley - zauważył B.W.

- Zawsze znajdzie jakiś powód, żeby się wściec. Kawał gnoja -

odpowiedział Jake.

B.W. przyjrzał się mu uważnie:

- Rozumiem, że nie chcesz gadać o Mary Hairl?
- Nie bardzo. Bez obrazy.
- Nie ma sprawy. Przekaż jej, że o niej myślimy, Emily i ja,
- Przekażę.
- Jeszcze jedno piwo?
- Na razie nie.

Violet i Padgett wrócili na swoje miejsca przy barze, ale ledwie usiedli, Padgett zerknął na zegarek i zerwał się na równe nogi. Jake patrzył, jak rzucił na bar kilka banknotów i pospiesznie się pożegnał. Kiedy wyszedł, Violet odwróciła głowę i spojrzała w kierunku Jake'a, który odwrócił wzrok, żeby ich oczy się nie spotkały. Violet była jedną z kobiet, które w barze szukają rozmowy, podczas gdy on był facetem preferującym samotność. Kątem oka zauważył, że przeszła za jego plecami, kierując się do toalety dla pań. Zamówił następne piwo i właśnie zapalał papierosa, kiedy się przy nim pojawiła. Miała uczesane włosy, a w jej zielonych oczach błyszczała ciekawość. Trzymała papierosa, a on - jako dobrze wychowany facet - podał jej swoją zapałkę. Jednak do tego czasu płomień zdążył już dotrzeć do palców, więc wyrzucił zapałkę i zapalił nową.

Ostrożnie usiadła na stołku obok.

- Masz ochotę porozmawiać?
- Nie.
- Zabawne. Wyglądasz jak ktoś, komu dobrze zrobi szczerza pogawędka.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Chociaż znali się od sześciu lat, zamienił z nią ledwie kilka słów. Była co prawda ta sprawa z psem, ale na tym kończyła się ich znajomość. Słyszał o niej różne historie. Miasteczko Serena Station wrzało od plotek na temat Sullivanów - on pijak, ona puszczalska, ciągle awantury. Dobrana z nich para. Jake gardził Foleyem. Uważał, że nie ma nic gorszego niż mężczyzna, który podnosi rękę na kobietę lub dziecko. Jeśli chodzi o Violet, nie był pewien, co o niej

myśleć. Mary Hairl raczej ją lubiła, ale Mary Hairl miała serce ze złota - nakarmiła każdego bezdomnego kota, który zabłąkał się na ich werandę. Jake zaliczał Violet właśnie do tej kategorii - stworzeń głodnych, nieufnych i potrzebujących pomocy.

- Dalej jesteś zła o tego psa?

- Przecież dostałam pieniądze. No i nie miałam go długo

-odpowiedziała. - Co u Mary Hairl?

- On też o to pytał - machnął ręką w stronę B.W.

- I co odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że dziękuję za troskę, ale nie chcę o tym gadać.

- Ponieważ to bolesny temat.

- Ponieważ to nie wasza sprawa - przez chwilę nic nie mówił, a potem, sam nie wiedząc czemu, dodał: - Jest pod kroplówką. Chyba dają jej morfinę. Lekarz nie chce mi nic powiedzieć, ona też milczy. Nie chce mnie martwić.

- Przykro mi - powiedziała Violet.

- Nie powinno. To nie ma z tobą nic wspólnego.

Utkwił wzrok w najdalszym kącie pomieszczenia. Oczy piekły go od wstrzymywanych łez. Już dawno postanowił, że nie będzie rozmawiać o chorobie żony. Kiedy znajomi się dopytywali, zbywał ich. Nie miał ochoty dzielić się intymnymi szczegółami choroby Mary Hairl.

Nie mógł też porozmawiać z jej ojcem. Po śmierci żony Hairl stał się gburowatym sukinsynem. Zresztą miał dość własnych problemów, lada dzień spodziewał się stracić jedyną córkę.

Jeszcze ktoś? Z pewnością nie mógł rozmawiać o chorobie z dziećmi.

Kiedy wszystko się zaczęło, ustalili z Mary Hairl, że postarają się oszczędzić im cierpień. Steve miał już szesnaście lat, musiał rozumieć, co się dzieje, jednak sprawiał wrażenie obojętnego. Całe szczęście, że Tannie nic z tego nie pojmowała. W ten sposób Jake został zupełnie sam. Violet przyjrzała mu się uważnie:

- A ty jak sobie radzisz? Marnie wyglądasz.

Podniósł butelkę:

- To pomaga.
- Dobrze mówisz - również podniosła kieliszek wina i stuknęła o jego butelkę. - Dlaczego mężczyźni zawsze próbują udowodnić, że są twardzi? Takie sytuacje nie zdarzają się co dzień, nie zaszkodziłoby ci, gdybyś o tym porozmawiał.
- Po co? Muszę z tym żyć, dzień po dniu. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to jeszcze o tym gadać.
- To całkiem jak ja. Zbyt dumna, żeby się przyznać do cierpienia. Mogę tutaj siedzieć i zalewać się Izami, a ludzie myślą, że to nic szczególnego. Jesteś pierwszym facetem, który chce ze mną naprawdę porozmawiać.
- Nie powiedziałbym, że to prawdziwa rozmowa.
- Może to początek prawdziwej rozmowy.
- A Padgett? Gadał z tobą.
- Cieszy się równie dobrą opinią jak ja. Ludzie myślą, że ja jestem dziwką, a on idiotą. Jedziemy na tym samym wózku.
- A czy to prawda?
- Jeśli chodzi o niego czy o mnie?
- A cóż mnie on obchodzi? Pytam o ciebie.

Uśmiechnęła się:

- To jak w tej piosence o Whiffenpoofsach. Co to, u licha, znaczy: Whiffenpoofs? Czy kiedyś się nad tym zastanawiałaś?
- W jakiej piosence?
- Tej, którą Bing Crosby i Bob Hope śpiewali w Drodze do Bali. Zanuciła kawałek, jej głos był zaskakująco słodki:
 - „Przekłęci stąd do wieczności. Niech Pan ma litość nad takimi jak my”. - Uśmiechnęła się blado. - Taka właśnie jestem. Przeklęta.
- Chodzi ci o Foleya?
- Wszystko, co idzie nie tak w moim życiu, to jego wina.
- Myślałem, że lubisz się z nim potarosić. Robicie to tak często.
- Tarmoszenie? Można to i tak ująć. Foley regularnie pierze mnie na kwaśne jabłko (popatrz tylko na moje oko), ale nikt nie zapyta, czy

wszystko w porządku. Mógłby rzucić mną o podłogę i nikt nie podałby mi ręki. Nie chcę litości, czasem po prostu chciałabym, żeby choć jeden człowiek nie miał mnie w dupie. - Zamilkła i uśmiechnęła się złośliwie. - Co ja wygaduję. Mówię jak ofiara. Nikt nie lubi ofiar, a już najmniej ja sama.

- Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego z tym nie skończysz?

- A niby jak? Nie mogę od niego odejść. Zagroził, że mnie zabije, i jestem pewna, że to zrobi. Foley to psychopata. A poza tym co by się stało z Daisy?

- Mogłabyś wziąć ją ze sobą.

- A niby jak miałabym zarabiać na życie? Wyszłam za męża w wieku piętnastu lat i nigdy nie pracowałam. Nawet bym nie wiedziała, jak zacząć.

- A co z tymi pieniędzmi, którymi zawsze się chwalisz?

- Muszę być ostrożna. Wiem, że będę miała tylko jedną szansę, nie mogę jej zmarnować. Jest jeszcze coś, Daisy uwielbia swojego tatusia.

- Tak jak większość małych dziewczynek. Jestem pewien, że za tobą też szaleje. Zresztą co to ma do rzeczy?

- Daisy go uwielbia bardziej niż inne dziewczynki. Myśli, że Foley złapał Pana Boga za nogi. Nie mogę ich rozdzielić. Czasem myślę, że lepiej by im było beze mnie. Wiesz, to jedna sprawa, jeśli odejdę, ale zupełnie inna, jeśli wezmę ze sobą jego małą dziewczynkę. Wyrwałby mi serce, o ile mam jeszcze jakieś serce.

Jake potrząsnął głową:

- On nie zasługuje na żadną z was.

- Nie żartuj sobie.

- Co ty właściwie w nim widziałaś?

- Kiedy się poznaliśmy, był naprawdę słodki. To alkohol tak go zmienił. Kiedy jest trzeźwy, nawet nie jest taki zły. To znaczy jest zły, ale nie aż tak, jak się niektórym wydaje. Oczywiście on twierdzi, że pije, bo inaczej nie wytrzymałby ze mną.

- A co jest trudnego w życiu z tobą? Jesteś piękną kobietą. Jakie można

mieć problemy z taką żoną?

- Wkurzam go.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, mam reputację dziewczyny, która lubi się zabawić.

Według Foleya wszystko, co zrobię, jest nie tak i to go wkurza.

Nieważne, co zrobię, nigdy nie jest zadowolony. Po pracy przychodzi do domu i wtedy się zaczyna. A to w domu jest bałagan, a to obiad nie jest gorący, a to zapomniałam zanieść rzeczy do pralni. Chce wiedzieć, co robiłam, z kim rozmawiałam i gdzie się podziewałam za każdym razem, kiedy do mnie dzwonił w ciągu dnia. Przepraszam bardzo, kim ja jestem, jego niewolnicą? Mam prawo do życia. Próbuję trzymać buzię na kłódkę, ale kiedy tak na mnie naskakuje, muszę się bronić. Czy inaczej mogłabym mieć do siebie szacunek?

- Na pewno jest jakieś wyjście.

- Cóż, jeżeli faktycznie jest, chciałabym je poznać - zgasła papierosa.

- Masz drobne?

- Po co ci drobne? - zapytał, grzebiąc w kieszeni. Położył przed nią garść monet.

Violet wybrała pięciocentówkę i ześlizgnęła się ze stołka. Patrzył, jak idzie w stronę szafy grającej, wrzuca pieniążek i wciska numerek. Po chwili sala wypełniła się pierwszymi taktami Pretend Nat Kinga Cole'a.

Wróciła do niego i wyciągnęła rękę:

- Zatańczmy. Uwielbiam tę piosenkę.

- Nie umiem tańczyć.

- Owszem, umiesz - spojrzała na barmana. - B.W, powiedz mu, że musi ze mną zatańczyć. Czas się trochę rozchmurzyć.

Jake poczuł, że się uśmiecha, kiedy wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę jedyne niezastawionego stołami skrawka podłogi, który pełnił funkcję parkietu. Wślizgnęła się w jego ramiona, ignorując niezręczne kołysanie się w przód i w tył - jedyne rodzaje tańca, który znał.

Nuciła, a jej pachnący winem i papierosami oddech łaskotał go w ucho. Czuł zapach fiołków, mydła i tego samego szamponu do włosów,

którego przed chorobą używała Mary. Ponad ramieniem Violet widział bardzo zajętego B.W., który z rozmysłem nie patrzył w ich stronę. Jake nigdy nie był wielkim miłośnikiem muzyki, ale teraz rozumiał, że dzięki muzyce spływa na człowieka dar zapomnienia. A jeżeli w tym momencie Jake czegoś potrzebował, to właśnie błogosławionego zapomnienia, choćby na krótką chwilę.

O północy B.W. zaczął gasić światła.

- Proszę państwa, czas do domu - oznajmił, jakby bar był pełen ludzi.

Mówił znudzonym głosem, ale Jake wyczuwał ukrytą irytację. B.W. nie chciał brać udziału w tym, co się na jego oczach rozgrywało. Jake podszedł do baru i zapłacił rachunek, odliczając banknoty i dodając hojny napiwek, po części, żeby przypomnieć B.W., gdzie jest jego miejsce.

Barman zapytał:

- Odwozisz ją do domu?

- Być może, ale to chyba nie twoja sprawa.

- Wiem, że chcesz dobrze, ale nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

Zapytaj Padgetta, powie ci to samo.

- Dzięki, B.W., chociaż nie przypominam sobie, żebym cię prosił o radę.

- Jestem twoim przyjacielem.

- Nie potrzebuję takich przyjaciół. Lepiej zajmij się barem. Dziękuję za troskę, ale umiem o sobie zadbać.

- Nie mów później, że cię nie ostrzegałem.

Jake pomógł Violet włożyć płaszcz przeciwdeszczowy i przytrzymał drzwi, kiedy wychodziła. Powietrze na zewnątrz było świeże jak w kwiaciarni. Majowy deszczyk już się skończył, pozostała jedynie mgiełka. Asphalt był wilgotny, lśniły na nim płytkie kałuże. Jake otworzył drzwiczki od strony pasażera i pomógł Violet wsiąść. Parking tonął w ciemności, jeśli nie liczyć odbitego błękitu neonu Blue Moon, który pulsował i mrugał. Jake okrążył szoferkę i wsiadł. Zapatrzył się w światło, zafascynowany i nie do końca pewien, co się zaraz stanie. To nie tak, że nie zdarzyło mu się od czasu do czasu zbłądzić ze ścieżki

małżeńskiej wierności.

Jednak tym razem nie wiedział, jak się to skończy, i ta niepewność była dziwnie ekscytująca.

Violet odezwała się miękko:

- To będzie tylko przerywnik. Coś bez znaczenia. Lubię Mary Hairl.
- Ja też - powiedział. Trzymał ręce na kierownicy, jakby miał odpalić auto i odjechać.

B.W. zgasił neon i po chwili wyszedł tylnymi drzwiami, zamknął je na klucz i ruszył w stronę swojego auta. Jake wiedział, że ich twarze musiały zaświecić bielą, gdy omiotło je światło reflektorów samochodu B.W.

B.W. odjechał.

Violet była pijana, Jake też za dużo wypił. Potrzebował przyjaciela, kogoś, kto będzie mu bliski chociaż przez tę jedną noc. Bezwiednie wyciągnął rękę, a ona ją przyjęła. Kochali się.

Skórzane siedzenia były zaskakująco przestronne, noc stawała się coraz chłodniejsza, a przez otwarte okna do samochodu wdzierał się zapach kwiatów pomarańczy z pobliskiego sadu, tak gęsty, że Jake prawie się dusił. Słyszał świerszcze i żaby, a potem zaległa absolutna cisza, przerywana tylko szelestem ich ubrań i jego głośnym, chrapliwym oddechem. Czuł się tak, jakby właśnie przebiegł tysiąc mil, żeby w nagrodę dostać Violet.

ROZDZIAŁ 13

Na dole Chet Cramer przedstawił mnie swojemu zięciowi, a potem zostawił nas samych.

Winston Smith był tym samym dobrze zbudowanym sprzedawcą, którego wcześniej widziałam. Zastanawiałam się, czy udało mu się przekonać tamtych klientów. Prawdopodobnie nie, bo wydawał się osowiały, jeśli nie przygnębiony. Usiedliśmy w jego biurze, ja tyłem do szklanej ścianki, przez którą widać było całe piętro. Biurko Winstona było tak ustawione, żeby mógł jednocześnie poświęcić całą uwagę rozmówcy oraz dyskretnie obserwować kręcących się po salonie klientów.

Gdy zobaczyłam go z bliska, uznałam, że słowo „korpulentny” lepiej oddaje jego gabaryty niż wyrażenie „dobrze zbudowany”. Wyglądał na człowieka, który dostaje zadyszki i traci oddech, nawet kiedy musi podejść kilka kroków do samochodu. W biurze nie było popielniczki, ale jego ubrania i oddech przesiąknięte były zapachem dymu papierosowego. Pod brodą wydymał się drugi podbródek. Kołnierzyk koszuli tak się naprężył, że mógłby go udusić, gdyby się schylił, by zawiązać sznurówkę. Tylko trochę przerzedzone włosy były długie i kręciły się na czubku głowy. Nosił je zaczesane do tyłu w stylu, jakiego nie widziałam od czasów, kiedy Elvis Presley stawiał na estradzie pierwsze kroki. Ledwo zdążyłam usiąść, gdy zadzwonił telefon.

- Przepraszam - powiedział i odebrał. - Winston Smith, słucham.

Po chwili ostrożnie zapytał:

- Co się dzieje?

Nie miałam jak zorientować się, z kim rozmawia, a jednak rzucił w moją stronę szybkie spojrzenie i zmienił pozycję, żeby zachować prywatność:

- Zaczekaj sekundkę - zawiesił połączenie. - Przepraszam na chwilę.

Załatwię to i zaraz wracam.

- Nie ma sprawy.

Wyszedł z biura. Patrzyłam na migające światełko pierwszej linii telefonicznej. Zgasło, kiedy odebrał telefon w biurze obok. Naprzeciwko mnie, na wbudowanej w ścianę szafce, stały rzędem podręczniki technik sprzedaży. Honorowe miejsce zajmowała kolorowa fotografia przedstawiająca młodą parę, prawdopodobnie w dniu ślubu. Podeszłam i wzięłam do rąk zdjęcie, żeby się lepiej przyjrzeć. Winston musiał mieć około dwudziestu pięciu lat, był szczupły, przystojny, miał kręcone włosy i chłopięcą urodę. W smokingu wyglądał swobodnie i elegancko. Obok niego stała zwalista Kathy Cramer, upchnięta w suknię ślubną tak ciasną, że każdy oddech musiał jej sprawiać ból. Z jej dekoltu wyskakiwały piersi, jak domowej roboty drożdżowe bułeczki, wyrosnięte i gotowe do włożenia do piekarnika. Gdzieś pomiędzy ślubem a dniem dzisiejszym

małżonkowie zamienili się rolami. Teraz ona była szczupłą entuzjastką ćwiczeń, podczas gdy on najwyraźniej stracił nadzieję na powrót do formy. Dlaczego tak się stało? Po głowie chodziła mi przypadkowo rzucona uwaga Tannie, że Winston wie o Violet więcej, niż powiedział. Odłożyłam zdjęcie i usiadłam, Winston wrócił chwilę później.

- Przepraszam - wymruczał.

Usiadł, ale coś się w jego zachowaniu zmieniło.

- Moja żona - wyjaśnił. - Dzwoniła, kiedy miałem klienta, i nie mogłem z nią rozmawiać. Nie chciałem znów jej zbywać.

- Nie ma problemu. Rozmawiałam z nią wcześniej, pokazała mi dom. Ładne miejsce.

- Za tę cenę powinno być ładne - odpowiedział, posyłając mi błady, wymuszony uśmiešek.

- Grasz w golfa?

Potrząsnął głową:

- Nie, ona gra. Ja tyram od rana do nocy. Zauważyłaś, że utykam? To od kuli przykutej łańcuchem do nogi - zaśmiał się, a ja odpowiedziałam mu uśmiechem, choć w głowie usłyszałam ostrzegawczy brzęczyk.

- Nigdy nie rozumiałam, o co chodzi w golfie. Gonić za piłeczką tylko po to, żeby ją potem uderzyć kijem? Choć właściwie w ten sposób można opisać prawie każdy sport. A wasze córki? Lubią golfa?

- Amber przed wyjazdem do Hiszpanii brała lekcje, ale to nie znaczy, że coś z tego będzie. Łatwo się nudzi, pewnie szybko zajmie się czymś innym. Brittany wcale się nie interesuje sportem. Pewnie Kathy ci powiedziała, że ma to po mnie.

- Rozumiem, że Tiffany wychodzi za mąż w lipcu przyszłego roku.

- Dzyń, dzyń - powiedział, wyciągając pieniądze z wymagowanej kasy. - Wiesz, ile w dzisiejszych czasach kosztuje wesele?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Ja też nie. Kathy nic mi nie mówi, żebym się nie mógł sprzeciwić.

Jestem pewny, że to suma bliska długowi publicznemu.

Oboje się roześmialiśmy, choć właściwie ta uwaga nie wydawała mi

się wcale zabawna.

Najwyraźniej Winston i jego żona nie nadawali na tych samych falach.

Wyciągnął chusteczkę i osuszył górną wargę, na której zebrała się cienka warstewka potu.

Włożył chustkę z powrotem do tylnej kieszeni spodni.

- Kathy mówiła, że chcesz porozmawiać o Violet Sullivan.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko - powiedziałam, oczekując zwykłego zapewnienia, że nie ma żadnego problemu.

- To nieważne, czy ja mam coś przeciwko. Dostałem ściśle instrukcje - znowu ten krótki śmieszek, żeby udowodnić, jaki z niego wesołek.

Skoncentrowałam się, żeby dobrze zrozumieć, co naprawdę ma na myśli. Nie przepadam za takimi aluzjami. Czułam się jak w towarzystwie skłóconych małżeństw, które publicznie wylewają swoje żale, w nadziei, że ktoś ze słuchających opowie się po ich stronie. Jeżeli Kathy byłaby teraz z nami, nie pozostałaby mu dłużna i również rzuciłaby kilka żarcików, gwarantujących dobrą zabawę kosztem męża. On dołączyłby do powszechnej wesołości i właśnie to było, moim zdaniem, żałosne. Ten człowiek cierpiał.

- Jakie instrukcje?

- Słucham?

- Co ci kazała powiedzieć?

- Nieważne. To długa historia.

- Uwielbiam długie historie.

- Jesteś teraz z kimś umówiona?

- Z Daisy, ale jeśli pozwolisz mi skorzystać ze swojego telefonu, mogę to przełożyć. Masz ochotę wyjść na papierosa?

Zadzwoiłam do pracy Daisy i w kilku słowach wyjaśniłam jej, że coś mi wypadło i nie dotrę na lunch. Wymyśliłam, że skoro Daisy będzie na miejscu, to mogę zostać do wieczoru w Santa Maria i we trójkę zjemy kolację w Blue Moon.

Spodobał jej się ten pomysł, więc obiecałam, że zadzwonię później i umówimy się na konkretną godzinę.

Myślałam, że Winston wyskoczy ze mną na szybkiego papieroska do holu, ale on wziął kluczyki do auta i zaprowadził mnie na parking, do swojego samochodu. Pomógł mi wsiąść do chevroleta caravan kombi koloru niebieski metalik. Potem usiadł za kierownicą i powiedział:

- Samochód jest mój tylko do momentu, kiedy pojawią się modele z rocznika 1988. Wtedy wymienię go na nowy.

- Sprytnie.

- Tak ci się tylko wydaje, ale zastanów się, co się za tym kryje.

Nieważne, czy jesteś zadowolony z tego, co masz, zawsze znajdzie się coś lepszego. Przepis na wieczne niezadowolenie.

- Jeżeli dasz się na to nabrać - zauważyłam.

- Na tym polega moja praca - mam przekonywać ludzi, żeby tak myśleli. Nakłaniać naiwnych do połknięcia przynęty.

- To dlaczego tego nie rzucisz i nie zajmiesz się czymś innym?

Przecież nikt cię nie trzyma na muszce.

- Mam pięćdziesiąt cztery lata, czyli trochę za dużo, żeby zaczynać od nowa. Mogę postawić ci lunch?

- Jeśli chodzi o jedzenie, zawsze możesz na mnie liczyć.

Przyszedł mi do głowy McDonald, ale prawdę mówiąc, zawsze przychodził mi do głowy McDonald. Przedkładałam McRoyala z serem nad każdą potrawę na świecie.

Zawiózł nas na drugi koniec miasta. Zatrzymaliśmy się na parkingu koło supermarketu, gdzie jakiś facet i jego żona ustawili przenośnego grilla umocowanego na pace. Metalowy ruszt był czarny, mniej więcej wielkości podwójnego zlewu kuchennego, wyposażony w dźwignię i łańcuch, dzięki którym można było podnosić albo obniżać kratkę z mięsem. Na grillu nad gorącym węglem smażyły się kawałki mięsa, wokół rozchodził się zapach zwęglonej wołowiny. Z drugiej strony grilla przypiekały się przekrojone i posmarowane masłem bułki.

Nieprzerwany sznur samochodów skręcał na parking, żeby skorzystać z wielu pustych miejsc parkingowych. Na stoliku do kart piętrzyły się papierowe serwetki, jednorazowe talerze i sztucce oraz niezliczone

pudełeczka z salsą i fasolą. W pobliżu ustawiono trzy rozkładane stoliki i aluminiowe krzesła ogrodowe. W skrzynce z lodem chłodziły się puszki napojów gazowanych po dwadzieścia pięć centów za sztukę.

Zaparkowaliśmy najbliżej, jak się dało, i ustawiliśmy się w kolejce, w której, lekko licząc, stało około dwudziestu pięciu ludzi. Warto było czekać. W trakcie jedzenia nawet nie próbowałam zachowywać się jak dama:

- Jezu, jak oni to robią? Przepyszne! - powiedziałam z pełnymi ustami.
- Santa Maria barbecue. To trójkątny stek - wyjaśnił. - Nacierasz mięso solą zwyczajną i czosnkową oraz pieprzem, a potem grillujesz na drewnie dębu czerwonego.
- Smakuje bosko.

Przed otwarciem saszetek z odświeżającymi chusteczkami, które dostaliśmy wraz z posiłkiem, oboje starannie oblizaliśmy palce.

Przetarłam dłonie i powiedziałam:

- Dzięki. Było przepyszne.
- Proszę bardzo.

Zwolniliśmy krzesła, na które natychmiast znaleźli się następni chętni, i wróciliśmy do samochodu. Stanęliśmy przed wozem, Winston po posiłku miał ochotę na papierosa. Cienki płaszczyk wesołości już dawno z niego opadł, ustępując miejsca czemuś mroczniejszemu. Nie był szczęśliwym człowiekiem. Można było odnieść wrażenie, że nawet powietrze wokół niego przesiąkło głębokim smutkiem. Ni stąd, ni zowąd uniósł rękę z papierosem:

- Wiesz, dlaczego to robię?
- Nie pozwala ci palić w domu.

Zerknął na mnie:

- Skąd wiesz?
- Byłam u was w domu. Nie ma popielniczek.
- Krótko mnie trzyma.
- Wiele osób nie toleruje palenia - powiedziałam łagodnie, nie wspominając, że jestem jedną z nich.

- Hej, jakbym nie wiedział. Tak czy siak, nie chcę o tym rozmawiać.

Nie zapytałam, co rozumie przez „to”. Zamiast tego zaproponowałam:

- W porządku. Porozmawiajmy w takim razie o Violet.

Przez moment milczał.

- Była lafiryndą.

Kathy użyła tego samego słowa.

- Ej, wszyscy mówią, że była lafiryndą. Powiedz mi coś nowego.

Obserwowałam jego twarz i zastanawiałam się, jakie myśli kotłują się w jego głowie.

Wpatrywał się uważnie w rozżarzoną końcówkę papierosa:

- Kathy jest o nią zazdrosna.

- Jest czy była?

- Jest.

- Ciężka sprawa. Violet zniknęła trzydzieści cztery lata temu.

- Jej to powiedz.

- Myślałam, że prawie się nie znały.

- Nie do końca. Najlepszą przyjaciółką Kathy była Liza Mellincamp.

Wtedy zjawiała się Violet i Liza nagle znalazła się w samym środku rodzinnego dramatu Sullivanów. Jej rodzice byli rozwiedzeni, a w tamtych czasach to była gorsza sprawa niż dzisiaj. Teraz każdy się rozwodzi. Wtedy może nie było to nic hańbiącego, ale rozwód kojarzono z niższymi warstwami społeczeństwa. No i do tego Violet, również poza nawiasem. Wzięła Lizę pod swoje skrzydła, a Kathy nie mogła tego znieść.

- Czy dlatego znienawidziła Daisy?

- Owszem, nie znosiła malej. Liza spędzała mnóstwo czasu u Sullivanów, między innymi opiekując się Daisy. Tego lata miała też chłopaka, ale on zerwał ich znajomość w ten sam weekend, kiedy zniknęła Violet.

- Nie rozumiem. Tyle wydarzeń jest związanych z Violet. Może nie wprost, ale pośrednio. Ciebie wylali z pracy. Matka Tannie umarła.

- Czasem mi się wydaje, że niektórzy ludzie przyciągają takie rzeczy.

Nie robią tego specjalnie, ale cokolwiek im się przydarzy, wpływa też na innych. Dzień, w którym mnie wylali z pracy, był najgorszy w moim życiu. Dwadzieścia lat i koniec marzeń o studiach.

- Co chciałeś robić po studiach?

- Nawet nie pamiętam. Coś lepszego niż handlowanie. Sprzedawanie nie leży w mojej naturze, nie lubię robić ludziom wody z mózgu. Dla Cramera to jest gra, na dodatek taka, w której jest zwycięzcą. A mnie się robi od tego wszystkiego niedobrze.

- Ale przecież nieźle ci idzie.

- Powinnaś zobaczyć wyciągi z mojej karty kredytowej. Z trudem wiążemy koniec z końcem, bo Kathy szybciej wydaje pieniądze, niż ja je zarabiam. Klub. Nowy dom. Ubrania. Wakacje. Nie lubi gotować, więc najczęściej jemy na mieście... - przerwał i potrząsnął głową. - Wiesz, w czym tkwi ironia?

- Och, powiedz. Uwielbiam ironię - zachęciłam go.

- Teraz Kathy mówi, że potrzebuje „przestrzeni”. Oznajmiła mi to wczoraj wieczorem. Mówi, że skoro dziewczęta właściwie już z nami nie mieszkają, to nadszedł czas zastanowić się nad wspólną przyszłością.

- Rozwód?

- Nie użyła tego słowa, ale o to chodzi. Na razie będzie zajęta weselem Tiffany, ale potem - każdy sobie rzepekę skrobie. Uważa, że w tym czasie powinienem znaleźć sobie mieszkanie. Wiesz, kiedy przy tobie zadzwoniła... Miałem nadzieję, że zmieniła zdanie, ale chciała się tylko upewnić, że ci o niczym nie powiem.

- Uuups.

- Taaa, uuups. Cokolwiek by powiedzieć, całe lata robiłem to, co mi kazała, i dawałem jej wszystko, czego chciała. Teraz chce wolności i oczekuje, że za to też ja zapłacę. Pewnie znalazła już sobie ogiera. Nie żebym pytał. I tak by skłamała, więc po co? Tyle dobrze, że już nie będę musiał wysłuchiwać wszystkich jej pierdoł.

- Terapia nie wchodzi w grę?

- Jaka terapia? Według Kathy nie mamy problemu, tylko ona

potrzebuje „dystansu”, żeby mieć „jasną wizję”. Ja też powinienem zdobyć się na jakąś wizję - wynająć nadętego prawnika i złożyć pozew, zanim ona to zrobi. To by jej dało do myślenia.

- Przykro mi. Żałuję, że nie potrafię ci poradzić.

- A komu potrzebna rada? Tu trzeba deus ex machina.

- Może jest tak jak mówi: potrzebuje odpoczynku.

- Bez szans. Musiała to planować od miesiący, czekała tylko na przeprowadzkę, żeby przykręcić mi śrubę.

Zapadła cisza. On palił oparty o drzwiczki od strony kierowcy, a ja stałam obok wsparta o błotnik. Oboje obserwowaliśmy przeredzający się tłum wokół grilla. Jak profesjonalna terapeutka pozwoliłam, żeby cisza się przedłużała. Zastanawiałam się, czym ją zapełni.

Właśnie kiedy zaczęło mi to działać na nerwy i już miałam zagadać, odezwał się:

- Powiem ci coś o Violet, jeszcze nikomu tego nie mówiłem. To drobiazg, ale nie dawał mi spokoju. Tej nocy, kiedy zniknęła, widziałem jej samochód.

Nie podnosiłam wzroku, bałam się, że czar pryśnie:

- Gdzie?

- Koło New Cut Road. Zmierzch już dawno zapadł. Przez te roboty drogowe wszystko było rozkopane. Jeździłem bez celu od kilku godzin, w życiu nie byłem bardziej przygnębiony. No, może teraz jestem - dodał ironicznie.

Czułam, jak podnoszą mi się włosy na głowie, ale nie chciałam go popędzać.

- Co robiła?

- Nie widziałem jej. Tylko bel aira. Pomyślałem, że ma jakieś kłopoty z samochodem... może zabrakło jej benzyny... lecz miałem to w dupie. Skoro taka z niej mądrała, niech sobie sama radzi. Później, kiedy usłyszałem, że zaginęła, powinienem był powiedzieć o tym gliniarzom. Jednak najpierw mi się to wydawało nieważne, a potem bałem się, że będzie wyglądało na to, że miałem z tym coś wspólnego.

- Z czym?
- Z tym, co się jej przydarzyło, cokolwiek to było.
- Dlaczego akurat ty?
- Z oczywistych względów. Straciłem przez nią pracę i byłem wkurzony.
- Dziwne. Jeżeli zabrakło jej benzyny, to powinna była wrócić na stację, a przecież facet od pompy widział ją tylko raz.
- No tak. Pomyślałem, że może jeszcze ktoś widział ten samochód, ale nikt nigdy o tym nie wspomniał. Co prawda to było niezłe zadupie, ale nie wierzę, że tylko ja go zobaczyłem. Skoro biuro szeryfa nic nie znalazło, postanowiłem dać sobie z tym spokój.
- I nigdy nikomu nie powiedziałaś?
- Tylko Kathy niedługo po ślubie. Uważam, że mąż i żona nie powinni mieć przed sobą tajemnic, więc strasznie mnie to gryzło. Pewnej nocy wypłem za dużo i wszystko wygadałem. Sądziła, że to nic ważnego. Powiedziała, żebym o wszystkim zapomniał, co też zrobiłem. Byłem już wtedy po kilku rozmowach z detektywem, tak jak wszyscy, ale nigdy mnie nie pytał, kiedy ostatni raz ją widziałem, a ja mu tego sam z siebie nie powiedziałem.
- I ten samochód po prostu tam stał?
- Właśnie tak. Piętnaście, może dwadzieścia jardów od drogi. Widziałem go w blasku reflektorów, pomyłka wykluczona.
- Jesteś pewien, że to był jej wóz?
- Na sto procent. W całym hrabstwie było tylko jedno takie auto. Odkąd dostała je od Foleya, ciągle gdzieś jeździła. Bez dwóch zdań ten sam.
- Może złapała gumę?
- Możliwe. Nie widziałem kaptura, ale tak mogło być.
- Silnik był na jałowym biegu czy wyłączony?
- Wyłączony, światła też. Droga była naprawdę wyboista, więc zwolniłem, żeby zawrócić. Wtedy zobaczyłem ten samochód. Otworzyłem okno i wyjrzałem, ale panował całkowity bezruch.

Poczekalem kilka minut, a poniewaz nic sie nie dzialo, powiedzialem sobie: do diabla z tym, i odjechalem.

- Czy mogla sie zatrzymac, zeby wypuscic psa?

- Nie widzialem psa. Wtedy nie przyszlo mi do glowy, ze dzieje sie cos zlego. Teraz nie jestem juz tego taki pewien.

ROZDZIAŁ 14

Pojechalismy z Winstonem w to miejsce na New Cut Road, gdzie widzial samochod Violet.

Mialam ochote sie tam rozejrzec, ale nie zamierzalam nalegac, bo musial wracac do pracy.

Rozezmial sie, kiedy sie z nim podzielimy tymi watpliwosciami:

- Nic sie nie boj. Chet mnie nie wywali. W koncu jestem tym palantem, który placi rachunki jego córki.

Pojechal autostrada numer sto sześćdziesiąt sześć na wschód od Cromwell, a po pokonaniu trzech mil skrecil w prawo w New Cut Road, która biegła ukośnie na południe, w stronę autostrady numer jeden. Zanim we wrześniu 1953 oddano do użytku New Cut, kierowcy zmierzający z Santa Maria do Silas, Arnaud albo Serena Station musieli nadkładać sporo drogi. Na horyzoncie pojawilo sie stare domostwo Tannerów, ponownie mnie uderzylo, ze fasada w stylu Tudorów zupełnie nie pasuje do otoczenia. Bylo juz po zniwach, pola po przeciwnej stronie drogi okrywaly dywan zwichrzonych klosów przeplatany tu i ówdzie bujnymi chwastami. Winston zatrzymal samochod na podjezdzie Tannerów, wysiedlimy. Torbę zostawilam w aucie, ale mapę zabralam.

- Gdzie tutaj - powiedzial, wykonujac nieokreślony gest ręką. -

Pamietam ciężki sprzęt i ogromne zwały ziemi. Droga byla w trakcie plantowania, przecinal ją rząd wielkich pomarańczowych pacholków.

Przed niewybetonowaną częścią ustawiono szlaban, zeby zniechecic kierowców jezdzących tedy na skróty - nie zeby bylo ich wielu. Jednak nie potrafie powiedziec, gdzie dokladnie widzialem ten samochod.

Przeszedl na druga strone szosy, a ja za nim. Patrzylam, jak sie rozglada. Cofnal sie o kilka kroków, próbujac zorientowac sie w terenie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że szosa biegnie tak blisko posiadłości Tannerów. Jestem prawie pewien, że szlaban był ustawiony tutaj, jakby wskazując objazd, ale mogę się mylić.

- Może to tak jak podczas budowy domu - powiedziałam. - Dopóki jest tylko podłoga, pokoje wydają się małe. A kiedy mamy już zbudowane ściany, wszystko nagle okazuje się dużo większe.

Uśmiechnął się.

- Racja. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Na zdrowy rozum powinno być odwrotnie.

- A może minąłeś ją po drodze? Jeżeli miała kłopoty z samochodem, mogła szukać telefonu.

- Nie. Nie przegapiłbym jej, jeżeli byłaby gdzieś tutaj. Rozglądałem się za nią, a zresztą sama widzisz, jak daleko musiałyby iść. Zabawne, cały czas wypierałem to zdarzenie z pamięci, bo nie umiałem sobie poradzić z poczuciem winy. Powinienem był się wtedy zatrzymać i sprawdzić, co jest grane.

- Nie obwiniaj się. Prawdopodobnie to zupełnie nieistotne.

- Też tak myślę. I tak by zrobiła to, co miała zaplanowane, nic bym nie zmienił. Po prostu żałuję, że nie byłem dżentelmenem i nie zachowałem się jak trzeba.

- Z drugiej strony ona też dużo dla ciebie nie zrobiła.

Rozłożyłam mapę, a następnie złożyłam ją na trzy, żeby porównać odległości między poszczególnymi miejscami.

- Czegoś tu nie rozumiem. Stacja niedaleko Tullis nie mogła być dalej niż trzy mile stąd. Violet zatankowała około szóstej trzydzieści, więc to niemożliwe, żeby tak szybko zabrakło jej benzyny.

Winston wzruszył ramionami:

- Mogła na kogoś czekać. Przecież to cholerny koniec świata. Ja się tu znalazłem tylko przez przypadek. Kręciłem się po okolicy bez celu, a kiedy dotarłem tutaj, zobaczyłem, że już nie ma gdzie dalej jechać. Moja droga się tutaj - dosłownie - skończyła.

- Widziałeś jakieś inne samochody?

- Nie. Pamiętam tylko, że było ciemno jak w piekle. Noc była spokojna, słyszałem stłumione dźwięki fajerwerków w parku w Silas, z tamtej strony.

- Czyli musiałeś tu być przed dziewiątą trzydzieści, bo do tej pory trwał pokaz.

- Racja. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

- Foley zarzeka się, że był na fajerwerkach. Wiem, są ludzie, którzy go widzieli. Zastanawiam się tylko, co Violet tutaj robiła o tej godzinie. O dziewiątej trzydzieści powinna już być dwieście mil stąd.

W drodze do miasta gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Kiedy dojechaliśmy do salonu, Winston wysadził mnie koło mojego samochodu.

Wysiadłam i zajrzałam przez okno.

- Dzięki za lunch. Nie potrafię wyrazić, jak ci jestem wdzięczna za informację o samochodzie. Nie jestem pewna, czy to ważne, ale przynajmniej odkryłam coś nowego, a te dobrze wróży na przyszłość.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Jeszcze jedno szybkie pytanko i nie zatrzymuję cię dłużej. Ta sprawa z tobą i Kathy, czy mam zachować dyskrecję?

- Masz na myśli, czy to tajemnica? W żadnym razie.

- Pytam, bo będę dziś rozmawiała z Daisy, a chciałabym, żeby była na bieżąco. Jeżeli chcesz, mogę zatrzymać tę informację dla siebie.

- Nie obchodzi mnie, kto się dowie. Kathy zawsze puszczała nasze problemy w obieg. Paplała o wszystkim swoim przyjaciółczkom, a potem mówiła mi, co one o tym myślą, oczywiście, jeśli myślały to co ona. Mów, komu chcesz. Im więcej osób się dowie, tym lepiej. Niech się przekona, jak to jest.

Gdy się rozstaliśmy, zjechałam w boczną uliczkę, żeby zrobić notatki. Szczęśliwym trafem wściekłość Winstona obróciła się na moją korzyść. Chociaż opowieść o samochodzie przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi, przynajmniej umiejscowiła Violet na New Cut Road w czasie, kiedy według biura szeryfa kobieta już dawno opuściła miasto. Albo nie żyła. Jednak jeśli Foley ją zabił i pochował - to jak tego

dokonał? Sullivanowie mieli tylko jeden samochód, a ten stał zaparkowany na New Cut Road. Jakim cudem Foley się tam dostał, a później wrócił do domu? Park w miasteczku Silas był oddalony o sześć mil. Zgoda. Od zakończenia fajerwerków do powrotu Foleya do domu minęły trzy godziny, ale przez ten czas akurat zdołaliby dojść do New Cut Road i z powrotem. A co zrobił z samochodem? Winston podejrzewał, że Violet mogła na kogoś czekać i kiedy tylko ten ktoś się zjawił, dali nogę z miasta. Ta hipoteza przynajmniej nie podważała tego, co już wiedziałam. Niepokoiła mnie natomiast sprawa psa. Wszyscy podkreślali, że Baby bez ustanku jazgotała. Czemu więc Winston jej nie słyszał?

O czwartej stawiałam się pod drzwiami Lizy Clements. Dom był całkiem zwyczajny: podłużne pudełko zbudowane na drewnianym szkieletcie z nieokreślonego koloru werandą od frontu. Okolice Santa Maria są starannie utrzymane, choć chwile świetności mają już za sobą. Drzewa i krzaki rozrosły się ponad miarę, widocznie nikt nie odważył się ich ściąć. W efekcie na podwórkach panował półmrok, a okna były zasłonięte przez górujące nad domami drzewa iglaste. W ich cieniu panował chłód, który przenikał całą okolicę.

Kobieta, która mi otworzyła, nie Wyglądała na swoje lata - była ubrana w tenisówki, luźne spodnie i białą dwurzędową marynarkę, jaką noszą kucharze. Sięgające ramion jasne włosy były przedzielone pośrodku i nałożone za uszy. Miała błękitne oczy, szerokie, proste brwi i duże usta. Jej skóra była jasnokremowa, na nosie miała kilka piegów. W dekolcie wyciętym w literę „V” błyszczał srebrny medalionik w kształcie serca. Stała i patrzyła na mnie pytająco:

-Tak?

- Liza?

- Owszem.

- Jestem Kinsey Millhone.

Przez chwilę nie mogła skojarzyć kim jestem. Wreszcie zasłoniła usta dłonią:

- Och, zupełnie zapomniałam, że masz przyjść. Bardzo przepraszam.

Wejść do środka.

- Nie przeszkadzam?

- Nie. Przepraszam, że wczoraj byłam niemiła. Wychodziłam właśnie z domu, kiedy zadzwonił telefon.

Weszłam do mierzącego dziesięć na dwanaście stóp salonu urządzonego za niewielkie pieniądze, ale ze smakiem: wiklina, miękkie indonezyjskie poduszki z jasnobrązowo-czarnym nadrukiem, dywanik z trzciny. Oraz mnóstwo roślin, które z bliska okazały się sztuczne.

- Nic się nie stało. Dzięki, że się zgodziłaś spotkać ze mną dzisiaj.

Jesteś kucharzem?

- Nie z wykształcenia. Pieczenie jest moim hobby, robię to od lat.

Zwykle mam zlecenia na ciasta weselne, ale potrafię przyrządzić, co tylko zechcesz. Usiądziesz?

Wybrałam jeden z białych wiklinowych foteli z obłożonymi sztywnym płótnem poduszkami na siedzeniu i oparciu.

- Mój gospodarz zajmował się pieczeniem, kiedy pracował zawodowo. Teraz jest na emeryturze, lecz kiedy tylko trafi się okazja, zawsze coś upieczesz. Twój dom pachnie całkiem jak jego - wanilią i karmelem.

- Te zapachy towarzyszą mi od tak dawna, że już nawet ich nie czuję. To pewnie tak jak praca w browarze, po pewnym czasie nos przestaje reagować na zapachy. Mój mąż też uważał, że nasz dom pachnie.

- Jesteś mężatką?

- Już nie. Rozwiodłam się sześć lat temu. Eksmąż ma w mieście firmę zajmującą się organizacją przyjęć. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Macie dzieci?

- Syna - odpowiedziała. - Kevin i Marcy, jego żona, oczekują pierwszego dziecka. Córeczka ma się urodzić w ciągu najbliższych dziesięciu dni, chyba że mała sprytniula nie będzie się spieszyć. Chcą ją nazwać Elizabeth, po mnie, ale będą do niej mówić Libby.

Jej palce powędrowały do srebrnego serduszka, jakby na szczęście.

- Nie wyglądasz na babcię.

- Dzięki. Nie mogę się doczekać - powiedziała. - W czym ci mogę

pomóc?

- Wynajęła mnie Daisy Sullivan. Ma nadzieję, że znajdę jej matkę.

- Tak, słyszałam. Rozmawiałaś już z Kathy Cramer.

- Sympatyczna kobieta - skłamałam, modląc się w duchu, żeby Bóg nie wyrwał mi kłamliwego języka.

Uśmiechnęła się, zakładając kosmyk włosów za ucho.

- Życzę ci powodzenia. Też chciałabym wiedzieć, gdzie wylądowała Violet. Zmieniła moje życie.

- Na lepsze czy na gorsze?

- Och, na lepsze. Bez dwóch zdań. Była pierwszym dorosłym, który zwrócił na mnie uwagę. To było cudowne. Dorastałam w Serena Station, zabitej dechami dziurze na końcu świata. Byłaś tam?

- Daisy mnie oprowadziła. Prawdziwe miasto widmo.

- Teraz tak, ale wtedy mieszkało tam dużo więcej ludzi, tyle że wszyscy tacy nudni i konwencjonalni. Violet była jak powiew świeżego powietrza - wybacż wyświechtane porównanie. Miała w nosie zasady i nie obchodziło jej, co inni o niej myślą. Kochała wolność. Przy niej każdy wydawał się nijaki i bez wyrazu.

- Jesteś pierwszą osobą, która ma o niej coś miłego do powiedzenia.

- Wtedy też tylko ja stałam po jej stronie. Teraz rozumiem, że igrała z losem. Była impulsywna, a może lepiej powiedzieć: lekkomyślna. Jednocześnie przyciągała i odpychała.

- Jak to?

- Myślę, że przypominała ludziom o tym wszystkim, czego pragnęli, ale czego nie mieli odwagi robić.

- Była szczęśliwa?

- Och, nie. Ani trochę. Desperacko pragnęła się stamtąd wyrwać. Miała dosyć biedy i pomiatającego nią Foleya.

- Wierysz więc, że wyjechała z miasta?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Oczywiście.

- Ale jak jej się to udało?

- Tak jak udawało jej się wszystko inne. Wiedziała, czego chce, i potrafiła przechytryć każdego, kto stanął jej na drodze.
- Bezwzględna kobieta.
- Powtarzam, to kwestia semantyki. Ja bym powiedziała „zeterminowana”, ale czasem to wychodzi na jedno. Prawie złamała mi serce, kiedy tak odeszła bez pożegnania. Ale cóż, musiałam powiedzieć: „Idź z Bogiem”. Oczywiście w wieku czternastu lat tak bym tego nie ujęła, ale właśnie tak się czułam. Było mi trudno, lecz cieszyłam się jej szczęściem. Wiesz, co mam na myśli? Zobaczyła szansę i z niej skorzystała. Drzwi się uchyliły, a ona się przez nie wślizgnęła. Podziwiałam ją za to.
- Musiało ci jej brakować.
- Na początku było okropnie. Zawsze o wszystkim rozmawiałyśmy, a tu nagle zostałam sama. Byłam zdruzgotana.
- I co zrobiłaś?
- A co mogłam zrobić? Nauczyłam się radzić sobie sama.
- Nigdy się z tobą nie skontaktowała?
- Nie, a byłam pewna, że to zrobi. Wystarczyłaby mi kartka z jednym zdaniem albo nawet pusta. Nawet sam stempel pocztowy. Cokolwiek, żebym wiedziała, że dotarła tam, gdzie się wybierała. Wyobrażałam sobie, że jest na Hawajach albo w Vermont, w jakimś miejscu zupełnie innym niż nasze miasteczko. Miesiące biegałam codziennie do skrzynki pocztowej. Teraz myślę, że nie mogła ryzykować.
- Nie rozumiem, w jaki sposób kartka pocztowa mogłaby ją narazić na niebezpieczeństwo.
- I tu się mylisz. Sonia, kobieta na poczcie, zauważyłaby tę kartkę podczas sortowania listów. Ja nie powiedziałabym nikomu, ale i tak wieść by się rozniosła. Sonia była gadułą, Violet dobrze o tym wiedziała.
- Byłaś ostatnią bliską jej osobą, która z nią rozmawiała.
- Wiem, dużo myślałam o tamtym wieczorze. Jakbym miała w głowie krótki fragment filmu odtwarzany ciągle na nowo. Znasz to uczucie, kiedy przyczepia się do ciebie jakaś piosenka i nie możesz się jej pozbyć,

cały czas brzmi w twojej głowie? Ja tak mam z Violet. Nawet teraz. No, może teraz już nie tak bardzo. Wspomnienia błędną, ale wiesz co? Wystarczy, że poczuję fiołkową wodę kolońską, i trach! Violet znowu tu jest, a ja mam łzy w oczach.

- Czy przyszło ci do głowy, że coś mogło się jej stać?

- Masz na myśli morderstwo? Ludzie o tym mówili, ale ja w to nie wierzyłam ani przez chwilę.

- Dlaczego? Wiedziałaś, do czego jest zdolny Foley. Nie pomyślałaś, że mogło się jej przydarzyć coś niedobrego?

Potrząsnęła głową:

- Moim zdaniem, było inaczej. Wcześniej tego dnia odwiedziłam Violet i zobaczyłam na krześle brązowe papierowe torby. Wystawały z nich jej ulubione rzeczy, więc zapytałam, co to jest. Odpowiedziała, że robiła porządki w szafie i te ciuchy oddaje biednym. Hmm, nawet wtedy brzmiało to dziwnie. Później - kiedy jej już nie było - dotarło do mnie, że ona się pakowała.

- A gdzie się mogła wybierać?

- Nie wiem. Do przyjaciółki? Albo może gdzie indziej.

Byłam zaskoczona:

- Mówiła ci, że się wybiera w odwiedzinach?

- Ani słówka. Foley wyszedł - nie wiem gdzie - a ja tak sobie wpadłam. Violet zaczęła mówić o czymś innym, więc nie wracałam do tematu.

- Jak to możliwe, że wcześniej o tym nie słyszałam? Czytałam wszystkie artykuły, ale nie znalazłam w nich informacji o torbach z ubraniami.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Mówiłam o wszystkim funkcjonariuszom, ale oni zachowywali się tak, jakby mnie nie słyszeli. Wtedy byli już zajęci maglowaniem Foley'a na temat sobotniej nocy. Nie chciałam rozdmuchiwać tej sprawy. Pomyślałam, że skoro Violet nie chwaliła się planowanym wyjazdem, to widocznie nie chciała, żeby ktoś o tym wiedział.

- Ale chyba zdawałaś sobie sprawę, że ktoś skontaktowałby się z władzami, kiedy ją uznano za zaginioną. Można było to zrobić bez narażania jej na niebezpieczeństwo.
 - Właśnie, ale kiedy gazety napisały o niej dwa razy i nikt się nie zgłosił, pomyślałam, że musiałam się pomylić. Może jednak wyjechała z miasta.
 - I właśnie to im powiedziałaś?
 - No, nie... Bałam się, że jeżeli pomyślą, że uciekła, zablokują drogi albo coś takiego.
 - Po co? Violet była dorosła. Jeżeli wyjechała z własnej woli, nie mieli prawa interweniować. Gliniarze nie ścigają zbiegłych żon, a zakładamy, że to właśnie zrobiła - nie chciałam, żeby zabrzmiało to oskarżycielsko. Liza przedstawiała mi teraz tok rozumowania czternastolatki, a nie dojrzałej i doświadczonej kobiety.
 - Och. Myślę, że masz rację, ale wtedy tego nie rozumiałam. Foley był szaleńcem, a ja nie chciałam, żeby się dowiedział o jej ucieczce. Bałam się, że będzie ją ścigał.
 - Ale to było kiedy? Pięć, sześć dni później? Do tego czasu mogła już być w Kanadzie.
 - Właśnie. Myślałam, że im więcej czasu dostanie, tym będzie bezpieczniejsza.
- W myślach wzniosłam oczy ku niebu.
- Nie dręczyło cię, że stawiasz Foleya w trudnym położeniu?
 - Sam na to zapracował. Nic mu nie zrobiłam.
 - Zawsze utrzymywał, że Violet uciekła. Mogłaś potwierdzić jego wersję.
 - Niby dlaczego miałabym mu pomagać? Bił ją od lat i nikt nigdy nie odezwał się nawet słowem. Skoro udało jej się wreszcie uciec, tym lepiej dla niej. Niech sobie teraz sam radzi, tak myślałam. Nie miałam zamiaru nawet kiwnąć palcem.
 - Chciałabym wiedzieć, dlaczego mi to mówisz, skoro wcześniej milczałaś. Przecież reporterzy musieli cię wypytywać.

- Nie czułam się wobec nich do niczego zobowiązana. Po pierwsze, nie lubię dziennikarzy. Jak to oni się nazywają... „dziennikarze śledczy”. Taaa... Jakby myśleli, że dostaną za to Pulitzera. Byli gruboskórni i traktowali mnie tak, jakbym zeznawała w sądzie. Chodziło im tylko o sprzedaż gazety i wypromowanie samych siebie.

- A biuro szeryfa? Nie myślałaś, żeby jeszcze raz im wyjawić, co widziałaś?

- Nigdy. Kiedy zrobili z tego ważną, federalną sprawę, bałam się odezwać. Zdecydowałam się opowiedzieć ci o tym, ponieważ lubię Daisy i cieszę się, że to robi.

Zastanowiłam się, czy nowa informacja pasuje do tego, co już wiedziałam.

- Coś jeszcze wyszło dzisiaj na jaw. Winston Smith powiedział mi, że tamtej nocy widział jej samochód niedaleko New Cut Road. Przed zakończeniem pokazu fajerwerków, bo ciągle je słyszał w oddali. Nie widział Violet ani psa, ale rozpoznał bel aira. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tu była, skoro wyszła z domu piętnaście po szóstej wieczorem. Liza potrząsnęła głową:

- Nie pomogę ci. Czy ta informacja coś zmienia?

- Nie mam pojęcia.

- A dlaczego on zatrzymał to dla siebie? Mówisz, że ja siedziałam cicho. Winston też mógł coś powiedzieć całe lata temu.

- Powiedział. Zwierzył się Kathy, ale to zbagatelizowała. Czasem tak bywa, że im dłużej milczysz, tym trudniej jest wreszcie się odezwać. Jeżeli Kathy by go zachęciła, poszedłby na policję.

Liza skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie jestem pewna, czy Winston jest teraz wiarygodnym świadkiem. Nie układa im się z Kathy. Prawdopodobnie zrobiłby wszystko, żeby ją oczernić.

- Może i tak jest, ale zauważ, że to potwierdza wersję Foleya.

- Nigdy nie powiedziałam, że Foley ją zabił. Wręcz przeciwnie.

- Ale wiele osób tak myślało. Jego życie legio w gruzach. Chodzi o to,

że skoro samochód był tak daleko, a Foley w parku, to jakim cudem mógł ją zabić i zatuszować morderstwo?

- Może miał fart.

- Mówię serio.

- Przepraszam. Źle to zabrzmiało.

- Czy coś przeoczyłam?

Spojrzała na podłogę, przez jej głowę przebiegały kolejne możliwe wersje zdarzeń:

- Nie żebym w to wierzyła, ale założmy, czysto teoretycznie, że już wtedy nie żyła.

- Tego też nie można wykluczyć - przyznałam. - Jednak jeżeli to Foley ją zabił, to w jaki sposób? Był w parku do końca fajerwerków, potem poszedł do Moonu. Jak mógł po wyjściu stamtąd pozbyć się jej ciała, a potem samochodu? Nie miał środka transportu, bo oddał furgonetkę w rozliczenie, a Violet używała ich jedyne auto.

- Może pożyczył samochód albo nawet ukradł. Pojechał tam i ją zakopał. Co w tym trudnego?

- To, że wtedy zostałyby z dwoma autami, bel airem i tym, które pożyczył albo ukradł. Mówisz, że wrócił po północy, ale to i tak wcześniej. Co zrobił z samochodem? Jeżeli zrzucił go z urwiska albo zepchnął do wąwozu, to i tak musiał wrócić piechotą do ukradzionego albo pożyczonego auta, zabrać je stamtąd i wrócić do domu. To zbyt skomplikowane, a przede wszystkim zbyt czasochłonne. Zabrałoby mu całą noc.

Zauważyłam, że jej policzki lekko się zaróżowiły.

- Tak naprawdę nawet nie wiesz, czy ona tam była. To czyste spekulacje. Mogła porzucić samochód i odjechać z kimś innym.

- Taaa. Tu masz rację. Ciekawa hipoteza. Ale co dalej? Jak na zawołanie zjawiał się złodziej i odjechał bel airem?

Powoli traciła cierpliwość:

- Kto to wie? Zresztą, jaka to różnica? Obchodzi mnie, co się stało z Violet, a nie z samochodem.

- W porządku. Nieważne. Wróćmy do tego, co powiedziałaś.
- Powiedzmy, że z kimś uciekła. Kto to mógł być?
- Nigdy jej z nikim nie widziałam. A nawet gdybym widziała, i tak pewnie bym ci nie powiedziała.
- Nadal próbujesz ją chronić?
- Tak, chyba tak. Jeśli odkryją, z kim uciekła, równie dobrze mogą zgadnąć, gdzie jest.
- Przecież mówiłaś, że chcesz pomóc Daisy. Jeżeli kogoś podejrzewasz, podaj mi nazwisko.
- Tego nie powiedziałam. Cieszę się, że Daisy to robi ze względu na nią samą. To nie tak, że ukrywam jakieś informacje. Chodzi mi tylko o to, że może Violet nie chce, żeby ją znaleziono. Czy nie powinniśmy zostawić jej w spokoju?
- Niestety, interesy Daisy i jej matki mogą się nie pokrywać.
- Słuchaj, nie lubię być stawiana pod ścianą. Powiedziałam ci tyle, ile wiem. Teraz to twój problem. Mam nadzieję, że Daisy dostanie to, czego chce, ale nie kosztem Violet.
- Rozumiem. Na dłuższą metę i tak to one dwie będą sobie musiały z tym poradzić. Jeżeli dam radę, znajdę Violet. A co one z tym zrobią, to już ich sprawa. Daisy się zмага z poczuciem odrzucenia. Boi się, że jej matka odeszła i ją zostawiła, nawet się nie oglądając.
- Violet niekoniecznie ją odrzuciła. Może po prostu skorzystała z szansy.
- Na jedno wychodzi. Przedłożyła swój interes nad Daisy.
- Nie byłaby pierwszą kobietą, która to zrobiła. Czasami niełatwo jest dokonać wyboru. Jeżeli spotkała mężczyznę, który był dla niej naprawdę dobry, to może warto było zapłacić tę cenę. Nie chcę jej na siłę bronić, ale przecież biedaczki nie ma tutaj, żeby się sama obroniła.
- W porządku. Rozumiem. Wiele dla ciebie znaczyła.
- Poprawka. Nie „wiele”. Była dla mnie wszystkim.
- A to znaczy, że jedziecie z Daisy na tym samym wózku.
- Nie do końca. Myślałam, że nigdy nie dojdę do siebie, ale proszę -

życie toczy się dalej. Daisy powinna zrobić to samo.

- Może pewnego dnia tak się stanie, ale na razie tkwi w martwym punkcie.

Na krótką chwilę zapadła cisza, którą wykorzystałam, żeby się zastanowić, o co jeszcze mogę zapytać. Liza najwyraźniej miała mnie już dość.

- Co się stało z twoim chłopakiem?

- Słucham?

- Twój chłopak. Miałaś wtedy kogoś, prawda?

- Nazywał się Ty Eddings. Skąd o nim wiesz?

- Ktoś o nim wspominał. Nie pamiętam kto. To było w czasie rozmowy o różnych wydarzeniach, które nastąpiły mniej więcej w czasie, gdy zniknęła Violet. Zerwaliście wtedy, tak?

- Mniej więcej. Wyjechał dzień po Violet.

- Z powodu?

- Nie mam pojęcia. To nie tak, że się pokłóciliśmy. Mieliśmy się spotkać w niedzielę rano i spędzić razem cały dzień. Zamiast tego z Bakersfield przyjechała jego matka i zabrała go ze sobą. Nigdy się ze mną nie skontaktował.

- Ciężka sprawa.

- Owszem, było ciężko. Był miłością mojego życia. Niegrzeczny chłopiec, ale taki słodki, szalałam za nim. Miał siedemnaście lat - trzy lata więcej niż ja. Przyjechał tu, bo miał kłopoty - wagary, złe oceny, takie sprawy. Miał zacząć wszystko od nowa. Wydawało mi się, że dobrze mu idzie.

- Nie było czegoś pomiędzy nim a Violet?

- Pytasz, czy to nie z nim uciekła?

- Lekkomyślne kobiety lubią niegrzecznych chłopców.

- Ach, wiem, o co ci chodzi, ale na pewno nie. Spędzaliśmy razem każdą chwilę, a kiedy nie byłam z nim, byłam z nią.

- Tak mi tylko przyszło do głowy.

- To nie on. Ręczę za to.

- Nieszczęścia chodzą parami. Straciłaś Ty' a i Violet tego samego dnia.

Uśmiechnęła się leciutko:

- Szczęście nie zawsze dopisuje. Trzeba grać takimi kartami, jakie się ma w ręce. Nie ma sensu tego później rozpamiętywać.

ROZDZIAŁ 15

Tom Środa 1 lipca 1953

Tom Padgett siedział nad swoim drugim piwem w Blue Moon pogrążony w ponurych rozmyślaniach nad życiem.

Później, kiedy do tego wracał, stawały mu przed oczami następujące po sobie zdarzenia, kawałeczki rzeczywistości ustawione w szeregu jak paliki w płocie. Albo raczej nie tyle paliki, ile pusta przestrzeń między nimi.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy wiele zrozumiał. Nagle dotarło do niego, że świat nie jest taki, jakim go sobie wyobrażał - uczciwy i sprawiedliwy. Ludzie byli pazerni i skupieni na sobie. Egoistyczni. Było to dla niego szokujące odkrycie, choć inni pewnie od dawna znali tę prostą prawdę. W niebywale krótkim okresie przebył drogę od nadziei i optymizmu do o wiele bardziej przygnębiającej wizji natury ludzkiej, aż wreszcie niechętnie zrozumiał, że jest jednym z wyrzutków społecznych. Być może zawsze nim był.

Pierwszym sygnałem tego, co miało nadejść, była sesja terapeutyczna, w której Cora i on wzięli udział wiosną. Dokładnie w prima aprilis, co samo w sobie stawało się znaczące. Byli małżeństwem od trzech lat, z czego dwa lata głównie się kłócili. Jak dwa psy ciągnące z dwóch stron ten sam ręcznik, kręcące się w kółko, szarpiące materiał i szczerzące kły - żaden nieskory do ustąpienia. Ogólnie mówiąc, walczyli o władzę, a władza była związana z kontrolowaniem funduszy, których znakomita większość należała do niej.

Nie mógł sobie przypomnieć, kto zaproponował spotkanie z pastorem z kościoła, do którego uczęszczali na nabożeństwa. Tomowi, niezbyt religijnemu człowiekowi, wystarczało, że dla Cory kościół był ważny. Oczywiście Cora, mając pięćdziesiąt sześć lat, była bliżej opuszczenia

ziemskiego padołu niż on, czterdziestojednolatek, być może z tego wynikał ich odmienny stosunek do Kościoła. Chociaż nieraz zarzekał się, że różnica wieku nie ma dla niego najmniejszego znaczenia, teraz zrozumiał, że wraz z upływem czasu będzie coraz trudniej.

Cora wyglądała na swoje pięćdziesiąt sześć lat. Jej twarz, która nigdy nie należała do najpiękniejszych, gwałtownie zbrzydła, gdy skończyła pięćdziesiąt pięć lat. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. Jakby ktoś pociągnął za sznurek, a na jej twarz z głuchym trzaskiem spadła kurtyna zmarszczek. Jej szyja wyglądała jak coś, co przez pomyłkę pozostawiono na wiele dni w suszarce. Włosy przerzedziły się. Zaczęła chodzić dwa razy w tygodniu do salonu piękności, gdzie straszono je i tapirowano, aby udawały gęstsze. Niestety, spomiędzy nędznych kosmyków nadał prześwitywała czaszka. Cora potrzebowała ciągłych zapewnień, komplementów, które uspiłyby jej kompleksy. Tylko pieniądze dawały jej pewność siebie. Tom wkraczał właśnie w najlepszy okres życia dla mężczyzny, jednak nie odniósł do tej pory żadnych sukcesów. Do pewnego stopnia była to wina Cory, która miała środki, żeby mu pomóc, ale nawet nie kiwnęła palcem. I właśnie dlatego znaleźli się w gabinecie pastora. Tom przekartkował Stary i Nowy Testament i z zadowoleniem znalazł wiele wzmianek o obowiązkach żony względem męża.

Powinna być jego podporą i podporządkować mu się we wszystkim. Jest to powiedziane wprost w Pierwszym Liście św. Piotra, rozdział trzeci, wersety: jeden-sześć.

Właśnie o tym chciał porozmawiać.

Ale zamiast tego mówił o innych sprawach.

Pastor zapytał go swoim łagodnym i troskliwym głosem, na czym, jego zdaniem, polega problem. Tom zawczasu przygotował odpowiedź: - Mówiąc w skrócie, uważam małżeństwo za związek dwojga równych sobie partnerów, za drużynę. Nasze małżeństwo takie nie jest. Cora we mnie nie wierzy, w związku z czym ja też zaczynam w sobie wątpić. Nie znam się za bardzo na Biblii, ale chyba nie jest to zgodne z duchem Pisma.

Tutaj wtrąciła się Cora, przedstawiając swój punkt widzenia:

- Ale my nie jesteśmy sobie równi. Ja wniosłam do naszego małżeństwa fortunę, a on nie miał ani centa. Nie rozumiem, dlaczego mam poświęcać połowę tego, co mam, żeby on mógł się poczuć jak pełnowartościowy mężczyzna.

Pastor odpowiedział:

- Rozumiem twój punkt widzenia, Coro, ale trzeba być trochę elastycznym.

- Elastycznym? - Cora zamrużyła oczami. Duchowny odwrócił się w stronę Toma:

- Tom?

- Nie chcę, żeby dawała mi pieniądze. Po prostu potrzebuję niewielkiej pomocy, żeby wreszcie stanąć na nogi.

- Dlaczego jej tego nie powiesz?

- Oczywiście. Chętnie. Z przyjemnością - Tom spojrział na Corę. - Nie bardzo rozumiem, dlaczego taka jesteś. Przecież nie zarobiłaś tych pieniędzy. Loden Galsworthy zrobił to za ciebie. Kiedy go spotkałaś, byłaś ekspedientką w pasmanterii. Loden był urodzonym człowiekiem interesu. Te domy pogrzebowe to był strzał w dziesiątkę, jestem pod wrażeniem. Kto inny miałby tyle zimnej krwi, żeby zarabiać pieniądze na śmierci? Daj mi szansę udowodnić, że jestem równie dobry albo nawet lepszy.

- Dlaczego koniecznie chcesz z nim konkurować?

- Nie chcę. Nie konkuruję. Jak mógłbym konkurować z nieboszczykiem? Cora, nie chcę cię naciągać. Naprawdę nie. Daj mi małą, malutką szansę, a udowodnię ci to. Potrzebuję tylko pożyczki.

- Lodenowi pieniądze nie spadły z nieba. Sam wszystko zarobił.

- Ale pochodził z uprzywilejowanej warstwy, jak dobrze wiesz.

Przyznaję, że ja miałem mniej szczęścia. To żaden wstyd, ty też pochodzisz z biednej rodziny. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mi dać szansy.

- A jak nazwiesz te dwadzieścia tysięcy dolarów, które pożyczyłam ci

jesienią?

- Za mało, żeby coś z tego miało być. Już wtedy ci to mówiłem.

Równie dobrze mogłaś mi pożyczyć dwadzieścia dolarów. Nie da się rozkręcić interesu bez kapitału, szczególnie jeśli ktoś, tak jak ja, wysoko mierzy. Zobacz tylko, ile zdołałem osiągnąć. Wcale nieźle mi się powodzi i stoję na własnych nogach. Teraz potrzebuję tylko niewielkiego zastrzyku gotówki.

- Jeżeli nieźle by ci się powodziło, nie próbowałbyś mnie teraz szantażować, żebym pożyczyła ci więcej.

Tom spojrział na pastora:

- Szantażować? Czy to szantażowanie, kiedy błagam o pomoc?

- Myślę, że Cora docenia twoją postawę.

Tom ponownie zwrócił się do Cory:

- Nie, nie, zaczekaj. Czyj to był pomysł, żeby tu przyjść? Mój. Jestem tutaj, ponieważ chcę, żeby nam było lepiej. Chcę, żebyśmy się porozumieli, ale potrzebuję niewielkiej pomocy z twojej strony.

- Jesteś tutaj, ponieważ wymyśliłeś, że użyjesz pastora, żeby wyrzucić na mnie nacisk. Przykro mi, ale nie dam ci ani centa. Nie ma mowy.

- Nie proszę, żebyś dawała mi pieniądze. Rozmawiamy o pożyczce. Możemy sporządzić umowę, jaką tylko sobie zażyczysz, a ja ją bez szemrania podpiszę. Nie chcę jałmużny. Chcę zaufania i szacunku. Czy to tak dużo?

Cora uważnie przyglądała się swoim paznokciom.

Tom myślał, że zastanawia się nad odpowiedzią, ale po chwili dotarło do niego, że właśnie to jest jej odpowiedź. Fala gorąca uderzyła mu do głowy. Jej milczenie było bardzo wymowne.

Nie szanowała go i nie ufała mu.

Wszystko sprowadzało się do tego, że wyszła za niego, bo wiedziała, jak ograniczone są jego finanse. Mówiła, że to nie jest ważne, ale teraz Tom zrozumiał, że chciała mieć nad nim przewagę. Pieniądze dawały władzę, a Cora nie miała zamiaru się nią dzielić. Kiedy była żoną Lodena, on trzymał bat, a ona musiała skakać przez obręcz. W jej nowym

małżeństwie role się odwróciły.

Nie pamiętał, czym skończyła się ta sesja. Z całą pewnością nie jakimś ustępstwem ze strony Cory.

W milczeniu wsiedli do samochodu i nie odezwali się do siebie ani słowem w czasie jazdy.

Podrzucił żonę do domu i ruszył prosto do Blue Moon. Violet też tam była. Usiadła na stołku obok niego, postawił jej kieliszek czerwonego wina. Wstawiła się, ale on też miał już trochę w czubie.

- Co cię gryzie? - zapytała.

- Chodzi o Corę. Mieliśmy spotkanie z pastorem i gdzieś w połowie nagle mnie oświeciło. Ta kobieta mi nie ufa i nie żywi do mnie szacunku. Nie rozumiem tego. Wyszła za mnie, miała być ze mną na dobre i na złe. Teraz przyszła pora na złe, przynajmniej dla mnie, a ona nie chce podać mi pomocnej dłoni, żeby wydobyć mnie z dołka.

- A jakiego to rodzaju dołek?

- Jaki mógłby być? Finansowy. Potrzebuję zastrzyku gotówki. Nic więcej.

Violet roześmiała się:

- Chcesz, żeby dała ci pieniądze? A niby czemu?

- Bo ja bym to dla niej zrobił. Małżeństwo polega na dzieleniu się wszystkim po połowie. Czy tak nie powinno być?

- Jasne. Tyle że w waszym wypadku obie połowy należą do niej. No bo co ty masz do zaoferowania?

- Dryg do interesów. Jestem biznesmenem.

- Jesteś dupą wołową. Gadasz jak Foley. Tylko czeka, żeby położyć swoje wielkie łapska na moich pieniądzach. To jak chińska tortura wodna. Kap, kap, kap.

- Nie uważasz, że jesteście drużyną?

- Jasne. Jesteśmy dla siebie stworzeni. On jest bokserem, a ja workiem treningowym.

- Nie dałabyś mu ani centa? Nawet gdyby to mogło odmienić jego życie?

- Oczywiście, że nie. Niby czemu? Żeby wszystko przehulał?

- Wy, kobiety. Trudno się z wami dogadać. W głowie mi się to nie mieści. W Biblii jest napisane, że powinniście być posłuszne swoim mężom. Słyszałaś chociaż o tym?

- Nie.

- Najwyraźniej moja żona też nie. Nawet nie zarobiła tych pieniędzy. Odziedziczyła je po tym starym pierniku, za które go wyszła. Do diaska, sam bym za niego wyszedł, jeśli by mnie ładnie poprosił.

Violet uniosła brwi:

- Jak to? Jesteś jednym z nich?

- Nie, nie jestem. Nie o to mi chodziło.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co kobiety muszą przejść, żeby zdobyć pieniądze.

Tom ożywił się:

- Właściwie to mogę ci to ułatwić. Te twoje pieniądze, daj mi je, a ja obiecuję zwrócić pożyczkę z czterdziestoprocentowym zyskiem w ciągu trzech miesięcy. Na sto procent.

- Gówno prawda - Violet wyjęła papierosa i Tom nachylił się w jej stronę, by podać jej ogień. Wypuściła obłoczek dymu i spojrzała na niego z namysłem: - Mam pytanie. Dlaczego nigdy się do mnie nie przystawiasz? Nie podobam ci się?

- Podobasz mi się. Oczywiście, że tak. Co to w ogóle za pytanie?

- Jesteś ogierem. Widać to na pierwszy rzut oka.

Tom się roześmiał, był nieco zażenowany.

- Twoja wiara we mnie mi pochlebia. Nie jestem tylko pewien, czy Cora by się z tobą zgodziła.

- Mówię serio. Ile już razy tak rozmawialiśmy? Ile razy tańczyliśmy i się wygłupialiśmy? Ale ty nigdy nie posunąłeś się dalej. O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie żartuj sobie. Jestem jedynym facetem w mieście, który nie próbuje dostać się do twoich majtek, a ty mnie za to krytykujesz! Chcesz wiedzieć, o co chodzi, to ci powiem. Otóż ja jestem bardziej

zainteresowany tym - poklepał się po głowie. - Pewnie, moglibyśmy pobaraszkować na sianku. Ale co potem? Znalazłabyś sobie kogoś nowego. Już wolę być twoim przyjacielem.

- Och, daj spokój.

- Smutno mi się robi, kiedy widzę, że taki rozum jak twój się marnuje. Jesteś tak zajęta opędzaniem się przed tym psychopata, twoim mężem, że na nic innego nie masz już czasu ani siły. Czemu dla odmiany nie ruszysz głową i nie odejdziesz od niego?

- Sama nie wiem. Foley bywa na swój sposób słodki.

- Bzdury, i ty dobrze o tym wiesz. W takich sprawach nie możesz się poddawać emocjom. Musisz być twarda.

- Ale nie jestem.

- No to praktyczna, jeśli tak to wolisz nazywać. Popatrz na mnie i Corę. Nic jej nie brakuje. Uwielbiam ją, ale co z tego? Nasze małżeństwo jest martwe. Ona to wie równie dobrze jak ja. A chcesz wiedzieć, co się stanie, jeśli wystąpię o rozwód? Będę goły i wesoły. I tak samo jest z tobą. Możesz odejść, ale weźmiesz ze sobą tylko to, co masz na grzbiecie.

- Dla mnie to nie jest problem. Jeżeli mogłabym wyrwać się na wolność, z chęcią zostawiłabym wszystko za sobą. Komu by tam zależało na dobytku? Wszystko, co mam, można łatwo zastąpić. W końcu mam pieniądze.

- Nie mogłaś sobie darować, prawda?

- To ty zaczęłaś mówić o pieniądzach.

- Jakbym słyszał Corę.

- A tak właściwie to czemu, do cholery, tak marudzisz? Masz wielki dom i te samochody. Co ja bym oddała, żeby mieć taki wózek jak ty.

- Właśnie o tym mówię, Violet. Cztery tysiące za samochód? To drobiazg. Chodzisz po ulicach ze spuszczoną głową i wypatrujesz drobniaków na chodniku. Podnieś głowę i rozejrzyj się dookoła.

- Zapłaciłaś cztery tysiące za samochód? Nie żartuj.

- Widzisz, właśnie w tym tkwi twój problem. Nie masz rozmachu.

Myślisz, że jeśli będziesz dobrze pilnować swoich pieniędzy, dolary nie

odleca w siną dal. Ale to nie tak. Musisz poluzować. Pieniądz robi pieniądz. Okej, to ile masz w banku, dwadzieścia?

Violet podniosła kciuk na znak, że więcej.

- Trzydzieści pięć?

- Pięćdziesiąt.

- Całkiem okrągła sumka. Świetnie, ale kiedy tak leżą w banku, ty codziennie tracisz pieniądze...

Przerwała mu:

- Nie tak szybko. Wiem, do czego zmierzasz i od razu odpowiadam: „nie”.

- Nie masz pojęcia, do czego zmierzam, więc może dla odmiany przez chwilę mnie posłuchasz? Proponuję połączyć siły.

- Jasne, połączyć siły, w to ci graj. A wiesz dlaczego? Bo mam więcej niż ty.

- Mam pieniądze.

- Ile?

Przechylił głowę i przez chwilę nad czymś myślał:

- Będę szczerzy. Mam sporo, ale nie tyle co ty. Właśnie pracuję nad zwiększeniem kapitału.

- Super. Cieszę się w twoim imieniu. Ale mimo to nie dam ci ani centa.

- Właśnie to mi się w tobie podoba. Jesteś cholernie uparta. Coś ci powiem. Umówimy się tak: kiedy zmienisz zdanie, po prostu daj mi znać.

- Nie licz na to.

ROZDZIAŁ 16

Przyjechałam do Blue Moon pierwsza, Tannie i Daisy jeszcze się nie pojawiły. O osiemnastej czterdzieści pięć Serena Station było skąpane w złotym świetle. Powietrze przesycił zapach wawrzynów z delikatną domieszką dymu palącego się drewna. W Kalifornii nie widać jesieni, więc mieszkańcy muszą bawić się w jesień - gromadzą drewno do kominka, wyciągają z samego dna szuflad ciepłe swetry. Wiele osób przywędrowało tu z dalekich stron - przybysze ze Wschodniego Wybrzeża i ze Środkowego Zachodu, którzy wylądowali na Zachodnim

Wybrzeżu w poszukiwaniu pięknej pogody. Mają serdecznie dosyć burz lodowych, stuośmiostopniowych upałów, tornado i huraganów. Najpierw czują ulgę, że nie dręczą ich już robaki, parne powietrze i nieobliczalna pogoda. Potem przychodzi nuda. Zanim się obejrzą, już organizują nostalgiczne wyprawy do domu, płacąc niewiarygodne pieniądze za możliwość doświadczenia tego, przed czym uciekali.

Parking dla klientów był zapełniony, samochody stały nawet wzdłuż drogi. Objechałam parking, wypatrzyłam wąski niezajęty skrawek, na którym prawdopodobnie nie wolno było parkować, i wcisnęłam tam swój wóz. W drodze do wejścia obejrzałam się. Zabawne, jak mój volkswagen się wyróżniał wśród tych wszystkich pikapów, wozów z wbudowaną przyczepą kempingową i furgonetek.

Restaurację zbudowano z grubo ciosanych desek. Wyblakła fasada przypominała saloon z westernu. Wnętrze było utrzymane w tym samym stylu: koła od wozu, lampy naftowe, drewniane stoły nakryte obrusami w czerwono-białą kratkę. Właśnie trwała happy hour.

Spodziewałam się raczej smrodu papierosów i piwa, tymczasem powitała mnie woń pierwszorzędnej wołowiny grillowanej na dębowym drewnie.

Tannie zarezerwowała dla nas stolik po lewej stronie od baru, przy którym tłoczyło się teraz mnóstwo ludzi. Trzy kolejne sale, oddzielone łukiem, mieściły się po prawej. Jednak nietrudno było zgadnąć, że stała klientela woli jeść tutaj, wśród znajomych twarzy. Teraz wszystkie oczy były wlepione we mnie, z czego wnioskowałam, że nieczęsto pojawia się tutaj ktoś obcy.

Hostessa wskazała mi mój stolik, a zaraz potem pojawiła się kelnerka.

Wręczyła mi wydrukowane na zwykłym białym papierze menu:

- Jeżeli chce pani na razie zamówić coś do picia, karta win jest z drugiej strony.

Ominęłam mocne alkohole i od razu przeszłam do win sprzedawanych na kieliszki.

Szukałam czegoś sprawdzonego. Zamówiłam lampkę chardonnay i

właśnie wtedy zauważyłam, że siedzący przy barze mężczyzna uporczywie się we mnie wpatruje. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy nie patrzy na kogoś innego, ale chyba jednak chodziło o mnie. Kiedy kelnerka poszła po moje wino, zsunął się ze stołka i ruszył w moim kierunku. Był wysoki, szczupłej budowy, długonogi. Twarz miał pociągłą, ogorzałą i pokrytą siateczką zmarszczek jak mapa poziomicowa. Popękane naczynka na policzkach wyglądały jak rumieńce, a od częstego przebywania na świeżym powietrzu jego skóra pokryła się orzechowo-brązowymi plamami. Czupryna, niegdyś ciemna, teraz stała się szpakowata.

Kiedy dotarł do stolika, wyciągnął dłoń:

- Jake Ottweiler, ojciec Tannie. Pani musi być jej przyjaciółką.
- Miło mi pana poznać. Jestem Kinsey.
- Witam w Blue Moon, zwanym przez miejscowych po prostu Moon. Zauważyłem panią, kiedy tylko pani weszła.
- Tak jak wszyscy. Chyba zagląda tu niewielu przypadkowych klientów.
- Więcej niż pani przypuszcza. Ludzie z Santa Teresa regularnie nas odwiedzają.

Jego oczy o przenikliwym spojrzeniu wydawały się jeszcze bardziej błękitne na tle ciemnej opalenizny. Tannie mi opowiadała, że długo zajmował się uprawą ziemi. Najwidoczniej jako współwłaściciel Blue Moon zmienił styl na bardziej elegancki - zamiast solidnych butów i kombinezonu miał na sobie spodnie, zgrabnie skrojony granatowy sportowy płaszcz i miękką białą koszulę.

Kiedy kelnerka przyniosła moją lampkę białego wina, mruknął, prawie na nią nie patrząc:

- Na mój rachunek.

Było jasne, że pracują ze sobą od bardzo dawna i potrzebę konwersacji ograniczyli do minimum.

- Przysiadzie się pan? - zapytałam.
- Na chwilę. Przynajmniej dopóki Tannie się nie zjawi. Jestem pewien,

że wy, dziewczęta, macie mnóstwo rzeczy do omówienia.

Odsunął krzesło i zamówił drinka ruchem dłoni. Kiedy kelnerka ponownie się oddaliła, odchylił się na oparcie i uważnie mi się przyjrzał.

- Nie tak sobie wyobrażałem prywatnego detektywa.

- W dzisiejszych czasach występujemy we wszystkich kształtach i rozmiarach.

- Jak tam śledztwo?

- Przy takiej sprawie trzeba mieć cierpliwość świętego.

- Jeśli mam być szczerzy, moim zdaniem to zwykła strata czasu.

- Pewnie tak - odparłam. - Mogę skorzystać z okazji i zadać panu kilka pytań?

- Proszę bardzo. Nie jestem pewny, czy będę w stanie pomóc, ale powiem wszystko, co wiem.

- Jak dobrze pan znał Violet?

- Wystarczająco dobrze, jak sędzę. Widywałem ją tutaj dwa albo trzy razy w tygodniu. Niespokojna dusza, ale nie była złym człowiekiem.

- Słyszałam, że pozwała pana do sądu grodzkiego, bo pański pies zagryzł jej psa.

- Niemiła sprawa. Było mi jej żal, ale mój pies był na smyczy - odwrotnie niż jej - więc wina była również po jej stronie. W końcu musiałem uspić tego psa, lecz nie miało to nic wspólnego z nią. W każdym razie doszliśmy do porozumienia. Mogłem tak łatwo nie popuścić, ale co by mi to dało? Jej miniaturowy pudel nie żył, a ona miała złamane serce aż do czasu, kiedy dostała Baby.

- Czy oglądał pan w parku fajerwerki tej nocy, kiedy zniknęła?

- Owszem. Tannie miała iść z bratem, ale Steve zabrał się ze znajomymi, więc poszliśmy razem.

- Widział pan Foleya?

- Nie, ale wiem, że się pokłócił z Livią Cramer. Livia nie akceptowała Sullivanów. Uważała, że są poganami. Nie powinno jej to obchodzić, ale ta kobieta nigdy nie dawała za wygraną. Napadła na niego w sprawie Daisy. Dziecko nie zostało ochrzczone i Livia uważała, że to hańba. Foley

był już pijany, więc dokładnie jej wyjaśnił, gdzie może iść i co zrobić.

Livia dołożyła starań, żeby każdy w mieście usłyszał, co jej powiedział.

Jej zdaniem był to kolejny dowód na to, że Foley jest szumowiną.

- Nie widział pan Violet?

Potrząsnął głową:

- Ostatni raz widziałem Violet dzień wcześniej. Jeździła po mieście tym swoim nowym samochodem i zatrzymała się na chwilę, żeby ze mną porozmawiać.

- Pamięta pan o czym?

- Głównie się przechwalała. Wcześniej zabrała Daisy i Lizę Mellincamp na lunch i do kina w Santa Maria. Potem miała coś do zrobienia, więc podrzuciła dziewczynki do domu, a sama załatwiała swoje sprawy.

- Ma pan dobrą pamięć.

Uśmiechnął się.

- Chciałbym, żeby tak było. Tak naprawdę to raz na dwa lata ktoś mnie o to pyta, jakiś miejscowy dziennikarz. Odpowiadałem na to pytanie tak często, że mógłbym to zrobić nawet przez sen.

- Nie wątpię. Czy Violet zachowywała się zwyczajnie, kiedy pan z nią rozmawiał?

- Jak na nią, tak. Violet miała lepsze i gorsze dni, teraz chyba nazywa się to chorobą dwubiegunową.

- Ciekawe. To coś nowego. Jak dotąd nikt nie wspominał o huśtawce nastrojów.

- To tylko moje spostrzeżenie. Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, więc mogę się mylić. Bardzo często użalała się nad sobą, że tak powiem.

- Daisy pamięta, że dzień wcześniej jej rodzice bardzo się pokłócili. To byłby czwartkowy wieczór. Mówi, że Foley zerwał firankę. Violet wpadła w szal, zerwała resztę i wyrzuciła do śmieci. Słyszał pan o tym?

Potrząsnął lekko głową:

- To byłoby całkiem w jej stylu. A dlaczego pani o tym mówi?

- Podobno właśnie dlatego Foley kupił żonie samochód. Chciał jej to

wynagrodzić.

- Raczej mu nie wyszło, skoro i tak go zostawiła - zauważył. - Facet, z którym powinna pani pogadać, to mój partner, B.W., który zajmował się wtedy barem. Przedstawiłbym panią, ale niestety nie ma go dzisiaj.

- Daisy też mi o nim wspominała. Mógłby go pan uprzedzić, że będę próbowała się z nim skontaktować?

- A może powiem pani, gdzie go można spotkać jutro o siódmej rano, i sama pani z nim porozmawia? Maxi's Coffee Shop przy drodze z Silas do Serena Station. Codziennie spędza tam około godziny.

Czułam, że cierpnę na myśl o porannej przejażdżce. Będę musiała wyruszyć z ST o świcie.

- Nie lubię wpadać niezapowiedziana. Może nie będzie miał ochoty odpowiadać na moje pytania przy porannej kawie i fajkach.

- B.W. nie będzie miał nic przeciwko. Jest wyluzowany i uwielbia gawędzić.

- Jak bym go miała rozpoznać?

- Nic prostszego. Waży trzysta funtów i jest ogolony na łyso.

Spojrzał na wejście za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Daisy i Tannie właśnie nadchodzą. Zauważyły nas i podeszły do stolika, Tannie przodem. Dzień spędzony na świeżym powietrzu, na walce z zaroślami, zarumienił jej policzki. W międzyczasie zdążyła wziąć prysznic i zmienić ubranie. Miała na sobie świeżo wyprasowane džinsy i białą bluzkę, a ciągle wilgotne włosy schowała pod bejsbolówkę. Daisy była ubrana w czerwony, bawełniany, rozpinany sweterek narzucony na sukienkę z czerwono-białym nadrukiem. Włosy spięła z tyłu plastikową klamrą.

Jake podniósł się na powitanie. Tannie cmoknęła go w policzek.

- Hej, tatku. Widzę, że poznałeś Kinsey - powiedziała i wślizgnęła się na krzesło koło mnie.

Jake odsunął krzesło dla Daisy.

- Jak się masz, Daisy? Dobrze wyglądasz.

- Dzięki, wszystko w porządku. Bosko tu pachnie.

- Mam tu ośmiuncjowy stek, specjalnie dla ciebie.

Tannie spuściła wzrok, ale to, co powiedziała, było skierowane do mnie:

- Nie patrz teraz, ale Chet Cramer właśnie wszedł z Caroleeną, klonem Violet Sullivan.

Oczywiście popatrzyłam i spotkałam się wzrokiem z Chetem Cramerem. Uśmiechnął się przyjaźnie, ale, jak zauważyłam, natychmiast poprowadził żonę do innej części baru. Jak zdążyłam dostrzec, Caroleena była za stara, żeby farbować włosy na taki jaskrawy odcień czerwieni. Jej cera miała blady odcień dzięki nałożonym na nią specyfikom, a nie delikatnemu irlandzkiemu kolorytowi, który próbowała upozorować. Obcisła sukienka, duże cycki, otłuszczona talia.

- Naprawdę jest podobna do Violet?

- Nie do końca - zakpiła Daisy. - Ta kobieta wygląda jak krowa. Moja matka była piękną. Biedna Kathy Cramer. Umarłabym ze wstydu, gdyby mój ojciec znalazł sobie kogoś takiego.

Chętnych na kolacje przybywało, więc Jake nas przeprosił i poszedł doglądać interesu.

Tymczasem my rozsiadłyśmy się wygodnie z drinkami w rękę i pogрузyłyśmy w kontemplacji menu. W końcu wszystkie zamówiłyśmy średnio wysmażony filet mignon z pieczonym ziemniakiem, a na przystawkę sałatę. Kończyłyśmy posiłek, kiedy temat Kathy Cramer ponownie wypłynął. Miałam zapewnienie, że informacja nie jest z rodzaju ściśle tajnych, więc swobodnie przekazałam wiadomość o rozpadzie małżeństwa Cramer-Smith.

- Cóż, tym lepiej dla niego. Ona jest taką suką. Cieszę się, że Winston wreszcie wyrwie się na wolność - skomentowała Tannie.

Daisy dodała:

- Zgadza się. Najwyższy czas, żeby się zdobył na odwagę.

- Nie jestem pewna, czy określenie „wyrwać się na wolność” jest najlepsze w sytuacji, kiedy Kathy daje mu kopa -zauważyłam.

Tannie zrobiła zmartwioną minę:

- Ale on był taki słodziutki. A na dodatek to imię, Winston.

Uwierzyłybyście? Uważam, że ktoś powinien mu powiedzieć, żeby trochę schudł. Nawet dwadzieścia funtów bardzo by pomogło. Wróci do obiegu i od razu rzuci się na niego z pół tuzina kobiet.

- Na przykład ja - Daisy była obrażona, że Tannie zaoferowałyby go innym, nie pytając jej wcześniej o zdanie.

- O tak. Właśnie tego potrzebujesz - kolejnego faceta z przeszłością. Poczekaj, aż Kathy zażąda alimentów na siebie i dla dzieci, Winston nigdy nie wyjdzie na prostą.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- A jaki ma wybór? - zapytała Tannie. - Są małżeństwem od prawie trzydziestu lat. Ona była w rum zakochana od ósmej klasy. Pamiętasz? Nie, nie możesz pamiętać. Wtedy jeszcze byłeś w podstawówce. Ale mówię ci, nawet kiedy miałam dziesięć lat, widziałam, jak Kathy snuje się po mieście z nieszczęśliwą miną. To było takie żałosne! Potrafiła niby przypadkiem wpaść na niego i szczebiotać: „Ojejku, Winston, nie miałam pojęcia, że cię tu spotkam!” Siadała za nim w kościele i gapiała się na niego, jakby go chciała pożreć żywcem. Facet był bez szans.

Włączyłam się do rozmowy:

- Widziałam ślubne zdjęcie, które trzyma w biurze. Był bardzo szczupły.

- To prawda - powiedziała Tannie. - A ona była wielka jak czołg.

- Jakim sposobem schudła?

- A jak myślisz? Zajada pigułki jak miętówki.

- Żartujesz.

- Nie, nie żartuję. Czarnorynkowa amfa. Jak słyszałam, ma własnego dealera.

- Faktycznie, jak tak o tym myślę, to wyglądała na nabuzowaną.

Chłopak sprzątnął brudne talerze. Kelnerka zaproponowała deser, ale wszystkie trzy odmówiliśmy.

Tymczasem od strony bani przeciskał się w naszą stronę jakiś

mężczyzna. Kiedy był daleko, oceniłam go na około czterdzieści pięć lat,

ale z bliska dodałam kolejne trzydzieści.

Jego faliste włosy były ciemne, lecz ich kolor dziwnie przypominał mi farby do włosów dla mężczyzn. Zza okularów o ciężkich czarnych ramkach z wbudowanym aparatem słuchowym zerknęły niebieskie oczka. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale grube podeszwy dodawały mu parę cali. Miał na sobie dżinsy, czerwoną koszulę w szkocką kratę ozdobioną wąskim krawatem i błękitny sportowy płaszcz skrojony na modłę zachodnią i przewiązany w pasie.

Przywitał się z Daisy i Tannie jak stary przyjaciel, biorąc każdą za rękę. Kiedy już wycelowali się w powietrzu, Tannie przystąpiła do prezentacji:

- To jest Kinsey Millhone. Tom Padgett, właściciel Padgett Construction oraz A-Okay Heavy Equipment w Santa Maria. Daisy właśnie od niego kupiła swój stary dom.

- Miło mi pana poznać - powiedziałam.

Przywitaliśmy się uprzejmie, po czym on wdał się w pogawędkę z Tannie, a Daisy nas przeprosiła. Tannie wskazała puste krzesło:

- Przyłącz się do nas na drinka.

- Nie chcę przeszkadzać...

- Nie wygłupiaj się. I tak miałam zamiar cię zawołać, bo potrzebuję twojej rady.

- Będę rady udzielić rady.

Postawił nam po drinku, a rozmowa potoczyła się od ogółu do szczegółu, czyli w tym wypadku zeszła na temat domu Tannerów i jego odbudowy. Padgett miał zasmuconą minę:

- W tym domu nikt nie mieszkał od 1948. Zapominasz, że często pomagałem Hairlowi Tannerowi, więc przy okazji pokazał mi dom. Już wtedy instalacje wodne i elektryczne były w opłakanym stanie. Sporo szkód powstało w trakcie pożaru. Z zewnątrz dom prezentuje się całkiem nieźle, ale kiedy się wejdzie do środka - prawdziwa katastrofa. Do diabła, przecież nie muszę ci tego tłumaczyć. Wiesz, o czym mówię.

- Taaa, wiem.

- Kiedy taki dom stoi pusty, najpierw wprowadzają się szopy, potem termyty, a na końcu włośczędzy. Kiedyś był wspaniały, ale spróbuj go przywrócić do dawnej świetności, a kompletnie się spłukasz. Mówimy o kwocie dużo wyższej niż milion zielonych.
- Rozumiem, że też jesteś przeciwko - powiedziała, a potem się roześmiała. - Wiem, że jest w złym stanie, lecz to kawałek mojego dzieciństwa. Nie wyobrażam sobie, że pójdzie do rozbiórki. A poza tym w końcu coś na tej posiadłości zarabiamy, dzierżawiąc ją ludziom od ropy i od gazu.
- Pytałaś, więc powiedziałem, co myślę. Słyszałaś pogłoski o nowym zagospodarowaniu. Chcesz ocalić dom - najlepiej sprzedaj go deweloperom i niech oni się nim zajmą. Byłby z niego piękny biurowiec albo dom weselny w samym środku wielkiego osiedla willowego.
- Jakbym słyszała Steve'a. Nie mów mi, że jesteś po jego stronie.
- Nie jestem po niczyjej stronie. Jakiś przedsiębiorca budowlany powinien rzucić na to okiem.
- A ty nie możesz?
- Przecież już znasz moje zdanie. Ktoś inny musi ci to powiedzieć. Tak będzie lepiej. Jeżeli znajdziecie fachowca, chętnie się z nim spotkam i dorzucę swoje trzy grosze.
- I zasugerujesz mu opinię.
- Nie otworzę ust, dopóki się nie wypowie.
- Kogo byś polecił?
- Billy'ego Boyntona albo Dade'a Raya. Obaj znają się na rzeczy.
- No to chyba się zdecyduję. Wiem, że tylko odkładam nieuniknione. Ciągłe sobie wmawiam, że na wszystko przyjdzie czas, ale kogo próbuję oszukać? To tak jak z psem, którego trzeba uśpić. Wiesz, że kundel już nie wyzdrowieje, ale po prostu nie chcesz tego zrobić dzisiaj.
- Rozumiem. Potrzebujesz czasu.
- Nie musisz mówić dalej. Załapałam, o co chodzi, i dziękuję za radę.
- Zawsze do usług - odpowiedział. Spojrzał teraz na mnie.
- Pani wybaczy moje maniery. Jake właśnie mi o pani opowiadał.

Niezła fucha się pani trafiła.

- Hmm, przynajmniej to prawdziwe wyzwanie. Na początku sam pomysł wydawał mi się absurdalny, ale teraz dobrze się bawię. Ja przeciwko Violet. To jak zabawa w chowanego.

- Jaką ma pani teorię?

- Nie mam teorii. Teraz rozmawiam z każdym i ze wszystkimi, uzupełniam białe miejsca na mapie. Pytania się nie zmieniają, ale czasem otrzymuję zaskakującą odpowiedź. Wcześniej czy później wpadnę na trop i zobaczymy, gdzie mnie zaprowadzi. Słyszałam, że Violet potrafiła zwodzić, ale nie była dobra w utrzymywaniu tajemnic. Ktoś wie, gdzie ona jest.

- Naprawdę tak pani myśli?

- Tak. Facet, z którym uciekła, albo ten, który ją załatwił. To tylko kwestia odnalezienia go.

Potrząsnął głową i zauważył sceptycznie:

- Muszę przyznać, że optymizmu pani nie brakuje.

- Dlatego jestem zwarta i gotowa. A pan? Co pan o tym sądzi?

- O czym? Czy Violet żyje? Osobiście uważam, że uciekła, mówiłem to już na samym początku. Spędziłem niejedną noc na wysłuchiwanie psioczenia Violet. Zapewniam, to była kwestia czasu. Wcześniej czy później musiała znaleźć sposób na wyrwanie się stąd.

- Czy zastanawiał się pan, gdzie mogłaby się udać?

- Pewnie, o tym też myślałem. Była młoda i na swój sposób niewinna.

Typowa dziewczyna z małego miasteczka. Miała doświadczenia z mężczyznami, ale nie wiedziała nic o świecie. Nie wyobrażam jej sobie w wielkim mieście jak San Francisco albo LA. Nie wyobrażam jej sobie nawet w tym stanie. Życie w Kalifornii było i jest drogie w stosunku do zarobków. Biorąc pod uwagę, że miała pieniądze - a pewnie niewiele tego było - zgaduję, że znalazła sobie miejsce, na które mogła sobie pozwolić. Środkowy Zachód, Południe - coś w tym stylu.

- Słyszał pan o jej pieniądzach?

- Żeby to raz. Wkurzała się i straszyla, że odejdzie, jeśli Foley

wreszcie nie zacznie się zachowywać jak człowiek.

- Tak jakby to miało kiedyś nastąpić - wtrąciła Tannie.

Zmieniliśmy temat. Jak długo można gadać w kółko o jednym i tym samym, szczególnie kiedy nie ma się wiele do powiedzenia? O dwudziestej drugiej trzydzięści Padgett się z nami pożegnał i ruszył w stronę wyjścia.

Tymczasem Daisy zdążyła się już skutecznie znieczulić. Pod wpływem alkoholu zamieniła się w weselszą i bardziej wylewną osobę. Właśnie flirtowała z jakimś facetem, śmiejąc się zbyt głośno. Z daleka wydawało się, że się świetnie bawi. Z bliska - byłam pewna - zupełnie się nie kontrolowała. Pierwszy raz przekonałam się na własne oczy, w jakie kłopoty potrafi się wpakować. Tannie podążyła za moim wzrokiem, wymieniliśmy szybkie spojrzenia.

- Kiedy jest na tym etapie, nic jej już nie powstrzyma - wyjaśniła Tannie. - Facet wylądował w jej łóżku i od tej pory będzie tylko gorzej.

- Nie możemy ruszyć z odsieczą?

- Tym razem możemy, ale ona tutaj wróci jutro i pojutrze... Chcesz brać na siebie taką odpowiedzialność? Bo ja na pewno nie. Od jutra. A jeszcze dziś - Tannie rusza z odsieczą. Ale ze mnie idiotka. Życz mi szczęścia.

Odeszła od stolika i przyłączyła się do Daisy, która tańczyła ze swoim kowbojem. Próbowaliśmy coś jej wyperswadować, ale wróciła do stolika bez nowego wcielenia swojej najlepszej przyjaciółki. Kiedy postanowiliśmy zakończyć wieczór, była jedenasta, a ja wypiałam o jedną lampkę wina za dużo. Bez problemu dałabym sobie radę na krótkiej trasie, lecz nie chciało mi się jechać taki kawał do domu.

- Wiecie co, dziewczyny? To chyba nie najlepszy pomysł, żeby się teraz szwendała po drogach. Macie tu w okolicy jakiś motel, a może pensjonat?

ROZDZIAŁ 17

Sun Bonnet Motel tkwił samotnie na końcu świata - jednopiętrowy otynkowany budynek, całkiem zwyczajny i trochę sfatygowany, ale

przypuszczalnie czysty. Mój pokój był jednym z tych, których nie chcielibyście oglądać w świetle promieni ultrafioletowych po zmierzchu, bo świecące plamy - na łóżku, dywanie, meblach i ścianach - przywiodłyby wam na myśl czynności, o których wolelibyście nie wiedzieć. Pan i pani Bonnet prowadzili rodzinny interes, motel należał do nich od czterdziestu lat. Jedyłą jego zaletą było to, że pani Bonnet - Maxi - była również właścicielką Maxi's Coffee Shop, przylegającej do motelu kafeterii. O radości!

Rano będę mogła przechwycić B.W. nie dalej niż sto jardów od mojego łóżka.

Daisy przepraszała, że nie może mnie zaprosić do siebie, ale miała tylko jeden wolny pokój, a ten zajmowała Tannie.

- Przykro mi, ale go sobie pierwsza zaklepałam - wpadła jej w słowo Tannie, najwyraźniej z siebie zadowolona.

- Mogłabyś się przespać na kanapie - zaproponowała Daisy.

- Nie wchodzę w to. Jestem za stara na takie wybryki. Może kiedy indziej.

Zameldowałam się, opuściłam recepcję i wróciłam do samochodu.

Pani Bonnet umieściła mnie w pokoju sto dziewięć, przedostatnim z dziesięciu pokoi, znajdującym się na końcu budynku.

W pozostałych światła były zgaszone, ale oba miejsca parkingowe obok mojego zajmowały samochody. Zostawiłam auto przed drzwiami.

Trochę mnie zmartwił widok ciężkich zasłon nadwerężających karnisz.

Otworzyłam drzwi, weszłam do środka i włączyłam światło. Pokój był mały, utrzymany w kolorystyce kantalupa i brzoskwini. Na prawo, pośrodku stało łóżko.

Poduszki były płaskie, a na materacu dostrzegłam zagłębienie, w które doskonale wpasuje się moje ciało, w ten sposób zostanie mi oszczędzony trud wiercenia się i przewracania z boku na bok. Nocne stoliki i komoda były z drewna pokrytego laminowaną okleiną. Głęboki fotel wyglądał na taki, w którym można utonąć, ale nie zamierzałam próbować.

Poszłam do łazienki - podłoga skrzypiała w rytm moich kroków - i

wyciągnęłam z torby szczotkę do zębów, pastę i czyste majtki, które na wszelki wypadek zawsze miałam przy sobie.

Boleśnie odczuwałam brak książki. Planowałam wrócić wieczorem do domu, nie wiedziałam, że będę mieć okazję poczytać. Sprawdziłam szuflady, jednak nie było nawet Biblii ani zapomnianej przez innego gościa powieści. Zdjęłam dżinsy i stanik i położyłam się do łóżka w tym samym T-shircie, który przez cały dzień miałam na sobie. W nocy słyszałam przypominające dźwięk przejeżdżających pociągów grzmoty - sąsiedzi z pokoi po obu stronach spuszczaali wodę. Koce czuć było pleśnią i byłam wdzięczna losowi, że artykuł o roztoczach przeczytałam dopiero tydzień później.

O szóstej rano otworzyłam oczy. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Kiedy wreszcie wszystko sobie przypomniałam, wkurzyłam się na siebie za taką wczesną pobudkę.

Nie miałam dresu ani butów do biegania, więc nie było mowy o przebieżce. Zamknęłam oczy, ale nie mogłam już zasnąć. O szóstej piętnaście odrzuciłam koce na bok i poszłam do łazienki, gdzie umyłam zęby i wzięłam prysznic, wykorzystując w ten sposób wszystkie dostępne mi w tej sytuacji opcje. Ubrałam się i usiadłam na brzegu niezaścielonego łóżka. Nie chciałam iść do Maxi's Coffee Shop przed siódmą, kiedy miałam tam znaleźć B.W.

Wyjęłam swoje karteczki i zaczęłam przeglądać - czynność, przy której ostatnio umierałam z nudów. Nie dokonałam żadnych elektryzujących odkryć. Przez ostatnie dwa dni zadawałam te same sześć czy osiem pytań i chociaż nie wyszły na jaw żadne rewelacje, musiałam przyznać, że jestem teraz lepiej poinformowana. Zaczęłam pracować nad grafiką wydarzeń z dni poprzedzających zniknięcie Violet. Ciągłe wracałam do opowieści Winstona o bel airze tkwiącym na New Cut Road, w miejscu gdzie kończyły się prace drogowe. Co ona tam robiła?

Wydawało mi się, że Winston dobrze zgaduje i Violet była tam z kimś umówiona - z mężczyzną, kobietą, kochankiem, przyjacielem, członkiem rodziny albo przypadkowym znajomym, nie wiedziałam, która odpowiedź

jest właściwa. Teren był płaski, reflektory samochodu Winstona musiały być widoczne z odległości co najmniej mili. Violet miała czas, żeby odjechać, tyle że nie było gdzie ukryć samochodu, chyba że za domem Tannerów albo daleko, w szczerym polu. Lepszym rozwiązaniem było schować się (samej lub z teoretycznym kompanem]. Była szansa, że nadjeżdżający kierowca zawróci i pojedzie w swoją stronę, zamiast się zatrzymać i sprawdzić, co się dzieje.

Jeżeli miała kłopoty z samochodem i potrzebowała pomocy, dlaczego nie wyszła na drogę i go nie zatrzymała? A co z Baby, jazgoczącym szczeniakiem? To nie była sytuacja a la Sherlock Holmes, cisza nie oznaczała, że pies dobrze zna towarzysza Violet. Baby szczekała na wszystkich, wszyscy moi rozmówcy się co do tego zgadzali. Kolejna zagadka - dlaczego Violet wybrała akurat to miejsce? Jednak szukanie odpowiedzi na to pytanie musiałam zostawić sobie na później.

O szóstej pięćdziesiąt osiem spakowałam przybory toaletowe do torby i opuściłam pokój.

Parking był teraz pełny. Zostawiłam auto tam, gdzie stało, i poszłam do kafeтерии, która znajdowała się od frontu. Już od progu ogłuszył mnie hałas: rozmowy, muzyka z szafy grającej, śmiech, brzęk naczyń. Miałam wrażenie, że trafiłam w sam środek przyjęcia - wszyscy znali wszystkich, widocznie codziennie się tutaj spotykali. Robotnicy rolni i budowlani, pracownicy rafinerii, szefowie gangów, mężowie, żony, przedszkolaki i dzieci w wieku szkolnym - najwyraźniej każdy będący już na nogach mieszkaniec okolicznych miasteczek przyjeżdżał tu na śniadanie. Czulałam zapach bekonu, kiełbasek, smażonej szynki i syropu klonowego.

Miałam szczęście, załapałam się na ostatni wolny stół przy barze.

Dania dnia były wywieszane nad okienkiem do wydawania posiłków, przez które widziałam fragment kuchni.

Menu standardowe: jajka, bekon, szynka, kiełbaski, tosty, muffiny, bułki z sosem, gofry, naleśniki oraz różne herbaty, kawy i soki. Dwie kelnerki zajmowały się ludźmi przy barze, a cztery inne obsługiwały wypełniające salę stoliki i boksy. Powiedziałam Darvie, kelnerce, która

przyjęła moje zamówienie, że szukam B.W. Co prawda przedtem przyjrzałam się ludziom na sali i żaden ani trochę nie pasował do opisu, ale mogłam przeoczyć kogoś w tłumie.

Kelnerka, tak jak ja przed chwilą, omiotła wzrokiem salę, po czym potrząsnęła głową:

- Ciekawe, co go zatrzymało. Zwykle już tu jest o tej porze. Pokażę ci go, kiedy tylko wejdzie.

- Dzięki.

Nalała mi kawy i przysunęła w moją stronę dzbanuszek ze śmietanką. Zanim złożyła zamówienie, przeszła się wzdłuż baru, oferując klientom kawę i przekąski. Wreszcie dostałam śniadanie i skupiłam całą swoją uwagę na moim soku pomarańczowym, toście z pieczywa żytniego, chrupiącym bekonie i jajecznicy. To był mój ulubiony zestaw, więc natychmiast zabrałam się do jedzenia. Darva wsunęła rachunek pod talerz, a kiedy dolewała mi kawy, powiedziała:

- To on.

Spojrzałam przez ramię na stojącego w progu faceta. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Jake Ottweiler, tylko do trzystu funtów, o których wspomniał, dodałabym kolejne dwadzieścia pięć. Jego ogolona głowa pokryta była kilkudniowym białym puszkim. Miał ciemne brwi, a rysy jego twarzy wydawały się delikatne w porównaniu z monstrualną resztą. Nawet jego kark był gruby, widziałam zwał tłuszczu zalegający wzdłuż kołnierzyka. Miał na sobie džinsy i koszulkę polo. Patrzyłam, jak przeciska się przez salę, co kilka kroków przystając, żeby zamienić z kimś parę słów. Akurat dwóch mężczyzn zwolniło boks, więc zajęłam ich miejsce, nie przejmując się stertą brudnych naczyń, które zostawili. Zaczekałam, aż chłopak uprzątnie jego stolik, a kelnerka przyjmie zamówienie. Wtedy zapłaciłam rachunek i przepchałam się do niego przez całą salę.

- Dzień dobry. Pan jest B.W.?

- Owszem - podniósł się odrobinę i wyciągnął w moją stronę rękę, którą uścisnęłam. - A pani jest Kinsey. Jake do mnie wczoraj dzwonił i

powiedział, że pani tu będzie. Zjadła już pani śniadanie?

- Właśnie skończyłam.

Usiadł.

- W takim razie może skusi się pani na filiżankę kawy? Zapraszam.

Usiadłam naprzeciwko niego.

- Gratuluję panu Moonu. Wspaniała restauracja i jaki tłum!

- W weekendy mamy nawet więcej gości. Oczywiście, jesteśmy jedynym lokalem w mieście, a to też działa na naszą korzyść. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy po przejęciu tej knajpy, był zakup koncesji na alkohol. Najpierw w późnych latach pięćdziesiątych, a potem pięć lat temu wyremontowaliśmy i rozbudowaliśmy lokal. Przedtem Moon był zwykłą norą - piwo, wino i kilka gotowych przekąsek, precelki, chipsy, takie rzeczy. Przychodzili tam głównie okoliczni mieszkańcy. No, może wpadł ktoś z Orcutt albo Cromwell, a od czasu do czasu parę osób z Santa Maria, ale to wszystko. Smakowała pani kolacja?

- I to jak! Stek był boski.

Pojawiła się kelnerka z dzbankiem do kawy i kubkami. W trakcie nalewania napoju pogawędziła chwilę z B.W.

- Zaraz przyniosę śniadanie - powiedziała, odchodząc od stolika.

Uśmiechnął się.

- Jestem niewolnikiem własnych przyzwyczajień. Codziennie jem to samo, o tej samej godzinie, w tym samym miejscu.

Dolał sobie śmietanki do kawy, wziął trzy saszetki ze słodzikiem, strzepnął je szybko i otworzył. Patrzyłam, jak przez pełne pięć sekund do jego kubka wpada czysta chemia.

- A więc przepytuje pani wszystkich na temat Violet? Frustrujące zajęcie.

- Raczej monotonne. Ludzie chcą mi pomóc, ale mają niewiele informacji i zwykle opowiadają to samo. Violet nie cieszyła się dobrą reputacją, a Foley ją bił. Trudno coś z tego wywnioskować.

- Ja też nie mam wiele do dodania. Widywałem tych dwoje dwa albo cztery razy w tygodniu, czasem razem, czasem tylko jedno albo drugie,

zwykle na bani.

- Jeżeli Violet poderwałaby kogoś obcego, wiedziałby pan o tym?
- Pewnie że tak, podobnie jak wszyscy inni. Ludzie przychodzili do Moonu, ponieważ znali to miejsce. Lokal nie był wystarczająco duży ani atrakcyjnie położony, żeby przyciągać turystów i komiwojażerów.
- Pracował pan co wieczór?
- Od czasu do czasu brałem wolne, ale zwykle stałem za barem. Facet, który mnie zastępował, kiedy byłem chory albo poza miastem, umarł dawno temu. Z kim jeszcze pani rozmawiała?

Wyrecytowałam listę nazwisk, a on z aprobatą kiwał głową:

- Całkiem nieźle. Nikt pani nie pomógł?
- To się jeszcze okaże. Na razie przesiewam piasek, nie mam pojęcia, czy ukryła się w nim grudka złota. Czy pamięta pan swoją reakcję na wieść o zaginięciu Violet?
- Nie byłem zaskoczony. To na pewno.
- Podejrzewał pan kogoś?
- Oprócz Foleya? Nie.
- Ma pan jakiś pomysł, z kim mogła uciec?

Potrząsnął głową.

- Wiem od sierżanta Schaefera, że nikt z miejscowych nie zaginął. Mówi, że to Foley rozpuszczał pogłoski o kochanku Violet. Jeżeli coś jej zrobił, chciał sobie zapewnić zasłonę dymną - powiedziałam. Tymczasem kelnerka przyniosła jego śniadanie: gofry, smażone jajka i kiełbaski, a jako dodatki pieczone ziemniaczki i kasza kukurydziana przybrana złotym krążkiem topniejącego masła.
- Może i miałoby to sens, ale pod warunkiem że Foley byłby wystarczająco bystry, w co szczerze wątpię.
- Czy wtedy myślał pan, że mógł ją zabić?
- Coś takiego przyszło mi do głowy. Wiem, że kilka razy jej przyłał, ale zawsze we własnych czterech ścianach. Nikt z nas nie pozwoliłby mu uderzyć jej w miejscu publicznym.
- Ludzie mówią, że tych dwoje cały czas darło koty w Moonie.

- Przystawiali, kiedy wygrzebywałem się z baru ze swoim kijem bejsbolowym. Ale miałbym radochę, gdyby Foley się stawił i dał mi pretekst, żeby mu przyłożyć. Jednak zwykle był chętny do współpracy, jeżeli wie pani, co mam na myśli.
- Czy ona też była agresywna?
- Rzuciała się na niego kilka razy, ale takie z niej było maleństwo, że nie mogła narobić wiele szkody. Byli jak dwa psy, warczeli i szczerzyli zęby. Rozdzielałem ich i sadzałem ją z jednej strony sali, a jego z drugiej.
- Mówiła, że chce go opuścić?
- Od czasu do czasu - powiedział. - Wie pani, często płakała, narzekała i użalała się nad sobą. Ale, jak jej zresztą powiedziałem, jestem barmanem, a nie cholernym doradcą małżeńskim. Robiłem, co mogłem, lecz nie na wiele się to zdało. Problem polegał na tym, że tak przywykli do swoich kłótni, że kiedy tylko skończyli, zachowywali się jak gdyby nigdy nic. A za chwilę zaczynało się od nowa. Wyrzuciłbym ich na dobre, ale myślałem, że dopóki siedzą w Moonie, przynajmniej mam na nich oko i w razie czego mogę wkroczyć do akcji.
- Kłócili się o to samo czy za każdym razem chodziło o coś innego?
- Zwykle o to samo. Ona flirtowała z jakimś facetem, a Foley brał to do siebie.
- Ale z kim?
- Z kim flirtowała? Z każdym, kto się nawinął.
- A z Jake'em Ottweilerem?
- Mała korekta - z każdym oprócz niego. Jake był żonaty, a jego żona właśnie umierała.
- Przepraszam. Nie sądziłam, że Violet zawracała sobie głowę moralnymi subtelnościami.
- Bo nie zawracała. Widziałem, jak przystawiała się do Toma Padgetta, on też był żonaty. Pamiętam też faceta, który miał niewielką firmę hydrauliczną. Pewnego wieczoru Violet lepiła się do niego. Chyba go wystraszyła, bo się nigdy więcej nie pokazał.
- Z panem też flirtowała?

- Tylko kiedy byłem ostatnim facetem w barze.
- Chyba nie ma sensu pytać, czy oparł się pan jej wdziękowi.
- Pokusa nie była trudna do odparcia. Może za dużo widziałem i Violet już mnie nie pociągała. Lubiłem ją, ale nie w ten sposób. Popieprzona kobieta, a ja nie potrafiłem jej pomóc. Była, jaka była. Zresztą Foley też. Powiem pani jedno: od dnia jej zniknięcia nie przekroczył progu Moonu.
- Kiedy kupiliście tę knajpkę?
- Jesienią 1953. Przedtem należała do kilku gości z Santa Maria. To ja się wszystkim zajmowałem - prowadziłem księgowość, przyjmowałem zamówienia, pilnowałem, żeby toalety były czyste.
- Jak do tego doszło?
- Po śmierci Mary Hairl w sierpniu tamtego roku Jake nie miał co ze sobą zrobić. Przedtem pracował w kilku miejscach, ale nigdzie dłużej. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas coś zmienić. Kiedy usłyszał, że Moon jest na sprzedaż, zapytał, czy chciałbym wejść w spółkę i kupić knajpkę. Miałem w banku kilka tysięcy dolarów, więc się dołożyłem. Przepracowałem w tym zawodzie wiele lat, a poza tym Jake wiedział, że jestem uczciwy.
- Obaj dobrze wyszliście na tym interesie?
- Lepiej nie mogliśmy trafić.
- Przepraszam, że ciągle do tego wracam, ale ma pan może jakiś pomysł, kogo coś mogło łączyć z Violet? Naprawdę jestem w kropce.
- Chyba już i tak powiedziałem więcej, niż powinienem. Barman nie patrzy, nie pyta i nie chce wiedzieć. A jeśli coś wie, zatrzymuje to dla siebie.
- Nawet po trzydziestu czterech latach?
- Szczególnie po trzydziestu czterech latach. Co by to komu dało?
- Nic, jak sądzę.
- Mogę coś pani poradzić?
- Czemu nie? Nie obiecuję, że się zastosuję, jednak chętnie posłucham.
- Proszę to mieć na uwadze: jesteśmy małą społecznością. Dbamy o siebie nawzajem. A kiedy zjawia się ktoś taki jak pani, węszy i

rozgrzebuje stare sprawy, wcale nam się to nie podoba.

- Jak dotąd nikt nie protestował.

- Wręcz przeciwnie, tylko pani o tym nie wie. Dla pani jesteśmy uprzejmi, jednak między sobą narzekamy.

- Na co?

- Proszę zrozumieć, mnie pani nie przeszkadza. Tylko powtarzam, co słyszałem.

- Wiem o tym. Zatem co to było konkretnie?

- Jeżeli dotąd nie odnaleziono Violet, dlaczego pani sądzi, że jej się to uda? Niektórzy uważają, że ma pani tupet.

- Generalnie w życiu potrzebna jest odrobina tupetu - wyjaśniłam. - To jak wyprawa na ryby: jeśli nie będą brać, pakuję manatki i już mnie nie ma.

- Myśli pani, że gdyby ktoś z nas wiedział, gdzie ona jest, powiedziałaby to pani po tylu latach?

- Wydaje mi się, że to by zależało od tego, dlaczego odeszła i jak bardzo chcecie ją chronić. Liza Mellincamp wierzy, że Violet gdzieś tam sobie żyje. Twierdzi, że nie wie gdzie, ale na pewno nie chce przykładać ręki do odnalezienia przyjaciółki.

- Załóżmy, że to prawda - powiedział. - Załóżmy, że wyjechała z miasta, tak jak sądzi wielu ludzi. Załóżmy, że na nowo ułożyła sobie życie. Po co jej szukać? Proszę mi uwierzyć, swoje już wycierpiała. Jeżeli udało jej się uciec, idź z Bogiem, Violet!

- Daisy zleciła mi tę robotę. Jeżeli ludzie mają z tym problem, niech pan im powie, żeby z nią pogadali. A jeśli chodzi o moje zdanie, to uważam, że Daisy ma prawo do każdej informacji, jaką znajdzie.

- O ile coś pani znajdzie.

- Racja, ale wie pan co? Czas robi swoje. Sekrety ciążyą. Jeżeli ktoś balansuje na krawędzi, czasem wystarczy go lekko pchnąć - a tym także się zajmuję.

Odsunął talerz i wyjął paczkę papierosów. Patrzyłam, jak zapala jednego i gasi zapałkę oddechem sinym od dymu. Trzymał papierosa w

kąciku ust i mrużył oczy od gęstego dymu.

Przechylił się w lewo, żeby wyjąć zwitek banknotów z kieszeni spodni. Odliczył dziesięć dolarów i położył obok talerza.

- W takim razie życzę pani szczęścia. Tymczasem muszę lecieć.
- Jeszcze jedno szybkie pytanko - myśli pan, że Violet żyje?
- Naprawdę, wolałbym się nie wypowiadać. Szerokiej drogi.
- Dziękuję.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, wyjęłam karteczki i spisałam wszystko, co zapamiętałam z rozmowy. Zerknęłam na zegarek: siódma czterdzieści pięć. Jeśli szczęście mi dopisze, uda mi się jeszcze dodzwonić do Daisy i pogadać z nią, zanim wyjdzie do pracy.

Wzięłam torbę i ruszyłam przez rzadniejący tłum.

Chciałam jeszcze zajrzeć do pokoju, zanim wyjadę. Kiedy do niego dochodziłam, zwolniłam kroku. Drzwi były uchylone. Gwałtownie przystanąłam. Może w środku była sprzątaczką. Ostrożnie ruszyłam naprzód, popchnęłam drzwi palcem, aż się otwarły na oścież.

Zanim weszłam, niespiesznie się rozejrzałam. Nic się nie zmieniło, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie miałam bagażu, więc jeżeli ktoś się włamał, nie miał czego przeszukać. Łóżko ciągle było w nieładzie, a koce odrzucone na bok. W łazience wilgotny ręcznik wisiał na brzegu wanny, tak jak go zostawiłam.

Zatrzymałam się w drzwiach łazienki i pozwoliłam oczom swobodnie zbadać pomieszczenie. Przedmiot za przedmiotem, mebel za meblem.

Wszystko wyglądało tak samo.

A jednak byłam pewna, że zamknęłam drzwi na klucz, bo kiedy je zatrasnęłam, na wszelki wypadek poruszyłam gałką. Z kluczami w garści ruszyłam do biura. Parking był teraz tylko w połowie zapełniony, ale nie spostrzegłam nikogo, kto by się mi przyglądał.

Przy biurku siedziała pani Bonnet. Powiedziałam jej, że chcę się wymeldować. Płaciłam kartą kredytową. W oczekiwaniu na rachunek zapytałam:

- Czy ktoś pytał o mnie dzisiaj rano?

- Nie, proszę pani. Nie udzielamy informacji na temat pensjonariuszy.

Czy spodziewała się pani kogoś?

- Nie. Kiedy wróciłam ze śniadania, drzwi były otwarte na oścież, więc byłam ciekawa...

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami, nie potrafiła mi pomóc.

Podpisałam świstek. Pani Bonnet wręczyła mi kopię, którą włożyłam do torby. Wróciłam do zaparkowanego koło mojego pokoju samochodu. Otworzyłam drzwi i wsunęłam się za kierownicę, torbę rzuciłam na fotel pasażera. Przekręciłam kluczyk, przez krótki moment paranoicznie zastanawiając się, czy nie wylecę w powietrze. Na szczęście nie wyleciałam.

Wycofałam auto, po czym zmieniłam bieg ze wstecznego na jedynekę. Samochód jakby się zakołysał, kiedy przyspieszyłam. Nawet ja, z moją ograniczoną wiedzą na temat działania samochodów, czułam, że nie wróży to niczego dobrego. Ujechałam jeszcze kilka jardów, bo sądziłam, że może najechałam na jakiś przedmiot i nieświadomie ciągnęłam go teraz za sobą.

Jednak kołysanie nie ustępowało. Zaintrygowana, położyłam stopę na hamulcu i otworzyłam drzwi, przechylając się w lewą stronę. Zgasiał silnik i wyszłam z auta.

Wszystkie cztery opony były przebite.

ROZDZIAŁ 18

Chet Piątek 3 lipca 1953

Chet Cramer palił papierosa w swoim czterodrzwiowym sedanie bel air. Zawsze zostawiał sobie tę przyjemność na koniec dnia. Otworzył wszystkie okna, łącznie z dwoma okienkami bocznymi, które ustawił pod kątem, żeby złapać odrobinę świeżego powietrza. Przepadał za tym wozem. Samochody bel air to była absolutnie górna półka. Wszystkie cztery modele: dwudrzwiowy sportowy coupe, dwudrzwiowy kabriolet oraz dwu- i czterodrzwiowy sedan miały w standardzie automatyczną skrzynię biegów, radio i ogrzewanie. Wóz Cheta był dwukolorowy: na górze „leśna zieleń”, na dole „złote słońce”, kombinacja, którą osobiście

wybrał. Kolory te przypominały mu zielono-złote paczki, w jakich dawniej sprzedawano papierosy Lucky Strike. W czasie drugiej wojny światowej rząd potrzebował tytanu, którego używano do produkcji zielonego barwnika, a także brązu stosowanego do wytwarzania złotego, więc producenci lucky strike'ów zrezygnowali z tych kolorów i zdecydowali się na białą paczkę z czerwoną tarczą pośrodku. Kiedy Chet zaczynał palić, wybrał papierosy Lucky Strike ze względu na promujący je slogan: „Bądź szczęśliwy, żyj bez troski”. Z perspektywy czasu brzmiało to raczej ironicznie. Jego beztroska skończyła się w 1925, kiedy umarł ojciec. Ostatnio zmienił markę papierosów, bo chciał skończyć ze wszystkim, co by się mogło kojarzyć ze szczęściem i beztróską. Nowe, zaopatrzone w filtr kenty były reklamowane jako „najbardziej przyjazne zdrowiu”. Nie był pewien, po co właściwie miałyby chronić zdrowie, ale sądził, że zmniejszenie dziennej dawki ciał smolistych i nikotyny nie zaszkodzi.

Otworzył schowek i sięgnął po srebrną piersiówkę odziedziczoną po ojcu. Trzymał w niej wódkę z biurowych zapasów, którą pokrzepiał się codziennie przed pójściem do domu. Wolał żytnią whisky, ale przecież nie mógł powitać Livii zapachem delikatesowego bochenka chleba. Odkręcił zakrętkę i pociągnął łyka. Poczuł rozchodzące się po ciele przyjemne ciepło, ale ból w klatce piersiowej nie zelżał ani trochę. Sprawdził godzinę. Była siedemnasta dwadzieścia dwie. O osiemnastej piętnaście będzie jadł kolację w towarzystwie żony i córki. Po posiłku równie dobrze może wrócić do salonu. Wykorzystał długi weekend i zorganizował „Fajerwerkową wyprzedaż”. Podczas takich akcji zwykle spędzał w salonie długie godziny, a teraz, kiedy wylał Winstona, musiał dodatkowo zająć się jego obowiązkami, nie żeby było ich wiele. Praca była dla niego błogosławieństwem, dzięki niej mógł się w pełni zanurzyć w chwili obecnej. W tym momencie pracował jak automat, bo łatwiej było poddać się rutynie, niż próbować dociec sensu tego, co mu się przydarzyło.

Zaparkował na New Cut Road, przodem na południe, pomiędzy drogą

numer sto sześćdziesiąt sześć a miejscem, gdzie kończyły się roboty drogowe. Dom Tannerów zasłaniał mu widok. Na lewo ciągnęła się zwirowa droga wiodąca do starej rzeźni Aldricha. Broniącą dostępu barierkę już lata temu zamknięto na kłódkę, tak więc miejsce doskonale nadawało się na chwilę relaksu. Powietrze było gorące i wilgotne, jak to w środku lata. W lusterku wstecznym falowały łany zboża, a delikatny wietrzyk igrał ciemnozielonymi liśćmi buraków cukrowych.

Minął go traktor ciągnący na platformie buldożera, był to jedyny pojazd, jaki zobaczył w ciągu całej godziny. Chet przyglądał się, jak kierowca wykonuje niezdarny obrót i ustawia pojazd do rozładowania. Pociągnął jeszcze łyk wódki, myśląc o błahostkach i próbując przywyknąć do nowej sytuacji.

Środa była zaledwie dwa dni temu, a wydawałoby się, że minęły całe wieki. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak ponure jest jego życie, dopóki Violet się weń nie wdarła, jak błyskawica przecinająca czarne niebo. Była olśniewająca. Po raz pierwszy w życiu dał się porwać pożądaniu. Czuł się tak, jakby go oblała benzyną i podpaliła. Zrozumiał, do czego Violet zmierza, już w chwili gdy zaproponowała drinka. Oszołomiony, poszedł za nią do swojego auta, rzucając w przelocie jakieś wyjaśnienie Kathy. Nie pamiętał, co to było, jakaś śmieszna wymówka, którą Kathy przyjęła ze wzruszeniem ramion. Choć raz cieszył się, że córka jest takim tępakiem. Chociaż często durzyła się w amantach filmowych, tak naprawdę nic nie wiedziała o seksie i była zbyt naiwna, żeby zauważyć iskrzenie między nim a Violet.

Kiedy wyszli z salonu, Violet przestała mówić o drinku. Wskoczyli do jego auta i pokierowała go do motelu Sandman, dwie przecznice dalej. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na ten motel, ale Violet najwyraźniej była tutaj stałym bywalcem. Kazała mu podać fałszywe nazwisko i wynająć jedynekę. Czekala na zewnątrz, podczas gdy on wpisywał się do księgi gości jako William Durant, bo tak nazywał się człowiek, który w 1908 założył General Motors. Bał się, że recepcjonistka zrozumie żart, ale dziewczyna nawet nie mrugnęła okiem.

Upojony sukcesem, dorzucił jeszcze fikcyjny adres i szczegółowe wyjaśnienie, dlaczego potrzebuje pokoju. Sam nie wiedział, że ma tak bujną wyobraźnię. Kłamał jak z nut i flirtował z dziewczyną, która zaróżowiła się aż po koniuszki uszu. Zapłacił za pokój, wziął klucz i wrócił do auta.

Violet tam nie było, ale zauważył ją na drugim końcu parkingu, opartą o siatkę otaczającą basen. Kiedy podjechał pod wynajęty pokój, Violet wyrzuciła papierosa i niespiesznie ruszyła w jego stronę. Musiała wiedzieć, jak wygląda - promienie słońca lśniły w jej rudych włosach, a figurę wspaniale podkreślała dopasowana fioletowa sukienka na ramiączkach. Zadrżał na myśl, że za chwilę ją posiadzie.

Kiedy była już przy nim, wyciągnęła dłoń. Podał jej klucz i patrzył, jak otwiera drzwi. Wszedł za nią do pokoju, zdziwiony własnym opanowaniem. Nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewała. Położyła klucz na stoliku nocnym i odwróciła się w jego stronę:

- Kupiłam ci butelkę wódki, ale potem na śmierć o niej zapomniałam i zostawiłam ją w domu. Przepraszam. Pomyślałam, że kilka głębszych pomoże ci się rozluźnić.

- Zaplanowałaś to wszystko?

- Cukiereczku, czy ja wyglądam na idiotkę? Widziałam, jak na mnie patrzysz. Myślisz, że nie wiem, co ci chodziło po głowie?

- Przecież prawie się nie spotykaliśmy.

- Nie z mojej winy. Jeżeli nie byłbyś taki pruderyjny, już dawno zacząłabym działać. Znudziło mi się czekanie na twój ruch. No i stało się

- niespodzianka!

- Ale dlaczego?

Roześmiała się:

- Nie bądź taki skromny. Jesteś przystojniakiem, na dodatek cholernie seksownym. Powiem ci coś jeszcze. Za duże pracujesz. Widzę to w twoich oczach. Kiedy ostatni raz, na miłość boską, zapomniałeś o kłopotach i zabawiłeś się?

- Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć.

- A kto ci każe gadać? Czy wspominałam coś o pogawędkach, Chet?

Usiadła na łóżku i poklepała miejsce koło siebie.

- Popatrz tylko na siebie. Cały spięty. Chodź tu, pomogę ci się zrelaksować.

Oszołomiony Chet podszedł do łóżka. Gdy był wystarczająco blisko, potarła dłonią o przód jego spodni:

- O raju, już wiem, że to będzie coś.

Była delikatna i słodka, umiejętnie prowadziła go przez terytoria tak nieznane i niebezpieczne, że serce prawie przestało mu bić. Pożycie z Livią nie przygotowało go na takie uniesienia. Violet uważała, że biorąc pod uwagę wszystkie pierdoły, jakie od niego wcześniej usłyszała, jego nieśmiałość była przezabawna. Mówiła „mój ty twardzielu” w taki sposób, że musiał się uśmiechnąć. Jak to możliwe, że wyśmiewała się z niego, a jednocześnie czuł się z nią tak dobrze?

Później cierpliwie kierowała go na właściwą dróżkę:

- Właśnie tutaj, cukiereczku. O, jak miło. Nie przestawaj.

Uwielbiała pokazywać mu, że to ona tu rządzi. Od czasu do czasu zadawała mu ból, dzięki któremu jego rozkosz sięgała stratosfery. Lubiła dyktować warunki, jak na przykład gdy stosowała te swoje sztuczki, a on jęczał z rozkoszy. Kochali się przez godzinę, a kiedy skończyli, odsunęła się od niego, roześmiana i zdyszana.

- To by było na tyle, ogierze.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Tylko muszę już uciekać. Zostawiłam Daisy u sąsiadki i nie mogę się spóźnić. Foley to psychopata, zawsze się czepia o to, co robię w ciągu dnia. Poza tym ta sąsiadka to suka i nie zdziwię się, jeśli coś mu powie. A ty jak się czujesz?

Roześmiał się:

- Dobrze. Nie mogę się ruszyć.

- Prawidłowo. Cieszę się. To znaczy, że dobrze się spisałam.

Został wyciągnięty nago w łóżku, podczas gdy ona włożyła bieliznę i wsunęła przez głowę sukienkę. Podeszła do łóżka i usiadła na skraju,

podnosząc do góry włosy, żeby zapiął jej zamek.

- Wiem, ludzie myślą, że jestem łatwa, ale to nie tak. To, co się właśnie zdarzyło, to nasza sprawa. Oboje tego chcieliśmy. Gdybym próbowała namówić cię na spotkanie w jakiś inny sposób, nigdy byś się nie zgodził. Martwiłbyś się o Livię i Foleya. Bałbyś się, że ktoś nas przyłapie. Nie chcę, żebyś źle o mnie myślał. Po prostu wiem, że gdybym była mniej bezpośrednia, nigdy byśmy tu nie wylądowali.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i mógłby przysiąc, że miała w oczach łzy.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Roześmiała się zawstydzona i otarła wilgoć z policzków.

Przykryła go prześcieradłem:

- Muszę cię zakryć albo zanim się obejrzę, znów będę miała ochotę. Spróbował się podnieść, ale powstrzymała go, kładąc rękę na jego klatce piersiowej:

- Nie, nie. Zostań tam. Podobasz mi się taki rozczochrany, wyglądasz uroczo. Powinieneś zawsze tak się czesać.

- Nie idź jeszcze.

- Muszę.

- Zostań dziesięć minut. Godzinkę. Albo jeszcze lepiej, zostanemy tu razem do końca życia.

Chwilę się nad tym zastanowiła.

- Trzydzieści sekund i ani chwili dłużej.

Usiadła, wyciągnęła papierosa, zapaliła i podała mu.

- Jesteś mężczyzną pełnym niespodzianek, wiesz?

Dotknął jej nagiego ramienia. Nie wiedział, że skóra może być tak jedwabista.

- Jesteś piękna.

- Przy tobie czuję się piękna.

- Kiedy się znów zobaczymy?

- To niezbyt dobry pomysł. Wiesz, że to niebezpieczne,

- Lubię ryzyko. Choć zanim cię spotkałem, nie miałem o tym pojęcia.

- Dosyć tego dobrego, ogierze. Muszę lecieć.

Pocałowała swój palec wskazujący i przycisnęła do jego ust. Włożyła sandaalki i wstała, wsuwając pod ramię torebkę.

- Może jutro o dwunastej w południe? Będę miała tylko niecałą godzinę, ale na więcej nie ma szans.

- Chcesz, żebym cię odwiózł?

- Przespaceruję się. Nie mam daleko, a tak będzie bezpieczniej.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Słuchał milknącego w oddali odgłosu jej kroków. Nie był pewien, jak zdoła przetrwać godziny, które go dzieliły od ponownego spotkania z Violet.

Sądził, że kiedy później tego dnia wróci do domu - po zwyczajowej medytacji na New Cut Road - będzie miał poczucie winy. Nic podobnego.

Wręcz przeciwnie, był szczęśliwy i czuł nowy przypływ czegoś w rodzaju sympatii do żony i córki. Usiadł przy stole, promieniując dobrą wolą.

Livia zaserwowała na kolację łososia w galarecie, prawdopodobnie najbrzydliwszą rzecz, jaką w życiu jadł, nie licząc przyrządzonej przez nią kiedyś wątróbki drobiowej. Mimo to zauważył, że pierwszy raz od dawna przypatruje się jej z życzliwością. Co się z nim stało? Uważał się za dobrego człowieka, a jednak jak daleko sięgał pamięcią, zawsze był wściekły i naburmuszony. Ale teraz było inaczej. Nawet Kathy nie wydawała mu się taka beznadziejnie nudna. W głębi duszy niezwykle go bawiło, że córka nie ma pojęcia, co wyprawia jej stary tatko. Sam ledwo wierzył w tę przemianę z umarłego w na wpół żywego, a potem w powtórnie narodzonego. Jeżeli Kathy wspomni, że wyszedł z Violet, na oczekaniu coś wymyśli i na pewno kłamstwo ujdzie mu na sucho. Cały świat należał do niego. A że w skład tego świata wchodziły kłamstwa, cudzołóstwo oraz pewne akty wyklęte w Biblii - tym lepiej! Poprosił o dokładkę fasoli limeńskiej z puszki, a oczami wyobraźni widział takie sceny, że z trudem opanował wybuch śmiechu.

W czwartkowy poranek nie spuszczał oka z zegarka. O jedenastej piętnaście oznajmił, że idzie na lunch, i opuścił salon. Na pytanie Kathy, gdzie się wybiera, odpowiedział, że jeszcze nie wie, ale nie zabawi długo.

Czując się jak człowiek światowy, wynajął w Sandmanie ten sam pokój. Tym razem wszystko było całkiem proste. Violet przyszła chwilę później. Kłębowisko zrzuconych ubrań, gorączkowe pocałunki, przejmujące jęki, szukanie ciała kochanka - i już odpoczywali nago na łóżku. Oddech Violet pachniał czerwonym winem i papierosami, ale Chet miał za dużo rozumu w głowie, żeby pytać, co robiła w Moonie o tak wczesnej godzinie.

Zresztą - co za różnica?

Seks był tym razem jeszcze lepszy, choć wczoraj przez myśl mu nie przeszło, że to możliwe. Dobrze się czuł w swoim ciele, był pewny siebie. To już nie był akt miłosny nieznajomych, ale intymne zbliżenie dwóch dorosłych osób. Violet umiała być ostra, przy niej stawał się prawdziwym świntuchem. Umiała również dosadnie się wyrazić, co szokowało jego mieszczańską wrażliwość. Czasem była czułą, tak czuła, że miał ochotę płakać z rozkoszy.

Kiedy skończyli, zapalili papierosa, którym zaciągali się na zmianę, jak filmowi kochankowie. Nie mógł się przyzwyczaić do nowego człowieka, jakim się stał. Violet leżała przytulona do niego, głowę oparła na jego ramieniu, a twarz lekko odchyliła do tyłu, aby go widzieć.

Spojrzał na nią:

- Co?

Zaśmiała się:

- Skąd wiedziałeś, że coś mi chodzi po głowie?

- Nie ty jedna masz zdolności telepatyczne.

- To dobrze. Cieszę się - zamilkła, jej uśmiech zbladł.

Delikatnie potrząsnął jej ramieniem:

- No, dalej. Wyduś to z siebie.

- Myślałam o tym, co wczoraj powiedziałaś. Wiesz, że moglibyśmy spędzić resztę życia w tym pokoju. To było słodkie. Poczułam się tak, jakbym była dla ciebie kimś wyjątkowym, a nie po prostu tanią dziwką.

- Hej, wystarczy! Nie mów o sobie takich rzeczy.

- Ale to prawda. Sam wiesz, jaką mam reputację. Jestem

nieokiełznana. Żyję szybko i nie przejmuję się konwenansami. Wiesz, w czym tkwi problem? Chociaż ciągle gadam albo pieprzę się z kim popadnie, tak naprawdę nic nie czuję, jakbym wewnątrz już była martwa. Kiedy jestem naprawdę pijana i nie panuję nad sobą, przynajmniej czuję, że jeszcze żyję. Rozumiesz?

- Jezu, właśnie opisałaś moje życie. Nie zachowuję się tak jak ty, ale czuję się dokładnie tak samo. Myślisz, że jestem szczęśliwy, bo zarabiam dużo pieniędzy i mieszkam w ładnym domu? To nie tak. Całe życie zajmowałem się innymi ludźmi. Teraz po raz pierwszy zrobiłem coś dla siebie. Kiedy ci powiedziałem, że chcę z tobą spędzić resztę życia, mówiłem serio.

- Dzięki. Miło to słyszeć - zawahała się. - Ta wczorajsza sprawa z samochodem... Naprawdę mi przykro. Niepotrzebnie pojechałam. Wiem, że nie miałam prawa nabić tylu mil, ale to było silniejsze ode mnie. Tak jakbym wyszła z więzienia i na nowo odkrywała świat. Promienie słońca, ocean. Wspaniale było tak mknąć przed siebie. Otworzyłam na oścież wszystkie okna i włosy smagały mnie po twarzy. Jechałam szybciej i szybciej, wreszcie na liczniku było czterdzieści mil na godzinę...

- Cholera, Violet. Nie mów mi takich rzeczy, bo dostanę ataku serca.

- To było niezwykle przeżycie i jestem ci wdzięczna.

- I za to też.

- Tak, za to też.

Przez chwilę nic nie mówił.

- Wiesz, że mogę spełnić twoje marzenie.

- Jakie marzenie?

- Samochód. Może być twój.

Roześmiała się:

- Och, przestań. Gówno prawda. Nie możesz tego zrobić, oszalałeś?

- Mówię serio. Przyślij do mnie Foleya. Jeżeli przyjdzie jutro rano, ubijemy interes.

- Foley nie ma ani centa.

- Wiem, ale coś wymyślimy.

- Zrobiłbyś to dla mnie?

- Tak.

- Nie nabierasz mnie?

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Mówię serio. Szaleję za tobą.

- Nie musisz tego mówić tylko dlatego, że poszliśmy do łóżka.

- Nawet nie wiesz, ile dla mnie zrobiłaś. Wszystko jest teraz inne.

Zmieniłem się.

- Nie zmieniłeś się ani trochę. Po prostu w końcu jesteś sobą.

- Obiecuj, że się jutro spotkamy - poprosił. - Nie wytrzymam do przyszłego tygodnia.

Przez chwilę milczała, uważnie studiując jego twarz. Wreszcie zaproponowała:

- W porządku. Jutro o czwartej. Wcześniej mam coś do załatwienia, więc nie wściekaj się, jeżeli się spóźnię.

W piątek o piętnastej czterdzieści pięć zameldował się w motelu Sandman. W środę po południu, podczas pierwszej wizyty, wyjaśnił recepcjonistce, że w domu pękła mu rura i zalało cały parter. Wymyślił tę historyjkę na poczekaniu, nie podejrzewając nawet, że następnego dnia znów się tutaj pojawi. W czwartek powiedział, że remont jeszcze się nie zaczął, bo fachowcy nawalili. Pierwszego dnia współczuła mu, następnego - była sceptyczna. Dzisiaj z przekąsem zapytała, dlaczego nie zatrzyma pokoju, zamiast w kółko się meldować i wymeldowywać. Nie przyszło mu do głowy, że dziewczyna ma taką dobrą pamięć. Czuł się w obowiązku wytłumaczyć jej wszystko, więc opowiedział o zapachu stęchlizny i o tym, że musiał wynieść z domu wszystkie meble. W samym środku opowieści zadzwonił telefon.

Recepcjonistka odebrała i odwróciła się do niego tyłem. Zajął się plotkowaniem z jakąś przyjaciółką i po chwili zdał sobie sprawę, że nie interesuje jej dalszy ciąg jego historii. Wziął klucz i wyszedł. Suka. Przecież był szanowanym biznesmenem. To nie jej sprawa, co i z kim robi lub nie robi. Po co w ogóle wdawał się z nią w dyskusję? Przecież są inne motele.

Następnym razem pojedą z Violet gdzie indziej.

Wrócił do samochodu, przejechał przez cały parking i zatrzymał się przed swoim pokojem.

W drodze do motelu wstąpił do kwaciarni i kupił Violet naręczę kwiatów. Chciał, żeby je zobaczyła, gdy tylko wejdzie do pokoju. Wziął z auta bukiet i wszedł do środka. Jak dotąd dwa razy dostał pokój numer czternaście. Tym razem wynajął numer dwanaście i zauważył, że było tu trochę bardziej niechlujnie. Nie żeby Violet na tym zależało. Wiedział, że samochód należy już do niej, ponieważ Foley wyjechał nim z salonu o dziesiątej trzydzieści tego ranka. Foley przyszedł o ósmej czterdzieści pięć i Chet ubił lepszy interes, niż mógłby się spodziewać.

Podczas zawierania transakcji był serdeczny, bo wiedział, że o szesnastej piętnaście będzie w łóżku z żoną klienta. Przedtem gardził Foleyem, teraz dodatkowo było mu go żal. Foley był zbyt głupi i zbyt brutalny, żeby zrozumieć, jak cennym i rzadkim klejnotem była Violet. Najwyraźniej nie radził sobie z nią - była młoda, zmysłowa, piękna, ognista. Foley próbował okiełznać ją za pomocą pięści, ale osiągnął tylko tyle, że odsunęła się od niego. Chet wiedział, jak należy traktować damę, i posiadał środki, by niczego jej nie zabrakło. Miał już w głowie pół tuzina planów na odebranie Violet Foleyowi i ukrycie jej gdzieś w pobliżu.

Na samym początku przygody z Violet myślał, że będzie musiał zostawić Livię, co zresztą zrobiłby z chęcią. Rozwody bywają nieprzyjemne i bolesne, ale miał czterdzieści siedem lat i prawo do szczęścia. Oczywiście jego córka bardzo by to przeżyła, ale wszyscy mówią, że dzieci potrafią się dostosować do nowej sytuacji. Dzieciaki wyczuwają, jeśli rodzice są nieszczęśliwi, i nie pomagasz im, kiedy próbujesz tuszować nieporozumienia i udawać, że wszystko jest w porządku. Już lepiej grać w otwarte karty.

Później przyszło mu do głowy, że może nie należy iść za pierwszym impulsem. Im więcej o tym myślał, tym bardziej do niego docierało, jakim okrucieństwem byłoby skazanie Livii na to wszystko - publiczne

poniżenie, pełne nienawiści klótnie, nie wspominając o obniżonym standardzie życia, jaki będzie dla niej konsekwencją rozwodu. Wszystko to po piętnastu latach małżeństwa - Livia będzie zdruzgotana. Już lepiej zachować się jak należy i oszczędzić jej piętna kobiety rozwiedzionej i porzuconej. Znajomość z Violet była wyłącznie jego sprawą i poradzi sobie z nią jak mężczyzna.

Poszperał w dziale „Apartamenty w Santa Teresa” w ogłoszeniach drobnych i znalazł mieszkanie, które świetnie się nadawało. Opisane było jako czyste i ładne, z widokiem na ocean. Mógłby odwiedzać Violet w każdej wolnej chwili. Pławiłaby się w zbytkach - drogie ubrania, podróże, cokolwiek by się jej zamarzyło. Być może na początku pomyślałby się jej nie spodobał, nie chciałaby być od niego zależna, ale teraz, kiedy bel air należy do niej, chyba już wie, jak daleko jest gotów się posunąć.

Napełnił wiaderko na lód wodą i ułożył w nim kwiaty, fantazjując na temat tego, co zaraz nastąpi. W porównaniu z Violet był niedoświadczony i to było poniżające. W salonie to on był na górze - mówiąc metaforycznie - ale tutaj musiał się podporządkować i oddać w jej ręce. Violet była szefem, oddał jej całą władzę. Taka odmiana była kojąca, nigdy nie przypuszczał, że role można odwrócić. Jeśli chodzi o Livię, czasem musiał zmuszać się do uprawiania miłości. Miał swoje potrzeby, ale równie dobrze mógł zaspokajać je sam. Natomiast już samo oczekiwanie na Violet podniecało go i prawie pozbawiało zmysłów.

Co ciekawe, przypadkiem zobaczył ją dzisiaj. Tuż po południu pojechał do Santa Maria na cotygodniowe rozliczenie, bo wyleciało mu z pamięci, że z okazji Święta Niepodległości bank jest zamknięty. Zaparkował niedaleko hotelu Savoy i kiedy przechodził koło restauracji, przypadkiem zajrzał przez okno. W środku siedziała Violet ze swoją małą córeczką, Daisy, i Lizą Mellincamp, najwyraźniej świetnie się bawiły. Violet wyglądała na tak szczęśliwą, że aż się uśmiechnął, podejrzewając, że jej dobry humor ma związek z samochodem. Miał ochotę zastukać w szybę i pomachać do niej, ale się powstrzymał. Od tej pory w miejscach publicznych musi się zachowywać tak, jakby nie miał pojęcia, kim jest Violet.

Szesnasta dwadzieścia. Spóźnia się, tak jak ostrzegła. O szesnastej dwadzieścia sześć jeszcze raz sprawdził godzinę, zastanawiając się, czy coś poszło nie tak. Jeżeli coś ją zatrzymało, nie miała jak go o tym powiadomić, bo nie wiedziała, jakiego nazwiska użył. Jeżeli, co nie było bardzo prawdopodobne, Foley niespodziewanie wrócił do domu, nie miała jak do niego zadzwonić. Foley miał paranoję. Wczoraj w przerwach między porywami miłości zwierzyła się Chetowi, jak mąż ją traktował - groził i przysięgał, że ją dopadnie, jeżeli odkryje, że żona go zdradza. Cheta to przeraziło, ale Violet bagatelizowała całą sprawę:

- Powiem ci jedno. Następnym razem, kiedy podniesie na mnie rękę, kończę z nim. Odchodzę.

Szesnasta dwadzieścia dziewięć. Niepokój ścisnął mu żołądek. A co, jeżeli Foley coś zwąchał o ich rendez-vous, Chet nie śmiał opuścić motelu. Jeżeli Violet wreszcie przyjdzie i go nie zastanie, wścieknie się. O szesnastej trzydzieści sześć ktoś zapukał do drzwi. Odsunął zasłonę, zastanawiając się, czy na zewnątrz nie zobaczy Foleya ze strzelbą w ręku. Dzięki Bogu, to była Violet. Otworzył drzwi, a ona bez słowa wyjaśnienia weszła do środka. Czekał na usprawiedliwienie - jakieś sprawy do załatwienia, coś z Daisy, może korki?

- Jezu, co się stało? Powiedziałaś, że będziesz o czwartej - wiedział, że to brzmi jak oskarżenie, ale poczuł na jej widok taką ulgę, że nie mógł się

powstrzymać.

- To wszystko, co mi masz do powiedzenia? Ja ryzykuję życie i zdrowie, żeby tu przyjść, a ty się wściekasz, bo jestem kilka minut później? Mówiłam, żebyś się nie wkurzał.

- Ależ ja się nie wkurzam. Po prostu martwiłem się, tylko tyle.

Przepraszam, jeżeli źle to zabrzmiało.

- Co to za kwiaty? Kupiłeś je dla mnie?

- Podobają ci się?

- Jasne, ale to dużo pieniędzy jak na nie więcej niż pół godziny - rzuciła torebkę na krzesło, zdjęła pantofle na wysokich obcasach i kopnęła je na bok.

- Tylko pół godziny? Przecież mówiłaś, że będziesz mieć godzinę...

- Właśnie tak mówiłam. Miałam godzinę, ale teraz pół godziny już minęło. Nie bądź namolny, okej? Mamy coś ciekawszego do roboty. Zaczęła się rozbierać. Sukienka. Figi. Kiedy odpięła biustonosz, jej piersi swobodnie się zakołysały. Nie potrafił ocenić, w jakim jest nastroju. Zachowywała się zwyczajnie, ale wyczuwał w niej jakieś rozdrażnienie, które wcale mu się nie podobało. Myślał, że Violet wspomni o samochodzie, ale nie doczekał się ani słówka. Może było jej niezręcznie wyrażać wdzięczność. Utkwiła w nim spojrzenie:

- Rozbierasz się czy masz zamiar tak stać i gapić się na mnie cały dzień?

Szybko zrzucił ubranie, a Violet w tym czasie odsunęła narzutę i wślizgnęła się między prześcieradła. Kochali się, lecz nie tak namiętnie jak wczoraj. Chet nie spisał się jak należy, choć Violet zachowała się bardzo uprzejmie, tłumacząc mu:

- Och, nie histeryzuj. Każdy ma czasem gorszy dzień. Wszystko jest z tobą w porządku.

Gdy skończyli, usiadła na brzegu łóżka. Pomimo jej zapewnień czuł się niepewnie i chciał jej jakoś wynagrodzić swój brak kondycji. Objął ją od tyłu, musnął nosem jej włosy i zaczął całować gładkie plecy. Poczuł, że znowu jest w gotowości bojowej.

- Może jeszcze raz? - zaproponował.

- Przestań się ślinić. Działasz mi na nerwy.

Żartobliwie pociągnął za kosmyk jej włosów.

- A więc jak to jest mieć własnego bel aira? Uśmiechnęła się:

- Dobrze. Jest wspaniały. Foley wrócił dziś rano do domu, zaparkował go przed domem i kazał mi popatrzeć przez okno. Nie wierzyłam własnym oczom!

Brzmiało to tak, jakby wdzięczność należała się Foleyowi. Chętnie by z tego pożartował, ale wyczuł, że naprawdę jest przygnębiona.

- Hej, kwiatuszku. Co się dzieje? Wyglądasz, jakby świat ci się zawalił.

- Wszystko w porządku.

- Za dobrze cię znam. O co chodzi?

- Po prostu nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogę to ciągnąć.

Foley i ja strasznie się wczoraj w nocy pokłóciliśmy, skurwiel zdemolował cały dom. Całkiem jakby czuł, że coś jest na rzeczy. Jeszcze nie odkrył co, ale nie zajmie mu to wiele czasu. Kiedy już coś zwącha, nie gubi tropu.

- Czy coś powiedział?

- Nie, ale tak na mnie patrzył, że prawie umarłam ze strachu. Stąпам po cienkim lodzie. Jeden fałszywy ruch i...

- I co?

- Nie wiem. Na pewno coś złego.

- Eee, nie przesadzaj. Nie może być aż tak źle.

- Łatwo ci mówić.

Poczuł lekki niepokój:

- A może trochę zwolnimy, dopóki Foley się nie uspokoi? Jutro jest święto. Mam dużo pracy, więc i tak nie mógłbym się wyrwać. Spędź ten weekend z mężem. Idźcie na fajerwerki, zróbcie sobie piknik, zachowuj się tak, jak trzeba. Będzie jadł ci z ręki.

- Och, świetny pomysł. Traktujesz to dosyć lekko. Dobra, stara Violet. Spędzaj z nim czas, zachęcaj go, całuj jego dupę, liź jego kutasa, rób

wszystko, żeby udobruchać faceta, który od urodzenia jest szalony.

- Nie traktuję tego lekko.

- Cóż, ty z nim nie żyjesz. Nie wiesz, jaki jest. To nie ciebie Foley codziennie pierze na kwaśne jabłko. Popatrz tutaj, ciągle mam siniaka, bo rzucił we mnie pieprzonym dzbankiem do kawy.

- To dlaczego od niego nie odejdziesz?

- A gdzie niby miałabym pójść? Jak daleko bym zaszła?

- Tak daleko, jak byś chciała. Jeżeli to kwestia pieniędzy, mogę ci pomóc.

- Nie chodzi o pieniądze, Chet. Czy tylko forsa ci w głowie?

- W takim razie o co chodzi?

- Cholera. Jak mam ci to wyjaśnić? Chodzi o to uczucie... że tkwię w tym całym sama. Komu na mnie zależy? W tym mieście jestem śmieciem, jestem największym zerem...

- Mnie na tobie zależy.

- Taa...

- Mówię poważnie. Bardzo mi na tobie zależy.

- Dobrze wiem, na czym ci zależy. Na pieprzeniu.

- Chyba się zapędziłaś...

- Tylko żartuję, okej? Próbuję się rozchmurzyć. Co mi przyjdzie z tego, że będę się nad sobą użalała?

- Violet, jestem po twojej stronie. Cały czas próbuję ci to wytłumaczyć. Myślałem o tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że nie powinnaś przebywać z nim pod jednym dachem. Przyszło mi do głowy, że mogłabyś się gdzieś przeprowadzić...

- Taa... Nic się nie martw. Coś wymyślę.

- Tylko czemu nie chcesz, żebym ci pomógł? Naprawdę się o ciebie martwię.

- Przestań, Chet. „Naprawdę się o ciebie martwię”. Myślisz, że nie widzę, co jest grane? Nie chodzi ci o mnie. Chodzi ci o ciebie i twoje zachcianki. Przez te dwa dni zadałeś mi tylko jedno osobiste pytanie: czy zażywam pigułkę? Jak więc to się ma do martwienia się o mnie? Boisz

się, ogierze, że wpadnę i zniszczę ci życie.

Spojrzał na nią bezradnie.

Na widok jego miny Violet zreflektowała się:

- Przepraszam, nie to miałam na myśli. Sama nie wiem, co mówię.

Gadam tak, bo nadchodzi ta pora miesiąca.

- Naprawdę? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Chodź tu...

- Może darowałbyś sobie ten protekcyjny ton? To nie rozwiąże mojego problemu. Czy to tak trudno zrozumieć? - Wstała i przeszła się po pokoju, potem ponownie usiadła. Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i schowała twarz w dłoniach. Jęknęła zirytowana: - Nie słuchasz mnie, ale to moja wina. Biorę to na siebie. Powinnam była wyrażać się jaśniej.

Chet, jeżeli chcę być bezpieczna, muszę się trzymać cholernie daleko od ciebie. Jesteś miłym facetem i porządny z ciebie gość, ale jeżeli chodzi o puszczanie się, jesteś amatorem. Jeżeli jestem w niebezpieczeństwie, a jestem, to tylko i wyłącznie przez ciebie.

- Ale właśnie to próbuję ci powiedzieć. Mogę cię stąd zabrać.

- Nie, nie możesz. Przyjrzyj się sobie, zwariowałeś na moim punkcie, zwariowałeś z miłości. Myślisz, że jestem odpowiedzią na twoje modlitwy, ale ja jestem najkrótszą drogą do piekła. Wiem, że nie podoba ci się to, co mówię, lecz taka jest prawda. Nie możesz tak żyć, takie podchody to nie dla ciebie. To nie leży w twojej naturze. Ogólnie mówiąc, jesteś uczciwym człowiekiem, a to oznacza, że kiedyś mylnie ocenisz sytuację. Popełnisz jakiś głupi błąd i narazisz mój tyłek. Dlatego lepiej z tym teraz skończyć.

- Nie mówisz serio.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. Nie słuchasz mnie. Nie tylko wciągasz mnie pod pociąg, ale również przywiązujesz do torów. Jeżeli ci zależy - jeżeli mnie tak bardzo kochasz - nie zabieraj mi tej minimalnej szansy, którą mam, nie posyłaj mnie do piekła. Poradzę sobie z Foleyem, ale nie z tobą telepiącym się za mną. Bo byłoby tak. Pewnego wieczoru natknąłbyś się w Moonie na Foleya i miałbyś na twarzy ten twój cholerny uśmiezek. Foley tylko rzuci okiem i już będzie wszystko wiedział. A

wtedy zgadnij, kto nie żyje? Najpierw ja, potem ty, a na końcu on.

- Tak się nie stanie. Foley nigdy się nie dowie. Violet, rozmawiałem z nim dziś rano. Siedział po przeciwnej stronie biurka, zaraz koło mnie. Przysięgam, że niczego nie zauważył.

- A wiesz dlaczego? Bo chodziło o pieniądze i próbował jak najwięcej z ciebie wydębić. A po za tym spotykamy się dopiero od trzech dni i jeszcze nie miałeś okazji tego spieprzyć. Ale okazja przyjdzie.

- Chwila, chwila, chwila. Spokojnie. Nie podejmujemy pochopnych decyzji. Mogę ci wynająć mieszkanie w Santa Teresa... pod fałszywym nazwiskiem. A jeśli nie chcesz, to możemy wyjechać i zamieszkać gdzieś indziej. Zrobiłbym to dla ciebie, przysięgam.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową:

- I to są te twoje pomysły? Muszę przyznać, że masz bujną wyobraźnię.

Podniosła stanik z podłogi i założyła. Pochylając się, umieściła jedną i drugą pierś w miseczkach. Odszukała figi i założyła je. Włożyła przez głowę sukienkę, a następnie ją zapięła. Wyglądało to jak striptiz na odwrót. Podeszła do nocnego stolika, wyjęła ze swojej paczki papierosa i użyła kciuka, żeby ciasniej ubić tytoń.

- Popatrz tylko na te fajki. Nawet nie dodadzą pieprzonego pudełka zapalek. Podasz mi ogień?

Zdrętwiały pstryknął zapalniczką i patrzył, jak Violet nachyla się w kierunku płomienia, podtrzymując włosy. Zaciągnęła się, po czym wypuściła obłoczek dymu.

- Dzięki.

Wzięła popielniczkę, torebkę i udała się do łazienki. Przez otwarte drzwi widział, jak poprawia makijaż. Podeszedł i spojrzał na nią w lustrze:

- Innymi słowy, to koniec.

- Dokładnie. Bez obrazy, ale wycofajmy się, dopóki jeszcze możemy.

Nic nie mówił przez prawie minutę, myślał o minionych trzech dniach.

- Zrobiłaś to przez ten samochód, prawda?

- Bezwiednie otworzyła usta. Odwróciła się.

- Co ty powiedziałaś?

- Robiłaś to wszystko, żeby dostać ten wóz, a teraz, kiedy jest twój, zrywasz ze mną.

- Masz na myśli, że pieprzyłam się z tobą, żeby dostać samochód?

Dziękuję bardzo. Za jaką dziwkę mnie masz? Mówisz, żebym nie gadała o sobie głupot, a posłuchaj, co sam o mnie opowiadasz.

- Przepraszam, tak mi przykro...

- Jeżeli tak ci przykro, to może być tak przestał mną poniewierać? -

Gwałtownie zaczęła malować usta, wypełniając kolorem zarys warg. -

Chcesz być despotą, to bierz numerek i stawaj w kolejce za Foleyem.

- Czy ty oszalałaś? Jesteś szalona. Chwalisz się tylko, jak źli faceci cię traktują. A ja przyszedłem tutaj ofiarować ci nowe życie.

- Słuchaj, koleś, ja mam życie. Może dla ciebie nie wygląda ono za ciekawie, ale staram się, jak mogę, więc nie traktuj mnie protekcjonalnie.

- Violet... przestań... - próbował coś powiedzieć, ale głos mu uwiązł w gardle i zdołał tylko zaskrzeczeć.

- Jezu, Chet. Jesteś już dużym chłopcem. Było nam wspaniałe, ale takie są fakty: to seks. Być może teraz jest naprawdę gorąco, lecz jak długo to potrwa? Za dwa miesiące nic już z tego nie będzie, więc nie dorabiaj do tego ideologii. Nie uciekniesz ze mną. Okłamujesz mnie. Chet zaciągnął się po raz ostatni papierosem i wyrzucił go przez okno. Jeszcze jeden łyczek z piersiówki i odłożył ją do schowka. Traktor z platformą, tym razem pustą, znowu go minął, zmierzając w stronę drogi numer sto sześćdziesiąt sześć. Na terenie posiadłości Tannerów zółcił się teraz buldożer, jeden z trzech, wielki jak czołg. Chet ostatni raz jeździł buldożerem, kiedy miał osiemnaście lat, tego cholernie pracowitego lata, zanim zabito jego ojca. Pracował na budowie, próbując w ten sposób odłożyć pieniądze na pierwszy rok college'u. Teraz związki szkoliły facetów, którzy mieli kierować ciężkimi maszynami, ale w tamtych czasach po prostu wskakiwał na buldożera, odpalał i modlił się, żeby nie zaliczyć rowu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i zwolnił ręczny hamulec. Zawrócił na

dwóch pasach pustej drogi. To, co przeżył z Violet, było niczym trzyletni romans skondensowany w trzy dni.

Początek, środek i koniec. Tam i z powrotem. Gnębiła go myśl, że zrobiła z niego większego głupca, niż podejrzewał. Oszukała go i naciągnęła. Chciała zdobyć to auto. Teraz to się wydawało oczywiste, ale dobrze to rozegrała i nie mógł się powstrzymać przed mimowolnym podziwem dla jej finezji. Kiwnęła małym palcem, a on pobiegł do niej w podskokach jak rozbrykany szczeniak. W tym momencie nie czuł wstydu, ale wiedział, że wkrótce, kiedy alkohol przestanie działać, poczuje.

Wiedział, że jego poniżenie jest ściśle związane z radością, ale podczas gdy radość uleciała, gniew będzie się palił w jego sercu jak dogasający pożar w kopalni - przez długie lata. Najbardziej zraniło go to, że ona nie odczuwała tego bólu. Za każdym razem, kiedy zobaczy ten samochód, za każdym razem, kiedy Foley będzie wpłacał ratę, Chet będzie się kulił, bezbronny i malutki. Teraz wróci do domu, do Livii - i to wszystko. Już przedtem jego życie było nie do zniesienia, a co dopiero będzie teraz, kiedy przekonał się, jak cudownie może być?

Gdy dotarł do domu, wjechał na podjazd i zaparkował w garażu. Wziął się w garść. Miał do odegrania swoją rolę. Nie mógł pozwolić, by Violet zniszczyła jego życie rodzinne, tak jak zniszczyła zawodowe. Wszedł do domu. Przedpokój śmierdział kapustą, która się gotowała całe pół dnia. Miał ochotę się rozplakać. Nawet nie mógł liczyć na smaczny posiłek. Livia miała ciężką rękę do gotowania i okropne pomysły na posiłki. Serwowała prawie niejadalną strawę - klopsy z makreli, krem z kurczaka na gofrach, pudding z tapioki, który wyglądał jak śluzowata rybia ikra. Zjadał wszystko, każdą wariację na temat, ale czasami bał się nawet dociekać, co to jest.

- Tatusiu, to ty?

- Tak.

Zajrzał do salonu. Kathy rozwaliała się na kanapie, jej ciężkie nogi zwisały z jednej strony.

Miała na sobie białe szorty i podkoszulek, obie rzeczy nieodpowiednie

dla osoby o jej tuszy.

W ustach żuła kosmyk włosów, wpatrując się w ekran telewizora. The Howdy Doody Show. Strata czasu. Marionetka-kowboj z piegami i klapką zamiast dolnej szczęki. Widać było nawet sznurki, które pobudzały go do życia, kiedy w swoich trzęsących się butach w podrygach przechodził przez ekran.

Chet zdjął sportowy płaszcz i powiesił go na haku w przedpokoju. A co go obchodziło, że ramiona się mogą zniekształcić? Odpiął guzik przy koszuli i poluzował krawat. Musiał wziąć się w garść. Jednak piętnaście minut później, kiedy siedzieli przy kolacji, Livia podzieliła się z nim kretyńską myślą, że to śmieszne, kiedy prezydent Korei Południowej Syngman Rhee wzywa chrześcijan i niechrześcijan do modlitwy o pokój. Rozwścieczyło go to:

- Uważasz, że to śmieszne, że wojna może się skończyć? Po tym jak straciliśmy trzydzieści trzy tysiące amerykańskich żołnierzy? Czy ty, do diabła, masz coś w tej głowie? Niecałe dwa tygodnie temu nie kto inny, a Rhee uwolnił dwadzieścia siedem tysięcy północnokoreańskich jeńców wojennych, w ten sposób przerywając rozmowy o zawieszeniu broni. Teraz łagodzi stanowisko, a ty z niego drwisz?

Livia tak mocno zacisnęła wargi, że aż dziw brał, iż w ogóle mogła mówić:

- Mówię tylko, że nie ma sensu, żeby niechrześcijanie modlili się o pokój, skoro nie wierzą w Boga.

- Niechrześcijanie nie wierzą w Boga? Naprawdę tak myślisz? Każdy, kto chodzi do innego niż ty kościoła i czci inne niż ty bóstwo, jest kimś w rodzaju barbarzyńcy? Livia, nie możesz być aż taką idiotką.

Widział, że czuje się urażona, ale nic go to nie obchodziło. Z policzkami płonącymi oburzeniem rzuciła na stół jego talerz z kolacją z taką siłą, że prawie rozpadł się na pół.

Spojrzał na kolację, która składała się z dania głównego i dodatku w postaci kapusty rozgotowanej tak bardzo, że straciła kolor. Wskazał na przystawkę:

- Co to jest?

Livia usiadła i ułożyła serwetkę na kolanach:

- Dzisiaj Międzynarodowy Wieczór, jak w każdy pierwszy piątek miesiąca. Kathy przygotowała to danie. Moim zdaniem wygląda smakowicie.

- To danie walijskie, welch rabbit - uzupełniła Kathy, radośnie podnosząc do ust obładowany do granic możliwości widelec.

- Welch? Chyba raczej „welsh”. Postradałyście rozum? To jakaś serowa breja na tostach.

- Może tak skosztowałbyś choć trochę, zanim zaczniesz osądzać?

Kathy włożyła w to danie sporo pracy. A może proszę o zbyt wiele?

- To jest jakieś gówno! Nie mogę po ciężkim dniu pracy jeść czegoś takiego, w tym nawet nie ma mięsa.

- Uważaj na język. Przy stole siedzi młoda dama.

Odepchnął od siebie talerz.

- Panie wybaczą.

Wstał od stołu i poszedł na dół do toalety, gdzie wyciągnął piersiówkę i w sześciu łykach rozprawił się z jej zawartością. Nie było to wiele, ale może w ten sposób przetrwa kolejne piętnaście minut, nie wpadając w szal.

Wrócił do stołu, wziął się do jedzenia i próbował sobie wyobrazić, jak się zachowują normalni mężczyźni. W całej Ameryce przy kolacjach takich jak ta siedzą mężowie z żonami i córkami jak te dwie naprzeciwko niego. Co robią? Gawędzą o tym i owym? On też może.

Najwyraźniej nie ma sensu omawiać pokoju na świecie. Zerknął na Kathy, starając się nie patrzeć uważnie, bo córka miała zwyczaj nie zamykać ust podczas żucia.

- Widziałem dziś twoją przyjaciółkę - poinformował ją.

- Którą?

- Lizę.

- Och - tak pochłaniało ją napychanie ust, że nie był pewien, czy usłyszała.

- Co się jej stało?

Kamy rzuciła mu spojrzenie:

- Nic. Czemu tak mówisz?

- Pół roku temu byliście jak syjamskie bliźniaki zrośnięte biodrami.

Rzuciła cię czy co?

- Nie, tato. Nie rzuciła mnie.

- No to dlaczego już się nie widujecie?

- Widujemy się. Cały czas. Dzisiaj była zajęta, czy to niezgodne z prawem?

- Jak dla mnie, nie wyglądała na bardzo zajęta. Chyba że wliczasz w tę kategorię wykwinny lunch w centrum.

- Liza nie jadła lunchu w centrum.

- Czy to nie dziś miała urodziny? Chyba coś o tym wczoraj wspominałaś.

- No i?

- No i nic. Myślałem, że może spędzi cały dzień z tobą.

- Rozmawialiśmy przez telefon. Mówiła, że jej matka zachorowała, być może to coś zakaźnego. Inaczej spędziłybyśmy ten dzień razem.

- Ach taaaak - przeciągnął to słowo. - To by wszystko wyjaśniało.

- Wyjaśniało co?

- Co tam robiła, cała wystrojona, z Violet Sullivan. Obie pochylone nad koktajlem z krewetek.

Kathy odłożyła widelec i wlepiała wzrok w ojca.

- Nic, to niemożliwe.

- Ależ owszem. Aha. Właśnie, że tak.

- Gdzie?

- Hotel Savoy. Restauracja na parterze. Widziałem je przez okno.

- Chet - powiedziała ostrzegawczo Livia.

- Bardzo zabawne. Ha, ha, ha. A gdzie w tym czasie była Daisy?

Zapomniałeś o niej?

- Siedziała sobie razem z nimi nad wielką miską spaghetti i nitka po nitce wsysała makaron, siorbiąc niemiłosiernie.

- Mówisz tak, żeby mi dokuczyć, bo jesteś w złym humorze. Liza mogła gdzieś wyjść, ale to nie miało nic wspólnego z panią Sullivan.

- Czemu jej nie zapytasz? Zobaczymy, co odpowie.

- Chet, wystarczy.

- Nie mogę znowu do niej zadzwonić. Przed chwilą skończyłyśmy rozmawiać. Opiekuje się bardzo chorą matką.

- Dobrze, w porządku. Jeżeli w ten sposób chcesz to rozegrać. Nie chciałbym, żeby się między wami popsulo. Tylko o to mi chodzi. Kathy zamilkła. Livia posyłała mu chmurne, znaczące spojrzenia - bura go nie ominie. Ale Chet nie miał zamiaru na to czekać. Wylał usta serwetką i rzucił ją na talerz. Wstał, miał ochotę stąd uciec. Czuł, że wzbiera w nim złość. Co, do diabła, było z nim nie tak? Przecież nie odzyska Violet przez narobienie kłopotów komuś innemu. Po co doprowadzać do kłótni córki z jej najlepszą przyjaciółką? Małostkowość tego, co zrobił, tylko podsyciła jego gniew.

Był bliski postradania zmysłów, irracjonalny, nieobliczalny, nie panował nad sobą.

Zdjął z haczyka swój sportowy płaszcz i zarzucił na ramiona. Livia wyszła za nim na korytarz:

- Wychodzisz?

- Tak.

- Ale ja spodziewam się gości. Dziś nasza noc kanasty. Dziewczęta przychodzą na ósmą. Obiecałeś, że zabierzesz gdzieś Kathy.

Wyszedł frontowymi drzwiami, zatrzasnął je za sobą z gardłem tak ściśniętym wściekłością, że nie mógł wydusić ani słowa.

ROZDZIAŁ 19

Wróciłam do biura i korzystając z telefonu pani Bonnet, skontaktowałam się z biurem szeryfa, żeby zgłosić, co się stało. Obiecali, że kogoś przyślą. Potem zadzwoniłam do Southern California Automobile Club i wezwałam pomoc. W oczekiwaniu na ich przyjazd zadzwoniłam do domu Daisy. Odebrała Tannie i powiedziała mi, że Daisy już wyszła do pracy. Kiedy się dowiedziała o przebitych oponach, wściekła się jak

należy:

- Moje biedactwo! W głowie się nie mieści, że ktoś mógł ci to zrobić.

- A ja jestem zachwycona. To znaczy z jednej strony jestem wkurzona.

Nienawidzę zostawać bez samochodu, a ostatnia rzecz, o jakiej marzę, to wydawać pieniądze na cztery nowe opony. Ale z drugiej strony czuję się tak, jakbym trafiła trzy wisienki na automacie do gry, Zajmuję się tą sprawą od trzech dni, a komuś już puszczają nerwy.

- Nie myślisz, że to zwykły wandalizm?

- Na pewno nie. Żartujesz sobie? Przyznaję, że mój samochód rzucał się w oczy na parkingu pełnym ciężarówek, ale wybór nie był przypadkowy. To miało być ostrzeżenie, a może kara. Jednak dla mnie to dobry znak.

- Hmm, chyba masz lepsze podejście niż ja. Ja bym zrobiła piekło na ziemi, jeśli ktoś przebiłby mi opony.

- To znaczy, że jestem na dobrym tropie.

- Ale który to trop?

- Nie mam pojęcia, jednak mój przeciwnik musi myśleć, że prawie to rozgryzłam.

- Ktokolwiek by to był.

- Racja. Tymczasem potrzebuję namiarów na warsztat, jeśli znasz jakiś dobry.

- Zapominasz, że to działka mojego brata. Ottweiler Auto Repair w Santa Maria. Przynajmniej nie zedrze z ciebie skóry.

- Świetnie. Zadzwońię do niego. A ty, co dzisiaj porabiasz?

- Wynajęłam kilku ludzi, będziemy pracować kolo starego domu.

Jeżeli miałabym taki kaprys, mogłabym karczować krzaki do końca życia, tyle ich tam jest. O jedenastej trzydzieści mam spotkanie z przedsiębiorcą budowlanym, ale byłoby miło, gdybyś wpadła.

- Zobaczymy, ile czasu zajmie wymiana opon. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, kupię po drodze jakieś kanapki i możemy razem zjeść lunch.

- Powiedz Steve'owi, że to ja cię przysłałam. Ale się zdziwi! Albo lepiej ja do niego zadzwonię i uprzedzę, że się zjawisz.

- Dzięki.

Funkcjonariusz przyjechał do Sun Bonnet w ciągu trzydziestu minut i spędził kwadrans na obfotografowywaniu samochodu i zapisywaniu informacji potrzebnych mu do raportu. Powiedział, że mogę dostać kopię dla zakładu ubezpieczeniowego. Nie pamiętałam, ile wynosi moja franszyza redukcyjna, ale byłam pewna, że w końcu i tak zapłacę za te opony z własnej kieszeni. Niedługo po jego odjeździe pojawił się samochód pomocy drogowej. Kierowca załadował moje auto.

Wskoczyłam do szoferki i w prawie całkowitym milczeniu przebyliśmy piętnaście mil do Santa Maria.

Moim samochodem zajęli się odpowiedni ludzie, a tymczasem pojawił się Steve Ottweiler.

Był siedem lat starszy od Tannie, ale czas działał na jego korzyść.

Według standardów społecznych - które różnią się od moich - mężczyzna w wieku lat pięćdziesięciu zaczyna być uważany za atrakcyjnego, podczas gdy pięćdziesięciolatka jest traktowana jak powietrze. W Kalifornii kobiety wykorzystują chirurgię plastyczną, żeby zatrzymać zegar, zanim zaczną się robić przezroczyście. Ostatnio są pod presją, żeby zabierać się do tego jeszcze wcześniej - jeśli jesteś aktorką, w wieku trzydziestu lat. Zanim na gładkich buziach pojawią się pierwsze zmarszczki. Brat Tannie był podobny do swojego ojca Jake'a, którego poznałam poprzedniego wieczoru - ten sam wzrost, podobna sylwetka, szczupły i muskularny. Co prawda twarz miał szerszą, ale pokrytą identycznymi brązowymi plamami od słońca.

Steve polecił mi opony, które akurat miał na składzie, a ja je kupiłam.

Podczas gdy mechanik wziął moje auto na podnośnik i zaczął poluzowywać nakrętki, my usiedliśmy w biurze Steve'a. Był on jedyną osobą w okolicy, której nie podejrzewałam o przebicie opon, głównie dlatego że dopiero teraz miałam okazję zajść mu za skórę. W którymś momencie w ciągu ostatnich dwóch dni nastąpiłam komuś na odcisk, ale tym kimś, jak wiedziałam, nie był Steve. Zagaiłam rozmowę:

- W czasach Violet Sullivan miałaś ile? Szesnaście lat? Byłam w

przedostatniej klasie szkoły średniej.

- Znałeś chłopaka Lizy Mellincamp?

- Ty'a Eddingsa? Pewnie, chociaż raczej ze słyszenia. Znałem też jego kuzyna Kyle'a. Obaj byli klasę wyżej, więc nie mieliśmy okazji bliżej się poznać. Właściwie to nie wiem czy Ty miał tu przyjaciół. Przeniósł się do nas z East Bakersfield High School w marcu tamtego roku, a w lipcu już go nie było.

- Ktoś mi powiedział, że wyjechał w ten sam weekend kiedy zniknęła Violet.

- Nie sądzę, żeby te dwa wydarzenia były ze sobą powiązane. Oboje lubili pakować się w kłopoty, ale to wszystko, co ich łączyło. Ty wyleciał z EBHS i przysłali go tutaj, żeby wrócił na ścieżkę cnoty. Pomysł raczej nie wypalił.

- To znaczy?

- Krążyły pogłoski, że się zaprzyjaźnił z Lizą Mellincamp, która miała dopiero trzynaście lat. Rok wcześniej zrobił dziecko piętnastoletniej dziewczynie, która umarła w wyniku sknoconej aborcji. Ty był uważany za wyrzutka, a nam, dzieciakom ze szkoły średniej, bardzo to imponowało.

- Nie był nielubiany ani odtrącany?

- Ani trochę. Wtedy wszyscy mieliśmy bzika na punkcie dramatycznych historii.

Uważaliśmy Ty'a za tragicznego bohatera, bo myśleliśmy, że on i ta dziewczyna byli w sobie zakochani, a jej rodzice zmusili ich do rozstania. On był Romeem, a ona Julią - tyle że Ty wyszedł na tym dużo lepiej.

- Ale czy było możliwe, że on i Violet uciekli razem? Dwie czarne owce?

- Hmm, nic nie jest niemożliwe, ale to raczej mało prawdopodobne.

Violet miała ponad dwadzieścia lat, a na dodatek była mężatką, więc dla nas jakby nie istniała. Nastolatki żyją we własnym świecie. Wiesz, jak to jest - dla nas wielkim wydarzeniem było, kiedy dwoje dzieciaków z klasy zginęło w wypadku samochodowym. Violet była dorosła. Nikogo nie

obchodził jej los. W tej całej historii było mi żal Lizy.

- Wcale się nie dziwię - zgodziłam się. - Rozmawiałam z nią wczoraj i opowiadała, jak była zdruzgotana, kiedy Ty wyjechał. Jak do tego doszło?

- Słyszałem taką wersję: ktoś zadzwonił do ciotki Ty'a z informacją, że chłopak kombinuje z następną nieletnią, czyli z Lizą. To było w piątek wieczorem. Ciotka natychmiast zadzwoniła do jego matki, która właśnie była na weselu w Chicago. Przyjechała do Bakersfield późnym wieczorem w sobotę i wyjechała razem z nim wcześniej rano następnego dnia.

- Czemu nie pożegnał się z Lizą? Zostawił ją bez słowa wyjaśnienia.

- Być może dobre maniere nic były jego najmocniejszą stroną.

- Co było potem? Pytałam ją, ale nie paliła się do odpowiedzi, więc nie nalegałam.

- Później było jeszcze gorzej. Jej rodzice rozwiedli się, kiedy miała osiem lat. Mieszkała z mamą, właściwie bez nadzoru, bo pani Mellincamp piła. Kiedy ojciec usłyszał o jej przygodzie z Ty'em, przyleciał z Kolorado, kazał jej pakować manatki i zabrał ją ze sobą. Oczywiście nic dobrego z tego nie wyszło. Nie dogadywali się, na dodatek Liza nienawidziła jego nowej rodziny, więc za rok mieliśmy ją tutaj z powrotem. Nic dziwnego. Bierzesz dziewczynę taką jak Liza, przyzwyczajoną do chadzania własnymi ścieżkami, a jej się wcale nie podoba, że teraz ty rządysz.

- W jaki sposób dowiedział się o Ty'u, skoro był w Kolorado?

- Miał tutaj starych znajomych.

- Stało się więc na tym, że Liza znowu zamieszkała z matką?

- Nie na długo. Sally Mellincamp zginęła w pożarze własnego domu rok później, a Liza trafiła do rodziny z okolicy. Charlie Clements był dobrym człowiekiem i nie miał zamiaru przyglądać się beczynnemu, jak Lizę wsysa system opieki społecznej. To właśnie on miał ten warsztat samochodowy w Serena Station, który kupiłem w 1962, kiedy przeszedł na emeryturę. Liza wyszła za jego syna.

- Zatem wszystko się ze sobą łączy.

- W ten lub inny sposób. Dobrze to ujęłaś.

Ktoś potrzebował Steve'a w serwisie. Zanim wyszedł, zaproponował, żebym tutaj została, dopóki moje auto nie będzie gotowe. Jego biuro było małe i funkcjonalne - metalowe biurko, metalowe szafki, zapach oleju. Wszędzie leżały sterty instrukcji obsługi i zleceń. Wykorzystałam wolną chwilę na przejrzenie swoich karteczek.

Wymyślałam różne wersje, wypróbowałam różne konfiguracje.

Przyjdzie chwila, kiedy każdy fragment układanki znajdzie się na swoim miejscu (odważnie powiedziała do siebie dzielna pani detektyw). Jednak teraz miałam przed sobą stos kawałków i ani cienia pojęcia, co gdzie pasuje.

Ciągle wracałam myślą do wyznania Winstona. Przez tyle lat nikomu nie powiedział, że widział samochód Violet. Zdawałam sobie sprawę z tego, ile mam szczęścia, że żona akurat teraz daje mu kopniaka. Był na nią wkurzony, więc nie zważał na to, co mówiła, i nie czuł się zobowiązany do zachowania tajemnicy. Jeżeli porozmawiałabym z nim dzień wcześniej, być może niczego bym się nie dowiedziała. To była pouczająca lekcja: ludzie się zmieniają, okoliczności się zmieniają. To, co jednego dnia wydaje się najważniejsze, następnego staje się bezwartościowe. I na odwrót.

Mój volkswagen był gotowy w ciągu godziny, opony wyglądały świeżo i czysto jak nowiutkie buty. Na dodatek ktoś zafundował mi gratisowe mycie. Wnętrze ładnie pachniało dzięki saszetce zapachowej zwisającej z za lusterka. Kiedy wyjeżdżałam, mignął mi Steve Ottweiler, więc na pożegnanie pomachałam do niego.

Gdy jechałam na zachód główną ulicą, zorientowałam się, że jestem blisko dzielnicy sierżanta Schaefera. Skręciłam w następną przecznicę po prawej i okrążyłam jego dom, żeby jak poprzednio zaparkować od frontu. Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc przeszłam na tył domu, jednocześnie wołając sierżanta. Był w warsztacie. Kiedy usłyszał mój głos, wyjrzał na zewnątrz i zaprosił mnie do środka ruchem ręki. Siedział na stołku, przed sobą na warsztacie miał skrzynkę uciosową i

imadło. Wcześniej odciął fragmenty obramowania, które teraz sklejał.

Ubrany był w dżinsowy kombinezon, a jego białe włosy wypływały spod czarnej bejsbolówki i wyglądały jak piana.

- Myślałam, że pracuje pan nad fotelem.

- Już skończyłem, ale jeszcze nie zacząłem następnego mebla. Moje hobby zajmuje mi teraz tyle czasu - całe szczęście, że już nie pracuję. Nie byłoby szans, żebym ze wszystkim zdążył. Co panią do mnie sprowadza?

- Pomyślałam, że przekażę panu najświeższe nowiny - opowiedziałam mu o oponach, telefonie do szeryfa oraz wizycie w warsztacie Steve'a Ottweilera.

- Wygląda na to, że napędziła pani komuś stracha.

- Tak mi się wydaje. Problem w tym, że nie wiem komu ani w jaki sposób.

- Proszę mi opowiedzieć, co pani dotąd zdołała, a może razem znajdziemy odpowiedź.

Zdałam mu sprawozdanie z rozmów, które przeprowadziłam, zaczynając od Foleya Sullivana.

- Mnie samej niezbyt się to podoba, ale słowa Foleya brzmiały całkiem przekonująco.

- Udawanie szczerego to jego specjalność. A pozostali?

- Hmm, ludzi, z którymi rozmawiałam, można podzielić na dwie kategorie: tych, którzy wierzą, że Violet zginęła - pan, ja i jej brat, Calvin

- oraz tych, którzy myślą, że żyje, mianowicie Foley, Liza i być może Daisy. Nie jestem pewna co do Cheta, zapomniałam go zapytać.

- Szkoda, że nie można tego po prostu poddać pod głosowanie - zauważył. - Rozumiem, dlaczego Liza i Daisy wylądowały na jednym wózku. Żadna nie dopuszcza do siebie myśli, że Violet mogła odejść na dobre.

- Być może jesteśmy cyniczni. Zakładamy, że nie żyje, a ona może cała i zdrowa mieszkać sobie w Nowym Jorku.

- Tego też nie można wykluczyć.

Przeszłam do kolejnych rozmówców. Opowiedziałam, jak Winston

przyznał się, że tamtej nocy widział samochód Violet. Schaefer też nie próżnował:

- Myślałem o tym samochodzie. Raz na miesiąc grupka takich jak ja starych emerytów spotyka się na kolacji, żeby wspominać stare dobre czasy. Mówiłem im o pani zleceniu. Jeden kumpel zajmował się kradzionymi samochodami. Powiedział, że jeżeli bel air wylądował na złomowisku, jego numer identyfikacyjny VIN mógł zostać przebity na inny. Właśnie tak się robi, kiedy kradzione auto ma zniknąć. Piękno tego sposobu polega na tym, że możesz spokojnie zarejestrować kradziony pojazd jako samochód z odzysku. Twierdzisz, że kupiłeś starego gruchota, a potem go zreperowałeś - i kto ci coś udowodni? Mówi się na nie samochody widma. W każdym razie na drugi dzień zadzwoniłem do biura szeryfa i jeden z funkcjonariuszy przedyktował mi numer VIN samochodu Violet.

- Miał pan ten numer?

- Pewnie. Chet Cramer nam go podał podczas jednego z pierwszych przesłuchań. Zadzwoniłem do Wydziału Pojazdów Mechanicznych w Sacramento i poprosiłem, żeby wrzucili ten numer do wyszukiwarki. Zero wyników. Psiakrew. Przez minutę miałem nadzieję, że się uda, ale ten samochód nigdy nie wypłynął na powierzchnię. Dlatego wróciłem do wersji, że musiał zostać przetransportowany za ocean.

- Zakłada pan, że dostaliście od Cramera prawidłowy numer - zauważyłam. - Jeśli zmienił choć jedną cyfrę, komputer już by uznał, że taki pojazd nie istnieje.

- I w tym cały kłopot. Niech pani będzie ostrożna.

- Będę.

- I proszę mi dać znać, jeśli się pani dowie czegoś ciekawego.

Obiecałam, że to zrobię.

W delikatesach kupiłam kanapki i colę, a potem ruszyłam autostradą numer sto sześćdziesiąt sześć aż do New Cut Drove. Znałam już tę trasę, więc nie musiałam poświęcać całej uwagi drodze. Zamiast tego zaczęłam rozmyślać nad nagromadzonymi przez ostatnie dwa dni rozmaitościami.

Nie dowiedziałam się wiele, ale przynajmniej podzieliłam na kategorie wszystkich graczy.

Dotarłam do posiadłości Ottweilerów o jedenastej piętnaście.

Przedsiębiorca budowlany był przed czasem, wjechał na podjazd jednocześnie ze mną. Tannie przedstawiła go jako Billa Boyntona, jednego z dwóch fachowców poleconych przez Padgetta. Powiedziałam jej, że przywiozłam kanapki, po czym oddaliłam się, żeby nie przeszkadzać. Skorzystałam z okazji i rozejrzałam się po domu. Z werandy zauważyłam dwóch mężczyzn pracujących na skraju posiadłości. Wycinali zarośla, tak jak przedtem Tannie. Podwórko tonęło w ściętych gałęziach.

Pozbawiona wysokich chwastów, jeżyn i starych krzaków ziemia wydawała się naga i pokorna.

Wystarczył jeden rzut oka, a już wiedziałam, że się zgadzam z Padgettem. Tego budynku nie dało się uratować. Nic dziwnego, że brat ponaglał Tannie, by go sprzedała. Pierwsze piętro miało urok kamienicy w biednej części miasta. Widziałam ślady dawnego splendoru - dziesięciocalowy ozdobny gzyms, pięknie otynkowane sufity z bogato zdobionymi medalionami, wykończenia delikatne jak lukrowane wzorki na ciastach - ale większość pokoi była zrujnowana przez dekady zaniedbań.

Gdy dotarłam do schodów, poczułam kwaśny odór zwęglonego drewna, więc domyśliłam się, że kolejne piętra będą zniszczone nie tylko przez ogień, ale również przez wodę z węży strażackich. Zaczęłam się wspinać, trzymając się dębowej poręczy, niegdyś pięknej, a teraz brudnej od sadzy. Cienka warstewka pokruszonego szkła skrzypiała mi pod stopami, obwieszczając, że nadchodzę. Elementy instalacji były pozrywane.

W największej sypialni od frontu przeżyłam chwilę strachu, bo wydawało mi się, że w rogu pokoju leży skulony włóczęga. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że to nie ciało, a stary śpiwór, prawdopodobnie zostawiony przez bezdomnego, który - nieproszony -

szukał tu schronienia. W wielkim pomieszczeniu na bieliznę pościelową półki były podpisane ołówkiem "PRZEŚCIERADŁA", „PRZEŚCIERADŁA NA PODWÓJNE ŁÓŻKA”, „POSZEWKI” - żeby pokojówki wiedziały, gdzie mają składać świeżo wypraną pościel. Trzecie piętro było niedostępne. Żółta taśma z napisem „UWAGA!” została rozciągnięta w poprzek tego, co pozostało ze schodów. Ziejące dziury na klatce schodowej znaczyły drogę, którą przebył przegryzający się przez pokoje na górze ogień. Zrujnowane wewnątrz miało w sobie coś przytłaczającego i groźnego zarazem. Wróciłam na pierwsze piętro i zrobiłam mały obchód, zatrzymując się przy wielu oknach, żeby przez nie wyjrzeć. Oprócz pola po przeciwnej stronie drogi niewiele było do oglądania. Na następnym polu jakieś młode roślinki kielkowały mimo otulających je warstw plastikowego pokrycia, które miało powstrzymać chwasty. Miałam wrażenie, że patrzę na tafłę lodu. Bliżej domu dzięki walce Tannie z zaroślami widać było wijące się ceglane ścieżki oraz ogródek warzywny, teraz zarośnięty chwastami. Latem obudził się do życia dziko rosnący krzak pomidora i oplótł drewnianą ławkę. Pomidorki koktajlowe zdobiły ją tak, jak małe czerwone bombki upiększają bożonarodzeniowe drzewko. Dostrzegłam zarys dawnych grządek i skarłowaciałe, pozbawione światła słonecznego przez pieniące się zielsko drzewa.

Spojrzałam w lewo i zauważyłam niewyraźnie zarysowane wgłębienie. Być może kiedyś był to wbudowany w grunt basen albo stary zbiornik na ścieki. Na początku dwudziestego wieku, kiedy dom był budowany, nie stosowano jeszcze kanalizacji. Wzdłuż jednej krawędzi piętrzyły się zwały niedawno wytrzebionych hortensji - ich kwiaty wyglądały jak śnieżne kule. Wyrwane z korzeniami rośliny pyszniły się intensywnie niebieskimi kwiatami, wielkimi jak główki sałaty. Zrobiło mi się ich żal. Dawno temu na bocznym podwórku parceli, przy której stała nasza przyczepa, ciotka hodowała hortensje, mniej więcej takiego koloru, choć nie tak bujne jak te tutaj. Hortensje sąsiadki miały barwę spranego rózu, więc ciotka Gin pękała z dumy, że ma piękniejsze kwiaty.

Sekret, jak mówiła, polegał na tym, że trzeba zakopać w ziemię gwoździe, wtedy barwa zmieni się z różowej na intensywny błękit. Później miałam wrażenie, że byłam niewiarygodnie tępa. Tyle czasu zajęło mi zrozumienie rzeczy oczywistej jak to, że dwa i dwa równa się cztery. Gapiłam się na popękany i nieco zapadnięty prostokąt ziemi i nagle mnie oświeciło. Fakty, które przedtem nie miały ze sobą nic wspólnego, nagle stworzyły zgrabną całość. To tutaj Winston po raz ostatni widział samochód.

Wśród zwałów ziemi, ciężkiego sprzętu i pomarańczowych plastikowych pachołków - tak powiedział. Postawiono szlaban, żeby kierowcy nie jeździli tędy na skróty. Nie widział Violet, nie widział psa, a jednak tamtej nocy bel air przepadł jak kamień w wodę.

Być może dlatego że został tutaj zakopany. Może przez całe lata te bujne błękitne hortensje karmiły się rdzą.

ROZDZIAŁ 20

Pojechałam na stację niedaleko TuWis i zadzwoniłam z automatu do Schaefera.

Powiedziałam mu, co mi przyszło do głowy, i zapytałam, jak możemy sprawdzić, czy intuicja mnie nie zawiodła. Schaefer nie podszedł do mojego pomysłu entuzjastycznie, ale powiedział, że jeden z jego przyjaciół ma wykrywacz metalu. Zgodził się do niego zatelefonować. Jeżeli facet będzie mógł pomóc, jak najszybciej przyjadą do domu Tannerów. Jeżeli nie, Schaefer zjawi się sam, żeby rzucić okiem na odkryte przeze mnie podłużne zagłębienie. Nie powiedziałam Tannie, co planuję. Teraz, kiedy machina poszła w ruch, bałam się, że robię z siebie kolosalną idiotkę. Z drugiej strony, no cóż. Są na świecie gorsze rzeczy, a ja większość z nich mam na sumieniu.

Kiedy wróciłam, Billa Boyntona już nie było. Tannie na mnie czekała.

- Gdzie się podziewałaś? Myślałam, że zjemy lunch.

- Taaa, no wiesz, coś mi przyszło do głowy. Chciałabym ci coś pokazać.

- A nie możemy najpierw zjeść?

- To nie potrwa długo.

Poszła za mną na boczne podwórko, gdzie wskazałam jej nieregularny prostokąt, który wcześniej przykuł moją uwagę. Z tej perspektywy zagłębienie nie było takie wyraźne jak widziane z góry, szczególnie że po jednej stronie piętrzyły się na wpół zwiędłe hortensje. Z bliska wyglądało to tak, jakby w poprzek podwórka przekopał się kret. Grunt był nierówny, ale kiedy człowiek uważnie się przyjrzał, widać było, że część jest położona niżej niż reszta trawnika. To tak jakby wpatrując się w niebo i wyobrażając sobie linie pomiędzy gwiazdami, zobaczyć Byka. Ja osobiście nigdy nie zauważyłam niczego, co byłoby choćby odrobinę podobne do bydła - słabość, którą przypisuję swojej ubogiej wyobraźni. Jednak teraz wskazywałam na zagłębienie z miną Sherlocka Holmesa:

- Wiesz, co to jest?

- Ziemia?

- Mało powiedziane - ziemia. Myślę, że to grób Violet Sullivan.

Tannie wpatrzyła się w miejsce, na którym stała.

- Pieprzysz.

- Raczej nie, ale wkrótce się okaże.

Usiadłyśmy na schodach werandy i czekałyśmy na Tima Schaefera.

Tannie straciła apetyt, żadna z nas nie była też w nastroju do pogaduszek.

- Ale jak będziemy już jeść, to ja zaklepuję kanapkę z salcesonem brunszwickim - powiedziała Tannie.

O trzynastej dziesiąt zjawił się Schaefer z kolegą od wykrywania metali. Wjechali na podjazd toyotą (rocznik 1982) sierżanta, po czym wysiedli z auta, jednocześnie trzaskając drzwiami. Weszli na werandę. Schaefer taszczył łopatę i długi stalowy przedmiot, przypominający spiczasto zakończoną łaskę. Przedstawił nam swojego przyjaciela Kena Rice'a i dorzucił kilka słów o nim, żebyśmy wiedziały, z kim mamy do czynienia. Podobnie jak Schaefer, Rice był osiemdziesięciokilkuletnim mężczyzną, który przeszedł na emeryturę po trzydziestu ośmiu latach pracy w Departamencie Policji w Santa Maria. Najpierw pracował w patrolu motocyklowym, potem pieszym, następnie w narkotykach, aż

wreszcie został pierwszym w wydziale opiekunem psów policyjnych. Od dwudziestu lat jego pasją było lokalizowanie i odzyskiwanie zakopanych relikwów, ukrytych monet i innych skarbów.

Wszyscy wszystkim uścisnęli dłonie, a następnie Rice włączył wykrywacz metalu, który wyglądał jak dwie połówki skrzynki na narzędzia połączone metalowym prętem.

- Zobaczmy, co tutaj mamy.

Wszyscy czworo poszliśmy na boczne podwórko, ja dreptałam za Rice'em jak małe dziecko:

- Jak to działa?

- System jest wyposażony w kierunkowy przekaźnik i kierunkowy odbiornik, oba wbudowane w te połączone skrzynki. Podłączony do źródła energii wykrywacz emituje pole elektromagnetyczne, które przenika glebę. Takiego samego sprzętu używają ludzie z zakładu użyteczności publicznej, kiedy szukają podziemnych rur. Gdy fale natykają się na metal, sygnał zostaje przerwany i następuje automatyczna reakcja.

- Do jakiej głębokości to działa?

- Ten Fisher potrafi wykryć obiekt znajdujący się dwadzieścia stóp pod ziemią. W zależności od mineralizacji gleby i stanu powierzchni możliwe jest wykrycie przedmiotu leżącego nawet głębiej.

Kiedy doszliśmy na miejsce, Rice rozpoczął omiatanie terenu, a my w trójkę przyglądaliśmy się temu, co robi. Nałożył słuchawki.

Wywnioskowałam, że urządzenie wydaje jednostajny dźwięk, który staje się głośniejszy, kiedy fale natkną się na przeszkodę. Kiedy znalazł się nad zagłębieniem, zobaczyłam, że igła przyrządu przeskakuje gwałtownie na prawą stronę i zatrzymuje się tam, jakby przyklejona. Przycisnął rękę do ucha i zmarszczył brwi, ale dalej omiatał teren. Kiedy skończył, powiedział:

- Macie tutaj pod ziemią przedmiot wielkości wagonu kolejowego.

Zaśmiałam się:

- Naprawdę?

- Schaefer mi mówił, że szukacie samochodu, ale to może być coś innego.

- Na przykład co?

- Kontener na gruz, podziemny zbiornik, kawał metalowego dachu z blachy arkuszowej.

- W takim razie co teraz? - zapytałam.

- Właśnie się zastanawiam.

Rice i Schaefer szybko się naradzili. Schaefer poszedł do auta i otworzył bagażnik. Wrócił ze zwojem sznurka i plastikową reklamówką pełną tee do golfa, których używał, gdy naprawiał fotele. Rice się przechadzał ze swoją skrzynką, a Schaefer podążał za nim i wtykał tee w ziemię mniej więcej w miejscach, gdzie sygnał się zmieniał. Tannie i ja słuchałyśmy na zmianę, podając sobie słuchawki. Kiedy Rice przesunął urządzenie za bardzo na lewo albo na prawo, sygnał zanikał. Schaefer rozciągnął sznurek między tee. Kiedy skończył, zobaczyliśmy przed sobą prostokąt długi na osiemnaście, a szeroki na mniej więcej osiem stóp. Czułam, że skóra na karku cierpnie mi na myśl o ukrytym pod ziemią przedmiocie tej wielkości. Podobnie musi się czuć osoba, która żegluje po oceanie i nagle zdaje sobie sprawę, że pod jej łodzią czyha przygotowujący się do wynurzenia wieloryb. Sama jego bliskość wydaje się złowroga.

Niewidoczny i niezidentyfikowany przedmiot emanował niedobrą energią, miałam ochotę się od niego odsunąć.

Schaefer podniósł metalowy pręt, który miał pełnić funkcję sondy.

Wybrał miejsce i wbił go w ziemię, opierając się na nim całym ciężarem ciała. Z trudem wbił sondę na osiem cali. Gleba w tej części stanu zawiera sporo gliny, a na dodatek jest naszpikowana kamieniami i sporych rozmiarów głazami piaskowca. W efekcie kopanie staje się żmudnym zajęciem - potrać łopatą piaskowiec, a siła uderzenia sprawi, że drżenie dotrze aż do twoich ramion.

Również Rice oparł się o pręt. Sonda powędrowała kolejne półtora stopy w dół, zanim się zatrzymała.

- Co o tym sądzicie? - zapytał.

- Sprawdźmy, czy to kamień, czy coś innego.

Schaefer sięgnął po łopatę i zabrał się do roboty, zagłębiając szpadeł w ubitej ziemi.

Myślałam, że gleba łatwo ustąpi, tymczasem ona pilnie strzegła swoich tajemnic. Po dwudziestu minutach jednostajnego wysiłku mieliśmy dół szeroki na osiemnaście cali, a długi na trzy stopy. Odsłonięte delikatne korzenie roślin zwisały z pionowych ścian rowu jak żywe frędzle.

Sterta ziemi obok dziury rosła.

Na głębokości dwudziesta sześciu cali Schaefer natknął się na jakiś przedmiot albo może fragment przedmiotu. Wszyscy czworo staliśmy nieruchomo i gapiliśmy się na to coś.

- Mam rydel, jeśli boi się pan to uszkodzić - zaproponowała Tannie.

- Dobry pomysł - odpowiedział Rice. Tannie przyniosła narzędzie i zapytała:

- Mogę?

- Oczywiście. To pani posiadłość.

Na czworakach zaczęła odgarniać ziemię. Trudno było powiedzieć, czy przedmiot kiedyś pokrywał chrom, bo w tym momencie był całkowicie zardzewiały. Nachyliłam się i zapytałam:

- Co to jest?

Tannie pogłębiła dół o kolejne pięć cali i odsłoniła łagodną, szklaną wypukłość otoczoną metalową krawędzią. Spojrzała w górę:

- To reflektor, prawda?

Schaefer oparł dłonie na kolanach i pochylił się do przodu.

- Chyba ma pani rację.

Tannie odgarnęła kolejną cienką warstwę ziemi, tym razem odkrywając zardzewiałą metalową krzywiznę czegoś, co mogło być prawym przednim błotnikiem.

- Powinniśmy zadzwonić do biura szeryfa i poprosić o pomoc - powiedział Rice.

O piętnastej na miejscu było ośmiu funkcjonariuszy: komisarz z

wydziału dochodzeniowo-śledczego i młody policjant z Biura Szeryfa w Santa Maria oraz sierżant, dwóch detektywów z wydziału zabójstw i dwóch funkcjonariuszy cywilnych z Santa Teresa. Znajdujące się w Colgate, niedaleko lotniska w Santa Teresa, Stanowe Laboratorium Kryminalne przysłało oficera śledczego. Zorganizowano prowizoryczny parking dla pojazdów służbowych, włączając w to furgonetkę techników kryminalistyki.

Młody policjant z Santa Maria - pierwszy oficer, który przybył na miejsce - zabezpieczył teren i przesunął Schaefera, Kena Rice'a, Tannie i mnie o dwadzieścia pięć jardów. Trzymano nas w tej odległości, bo osoby znajdujące się na zabezpieczonym miejscu przestępstwa są traktowane jako naoczni świadkowie i mogą zostać wezwane do sądu. Ponadto jeżeli okazałoby się, że mamy do czynienia z zabójstwem, istniało ryzyko, że nieupoważniona osoba może zniszczyć dowody.

Oficer śledczy zajmujący się tą sprawą, detektyw Nichols, podszedł do nas, przedstawił się i poinformował, w jaki sposób będzie przebiegać praca. Ten przystojny mężczyzna po czterdziestce miał na sobie białą koszulę z krawatem, a zamiast sportowego płaszcza - wiatrówkę. Był szczupły, miał krótko przycięte jasnobrązowe włosy. Spojrzał na mnie:

- Panna Millhone?

- To ja.

- Możemy zamienić kilka słów?

- Oczywiście.

Oddaliliśmy się kawałek, żeby porozmawiać bez świadków.

- Jak rozumiem, Daisy Sullivan wynajęła panią, żeby odnalazła pani jej matkę. Mogę się dowiedzieć, jak odkryła pani to? - zapytał, wskazując dół.

Powtórzyłam mu rozmowę z Winstonem o tamtej nocy, kiedy widział samochód.

Powiedziałam, że nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób wóz mógł zniknąć bez śladu.

- Chodziłam dzisiaj po domu. Spojrzałam w dół z okna na pierwszym

piętrze i zauważyłam zagłębienie w ziemi. W pierwszej chwili pomyślałam, że to stara rabata, ale wtedy przyszedł mi do głowy bel air. Zadzwoiłam do sierżanta Schaefera, a on tu przyjechał z Kenem Rice'em.

- Wcześniej nic pani o tym nie wiedziała?

- Zupełnie nic. Mniej więcej kojarzyłam sprawę zaginięcia Violet Sullivan, bo od czasu do czasu coś się na ten temat pojawiało w gazetach. Jednak nie zwracałam na to większej uwagi, dopóki Daisy nie skontaktowała się ze mną w zeszły poniedziałek. Tannie nas ze sobą poznała, w ten sposób znalazłam się tutaj.

Spojrzenie, które we mnie utkwił, było przyjazne, ale dawało do zrozumienia, że nie ma zamiaru tracić czasu na bzdury:

- Jeżeli coś jeszcze pani odkryje, chcę się o tym dowiedzieć pierwszy.

- Oczywiście.

Wróciliśmy do reszty. W piątkę obserwowaliśmy, jak jeden z techników obfotografowuje teren, podczas gdy drugi dokonuje pomiarów i kreśli odręczny szkic, przedstawiający prawdopodobny stopień nachylenia i ułożenie samochodu. Na podstawie tego, co dotychczas zobaczyli, domyślali się, że ktokolwiek zorganizował ten „pogrzeb”, użył buldożera z ośmiostopową łyżką, którym prawdopodobnie wykopał rampę o nachyleniu dwudziestutrzydziestu stopni. Samochód został zepchnięty na dół i zasypany. Według wstępnych szacunków rampa liczyła około pięćdziesięciu stóp, a jej maksymalna głębokość wynosiła piętnaście stóp. Takie wymiary gwarantowały, że cały samochód znajdzie się pod ziemią, a jego przód będzie tak głęboko, że na zawsze tam zostanie. Teraz rozumiałam, dlaczego w szkołach uczono nas cholernej geometrii. Nie było sensu męczyć się z zakopywaniem samochodu, jeżeli wzorek namalowany na masce miał się pojawić na powierzchni podczas pierwszej większej ulewy. Jeżeli zadanie zostałoby kiepsko wykonane, samochód kawałek po kawałku wynurzałby się z ziemi, aż wreszcie stanąłby na środku trawnika jak wyspa. Zakładając, że pod ziemią znajdował się cały samochód. Mogliśmy mieć do czynienia z karoserią,

pod którą nie było nic. Detektyw Nichols przeprosił nas i wrócił do wykopu.

Jeżeli domysły na temat głębokości i kąta były trafne, samochód był przechylony pod ziemią jak zatopiona łódź podwodna zawieszona na rafie. W takim wypadku dach auta i górna krawędź przedniej szyby powinny być około sześciu stóp dalej, na głębokości mniej więcej dwu i pół stopy. Żeby sprawdzić tę teorię, Nichols przywołał gwizdkiem młodego funkcjonariusza, wręczył mu łopatę i kazał kopać. Młody oficer wziął się do roboty, starając się nie zagłębiać szpadla za bardzo w ziemię. Piętnaście minut później ostrze łopaty zeszkrobało o dach.

Potem nastąpiła długa dyskusja na temat ewentualnego użycia koparki. Pomysł szybko zaakceptowano, ręczne odkopywanie pojazdu nie wchodziło w grę. Komisarz z wydziału dochodzeniowo-śledczego użył radia i jakiś funkcjonariusz został wysłany do A-Okay Heavy Equipment, żeby zapytać Padgetta, czy dysponuje jakąś wolną koparką. Znowu musieliśmy czekać - zlokalizowanie koparki, załadowanie na niskopodwoziową naczepę i przywiezienie na miejsce trochę trwało. Tannie i ja poszliśmy do samochodu, który teraz stał zaparkowany sto jardów w dół szosy.

Usiadliśmy w środku, otwarliśmy okna i zjadliśmy późny lunch (była już czwarta po południu), czyli kanapki, które kupiłam. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób informacje wyciekły na zewnątrz, ale najpierw pojawiła się grupka ludzi, a wkrótce na szosie ustawił się sznur samochodów. Dwóch funkcjonariuszy kontrolowało dostęp osób postronnych w okolicy wykopu, wokół którego rozciągnięto taśmę. Przyjechał Steve Ottweiler, podszedł do nas i rozmawiał z siostrą przez otwarte okno.

- Tata wie? - zapytała.

- Dzwoniłem do niego, już tu jedzie. Przepraszam na chwilę, pójdę pogadać z Timem Schaeferem, on będzie wiedział więcej niż my.

Steve przeszedł na drugą stronę drogi, gdzie stało kilku mężczyzn, między innymi Schaefer. Kiedy rozmawiali, nadjechała ciężarówka z

niskopodwoziową naczepą. Za nią jechał swoim autem Tom Padgett, który następnie zajął się nadzorowaniem rozładunku niewielkiej koparki. Potem w magicznym kręgu został tylko operator sprzętu, a Padgetta odesłano na bok, tak jak wcześniej nas. Strasznie go to zirykowało. Przez następną godzinę - kompletnie oczarowani - obserwowaliśmy operatora koparki, który manewrował swoim sprzętem z delikatnością chirurga. Zgodnie z poleceniami przekazywanymi mu za pomocą gwizdka i sygnałów ręcznych, potrafił nabrać albo cał, albo stopę ziemi. Ken Rice pojechał do domu, ale Schaefer został. Stał i popijał dostarczoną przez kogoś kawę z jednorazowego kubka. Choć był już na emeryturze, nie mógł się oderwać od rozwijającego się na jego oczach dramatu. Przyjechał Jake Ottweiler, zaparkował koło drogi. Syn podszedł do niego i razem wrócili do Tima Schaefera, który - przepracowawszy trzydzieści kilka lat w biurze szeryfa - był teraz najlepiej zorientowanym cywilem. Zauważyłam, że w pewnym momencie zjawił się również B.W. McPhee. Mignął mi też Winston, ale nie miałam szansy złapać z nim kontaktu wzrokowego, bo wkrótce ponownie zniknął. Przyjechała ekipa z lokalnej telewizji i detektyw Nichols wygłosił krótkie, suche oświadczenie, zarazem odsyłając dziennikarzy po bliższe informacje do szeryfa.

O siedemnastej czterdzieści pięć przybyła Daisy. Tannie i ja wyskoczyłyśmy z auta i pomachałyśmy do niej. Dołączyła do nas, była blada i wyglądała na przygnębioną. Ciągle miała na sobie służbowe ciuchy - granatowe spodnie, bawełniany sweter i buty na rozsądnie niskim obcasie. Znowu gryzła kciuk, ale na mój widok z zawstydzoną miną wyjęła go z ust.

Schowała ręce za siebie i dreptała w miejscu, jakby chciała się ogrzać. Nie słyszała jeszcze o oponach, więc żeby ją oderwać od tego, co się rozgrywało przed naszymi oczami, opowiedziałyśmy jej o mojej przygodzie.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Brzmi melodramatycznie, ale myślę, że to dobry znak

-powiedziałam.

- A co z dzisiejszą nocą?

- Planowałam wrócić do domu, ale teraz myślę, że zostanę.

Przynajmniej dopóki się nie okaże, co tam jest.

- Nie możesz wrócić do Sun Bonnet.

- Nie, ale są inne motele.

- Przenocuj u mnie. Tannie wyjeżdża jutro z samego rana. Przeżyjesz jedną noc na kanapie, ja też tam czasem sypiałam. Zamkniemy twój samochód w garażu na wypadek, gdyby temu sukinsynowi jeszcze było mało.

- Jeśli mam zostać, będę musiała wyprać albo pożyczyć bieliznę.

- Zrobimy jedno i drugie.

- To takie męskie. Uwielbiam to - zauważyła Tannie, pozerając wzrokiem rozsiane po okolicy gromadki mężczyzn.

Detektyw Nichols dołączył do stojącego po drugiej stronie drogi Tima Schaefera i przedstawił się Jake'owi i Steve'owi Ottweilerom. Po kilku minutach rozmowy podszedł do nas. Już wiedział, że Ottweilerowie są właścicielami posesji, a Daisy jedynym dzieckiem zaginionej Violet Sullivan. Przedstawił się jej, a ona pozerła go wzrokiem.

Okulary, świeżo ogolony, miło uśmiechnięty. Daisy nieznacznie zmieniła ułożenie ciała.

Najwyraźniej jej się spodobał.

Detektyw Nichols spojrział na grupki gapiów przy drodze. Nie mogli oderwać wzroku od wykopu, choć niewiele widzieli.

- Zaraz wyślę funkcjonariuszy, żeby kazali tym ludziom się rozejść. To nie kino. Jeżeli będziemy musieli sprowadzić dodatkowy sprzęt albo ludzi, nie chcę się co krok potykać o ten tłum gapiów i ich samochody. Przyślę też funkcjonariusza, żeby spisał numery kontaktowe, na wypadek gdybym musiał z panią porozmawiać. Będę wdzięczny, jeżeli zachowacie dyskrecję na temat wszystkiego, co tutaj widziałyście albo słyszałyście. Nie chcemy, żeby szczegóły wyciekły na zewnątrz. Im mniej informacji w obiegu, tym lepiej.

- A my możemy zostać? - zapytała Daisy.
 - Pod warunkiem że będą panie słuchały poleceń i nie będą nam przeszkadzały.
 - Jak długo to potrwa? Wiem, że nie może pan określić dokładnie...
 - Przypuszczam, że dwa dni. Nie ma sensu się śpieszyć i zniszczyć samochodu. I tak natura zrobiła swoje.
 - Ale jeszcze niczego nie znaleźliście?
 - Na razie nie. Rozumiem, że się pani martwi o matkę. Będziemy panią informować na bieżąco. Kiedy tylko oswobodzimy samochód, bierzemy go na parking policyjny. Mamy tam stanowisko, na którym samochód może stać, podczas gdy my będziemy się nim zajmować. W tym momencie nie mamy pojęcia, jakie dowody znajdziemy - jeżeli w ogóle jakieś - po takim czasie. A co z pani ojcem, rozmawiała z nim pani?
- Daisy potrząsnęła głową:
- Przyjechałam tu prosto po pracy. Sądziłam, że ktoś już do niego zadzwonił, ale chyba jednak nie. Jestem pewna, że gdyby wiedział, już by tu był.
 - Muszę go zapytać o jedną rzecz... A może pani mi pomoże? Co matka miała na sobie w dniu, kiedy zniknęła?
 - Bawełnianą sukienkę na ramiączkach, lawendową w białe groszki. Skórzane sandały i sześć cienkich srebrnych bransoletek. Tak naprawdę to nic z tego nie pamiętam. Wiem to z raportu, który wtedy wypełnił ojciec.
 - Wydawała się taka spięta, że nie zdziwiłabym się, gdyby jej zęby zaczęły szczekać. - Powie mi pan, jeśli ona tam jest?
 - Tak, oczywiście. Ma pani prawo wiedzieć.
 - Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy. - Kiedy odchodził, odprowadziła go taksującym spojrzeniem. - Hmmm, przystojniak. Pewnie żonaty.
- Tannie się zaśmiała:
- Twój typ faceta. Szkoda, że ma pracę. Byłby ideałem.
- Nie minęło kilka minut, kiedy zobaczyłyśmy, jak dwóch funkcjonariuszy robi porządek z tłumem gapiów. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Trzaskały drzwi samochodów, silniki z kaszlem budziły się

do życia - tłum się rozpraszał. Szczerze mówiąc, z takiej odległości i tak niewiele widzieli. Wykop był traktowany jak wykopaliska archeologiczne - szkicowany, ujmowany w wykresy, mierzony, fotografowany, a także dokumentowany za pomocą kamery wideo. Stworzono dwuosobowe zespoły zajmujące się poszukiwaniem dowodów. Każda kupka ziemi wydobyta przez koparkę była starannie przesiewana w jednym z dwóch sit.

O zmierzchu ktoś przywiózł przenośne generatory. Rozbłyły jasne światła. Daisy drżała.

Wzięłam ją pod rękę:

- Jedźmy do domu. I tak dzisiaj w nocy niczego nie znajdą. Ty marzniesz, a ja umieram z głodu. A co gorsza, tak mi się chce siusiu, że chyba zaraz zmoczę majtki.

- Och, mnie też - dołączyła się Tannie.

ROZDZIAŁ 21

Jake Czwartek 2 lipca 1953

Jake Ottweiler, jak zawsze raz na dwa miesiące, przyjechał do Santa Maria na strzyżenie. Zatrzymał się przed zakładem fryzjerskim, żeby wrzucić pięciocentówkę do maszyny i w zamian dostać egzemplarz „Chronicie”. Przedtem na przednim siedzeniu swojej ciężarówki odkrył zwinięte w tobołek brudne koszule nocne Mary Hairl, o których zapomniał poprzedniego wieczoru. Kiedy tylko wróci do domu, zrobi pranie i następnego dnia zawiezie jej świeże ubrania. Zwykle odwiedzał ją codziennie, po południu albo wieczorem, ale tym razem namówiła go, żeby zrobił sobie dzień wolnego. Nie od razu na to przystał, bardziej żeby ukryć ulgę, niż żeby naprawdę postawić na swoim.

Jeśli chodzi o to pranie, Mary Hairl przekonywała, że szpitalne koszule nocne całkowicie jej wystarczają. Nie chciała dodawać mu pracy, skoro i tak miał mało czasu. Jednak on widział, o ile szczęśliwsza była, kiedy miała własne bawełnianą koszulkę i szlafrok. Od czasu do czasu udawało jej się nawet włożyć bambosze i zapuścić na dół, w odwiedziny do matki pastora, która leżała tu ze złamanym biodrem.

Jake wszedł do środka i przywitał się z Rudym. Fryzjer właśnie kończył golić jakiegoś faceta, więc Jake poczekał na swoją kolej. Wreszcie usiadł w fotelu. Rudy owinał mu wokół szyi papierowy kołnierz, a potem zawiązał wokół ramion pelerynkę. Obaj wymienili zaledwie kilka słów. Rudy strzygł Jake'a od dwudziestu siedmiu lat, więc nie potrzebował wskazówek.

Jake otworzył gazetę i poszukał wzrokiem informacji o nadchodzącym trzydniowym weekendzie. Nie był szczególnie zainteresowany cyrkiem związanym z Czwartym Lipca, ale Mary Hairl życzyła sobie, żeby dzieciaki trochę się rozerwały. Steve miał wystarczająco dużo lat, żeby sobie samemu zapewnić rozrywkę - szczerze mówiąc, nawet wolał sam się sobą zająć - ale z Tannie sprawa wyglądała całkiem inaczej. Jake pomyślał, że mógłby ją wziąć na doroczną Paradę Rodeo w Lompoc, gdzie będą występować członkowie Klubu Miłośników Rzutu Lassem i Jazdy Konnej z Santa Maria. Jeśli chodzi o fajerwerki, myślał o pokazie w Elks Field o ósmej trzydzieści w sobotni wieczór albo o małym parku w Silas, bliżej domu.

Planował również piknik. Nie umiał co prawda gotować, ale przecież zawsze można kupić podłużne bułki i parówki, a następnie na jednym z rozsianych po parku grillów opalanych węglem drzewnym przyrządzić hot dogi. Do tego można dokupić na placu sałatkę ziemniaczaną oraz fasolę w sosie pomidorowym, a na deser batoniki.

Kiedy przeglądał rubrykę towarzyską, jego wzrok przykuło nazwisko Livii Cramer. Pani Livia Cramer była gospodynią przyjęcia z niespodzianką, na którym nagrody przypadły: pannie Juanicie Chalmers, pannie Miriam Berkeley, pani R.H. Hudson oraz pani P.T. York.

Jako przekąski zaserwowano pizzę oraz ciasto. Nie bardzo rozumiał, dlaczego ktoś uznał, że warto o tym napisać w gazecie, jednak wiedział, że Livia będzie dumna jak paw, ponieważ poświęcono jej tyle uwagi. Jakby i bez tego nie była wystarczająco zarozumiała. Miał ochotę zanieść ten artykuł do szpitala i pokazać Mary Hairl, ale jeżeli spróbowalby wyśmiać tę kobietę, żona wzięłaby ją w obronę. Livia aż przebiegała

nogami na myśl o dniu, kiedy uda się jej wcisnąć swoją tłustą córkę jakiemuś Bogu ducha winnemu durniowi. Będzie wciąż paplała o przyjęciu zaręczynowym, wieczorze panieńskim, ślubie i weselu, usta jej się nie będą zamykać na temat sukni ślubnej, kwiatów i szczegółów miodowego miesiąca - jej nazwisko i fotografia nie zejda ze szpalt rubryki towarzyskiej przez półtora roku. Pod warunkiem że ktoś poślakami się na to dziewczynisko.

Przeczytał historyjki obrazkowe - Nancy, Freckles, Gordo i Alley Oop. Chociaż nie uważał ich za zabawne, nigdy nie mógł sobie odmówić ich przejrzenia. Potem sprawdził wyniki meczów bejsbolowych i wiadomości rolnicze, podczas gdy Rudy przejechał maszynką do strzyżenia jego kark. Pojechał do domu otoczony zapachem talku. Pomimo wysiłków Rudy'ego, plecy i szyja już go swędziały od świeżo przystrzyżonych włosów, które wpadły za kołnierzyk.

W domu zdjął buty, koszulę, nieprzemakalne spodnie i puścił wodę. Czekaając, aż popłynie gorąca woda, wrzucił ubrania do kosza na bieliznę, a kiedy przechodził koło lustra, zauważył, że ma na plecach ciemnoczerwone pręgi, pozostałość po spotkaniu z Violet Sullivan i jej paznokciami cztery dni temu. Przerażony i podniecony tym odkryciem, wszedł pod prysznic.

Jeśli ktoś jeszcze dostrzegł te rany, już po nim.

Za każdym razem zaskakiwał go rozmiar szkód poczynionych przez Violet. Była niewielkiego wzrostu, nie większa niż dziewczynka, pełna energii i pyskata. Gąszcz rudych włosów spływał do połowy pleców, falując i układając się w regularny wzór, kiedy podnosił je z jej karku. Lubił przeczesywać palcami te gęste włosy, chwytając je w garść i pociągać do tyłu tak mocno, że aż jej usta otwierały się w niemym zaskoczeniu. Potem swoją szorstką ręką przesuwiał po piersiach i w dół jej ciała, wzdłuż kręgosłupa, a ona drżała z pożądania. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety tak dzikiej i nienasyconej.

Violet używała perfum o delikatnym zapachu fiołków, który był, jak mawiała, jej znakiem firmowym. Nosila fiolety i odcienie lawendowe,

czasami również głęboką zielenią, która sprawiała, że jej oczy płonęły jak ogień. Materiały były miękkie, kleiły się do jej ud i szeleściły, kiedy zrywał z niej spódnice.

Jake nie lubił fiołków. Chwasty pniące się na trawniku, tak o nich myślał. Mary Hairl je kochała, szczególnie te białe, i gniewała się na Jake'a za każdym razem, kiedy straszył, że się z nimi rozprawi. Nie rozumiał, dlaczego miałyby pozwalać dzikiej i wymykającej się spod kontroli roślinie zarastać trawnik. Tej wiosny, która, co teraz wiedział, miała być ostatnia w życiu Mary Hairl, kładł się z twarzą na ziemi wśród fiołków i pozwalał, aby ich lekki, słodki zapach przenikał jego skórę. Przesuwał dłonią po ich ciemnozielonych listkach i chwycił kwiaty w garść, niemal tak samo, jak to robił z Violet, kiedy się ostatnio spotkali. Chodnik w motelu miał wtedy dziwny metaliczny zapach, który kojarzył mu się z ich seksem.

Poprzedniego wieczoru w szpitalu przyłapał się na wynajdywaniu różnic pomiędzy obiema kobietami. Oczy Mary Hairl ostatnio wyglądały inaczej - były zapadnięte, puste, otoczone ciemnymi cieniami. Jake czuł się winny, zupełnie jakby ją uderzył. Był cierpliwy i czuły, poświęcał jej wiele uwagi, ale myśli, wbrew jego woli, uparcie kierowały się ku Violet. Gdy przemywał twarz Mary Hairl wilgotną szmatką, myślał o Violet i ostatnim razie, kiedy byli w łóżku, o pasji, z jaką gryzła i ssała, o tym, że przylgnęła do niego jak kobieta tonąca w oceanie pościeli. Drażniła się z nim - odwlekała upragniony moment i pozwalała swoim rudym włosom ocierać się o jego uda, podczas gdy Jake usiłował nie tracić kontroli nad sytuacją i dobrać się do niej. Wtedy Violet, uśmiechnięta, z błyszczącymi oczami, wzięła się do dzieła. Lizała go całego, a Jake wiedział, że nigdy nie będzie w stanie wstrzymać jęku rozkoszy, kiedy Violet wreszcie weźmie co trzeba do ust.

Spojrzał w dół. Mary Hairl poprosiła o wodę z lodem, więc poszedł ponownie napełnić jej szklankę. Była spragniona i ufna jak dziecko, gdy tak sączyła wodę przez zgiętą słomkę, którą podawał jej do ust.

Wymamrotała „dziękuję” i opadła na poduszki. Wiedział, że nie może

spotykać się z Violet. Co drugi dzień podejmował decyzję o zerwaniu, ale za każdym razem, gdy pojawiała się okazja, mówił sobie: „Jeszcze raz... jeszcze tylko raz...”, i miał nadzieję, że kiedyś znajdzie siłę, by położyć kres temu związkowi. Przytłaczał go ciężar, który przypominał mu o wszystkim, co zdradził. Czasami niepokój rósł tak bardzo, że aż robiło mu się niedobrze. Był wdzięczny Violet. Zawsze będzie jej wdzięczny za wszystko, czego się od niej nauczył. Tchnęła w niego nowe życie po latach, które spędził na pielęgnowaniu cierpiącej Mary Hairl. Kiedy Mary Hairl odejdzie - kiedy wreszcie uda jej się odejść - razem z nią zniknie duszące go poczucie rozpacz. Jednocześnie - choć z trudem przyznawał się do tego sam przed sobą - fantazjował, że kiedy żony już nie będzie, Violet stanie się stałym elementem jego życia i wypełni pustkę, którą pozostawi po sobie Mary Hairl.

Zakręcił kurek, wyszedł spod prysznic i wytarł się. Włożył dżinsy, które przed kąpielą powiesił na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Podniósł zwinięte w kłębek ciuszki Mary Hairl i ruszył do pralni, gdzie włączył pralkę i suszarkę. Otworzył klapę pralki i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył ciasno zwiniętą kulkę mokrych ubrań, które najwidoczniej zapomniał wyjąć. Nie przypominał sobie, żeby robił pranie. Wyjął pierwszą z brzegu rzecz i przekonał się, że to ubrania Mary Hairl, które wziął ze szpitala tydzień temu. Ciągle były wilgotne i czuć je było stęchlizną, za długo tu leżały. Jak mógł o nich zapomnieć? Przynosił Mary Hairl świeżą bieliznę, żeby pokazać, jak troszczy się i dba o żonę. A ona ani słowem nie wspomniała, że nie dostała z powrotem swoich koszulek i reform. Co w takim razie miała na sobie przez cały tydzień? Z pałającą twarzą dorzucił do pralki bieliznę z tego tygodnia. Miał nadzieję, że dzięki hojnej dawce proszku do prania poradzi sobie ze smrodem spleśniałej bawełny. Poszedł do sypialni i otworzył szufladę w komodzie Mary Hairl. Odetchnął z ulgą - było w niej mnóstwo bielizny. Wszystko równiutko złożone i dziewiczo białe. Wybrał cztery koszule nocne i dorzucił sześć par reform. Zawahał się, po czym odłożył stosik na komodę.

Przekopał pozostałe szuflady, szperając wśród rzeczy należących do żony. Wcześniej nawet mu się nie śniło, że kiedyś zrobi coś takiego. Nie był pewien, dlaczego grzebie w jej rzeczach. Może to jakaś niezdrowa ciekawość, jak wyglądają jej rzeczy osobiste, które niedługo będzie pakował i oddawał biednym. Na co miał nadzieję się natknąć? Na sztucznego penisa, może na dowód jakiegoś ukrytego grzeszku - picia, kleptomanii, pornografii? Nie musiał nawet zaglądać do szafy, wiedział, że powieszzone w niej sukienki są sprane, wykrochmalone i starannie wyprasowane. Dlaczego wprawiało go to w taką wściekłość? Dlaczego jego życie było pełne upodlenia, podczas gdy jej - surowe i skromne? W drugiej szufladzie od dołu spod bawełnianych haleczek mignął mu róg jaskrawożółtego pudełka. Odsunął halki. Szuflada była wypełniona nieotwartymi zestawami upominkowymi zawierającymi mleczko do ciała i wodę kolońską Jean Nate. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz pomyślał, żeby podarować jej coś innego. Dlaczego miałyby to robić? Na urodziny zawsze prosiła o Jean Nate, więc myślał, że uwielbia te kosmetyki. Kiedy już otworzyła starannie zapakowany prezent (za każdym razem prosił o zapakowanie sprzedawcę), zawsze wyglądała na zadowoloną i zaskoczoną, a jej zachwyty brzmiały tak szczerze, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że są udawane. Gwiazdką się nie przejmował. Dawali prezenty dzieciom, ale kiedy wręczali podarki sobie nawzajem, czuli się niezręcznie. Wreszcie zrezygnowali z tego zwyczaju, co im obojgu było na rękę. Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Kiedy tak patrzył na kosmetyki Jean Nate, poczuł głęboki wstyd. Przez lata małżeństwa myślał, że wie o niej wszystko. A znał ją tak słabo, że nawet nie przyszło mu do głowy, żeby podarować jej coś bardziej osobistego, ekskluzywnego albo spontanicznie wybranego. Czuł się teraz zażenowany, że żona nie śmiała mu powiedzieć prawdy, że była zbyt skromna, by poprosić o coś, co naprawdę chciała dostać. Zresztą sama pewnie nie wiedziała, co by to miało być. Dwunastego września, w dzień jej urodzin, jej już nie będzie. Nagle zrozumiał, że jeżeli on zdradził ich małżeństwo, ona również je zdradziła. Różnica była taka, że ona teraz

spokojnie umierała otoczona famą świętości i dobra, podczas gdy on będzie musiał żyć dalej, dźwigając ciężar gniewu, zepsucia i winy. Może i jest mężczyzną bez charakteru - ale ona była kobietą pozbawioną odwagi. Co jest gorsze?

Skończył pranie, wyszedł z domu i pojechał do Serena Station. Była dopiero dziesiąta trzydzieści pięć rano, ale B.W. otwierał Blue Moon już o dziewiątej. Absurdalna godzina jak na otwarcie baru. Przez prawie cały dzień Blue Moon stał pusty, pograżony w półmroku, z drzwiami otwartymi na oścież - równie chłodny i zachęcający jak kościół. Jake zaparkował auto i wszedł do środka. Po jednej stronie przy stoliku tkwił samotnie Winston Smith. Siedział odwrócony tyłem do baru, na jego twarzy malowała się pustka. Przed nim stało piwo Miller, choć Jake był pewien, że młodzieniec nie jest jeszcze pełnoletni. Być może B.W. zlitował się nad pograżonym w czarnych myślach chłopcem, a poza tym liczył na to, że skoro kontrola była tu w zeszłym tygodniu, nie wpadnie szybko z ponowną wizytą.

Jake usiadł przy barze, a B.W. postawił przed nim blatza. Jake wiedział, że Violet wstępuje tu dwa albo trzy razy w tygodniu, kiedy Foley już wyjdzie do pracy. Nie widział jej od niedzieli, ale czuł, że potrzebuje z nią porozmawiać, zanim jego postanowienie osłabnie. Tak jak się spodziewał, dwadzieścia minut później pojawiła się Violet. Winston, który właśnie zamawiał kolejne piwo, obrócił się i zmierzył ją ponurym spojrzeniem:

- Musimy porozmawiać.

Violet zatrzymała się przy jego stoliku:

- A więc porozmawiajmy.

- Przysiądziesz się? - zaproponował. Starał się mówić wyraźnie, ale Jake słyszał, że trochę płacze mu się język. Violet usiadła. Cokolwiek Winston miał jej do powiedzenia, mówił cicho, a z twarzy Violet można było odczytać tylko niedowierzanie. Wreszcie pochyliła się w stronę chłopca. Również jej odpowiedź nie dotarła do Jake'a, lecz wyraźnie było widać, że Winston jest nią zaskoczony. Wstała i poszła na drugi koniec

baru.

- Dziwka - mruknął pod nosem Winston. Jake przeniósł wzrok z chłopca na B.W.

- A temu co się stało?

B.W. obrzucił Jake'a szybkim spojrzeniem:

- Chłopak stracił robotę.

B.W. podszedł do Violet, która złożyła zamówienie. Jake patrzył, jak B.W. nalewa jej kieliszek czerwonego wina. Wziął swoje piwo, przeszedł przez bar i usiadł na stołku obok Violet. Począł, aż B.W. postawi przed nią kieliszek.

- Na mój rachunek - powiedział. B.W. podszedł do kasy i wstukał sumę, dodając ją do rachunku, po czym zniknął na zapleczu, zostawiając Jake'a i Violet samych. Jake sądził, że będzie się bał tego, co musi zrobić, jednak teraz przyglądał się jej z czułością.

- Myślałem, że się spotkamy wczoraj wieczorem.

- Coś mi wypadło. Jakaś sprawa do załatwienia.

- Przecież nie narzekam.

- A właśnie tak to zabrzmiało. Jeżeli masz zamiar skamleć, daruj sobie. Właśnie zaliczyłam potężną porcję uzalania się nad sobą w wykonaniu Winstona.

- Czemu tak się wściekł?

- Bo ma tyle rozumu w głowie, co kot napłakał. Wiesz, czego chciał? Żebyś mu pożyczyła pieniądze na chesne do college'u. Wyobrażasz sobie? Co za tupet! Powiedziałam mu: „A niby dlaczego? Co to ja jestem, bank? Nie pożyczylabym ci ani centa, nawet jeżeli od tego zależałoby moje życie, ty mała pijawko”.

- Ciągle chwalisz się swoimi pieniędzmi. Może myślał, że będziesz chciała mu pomóc.

- Nieee, moje pieniądze należą tylko do mnie i nie mam zamiaru się nimi dzielić. A ty, co tu robisz?

- Musimy porozmawiać.

- On też tak zaczął. O czym chcesz rozmawiać?

Jake ściszył głos:

- Wiem, że oddalasz się ode mnie. Wiem, że trwa to od kilku tygodni, ale nic nie szkodzi. Nie chcę, żebyś się z mojego powodu zamartwiała. To wszystko, co mam do powiedzenia. Prawdopodobnie tak jest lepiej, niech więc tak będzie.

Głos Violet był beznamiętny:

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

- Wydaje mi się, że sobie kogoś znalazłaś.

- Nawet jeśli, to co? Przecież na ciebie, do cholery, nie mogę liczyć, to na pewno. Ty masz swoją Mary Hairl, a ja jestem na lodzie i próbuję jakoś o siebie zadbać. Muszę się pozbyć tego cholernego Dodge'a, a co ty mi masz do zaoferowania? Nic. Wielkie, tłuste zero.

- Nie mam ci tego za złe, naprawdę. Wiem, że nie mogę ci nic zaoferować, i przykro mi z tego powodu, bo chętnie bym ci pomógł.

Dobrze, że nigdy sobie niczego nie obiecywaliśmy.

Odwróciła się i spojrzała na niego zmrużonymi oczami:

- Zaraz, zaraz, co to ma być? Zrywasz ze mną?

Jake dał jej znać ruchem ręki, żeby mówiła ciszej.

- Po prostu chciałbym być teraz dobrym mężem dla Mary Hairl.

Zostało jej tak mało czasu. Myślisz, że łatwo mi to przychodzi? Przez całe miesiące myślałem tylko o tobie. W pewnym momencie w ogóle nie wyobrażałem sobie życia bez ciebie. Nawet teraz nie jestem pewien, jak sobie poradzę. Tyle dla mnie znaczysz...

- Tyle dla ciebie znaczę? Chyba nie aż tak dużo, skoro wyrzucasz mnie jak śmiecia. O co chodzi, nie byłam wystarczająco dobra? Kiedy ci to było na rękę, wykorzystywałeś mnie, a teraz, żaloszny skurwysynu, kiedy ci się znudziłam...

- Nie mów takich rzeczy. Wiesz, jak było. Oboje przeżywaliśmy ciężkie chwile, więc pomogliśmy sobie nawzajem. Jestem ci za to wdzięczny, ale teraz potrzebujesz czegoś lepszego i chyba to znalazłaś. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się z twojego szczęścia i życzę ci jak najlepiej.

- Jesteś cholernie wspaniałomyślny, nie ma co. Życzysz mi jak najlepiej. Ciekawe, czego będziesz życzył sobie, kiedy Foley dowie się o wszystkim.

Poczuł, że jego serce wykonuje salto, a wszystkie ciepłe uczucia odpływają w siną dal:

- Miejmy nadzieję, że - dla dobra nas obojga - nigdy się nie dowie.

- Och, owszem, dowie się. Domyślasz się, skąd to wiem? - zerknęła na zegarek. - Bo około szóstej wieczorem, kiedy tylko wróci do domu, ogarną mnie wyrzuty sumienia i wyśpięmu mu wszystko. Powiem mu, jak wstrząśnięta i przerażona byłam, jak stałam się bezwolną ofiarą twojej chuci. Powiem, że biedna Mary Hairl nie ma pojęcia, że paradujesz z gigantycznym kutasem i ocierasz się o każdą kobietę, która się nawinie.

- Och, nie rób tego - nawet Jake wiedział, że mówi to płaczącym tonem.

- A niby czemu nie? Muszę się chronić.

- Przecież ci nie uwierzy. Dlaczego miałby wierzyć ci na słowo? Bóg jeden wie, z iloma facetami się...

Violet podniosła kieliszek z winem, chlusnęła Jake'owi w twarz, a następnie odrzuciła kieliszek. Odbił się od podłogi, podskoczył, po czym roztrzaskał w drobny mak. Violet wzięła torebkę i wyszła, nie obdarzając Jake'a nawet jednym spojrzeniem. Winston odwrócił głowę i śledził wzrokiem Violet, a kiedy wyszła z baru, skierował go na Jake'a, który siedział nieruchomo, jak skamieniały, z sercem walącym, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Letnie wino spływało mu po twarzy i wsiąkało w koszulę. B.W. ponownie pojawił się za barem.

Spojrzał na Jake'a i sięgnął po ręcznik, który rzucił w jego stronę. Jake przycisnął ręcznik do twarzy. Miał ochotę zapaść się pod ziemię - dzięki Bogu, że tylko B.W. i Winston byli świadkami tej sceny.

Słyszał, jak Violet uruchamia silnik rozklekotanej ciężarówki Foleya. Odjechała z piskiem opon, spod których prysnął żwir, uderzając o podwozie z gwałtownym rata-ta-ta. Jake poczuł, że ogarnia go panika. Violet z pewnością nie zrobiłaby czegoś tak niebezpiecznego, nie

powiedziałyby o nim Foleyowi. Wiedział, że wpadła we wściekłość, ale źle to wszystko zrozumiała. Nie odrzucał jej, a dawał jej wolność.

Podniósł wzrok, w drzwiach pojawił się Tom Padgett. Tom gapił się przez ramię, w szklach jego okularów błyszczało światło. Rozejrzył się po barze, oto jaka scena malowała się przed jego oczami: Jake w przemokniętej koszuli, Winston zalany w trupa, B.W. stojący jak wryty za barem.

- Co tu, do diaska, się dzieje?

W czwartek po południu Jake dwa razy próbował się dodzwonić do Violet, ale telefon tylko dzwonił i dzwonił, najwyraźniej dom był pusty. Za trzecim razem odebrał Foley Sullivan, więc Jake bez słowa odłożył słuchawkę. Wieczór spędził w szpitalu z Mary Hairl. Nie planował tej wizyty, jednak Mary Hairl była tak szczęśliwa i wdzięczna, że prawie przekonał sam siebie, iż przyszedł tu dla niej. Prawda była taka, że za bardzo się bał siedzieć w domu.

Strach zagościł w nim na dobre. Violet była lekkomyślna i nie zawahałaby się zniszczyć swojego życia, jeżeli przy okazji mogłaby wyrównać rachunki. W towarzystwie Mary Hairl czuł się bezpiecznie, całkiem jakby doglądając jej, chronił również siebie. Albo raczej - miał nadzieję, że obecność Mary Hairl może ustrzec go przed nadciągającą katastrofą.

W piątek w porze lunchu zadzwonił ponownie, ale tym razem także nikt nie odbierał.

Przejechał przez Serena Station, wypatrując Violet. Załatwił coś w Silas i w drodze powrotnej znowu przemierzył miasteczko. Zaparkował naprzeciwko poczty, żeby odebrać korespondencję. Jak na zawołanie ulicą jechała Violet w nowiutkim chevrolecie, który widział wcześniej w salonie Cheta Cramera. Przechodził właśnie przez ulicę, Violet zwolniła i zatrzymała samochód. Wychyliła się przez otwarte okno i zaczęła, aż do niej podejdzie:

- I co ty na to?

Była w wyśmienitym humorze. Miejsce wściekłej i groźnej kobiety

zajęła Violet Sullivan tryskająca radością jak dziecko, które właśnie obdarowano lśniącym, nowym rowerem. Bezwiednie uśmiechnął się:

- Skąd go wytrzasnąłaś? Zgrabny wózek.

- Jest mój. Foley mi go kupił.

- Kupił? Myślałem, że jest splukany.

- Och, Foley ma swoje sposoby. Musiał nieźle nałgać Chetowi, skoro wyszedł przed dziewiątą rano, a już godzinę później zaparkował to cacuszko przed domem.

- Jaka to okazja?

- A kto tutaj potrzebuje okazji? Foley szaleje za mną. Oczywiście nie zaszkodziło, że wczoraj w nocy wpadł w szal i rozwalił cały dom. Moje nowiutkie koronkowe firanki wylądowały w koszu. A ty, co porabiasz? Może mała rundka po okolicy?

- Niiieee, mam coś do załatwienia. Może innym razem - odpowiedział. Zauważył, że na przednim siedzeniu leżą tekturowe okulary. - To twoje okulary przeciwsłoneczne?

Zerknęła na nie:

- Nie, dlaczego? - podniosła je i włożyła na nos. - Zabrałam dzisiaj Daisy i Lizę na ten trójwymiarowy film do kina, Bwana Devil. Daisy przez miesiąc będzie mieć koszmary.

- Tak to już jest z dziećmiakami - pouczył ją łagodnie.

- Tak czy siak, muszę już lecieć, więc nie zatrzymuję cię dłużej - powiedziała. Dodała gazu i odjechała.

Nigdy wcześniej nie widział jej tak radosnej i pełnej dobrej woli.

Wrócił do samochodu, rozkoszując się cudownym poczuciem ulgi. Może wszystko było w porządku i mógł spokojnie odetchnąć.

Później tego popołudnia poszedł do szpitala, pierwszy raz od miesiący czując się lekko. Jeszcze nie było piątej, ale wózki z kolacją już stały na korytarzu. Posiedzi z Mary Hairl w czasie kolacji, a potem spędzi z nią cały wieczór. Pójdzie sobie, kiedy żona położy się spać. Kupił jej roślinkę, którą będzie mogła trzymać przy łóżku. Dziewczyna w kwiaciarni zapakowała kwiatek w wysoką tubkę z zielonego papieru i

ozdobiła wielką jasnofioletową kokardą. Jake pomyślał, że Mary Hairl będzie zadowolona, iż może popatrzeć na coś kolorowego. Wsiadł do windy i wjechał na drugie piętro.

Gdy drzwi się otworzyły, zatrzymał się w pół kroku. Przed nim z kamienną twarzą stał ojciec Mary Hairl. Coś musiało jej się stać. Może jej się pogorszyło, może już nie żyła.

Poczuł lodowaty chłód pełznący od stóp i wypełniający całe jego ciało. Hairl w jednej ręce trzymał Biblię, a w drugiej kurczowo ścisnął kawałek różowego papieru pokrytego czarnymi, nieporządnymi, pochyłymi literami.

- Ty skurwysynu. Przysięgnij na tę Biblię, że nigdy w sercu nie miałeś pożądanego. Przysięgnij, że nigdy nie przespałeś się z Violet Sullivan, i nie próbuj kłamać. Moja biedna córeczka, moja mała dziewczynka umiera, kiedy my tu gadamy. Pewnie nie zostało jej więcej niż tydzień życia. Przysięgnij więc, że nie wpakowałeś swojego kutasa w plugawe usta tej kurwy! Przysięgnij na Biblię! To nie pierwszy raz, kiedy to robisz, synu. Myślisz, że tego nie wiem? Ludzie gadają i słyszałem o każdym twoim skoku w bok. Myślałeś, że jesteś chytry, ale mnie nie zdołałeś oszukać. Nie mogłem cię zdzierżyć, ale ze względu na Mary Hairl trzymałem język za zębami. Już dawno powinienem był coś powiedzieć, ale ona cię uwielbiała. Uwielbiała nawet ziemię, po której chodziłeś. Jesteś miernotą. Nie jesteś wart złamanego grosza. Nawet nie potrafisz porządnie zarobić. Gdyby nie ja, byłbyś na zasiłku. A ty co, idziesz do jakiegoś baru i robisz z siebie pośmiewisko. - Hairl przerwał przemowę. Głos mu się załamał i różowy paperek zadrgał w jego drżącej dłoni. Zaszlochał, ale zaraz się opanował. - Jeżeli byłbym wystarczająco silny, wydusiłbym z ciebie duszę. Moja piękna córka. Ona jest solą tej ziemi, a ty? Ty jesteś nikczemnym, śmierdzącym śmieciem. Przez ciebie litują się nad nią w tym mieście, przez ciebie nawet na jej własnym pogrzebie nazywać ją będą głupią. Ale ciebie spotka coś gorszego. Masz na to moje słowo. Jake miał w głowie pustkę. Oniemiał z przerażenia. Co ona zrobiła? Gdzie, na litość boską, poszła Violet Sullivan i co zrobiła?

ROZDZIAŁ 22

Wszystkie trzy wsiadłyśmy do swoich aut i - niczym krótką kawalkadą - ruszyłyśmy do Daisy.

Tak jak uprzedzałam, na Broadway oddzieliłam się od grupy i stanęłam przy JC Penney.

Kupiłam bawełnianą koszulę nocną, dwa T-shirty i tanią bieliznę.

Drugi raz zatrzymałam przy pobliskim sklepie, gdzie nabyłam trzy powieści, szampon, odżywkę do włosów i dezodorant - skoro już miałam tu przez jakiś czas zostać, równie dobrze mogłam ładnie pachnieć. Nawet jeżeli bel air zostałby magicznie wydobyty z ziemi i jutro mogłabym wrócić do domu, to przecież te zakupy się nie zmarnują. W końcu majtki nie są ostemplowane datą ważności.

Podjechałam pod dom Daisy o dwudziestej. Jesienny wieczór zapadł już na dobre, ciemność rozpraszały jedynie lampy uliczne. Garaż czekał na mnie otwarty. Wjechałam do środka, zamknęłam starannie auto, a wychodząc, zatrzasnęłam drzwi z automatycznym zamkiem. W domu na podłodze salonu leżała Tannie. W ten sposób radziła sobie z kręgosłupem, który jej dokuczał po poranku spędzonym na karczowaniu krzaków i popołudniu - na przyglądaniu się, jak gliniarze wykopują samochód z jej trawnika. Daisy była w kuchni zajęta parzeniem świeżej herbaty. Już zdążyła się przebrać, zamiast ciuchów z pracy miała na sobie dres, jednak wyglądała na równie spiętą jak przedtem. Twierdziła, że czuje się dobrze, ale jej twarz była ściągnięta, jakby właśnie dopadła ją migrena. Odkrycie samochodu było stresujące dla nas wszystkich, lecz każda radziła sobie z tym inaczej. Daisy marzyła o kąpieli, Tannie miała ochotę na drinka. Jeśli o mnie chodzi, oddałabym wszystko, żeby pobyć chwilę w samotności, jednak jak na razie było to niemożliwe. Nie mogłam się nawet położyć do łóżka, bo Daisy przyszła z filiżanką herbaty do salonu i rozsiadła się na kanapie, na której miałam spać.

Tannie odezwała się z podłogi:

- Hej, dziewczyny. Jeśli czegoś nie przegapiłam, to chyba nie jadłyśmy kolacji. Nie jesteście głodne? Bo ja zaraz pożrę własną rękę.

Po krótkich negocjacjach Daisy podniosła słuchawkę i zamówiła dużą pizzę, którą dostarczono pół godziny później. Rzuciłyśmy się na nią z entuzjazmem, chociaż Tannie nie tknęła kawałków, które graniczyły z częścią zawierającą ulubiony dodatek mój i Daisy - anchois. Właśnie kiedy pomyślałam, że dzień dobiegł końca i będę teraz mogła spokojnie poczytać albo bezmyślnie pogapić się w telewizor, zadzwonił telefon.

Odebrała Daisy:

- Och, witaj, B.W. O co chodzi?

Patrzyłam, jak wyraz jej twarzy zmienia się w trakcie słuchania. Jej policzki były coraz ciemniejsze, jakby miały wmontowany regulator oświetlenia.

- Jak to się stało? - B.W. odpowiedział, a ona zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - Rozumiem. Nie, nie. To nie twoja wina. Jasne. Zaraz tam będę.

Odłożyła słuchawkę.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Ojciec jest w Blue Moon, pijany jak bela. B.W. chce, żebym go stamtąd zabrała, zanim zacznie się awanturować.

- Foley się upił?

- Tak powiedział B.W. Zajmę się tym, wy zostańcie w domu.

- Nie wygłupiaj się. Jadę z tobą. Jeśli jest aż tak pijany, nie poradzisz sobie sama.

- Daisy zwróciła się do Tannie:

- A ty? Jeśli nie chcesz, nie musisz jechać.

- Zostanę w domu. To znaczy pojadę, jeśli mnie potrzebujecie, ale jestem wykończona. Jutro muszę wstać o świcie i ruszać w drogę. Jeśli pojadę do Moonu, skuszę się na drinka i już będzie po mnie. Mam ochotę, ale próbuję trzymać fason.

- Nic się nie martw. Załatwimy to i zaraz wracamy.

Daisy znalazła torebkę i kluczyki do samochodu. Powiedziała, że będzie jej ciepło w dresie, a mnie pożyczyła kurtkę. Wieczór był już chłodny, a przecież żadna z nas nie wiedziała, ile czasu nas nie będzie.

Serena Station znajdowało się piętnaście mil od Santa Maria. W

trakcie jazdy Daisy kręciła głową:

- Nie wierzę. Trzydzieści cztery lata był trzeźwy, a teraz wszystko zaczyna się od nowa.

- Pewnie usłyszał o samochodzie.

- Tak mówi B.W.

- Dlaczego tak zareagował?

- Diabli wiedzą. Nawet nie chcę zgadywać.

Blue Moon w piątkowy wieczór był pełen ludzi. Co prawda happy hours skończyły się o siódmej, ale alkohol nadal lał się strumieniami.

Ludzi rozpierała szaleńcza energia, w końcu zaczynał się weekend. Tym razem pachniało tu piwem i papierosami. Hałas był ogłuszający - głośnie rozmowy, szafa grająca, pijackie śmiechy.

Foley Sullivan siedział przy barze, obojętny na wszystko, jakby zawieszony w próżni. On i jego whisky spędzili osobno ponad trzy dekady. Teraz, jak, starzy kochankowie, znowu byli razem i Foleya tak zaabsorbowało to spotkanie po latach, że nie zwracał uwagi na nic ani na nikogo innego. Siedział wyprostowany jak struna. Jego twarz nadal była wychudzona, ale w głęboko osadzonych oczach błyszczała ulga. Był typem pijaka, którego tylko dwa łyki dzieliły od wpadnięcia w ślepą, niepoahamowaną furję.

Daisy podeszła do ojca. Zanim mu położyła rękę na plecach, upewniła się, że ją rozpoznał.

Pochyliła się, aby przekrzyczeć hałas:

- Hej, tatku. Jak się masz? Doszły mnie słuchy, że tu jesteś.

Nie obdarzył jej spojrzeniem, ale podniósł głos:

- Widzę, że rzuciłaś mi się na ratunek. Cóż, ze mną wszystko w porządku. Nie musiałaś przyjeżdżać. Poradzę sobie. Doceniam twoją troskę, ale ulokuj ją gdzie indziej.

- Dlaczego to robisz?

- Podejrzewam, że od urodzenia ciągnie mnie do siarki. Ciebie też powinno. Whisky wypali cały smutek z twojej duszy.

Mężczyzna na stołku obok usłyszał tę wymianę zdań. Nie byłam pewna, czy znał Daisy i jej ojca, czy też po prostu zrozumiał, że to nie jest rozmowa, której chciałby być świadkiem.

Zwolnił stołek i Daisy wślizgnęła się na jego miejsce.

Foley ponownie zatonął w swoich myślach wpatrzony w szklanke, jakby to było mroczne serce ludzkości. Kiedy Daisy dotknęła jego ramienia, wydawał się zaskoczony, że córka ciągle tu jest. Uśmiechnął się do niej czule:

- Dobry wieczór, groszku.

- Dobry wieczór, tato. Może wyjdziemy na zewnątrz i porozmawiamy?

Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Co ty na to?

- Nie mamy o czym rozmawiać. Ten samochód był ostatnim ogniwem

- wykonał ręką ruch, jakby coś przecinał. - Koniec. Tak po prostu.

Wiedziała, że mnie to zrani do głębi, jeżeli wyjdzie na jaw.

- Jeżeli co wyjdzie na jaw?

- Samochód. Zakopała go, zanim odeszła. Płaciłem i płaciłem, ponieważ ją kochałem i myślałem, że wróci. Dobry Boże, chciałem, żeby wiedziała, że nic mi nie jest winna.

- O czym ty mówisz?

Spojrzał na nią uważnie:

- Znaleźli bel aira. Myślałem, że wiesz.

- Oczywiście, że wiem. Dzwonili do mnie po południu z biura szeryfa.

- Cóż, jest jak jest. Musimy to zaakceptować. Twoja matka go zakopała, a następnie odeszła. Musimy się z tym pogodzić - opuściła nas.

- Nie zakopała auta. Przecież sam w to nie wierzysz. Jak by sobie dała radę?

- Musiała mieć pomocnika. Facet, z którym uciekła, pomógł jej wykopać dół.

- Przecież to bez sensu. Skoro planowała ucieczkę, czemu nie zabrała ze sobą auta? Jeżeli nie zamierzała nim jeździć, mogła je przecież sprzedać.

- W ten sposób zakpiła ze mnie. Ten samochód był moim ostatnim

prezenterem, a ona go odrzuciła.

- Tato, proszę, przestań. Przecież rozumiesz sytuację. Możliwe, że ona też tam jest. Dlatego idzie im tak wolno, nie chcą zniszczyć dowodów. Potrząsnął głową, kąciki ust opadły w dół. Jakby żałował, że to on musi przekazać złe wieści. Jeszcze nie bełkotał, ale jego mózg działał o połowę wolniej niż zwykle. Zabrało mu dobrą chwilę, zanim ułożył sobie w głowie, co chce powiedzieć. Uderzył się w pierś:

- Ona żyje. Gdyby było inaczej, czułbym to tutaj.

- Nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Możemy po prostu wyjść?

- Groszku, to nie twoja wina, że jestem w takim stanie. Robię to z szacunku dla twojej matki, z którą piliśmy razem przez lata. To moje pożegnanie. Rezygnuję ze swoich praw. Violet Sullivan jest wolna. Podniósł kieliszek w geście toastu za swoją żonę, a następnie wypił do dna.

Nie byłem pewna, po co te teatralne gesty. Nie potrafiłam ocenić, w jakim jest nastroju.

Wydawał się niebezpieczny - zachowywał się oficjalnie, ale był rozdrażniony i nieprzewidywalny. Daisy rzuciła mi wymowne spojrzenie. Rozumiałyśmy się bez słów. Naszym celem było namówić go do wyjścia, zanim wybuchnie. Położyłam mu rękę na ramieniu i pochyliłam się w jego stronę.

Dotarło do niego, kim jestem, i odchylił się lekko do tyłu:

- Ciebie też tu ściągnęła?

- Obie się o pana martwimy. Jest już późno i pomyślałyśmy, że może chciałby pan dokończyć picie w domu.

Patrzył w przestrzeń tęnym wzrokiem, przez co wyglądał tak, jakby miał zeza:

- W domu nie mam whisky. Pastorowi by się to nie spodobało.

Mieszkam w kościelnej celi, jak mnich.

- To może pojedziemy do Daisy? Zabierzemy pana na śniadanie, a potem zatrzymamy się u niej albo podwieziemy pana do domu.

- Nigdy nie byłeś na spotkaniu AA, prawda?

- Ma pan rację, nie byłam.

- To nie wchodzi w zakres twoich obowiązków. Nie masz z tym nic wspólnego. Nie chcę być ratowany. Nie chcę być zbawiany. Chcę tu siedzieć i dobrze się bawić, więc zostawcie mnie w spokoju. Udzielam ci rozgrzeszenia.

Nieuważnie machnął ręką, udzielając mi rozgrzeszenia.

Kątem oka dostrzegłam zbliżającego się B.W. Pamiętam, że pomyślałam: „dzięki Bogu”.

B.W. całe lata miał do czynienia z pijanym Foleyem. Co prawda nadchodził z gołymi rękami, ale najwyraźniej miał zamiar spełnić obowiązek wykidajły. Dwa kroki za nim szedł Jake Ottweiler.

- Foley, chcę, żebyś się stąd natychmiast wyniósł - powiedział B.W.

Spojrzenie Foleya przesunęło się z B.W. na Jake'a i to wystarczyło.

Demony Foleya nagle wyrwały się na wolność, a on uśmiechnął się i bluzgnął:

- Oto i człowiek, który pieprzył moją żonę.

- Tato. Mów ciszej, proszę.

Jake stanął jak wryty. Foley zsunął się ze stołka i chwilę walczył, żeby złapać równowagę.

B.W. nagłym ruchem zacisnął ramiona wokół jego klatki piersiowej, unieruchamiając go w ten sposób. Foley podniósł głos, aż stał się piskliwy:

- Ty skurwysynu! Powiedz prawdę! Wykorzystałeś moją żonę, a potem rzuciłeś ją jak śmiecia! Nigdy nie miałeś nawet na tyle przyzwoitości, żeby się do tego przyznać.

- I to wszystko - B.W. podniósł Foleya i siłą poprowadził przez bar. -

Jeszcze raz się tutaj przywleczesz, a będzie to ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobisz. Ostrzegam cię.

Stopy zakleszczonego w uścisku B.W. Foleya prawie nie dotykały podłogi. Wyglądał jak poruszająca się z niezwykłą szybkością i wdziękiem balerina, która stawia leciutkie i delikatne kroczyki.

- Mnie ostrzegasz? Dlaczego nie ostrzeżesz jego? Czemu nie

ostrzeżesz każdego mężczyzny w mieście, który ma taką piękną żonę jak ja? Mówię prawdę, a on cholernie dobrze o tym wie...

Daisy złapała B.W. za ramię, prawie biegła, żeby dotrzymać mu kroku:

- Przestań! Puść go. On nie odpowiada za siebie.

- Może ja mu odpowiem. Na przykład tak - B.W. otworzył kopniakiem drzwi i popchnął Foleya. Foley upadł na biodro, a następnie przeturlał się na kolana. Zanim ktokolwiek z nas mógł zainterweniować, B.W.

zamachnął się swoim ciężkim bucioem i wymierzył Foleyowi szybkiego kopniaka prosto w twarz. Chrzątka w nosie zaatakowanego pękła z odgłosem, jaki wydaje arbuź spadający na beton. Z nosa trysnęła krew, a usta wypełniły się czerwienią. Rządki nietkniętych białych zębów - sztucznych - wyskoczyły z ust, inne zostały zmiażdżone, a przygryziony język zapuchł. Gałki oczne uciekły do tyłu, widać było jedynie dwie białe szpary. Wtedy znieruchomiał. Daisy krzyknęła.

Serce mi waliło jak młot. Myślałam, że następnego dnia znajdę na klatce piersiowej siniaki.

Daisy osunęła się na kolana obok ojca, który jęknął i przewrócił się na plecy. Uniosła przerażone oczy na B.W., obie sądziłyśmy, że Foley dostanie jeszcze jednego kopniaka. Ale B.W. się odwrócił. Chwycił za klamkę i powiedział z obrzydzeniem:

- Kurwa. Zadzwońię po karetkę i przyślę kogoś z lodem.

ROZDZIAŁ 23

Przyjechała karetka i wyskoczyli z niej trzej ratownicy, pędząc jak strażacy do pożaru.

Tymczasem Foley zdołał chwiejnie wstać na nogi i był już gotowy przylać temu sukinsynowi, który tak go załatwił. Ogarnął go waleczny nastrój, atakował i odpierał ataki ratowników, którzy oferowali mu pierwszą pomoc. Z krwią ciekącą z nosa i zbierającą się nad górną wargą wyglądał jak wampir, któremu przerwano krwawą ucztę. Kelnerka przyniosła plastikowy woreczek z lodem owinięty w papierowy ręcznik. Podała mu go z grymasem na twarzy i czym prędzej wróciła do restauracji. Górna proteza Foleya poszybowała wcześniej w powietrze,

natomiast dolna utorowała sobie drogę przez jego wargę. Foley przycisnął woreczek z lodem do ust, papierowy ręcznik szybko pokrył się wilgotną czerwienią. Odmówił przyjęcia pomocy medycznej, więc ratownikom nie pozostało nic innego, jak z powrotem wskoczyć do swojej karetki i odjechać.

Foley osunął się na drewniane stopnie i oparł głowę o barierkę. Coś do siebie mruczał. Daisy pochyliła się nad nim:

- Tato, posłuchaj mnie. Słuchasz? Musisz iść do lekarza.

- Nie potrzebuję lekarza. Daj mi spokój - rozejrzał się wokoło tępym wzrokiem. - Gdzie się podziała moja proteza? Bez zębów trudno mi mówić.

- Nic się nie martw, mam go. Potrzebne mi twoje kluczyki.

Z trudem utrzymał równowagę, kiedy przechylił się na bok, żeby zanurzyć rękę w kieszeni spodni w poszukiwaniu kluczyków.

Daisy wyrwała mu kluczyki i podała mu. Potem ponownie się do niego zwróciła:

- Chcę, żebyś wsiadł do samochodu. Zabieram cię na izbę przyjęć.

Kinsey pojedzie za nami twoją furgonetką. I bez dyskusji.

- Nie mam zamiaru dyskutować - odpowiedział rozdrażnionym, kłótliwym tonem, sugerującym coś wręcz przeciwnego.

Pomogliśmy mu wstać. Od whisky i ciosu w twarz miał zawroty głowy. Uginając się po jego ciężarem, zaprowadziłyśmy go do samochodu Daisy, który na szczęście był zaparkowany blisko, na tej samej ulicy. Otworzyła drzwi od strony pasażera. Foley odrzucił naszą pomoc, stwierdził, że sam sobie poradzi. Przytrzymał się dachu, ostrożnie opuścił do połowy, a potem ciężko opadł, wydając głośny jęk, gdy pośladki zetknęły się z siedzeniem.

- Sam jesteś sobie winny - warknęła Daisy. - Bierz tę rękę.

Udało mu się usunąć rękę z dachu, zanim Daisy zatrzasnęła drzwi.

Otworzyła bagażnik i energicznym ruchem wyjęła z torby z ciuchami na gimnastykę ręcznik frotte. Z obrzydzeniem na twarzy ponownie otworzyła drzwi i rzuciła mu ręcznik.

- Nie poplam krwią tapicerki.

Pokazała mi, która ciężarówka na parkingu należy do Foleya, a kiedy wracała do auta, zatrzasnęła klapę bagażnika. Podeszłam do samochodu i wdrapałam się do środka, podczas gdy Daisy zapalała silnik. Czekala na mnie - wrzuciła bieg i wyjechała na ulicę, dopiero kiedy z hałasem wyjeżdżałam ciężarówką Foleya z parkingu.

Zawiozła go na izbę przyjęć do szpitala, w którym pracowała. Zdążył się już uspokoić - być może dotarło do niego, jak straszne grzechy dziś popełnił. Zdaniem Daisy, nawet złamany nos nie wystarczał, żeby odkupić jego winy. Zarejestrowała ojca, a kiedy poproszono go do gabinetu, weszła razem z nim. Ja zostałam w poczekalni i kartkowałam jakieś czasopismo, podczas gdy Foley był opatrywany. Daisy wyszła po czterdziestu minutach i opadła na fotel obok mnie.

- I co? - zapytałam.

- Będzie dobrze. Wezwali laryngologa, żeby nastawił mu nos. Lekarz zlecił również tomografię komputerową, ponieważ na chwilę stracił przytomność. Powiedzieli, że wezwą mnie z powrotem, kiedy wróci z radiologii.

- Zatrzymają go na noc?

- Nie wygląda na to - powiedziała, wstając. - Idę poszukać telefonu, muszę zadzwonić do pastora. Nie ma mowy, żebym wzięła ojca do domu. Zabrała torebkę i ruszyła korytarzem. Nie minęło pięć minut, kiedy była z powrotem:

- Niech go Bóg błogosławi. Zadał kilka pytań, a potem powiedział, że będzie czekał na tatę, obojętnie o której go wypuszczą. Plebania jest zaraz koło kościoła. Pastor mówi, że dopóki tata potrzebuje pomocy, może tam mieszkać. Gdyby nie on, sama nie wiem, jak by się potoczyło życie taty. W piątkową noc w izbie przyjęć nie można się było nudzić - wypadki, nieszczęśliwe zdarzenia, ból, cierpienie, zagładanie śmierci w oczy.

Przywieziono dzieciaka z fasolą w nosie.

Zanoszącą się kaszlem kobietę z wysoką gorączką - atak grypy.

Mężczyznę ze zwichniętą kostką, spuchniętą do astronomicznych

rozmiarów. Nastolatka z kciukiem przytrzaśniętym drzwiami samochodu

- na widok miazgi, która została z palca, omal nie zemdlałam.

Daisy, niewzruszona, odpięła klamrę, zebrała włosy w schludnego kucyka i spięła z powrotem. Obie myślałyśmy o oskarżeniu, które Foley rzucił na Jake'a i Violet.

- Wiem tylko jedno. Bogu dziękować, że Tannie z nami nie było.

- Na pewno i tak się dowie.

- Na sto procent. Gdyby ktoś wiedział, że jest u mnie, mój telefon dzwoniłby bez przerwy.

Odłożyłam czasopismo.

- Pewnie się zastanawiasz, jak to było. Mieli romans na prawdę czy tylko w wyobraźni twojego taty?

- Bujna wyobraźnia nie jest najmocniejszą stroną taty. Choroba matki Tannie trwała dobre dwa lata. Miała także „problemy kobiece”, więc można przypuszczać, że ich życie seksualne było do kitu - potrząsnęła głową i głośno westchnęła. Wyciągnęła przed siebie nogi i usadowiła się tak, że jej głowa spoczywała teraz na oparciu fotela. - Czy był choć jeden facet, którego nie przeleciała? Matka musiała mieć niezłego bzika.

- Cóż, nie ja pierwsza ci to mówię - nie jesteś odpowiedzialna za czyny swojej matki.

- Ale jestem odpowiedzialna za wtykanie kija w mrowisko. Powinna być to zostawić w spokoju.

Na wielkim ściennym zegarze cyfrowym była dwudziesta druga szesnaście. Poczulałam, że nie wytrzymam już ani minuty dłużej pośrodku tego całego medycznego chaosu. Wstałam:

- Idę się rozejrzeć za kawą. Przynieść ci?

- Nie, dzięki. I tak już jestem dostatecznie pobudzona.

Kafelki odbijały jaskrawe światło jarzeniówek oświetlających szpitalne korytarze. Na większości oddziałów, które mijałam, światła były zgaszone: administracja, kardiologia, pracownie EKG i EEG. Skręciłam za róg i szłam prosto korytarzem, aż dotarłam do głównego holu. Wisiała tam tabliczka z informacją, że bufet znajduje się piętro niżej. Jednak

kiedy wysiadłam z windy na poziomie -1, powitała mnie ciemność i drzwi zamknięte na klucz. Na kolejnej tabliczce wyczytałam, że kafeteria jest czynna od siódmej do dziewiętnastej piętnaście. Spóźniłam się o kilka godzin. Kiedy czekałam na windę, dołączył do mnie sprzątający z mopem i dużym wiadrem. Winda zatrzymała się nad nami, na pierwszym piętrze.

- Czy jest gdzieś tutaj automat z kawą?

Potrząsnął głową.

- Chciałbym. Chętnie zjadłbym batonika.

Drzwi windy się otworzyły, weszliśmy do środka. Kiedy wysiedliśmy na pierwszym piętrze, spojrzałam w lewo i zauważyłam, że w holu siedzi Liza Clements. Była blada, miała na sobie zmięte dżinsy i podkoszulek.

Zawołałam ją po imieniu i podeszłam bliżej:

- Co tu robisz? - zapytałam.

- Kilka minut temu urodziła mi się wnuczka. Nie chcę im wchodzić w paradę, dopóki jej nie umyją. Kevin jest na górze z Marcy, jej rodzice też tutaj są. Sześć funtów, cztery uncje. Jest prześliczna.

- To wspaniale. Gratuluję.- Dzięki. To był wieczór pełen wrażeń. A ty? Nie sądziłam, że spotkam tutaj kogoś znajomego.

Streściłam jej historię rozwalonego nosa Foleya, zgrabnie omijając uwagi, przez które został wyrzucony z Moonu.

- Czy o tej godzinie można tu dostać kawę? - zapytałam.

- Nie. Też próbowałam. Podejrzewam, że gdzieś tu można napić się wody, ale to wszystko.

Z braku lepszego miejsca zostałyśmy w głównym holu -małym ponurym pomieszczeniu, najwyraźniej nieprzeznaczonym na poczekalnię.

Na izbie przyjęć przynajmniej był telewizor i kilka zielonych roślin.

- Słyszałaś o samochodzie? - zapytałam.

- Wszyscy mówią tylko o tym. Wydaje mi się, że to musi być bel air.

- Mnie też. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w miejscu, gdzie był ostatni raz widziany, ktoś zakopał inne auto?

Poruszyła się lekko:

- Chciałabym ci się z czegoś zwierzyć. Tylko nie padnij trupem,

obiecujesz?

- Słowo skauta.

- Tak się złożyło, że w tamtą piątkową noc widziałam Foleya koło domu Tannerów.

- Co robił?

- Majstrował przy buldożerze zaparkowanym koło drogi. Słyszałam, jak go odpala.

- Jesteś pewna, że to był Foley?

- Nie przysięgłabym, ale kto inny mógł to być?

- Prawie każdy - odpowiedziałam. - Jeśli już rozmawiamy o różnych tak-się-złożyło, to co ty tam robiłaś?

- Ty i ja pojechaliśmy do domu Tannerów. Nie wolno się nam było spotykać, a tylko tam nikt nas nie mógł zobaczyć. Byliśmy w sypialni od frontu na pierwszym piętrze, kiedy przyjechał.

- Co tam robiliście? Paliliście trawkę? Całowaliście się?

Wzniosła oczy ku niebu, zakładając kosmyk włosów za ucho:

- Och, daj spokój. W tamtych czasach nie paliło się trawki. Mówimy o latach pięćdziesiątych. Żyło się wtedy po bożemu.

- No to co tam robiliście?

- Och, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to się trochę migdaliliśmy.

Kiedy ten samochód nadjechał, byliśmy pewni, że to ochroniarz, który zaraz sprawdzi dom, więc zaszyliśmy się gdzieś i czekaliśmy. Potem facet odpalił buldożera i Ty powiedział, że ten hałas powinien zagłuszyć naszą furgonetkę.

- Tak naprawdę więc nie widziałaś twarzy Foleya?

- Przecież już ci mówiłam. Rzecz w tym, że to był Foley i miał mnóstwo czasu, żeby wykopać dziurę.

- Jakim samochodem przyjechał? Rozumiem, że rozpoznałabyś bel aira?

- Oczywiście. Zwykle nie odróżniam samochodów, ale wiem, że to nie było auto Violet.

Bel air był jasny i jedyny w swoim rodzaju. Tej nocy świecił księżyc,

poznałabym go na pierwszy rzut oka.

- Pamiętasz, jakie to było auto? Dwudrzwiowe? Czterodrzwiowe?

Jasnego koloru? Ciemnego?

Zrobiła minę i potrząsnęła głową:

- Widziałam to auto, ale tak naprawdę nie patrzyłam. Bałam się, że nas przyłapią, i tylko o tym myślałam. Zanim zapytasz - nie, nie mówiłam o tym ludziom z biura szeryfa.

- Bo nie chciałaś się przyznać, że wtargnęliście na czyjś teren?

- Bo wtedy to nie miało znaczenia. Violet nie była nawet uznana za zaginioną. Kiedy zobaczyliśmy tego faceta, Foleya czy kogoś innego, przez myśl mi nie przeszło, że będzie robił coś takiego. Przecież on kopał grób. Boże, nawet teraz na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki.

Mówię ci o tym tylko dlatego, że w tamtym miejscu znaleziono zakopany samochód.

- Pamiętasz jeszcze coś?

- Nie. Zaraz - tak. Facet palił. Pamiętam, bo okno na piętrze było otwarte i czuliśmy zapach dymu.

- Wzrost? Waga? Cokolwiek?

- Nie. Było ciemno, a on tylko mi mignął. Myślisz, że powinnam porozmawiać o tym z detektywem?

- Bez dwóch zdań.

- Nawet jeśli to przysporzy Foleyowi jeszcze więcej kłopotów?

- Przecież nawet nie jesteś pewna, czy to był on. Wiesz tylko, że widziałaś faceta w buldożerze. Detektyw nazywa się Nichols. Musi się o tym dowiedzieć.

Kiedy wróciłam do izby przyjęć, Foley był już gotowy do wyjścia.

Opuszczał gabinet zabiegowy, ściskając w garści ulotkę na temat urazów głowy oraz opakowanie tabletek przeciwbólowych, które miał zażywać w domu. Oczy już teraz miał otoczone niebieskimi obwódkami, wiedziałam, że do jutra obwódki przybiorą intensywnie fioletowy kolor.

Opatrzono mu nos, przez co jego oczy wydawały się osadzone blisko jak u owczarka collie. W nozdrzach miał szerokie na pół cala tampony, a

na policzku zauważyłam szew. Domyśliłam się, że kolejne znajdują się w jamie ustnej. Na jego szczęście tabletki przeciwbólowe neutralizowały efekty wypitego w nadmiarze alkoholu. Robił wrażenie przygaszonego. Wpatrywał się w Daisy niemym, proszącym spojrzeniem psiaka, który ma apetyt na resztki ze stołu.

Córka zawiozła go do Cromwell, a ja, tak jak przedtem, wlokłam się za nią jego ciężarówką. Kiedy wjechała na podjazd przed plebanią, światło na werandzie zapaliło się.

Pastor odsunął firankę i wyjrzał na zewnątrz, a następnie otworzył drzwi. Był w pantoflach, piżamie i miękkim flanelowym szlafroku. Zaparkowałam od frontu, zamknęłam ciężarówkę na klucz, po czym podeszłam do samochodu Daisy i wręczyłam Foleyowi jego kluczyki. Nie patrzył mi w oczy. Wyczułam, że wstydzi się tak bardzo, iż z każdego pora na jego ciele zamiast potu wydziela się wstyd. Pastor przytrzymał pokryte siatką drzwi i Foley zniknął wewnątrz domu. Daisy zamieniła z duchownym kilka słów i wróciła do samochodu.

Wsiadłyśmy do środka. Przez chwilę Daisy siedziała z rękami na kierownicy i wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Wszystko w porządku?

- Powiem ci, co jest dziwne. Wiesz, jak to jest, kiedy jesteś w kinie i oglądasz zwiastuny filmów, z tymi wszystkim nowymi atrakcjami? Tak naprawdę masz wrażenie, że to stare atrakcje. Nie pamiętam ojca pijanego, ale tak to właśnie musiało wyglądać, kiedy był mężem mamy. Nie za przyjemnie.

- Taaa, i założę się, że kiedy ją sprzął na kwaśne jabłko, ona wyglądała tak jak on teraz.

Przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Przynajmniej teraz wiesz, dlaczego jestem taka pokręcona.

- Wiesz co, Daisy? Nie jesteś wcale bardzo pokręcona. Widywałam gorsze przypadki.

- Dzięki. Od razu mi lepiej.

Jechałyśmy do Santa Maria w milczeniu. O tej godzinie

dwupasmówka była pusta, po obu stronach, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tereny rolnicze. Minęliśmy budynek z blachy falistej tkwiący pośrodku morza asfaltu i otoczony siatką. Okolica tonęła w zimnym srebrnym świetle, nigdzie nie widać było znaku życia. Na zachodzie falujące łagodnie wzgórza zasłaniały znajdujący się za nimi ocean i tworzyły odcinający się na tle nocnego nieba wzorek w półokrągłe ząbki.

Daisy zerknęła w lusterko wsteczne, z tyłu błysnęły reflektory.

Spojrzałam przez ramię, byłam pewna, że kierowca przyspieszy i nas wyprzedzi. Daisy jechała powoli, sześćdziesiąt mil na godzinę, a kierowcy na wiejskich drogach do najcierpliwszych nie należą.

Samochód za nami przez milę utrzymywał stały dystans, a potem zaczął się do nas zbliżać.

Daisy ponownie zerknęła w lusterko:

- Cholera. Znam tego mercedesa. To Jake.

- Skąd wiedział, gdzie nas szukać? Myślisz, że czekał na szpitalnym parkingu?

- Ja go tam nie widziałam.

Dojechałyśmy do Santa Maria i skręciłyśmy w ulicę Daisy. Jake nadal jechał za nami. Nie robił nic groźnego, nie próbował też się ukryć, lecz po akcie przemocy, którego byłam dzisiaj świadkiem, nie paliłam się do ponownego z nim spotkania. Co prawda to B.W. kopnął Foleya, ale Jake był katalizatorem. Daisy wjechała na podjazd i wyłączyła reflektory.

Spojrzałam na dom. W kuchni światło było zapalone, ale salon i pokój gościnny z przodu domu tonęły w ciemności. Jake wjechał za nami i też wyłączył reflektory. Tak jak przed chwilą Daisy, zgasił silnik. Wsiadł z wozu i ruszył po podjeździe w naszym kierunku.

- Myślisz, że powinniśmy wysiąść? - zapytała Daisy.

Położyłam rękę na klamce:

- Chodźmy. Nie chcę, żeby patrzył na nas z góry.

Wysiadłyśmy, każda po swojej stronie, i obeszczyłyśmy samochód tak, by się znaleźć przed jego maską. Stałyśmy obok siebie. Było ciemno i - zgodnie z przewidywaniami - chłodno, więc cieszyłam się, że Daisy

pożyczyła mi kurtkę. Skrzyżowałam ramiona. Nie czułam zimna, tylko głębokie napięcie. Sąsiednie domy zostały na noc zamknięte i zaryglowane. Nie żebym się bała Jake'a, ale przemknęło mi przez myśl, że gdyby któraś z nas krzyknęła, nikt by tego nie usłyszał ani nie ruszył nam na ratunek.

- Hej, Jake. W czym mogę pomóc? - odezwała się Daisy.

- Przepraszam, że was niepokoję. Zatrzymałem się, żeby zapytać o twojego tatę. Wszystko z nim w porządku?

- Tak bym tego nie ujęła, ale był u lekarza i nie kazali mu zostać w szpitalu, to chyba o czymś świadczy. Wiesz, mogłeś zadzwonić, zamiast w ten sposób jechać za nami do domu.

- Chciałbym o czymś porozmawiać i sędzę, że nie powinienem z tym zwlekać. Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu...

- To dobrze, bo ostatnie dwie godziny spędziłyśmy na izbie przyjęć i jesteśmy wykończone. Tannie już śpi, jeśli się chciałeś z nią spotkać.

- To z tobą chcę porozmawiać. Z panią też - szybko skinął głową w moim kierunku.- Może wejdziemy do kuchni i zamkniemy drzwi? Pewnie nie chcesz, żeby Tannie coś usłyszała.

- Możemy zostać tutaj. Mam zamiar jak najszybciej z nią porozmawiać. Z moim synem Steve'em też.

- Sprytny ruch.

Jake zignorował jej cierpki ton:

- Przyjechałem, żeby przeprosić za to, co się dzisiaj przydarzyło Foleyowi. Jesteśmy gotowi pokryć koszty leczenia. Prześlij rachunki prosto do mnie, a ja się nimi zajmę. B.W. nie miał prawa zrobić tego, co zrobił.

- Cholera, co ty powiesz! Masz na myśli kopnięcie człowieka w twarz i zmiżdżenie mu nosa?

- Daisy, powiedziałem, że przepraszam, naprawdę jest mi przykro.

B.W. przesadził i już mu to powiedziałem. Nie mówię, że nie powinien był wyrzucić twojego taty. To się Foleyowi należało, ale ten atak - nie.

B.W. jest w gorącej wodzie kąpany. Najpierw działa, potem myśli.

Wcale się nie zdziwię, jeśli Foley wniesie oskarżenie.

- Zapomnij, nie robi tego. O co jeszcze chodzi? Jestem pewna, że nie śledziłeś nas, żeby zapytać o jego zdrowie.

- Czuję, że jestem wam winien wyjaśnienie.

Daisy miała na końcu języka ciętą ripostę, jednak najwyraźniej zdecydowała się dać sobie spokój. Lepiej niech nadaje ton rozmowie.

Jake utkwił spojrzenie w dali, ale oprócz tego zachowywał się naturalnie.

- To, o co mnie oskarżył, nigdy się nie wydarzyło. Jednak wydaje mi się, że wiem, dlaczego mu to przyszło do głowy. Mam nadzieję, że mnie wysłuchasz.

- Mów. Zamieniam się w słuch.

- Był taki incydent w Moonie... to musiało być jakieś półtora miesiąca przed zniknięciem twojej matki. Byłem w szpitalu odwiedzić Mary Hairl, a w drodze powrotnej zatrzymałem się na kieliszek przed snem. Oboje twoi rodzice siedzieli przy barze, wszystko wskazywało na to, że są tam od jakiegoś czasu. Może ujmę to tak, oboje już się zdołali dosyć skutecznie znieczulić. Kiedy przyjechałem, twój ojciec był w złym humorze. Violet zaczęła ze mną flirtować, myślę, że również po to, żeby się z nim podrażnić. Moja żona była chora. Byłem samotny, może twoja matka wyciągnęła z tego błędne wnioski. Zaczęliśmy tańczyć. Wydawało mi się, że nie ma w tym nic złego, lecz po chwili ona zaczęła tak się zachowywać, że poczułem się zakłopotany. To małe miasteczko. Wiesz, jak to jest. Wszyscy wszystko o sobie wiedzą.

Nie mogłem pozwolić, żeby się o mnie ocierała ani żeby trzymała ręce na moim tyłku. Z szacunku dla niej przemilczę szczegóły. Nie chciałem zranić jej uczuć, ale wiedziałem, że muszę jej to wyjaśnić. Problem polegał na tym, że Violet była przyzwyczajona do stawiania na swoim, nie znała słowa „nie”. Wściekła się i powiedziała, że ją obraziłem. Mniej więcej wtedy zeszła z parkietu, ja poszedłem za nią. Nie miałem na myśli nic takiego. Próbowałem jej wyjaśnić, że nie o to mi chodziło. Lubiłem twoją matkę... nie zrozum mnie źle... ale tego się nie spodziewałem.

Mówiąc w skrócie, skończyło się tak, że chlusnęła mi w twarz szklanką wina.

- To byłeś ty? Słyszałam tę historię, ale nie miałam pojęcia... Nikt nigdy nie wymienił cię z imienia.

- To właśnie byłem ja. Niestety, nie skończyło się na tym. Zaczęła krzyczeć i przeklinać.

Zawsze miała duży temperament i była przewrażliwiona na swoim punkcie. Zagroziła, że powie Foleyowi, że uprawialiśmy seks, że przystawiałem się do niej, a kiedy mnie odrzuciła, zmusiłem ją do stosunku. Nic nie mogło być dalsze od prawdy, ale co mogłem zrobić? B.W. zauważył, że coś się dzieje, i pod byle pretekstem pozbył się Foleya. Kiedy Foleya już nie było, próbowałem przemówić jej do rozsądku. Wyjaśniłem, że nie miałem zamiaru jej obrazić, i przeprosiłem za nieporozumienie. Wydawało mi się, że trochę ochłonęła. Miałem nadzieję, że nie spełni swojej groźby, ale nie mogłem być tego pewien. Znalazłem się w kłopotliwym położeniu. Nie mogłem iść do Foleya i wszystkiego mu wytłumaczyć. Jeżeli ona nigdy o tym nie wspomniała, to otworzyłbym puszkę Pandory. W takim przypadku albo miałbym z nim na pieńku za to, że ją odrzuciłem, albo oskarżyłby ją o puszczanie się, a ona wszystkiego by się wyparła i powiedziała, że ją zgwałciłem. Wtedy wyszłoby na to, że próbowałem się usprawiedliwić. W każdym razie pomyślałem, że najlepiej będzie siedzieć cicho, i aż do dzisiaj nie słyszałem już o tej sprawie. Wychodzi na to, że jednak spełniła swoją groźbę. Musiała mu powiedzieć, że zmusiłem ją do czegoś wbrew jej woli, a on w to uwierzył.

Daisy się nie odzywała. Widziałam, że - podobnie jak ja -myśli nad tym, co właśnie usłyszała.

- Nie wiem, co powiedzieć. Tata i ja nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Teraz jest w opłakanym stanie, ale jestem pewna, że wstydzi się, że się spił. Rozumiem, że zamierzasz tę sprawę wyjaśnić. Jeśli chcesz, powtórzę mu wszystko.

- Sama zdecyduj. Przynajmniej teraz znasz moją wersję. Możesz mi

wierzyć albo nie. A twój tata, kiedy wytrzeźwieje, może z tym zrobić, co tylko będzie chciał. Z całym szacunkiem, ale on sam wie, jak Violet potrafiła obracać kota ogonem. Jeżeli się chwilę nad tym zastanowi, być może zechce przyznać mi rację. Przykro mi, że brałem w tym udział. Nigdy nie zamierzałem sprawiać mu bólu.

- Doceniam to. Jeszcze coś?

- Nie, to wszystko. Wiem, że już późno, nie będę was zatrzymywał.

Jake i Daisy wymienili jeszcze kilka zdawkowych zdań, po czym wreszcie się pożegnał i wrócił do samochodu. Kiedy pojechał, odczekałam pół minuty i zapytałam:

- Co o tym myślisz?

- Nie mam żadnych dowodów, ale mam przeczucie, że facet łąze jak pies.

ROZDZIAŁ 24

Tom Czwartek 2 lipca 1953

Tego poranka, gdy Cora wyjechała do Walnut Creek, Tom pospał do późna, rozwalony w poprzek łóżka wśród luksusowych prześcieradeł. Jedną z wielu rzeczy, co do których się nie zgadzali, było to, jaka temperatura powinna być w nocy w sypialni. On lubił chłód i okna otwarte na oścież, a ona wolała, żeby okna były zamknięte, a grzejniki podkręcone. Nie mogli również dojść do porozumienia w sprawie koców, twardości materaca oraz rodzaju poduszek.

Kiedy był sam, wszystko mógł robić tak, jak lubił. Gdy Cora schodziła mu z drogi, był zupełnie innym człowiekiem. Tak jakby miał odrębną osobowość, która była jak bonzurka - mógł ją wyjmować z szafy i przywdziewać, gdy Cory nie było w domu. Ściśle mówiąc, miał nawet dwie takie osobowości. Kiedy pił, zwłaszcza w Blue Moon, odpoczywał jak ludzie pracy, z których się wywodził. Głęboko w sercu był równym chłopiskiem - lubił solidne buty i dżinsy, a kiedy chciał się wystroić, wskakiwał w skrojony na modłę zachodnią sportowy płaszcz. Z kolei tutaj, w wytwornym domu Cory, trzeźwy i przez nikogo nieobserwowany, przywoływał do życia drugą stronę swojej natury, udając jaśniepana z

dworu. Był nonszalancki i wykwintny.

Używał cygarniczki i mówił sam do siebie ze snobistycznym akcentem.

Wstał o dziesiątej rano, wziął prysznic, ubrał się i skoczył na śniadanko do Maxi's Coffee Shop. Pojechał rzucić okiem na kilka maszyn, które trzymał na zewnątrz. Kiedy wracał do domu, zauważył odjeżdżającego listonosza. Podjechał do skrzynki pocztowej i wyjął z niej stertę kopert oraz dwa magazyny prenumerowane przez Corę. Zostawił samochód na podjeździe i wkroczył do domu, wykrzykując radośnie: „Hej, hej, już jestem!”, z radości, że jest w nim sam.

Zaniósł pocztę do gabinetu Cory i położył na rogu biurka, mając zamiar przejrzeć ją spokojnie potem. Usiadł w fotelu Cory i rozpoczął regularne przeszukiwanie jej rzeczy. Stara lubiła sekrety, wszystkie dokumenty trzymała pod kluczem - w szufladach biurka czy w szafkach na dokumenty. Nawet szafa, w której schowała futra i biżuterię, była zamknięta na klucz. Dobrze, że już dawno odkrył, gdzie trzyma klucze. To było nawet zabawne - stara wierzyła, że jest bezpieczna, podczas gdy on śledził każdy jej ruch. Miał za dużo rozumu w głowie, żeby podkraść pieniądze z jej kont bankowych -kiedy przyszło co do czego, potrafiła być prawdziwą suką - ale od czasu do czasu podrabiał jej podpis na czekach z dywidend. Jeden z nich właśnie przyszedł wczoraj i Tom zręcznie wyłowił go z pliku korespondencji, zanim wręczył stosik listów Corze. Zamknął się na klucz w łazience i sprawdził, co zyska na tym oszustwie. Ach! trzysta pięćdziesiąt sześć dolarów czterdzieści pięć centów z jakichś akcji, które posiadała. Lubił takie lewe pieniądze, zawsze to kilka dolarów więcej. Cora chyba nigdy niczego nie zauważyła. Czeki z dywidend przysyłano raz na jakiś czas, figurowały na nich różne sumy, więc Cora niczego nie podejrzewała, jeśli nie przychodziły regularnie. Nie był z siebie dumny, choć sprawiało mu przyjemność to, że zamiesza trochę w jej prywatnych sprawach. No cóż, sama była sobie winna. Otworzył szufladę biurka i znalazł teczkę, w której trzymała unieważnione czeki. Wybrał taki, na którym był wyraźny podpis: „Cora

A. Padgett” - z pętelką przy ostatnim „t”. Miał spory zapas kalki, więc błyskawicznie uzyskał wystarczająco podobny podpis. Zatwierdził czek - a właściwie „Cora A. Padgett” go zatwierdziła - odłożył pióro i zaczął przeglądać dzisiejszą korespondencję. Szybko przerzucał koperty. Ignorował rachunki, z wyjątkiem tych, których nie powinna zobaczyć. Ostatnia koperta była zaadresowana do Lodena Galsworthy’ego, list został przysłany z banku spoza stanu. Sięgnął po nóż do papieru, rozciął kopertę i przeczytał pismo sygnowane przez Lawrence’a Freiberga, jednego z dwóch wiceprezesów. Pan Freiberg, albo „Larry”, jak go pieszczotliwie nazywał, zapytywał o wyżej wspomniane konto, na którym przez ostatnie pięć lat nie odnotowano żadnej aktywności. Odsetki regularnie wzrastały i, naturalnie, powiększały kwotę na rachunku, niemniej jednak być może bank mógłby zaoferować panu Galsworthy’emu coś jeszcze? Właśnie ostatnio, z myślą o szczególnie cenionych klientach, powołano do życia jednostkę zajmującą się inwestycjami. Jako że Loden Galsworthy bezsprzecznie zasila ich szeregi, pan Freiberg sugerował, że może skontaktować go z ekspertem do spraw finansów, który doradzi w kwestii najkorzystniejszych inwestycji. Tom przeczytał pismo dwa razy. Cora albo nic nie wiedziała o tym rachunku, albo jakimś cudem uszedł on jej uwagi. Pan Freiberg prawdopodobnie nigdy nie spotkał swojego szczególnie cenionego klienta i najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że pisze do nieboszczyka - do świętej pamięci Lodena Galsworthy’ego. Kiedy odwrócił kartkę i spojrzął na stan konta, parsknął krótkim śmiechem. Sześćdziesiąt pięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dolarów sześćdziesiąt sześć centów. Nie mógł uwierzyć, że fortuna tak pięknie się do niego uśmiechnęła. Przez ostatnie tygodnie snuł się jak skazaniec, a teraz nagle poczuł zew wolności. Wiedział, co musi zrobić. Wstał i podszedł do szafki, z której Cora zrobiła coś w rodzaju kapliczki swojego zmarłego męża. Sentymentalna kretyńka trzymała tu rzeczy, które do niego należały, między innymi jego osobistą papeterię oraz wieczne pióro marki Mont Blanc. Tom wziął jedną kopertę, kilka arkuszy papieru firmowego i parę

czystych kartek. Usiadł przy maszynie do pisania Cory (przedtem należała do Lodena) i - jak pianista zasiadający do fortepianu podczas recitalu - szybko poruszył palcami. Skomponował list, w którym dziękował wiceprezesowi za poświęconą mu uwagę. Zwierzył się, że przebywał cztery lata poza krajem, a teraz właśnie wrócił do Stanów. Bardzo szczęśliwie się złożyło, że przypomniano mu o tym koncie. Właśnie rozważał zaangażowanie się w pewne inwestycje, w związku z czym wyżej wspomniane środki finansowe mogłyby zostać natychmiast puszczane w obieg. Prosił, aby zlikwidować konto, a pieniądze przesłać na adres skrytki pocztowej, która mu służyła podczas pobytu za granicą. Tak naprawdę Tom wynajął tę skrytkę jakiś czas temu, żeby Cora nie wtykała nosa w jego prywatne sprawy.

Wkręcił do maszyny do pisania kartkę z papeterii Lodena i wziął się do pracy. Pisanie na maszynie nie szło mu za dobrze, ale za trzecim podejściem napisał całkiem schludny list. Jeżeli bank przechowywał listy od Lodena Galsworthy'ego, na pewno nie umknie uwagi urzędników, że krój pisma, papeteria i rodzaj użytej czcionki były identyczne. Teraz potrzebował już tylko podpisu Lodena.

Na ścianie gabinetu Cory wisiał dyplom, który otrzymała w 1918 roku, jako dwudziestojednolatka, w dowód uznania za wolontariat w Czerwonym Krzyżu. Nie było to nic szczególnego, setki takich dyplomów podarowano kobietom, które poświęciły swój czas służbie, ale Cora oprawiła go i powiesiła, jakby był jedyny w swoim rodzaju. Jednym z trzech sygnatariuszy był Loden Galsworthy. Cora powiedziała kiedyś Tomowi, że ona i Loden często rozmawiali o tym niezwykłym zbiegu okoliczności, który połączył ich, zanim się spotkali.

Zdjął ze ściany oprawiony dyplom i przez mniej więcej dwadzieścia minut ćwiczył podpis Lodena. Następnie podpisał list, złożył na pół, włożył do koperty i nakleił znaczek. Jeden dzień pracy. W drodze do banku podrzuci list na pocztę. To był prawdziwy dar niebios, odpowiedź na jego modlitwy. Było mu lekko na sercu i czuł się niewiarygodnie wolny.

Dopiero kiedy kryzys minął, zdał sobie sprawę, że żył w strasznym napięciu. Teraz nie musiał już zebrać o nędzne ochłapy od Cory. Nie będzie już żadnych pochlebstw, żadnych podchodów. Za jednym zamachem wszystkie jego problemy zostały rozwiązane. Wczorajszy bardzo udany lunch z Chetem Cramerem był jak wisienka wieńcząca pucharek z lodami. Co prawda wiedział, że Chet zgodził się go wysłuchać tylko dlatego, że on i Livia chcieli zostać członkami Klubu, do którego należeli Padgettowie, ale jego prezentacja chyba zrobiła dobre wrażenie. Chet nie tylko wyraził zainteresowanie, ale również poprosił Toma o sporządzenie biznes-planu, który chciał pokazać swojemu księgowemu. Tom miał zamiar zająć się tym zaraz po lunchu.

Pojechał do banku i zasilił swoje konto, podając kasjerowi sfałszowany czek z dywidendy schowany niepozornie między innymi czekami. Co prawda z sześćdziesięcioma pięcioma tysiącami czterysta dziewięćdziesięcioma dolarami i sześćdziesięcioma sześcioma centami, które wkrótce miały trafić do jego kieszeni, nie potrzebował marnych trzystu pięćdziesięciu sześciu dolarów czterdziestu pięciu centów, ale skoro już podrobił podpis Cory, to czemu nie doprowadzić sprawy do końca? Doświadczenie nauczyło go, że nigdy nie należy marnować własnego wysiłku. Gdy się ma plan, należy go zrealizować - kiedy stosował tę zasadę, zawsze pięknie wychodził na swoje.

Pogawędził z kasjerem, załatwił swoje sprawy i ruszył w stronę wyjścia, kiedy natknął się na Herberta Greera, człowieka od kredytów, który najwyraźniej postanowił, że nie pozwoli mu wyjść. Ostatnio Tom go unikał, bo wiedział, że facet będzie się domagał zwrotu pożyczki. Teraz, kiedy nowo odkryte fundusze były już w drodze, Tom powitał Greera jak starego przyjaciela, potrząsając serdecznie jego ręką.

- Herb, co u ciebie? Cieszę się, że się widzimy.

Herb najwyraźniej nie był przygotowany na taką wylewność po tygodniach uników i wymówek:

- Myślałem, że cię nie ma w mieście. Dzwoniłem kilka razy w zeszłym tygodniu i prosiłem Corę o przekazanie wiadomości, a kiedy nie

oddzwoniłeś, doszedłem do wniosku, że pewnie poszedłeś gdzieś w tango.

- Nigdzie nie wyjechałem, za to Cora - owszem. Dzisiaj rano wybrała się w odwiedziny do siostry w Walnut Creek. Niegrzeczna dziewczynka. Nawet słówkiem nie wspomniała, że dzwoniłeś. Nie miałem o tym pojęcia.

Pewnie w głowie mu się nie mieściło, że skłonienie Toma do pogawędki może być aż tak proste.

- Pewnie wypadło jej to z głowy.

- Na pewno. Zwykle nie zapomina o takich rzeczach, ale w wirze przygotowań do podróży mogło jej się zdarzyć. Tak czy siak, miałem dzisiaj zamiar podejść do ciebie, ale zobaczyłem, że rozmawiasz przez telefon.

Herb nie do końca ufał własnemu szczęściu, spodziewał się, że skłonienie Toma do rozmowy będzie o wiele trudniejsze.

- A może teraz usiądziesz na chwilę i porozmawiamy?

Tom spojrzął z żalem na zegarek:

- A niech to, nie mogę. Umówiłem się na lunch w Klubie z Chetem Cramerem, a już jestem spóźniony.

- Wydawało mi się, że wczoraj widziałem was razem w Klubie.

- To prawda. Nie wiedziałem, że też tam jesteś. Trzeba było podejść do naszego stolika.

Chyba wspominałem ci kiedyś, że myślimy z Chetem o współpracy.

Chet nieźle się zna na ciężkim sprzęcie i mówi, że ta branża nie różni się bardzo od samochodowej.

- Nie słyszałem, że będziecie wspólnikami. Gratuluje.- Tak naprawdę to musimy jeszcze dopracować szczegóły. Wiesz, jaki jest Chet. Nie spieszy mu się. Nie ma sensu go popędzać. Lubi mieć wszystko dopięte na ostatni guzik, zanim się zdecyduje na konkretny ruch.

- Współpracujemy z Chetem od lat. To najsolidniejszy człowiek pod słońcem.

- Coś ci powiem. Jeżeli się dogadamy, przyprowadzę go tutaj i może

wspólnie znajdziemy jakiś sposób na rozkręcenie interesu.

- Zawsze do usług. Pozdrów go ode mnie.
- Z przyjemnością.
- To może w poniedziałek? Dziesiąta rano?
- Idealnie. W takim razie do zobaczenia.

Po raz pierwszy w życiu Tom wychodził z banku w optymistycznym nastroju. Kiedy nadejdą pieniądze Lodena Galsworthy'ego, rozwinię skrzydła. Teraz potrzebował tylko jeszcze jednego potężnego zastrzyku gotówki, dzięki któremu w poniedziałek będzie mógł spłacić pożyczkę.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy Daisy o ósmej rano w sobotę wyszła ze swojej sypialni, Tannie już nie było. Ze swojego prowizorycznego posłania na kanapie słyszałam, jak wychodzi z gościnnego pokoju i idzie na paluszkach do łazienki, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Musiałam się zdrzemnąć, bo następna rzecz, którą pamiętam, to obraz Tannie przemykającej przez salon z torbą podróżną w ręku. Usłyszałam, jak zapala samochód, a potem ponownie zapadła cisza, aż do chwili kiedy wstała Daisy.

Tannie zostawiła na podłodze pokoju gościnnego stertę brudnej pościeli zwieńczoną wilgotnym ręcznikiem. Daisy wrzuciła wszystko do pralki, a potem pożyczyła mi spodnie od dresu, żebyśmy mogły dodać swoje dzinsy. Na zmianę skorzystałyśmy z łazienki. Wzięłam szybki prysznic, kiedy ona parzyła kawę, potem Daisy zajęła łazienkę, a ja zjadłam talerz płatków. O ósmej czterdzieści pięć byłyśmy ubrane, najedzone i znajdowałyśmy się w drodze do posiadłości Tannerów, żeby sprawdzić postęp prac przy wykopie. Wzięłyśmy samochód Daisy, mój został w garażu. Dzień był bezchmurny i słoneczny, powietrze - coraz cieplejsze.

Drogę wciąż blokowano, ale kiedy Daisy wyjaśniła, kim jest, funkcjonariusz gestem dłoni nakazał podnieść szlaban. Najwyraźniej jako osoba towarzysząca też miałam prawo tam być.

Zaparkowałyśmy w wymaganej odległości dwudziestu jardów od wykopu i wysiadłyśmy z samochodu. Zwisająca żółta taśma otaczająca

miejsce zbrodni drżała na wietrze, leciutko szeleszcząc. Rozpoznałam ludzi, którzy byli tu wczoraj: dwóch techników, detektywa Nicholasa, młodego funkcjonariusza i Tima Schaefera, który nie zamierzał się stąd ruszać ani na krok, chociaż tak jak my musiał się trzymać z boku.

Pomimo tych ograniczeń trwał na swoim miejscu jak zahipnotyzowany. Niewiele osób rozmawiało, a zupełnie nikt się histerycznie nie śmiał, co jest niezwykle w upiornej sytuacji pełnej napięcia.

Dziura musiała zostać znacząco pogłębiona, bo obok wznosił się imponujący kopiec ziemi.

Koparka poszła w odstawkę, znowu używano łopat. Z miejsca, w którym stałyśmy, nie było widać samochodu, jednak wywnioskowałam, że po jego obu stronach wykopano cienkie kanały ułatwiające dotarcie do kolejnych jego części. Tom Padgett trzymał się tak blisko wykopu, jak mógł, nie ryzykując, że zostanie aresztowany. Używano jego buldożera, podobnie jak lawety, więc Padgett zachowywał się tak, jakby przysługiwały mu jakieś specjalne prawa, zresztą być może naprawdę je miał. Kiedy nie przyglądał się wykopowi, gawędził z detektywem Nicholsem, jakby był jego starym znajomym.

Calvin Wilcox zaparkował za Daisy, mniej więcej dwadzieścia stóp w dół szosy. Przyjechał niedługo po nas i siedział w czarnej furgonetce ozdobionej po obu stronach nazwą jego firmy.

Palił papierosa, lewą rękę oparł na otwartym oknie. Słyszałam, że z jego radia dobywają się głośne dźwięki muzyki country. Tak jak Daisy, pozwolono mu tutaj być ze względu na pokrewieństwo z Violet.

Wydawało mi się dziwne, że zachowują się jak obcy sobie ludzie. Z tego, co wiedziałam, Calvin był jedynym wujkiem Daisy, zatem wydawałoby się naturalne, że będą sobie bliscy. Widocznie tak się jednak nie stało, sądząc z ich wyraźnej obojętności. Udawali, że się nie widzą, żadne z nich nie skinęło głową ani nie pomachało ręką.

- O co chodzi z tobą i twoim wujem Calvinem?

- O nic. Jesteśmy z sobą w dobrych stosunkach. Po prostu nie jesteśmy słodką, kochającą się rodziną. Kiedy dorastałam, on i moja ciotka nie

robili wiele, żeby utrzymać kontakt. Swoich kuzynów widziałam tak dawno, że wątpię, czybym ich poznała.

- Masz coś przeciwko temu, bym z nim porozmawiała?

- O czym?

- Mam kilka pytań.

- Nie ma sprawy.

Calvin Wilcox obserwował, jak podchodzę do niego z obojętnym wyrazem twarzy.

Patrzyłam, jak wyrzuca peta, pochyła się i wyłącza radio. Z bliska zauważyłam, że się dziś rano nie ogolił, jego szczeka była zarośnięta szarymi oraz rudawymi włoskami. Rumiana cera i zielona bawełniana koszula dodawały jego oczom blasku. Ponownie miałam poczucie, że mam przed sobą męską wersję Violet - te same kolory, odmienna pleć, jednak ten sam magnetyzm.

- Wygląda na to, że wyciągnęła pani królika z cylindra - zauważył, kiedy podeszłam do otwartego okna. - Skąd pani to wytrzasnęła?

Pytanie brzmiało nieco wrogo, ale ja się uśmiechnęłam, żeby pokazać, jaka równa ze mnie babka.

- Powiedziałabym „ślepe szczęście”, ale nie chcę być posądzona o fałszywą skromność.

- Mówię serio.

- Ja też.

Pospieszyłam ze standardowym wyjaśnieniem, zmieniając nieco szczegóły, żeby było bardziej interesująco:

- Ktoś widział samochód Violet zaparkowany tutaj tej nocy, kiedy zniknęła. Potem auto przepadło jak kamień w wodę, więc przyszło mi na myśl, że może po prostu tutaj zostało. Teraz nie chce mi się wierzyć, że od razu na to nie wpadłam.

- Kto widział ten samochód?

Błyskawicznie rozważyłam wszystkie „za” i „przeciw” i zdecydowałam, że podawanie nazwiska Winstona to bardzo zły pomysł. Tak jak to ujął detektyw Nichols: im mniej informacji w obiegu, tym

lepiej. Zbyłam jego pytanie machnięciem ręki:

- Nie pamiętam. To jedna z tych rzeczy, które słyszałam w przelocie. A pan? Jak pan się dowiedział? - zapytałam, wskazując na wykop.

- W drodze z pracy słuchałem radia, akurat mówili o tym w wiadomościach. Z domu od razu zadzwoniłem do biura szeryfa.

- Był pan tu wczoraj wieczorem?

- Przez chwilę. Chciałem to zobaczyć na własne oczy, ale funkcjonariusz mnie nie wpuścił. Skończyli pracę o dziesiątej i powiedzieli, że dzisiaj rano zaczynają o szóstej.

- Jak pan myśli, ile czasu zajęłoby wykopanie takiego dołu w latach pięćdziesiątych?

- Nie znam szczegółów. Musi mnie pani wprowadzić w temat.

- Z tego, co wczoraj słyszałam, wynika, że facet wykopał długi, płytki podjazd, szeroki na osiem stóp, a w najgłębszym miejscu mający piętnaście stóp. Tył samochodu jest niżej, przód położony jest pod kątem, mniej więcej tak - ustawiłam dłoń pod kątem trzydziestu stopni.

Siedział, mrugając oczami, podczas gdy przez głowę przebiegały mu kolumny liczb:

- Musiałbym policzyć na spokojnie, żeby dać pani dokładną odpowiedź. W 1953 musiałby użyć buldożera. Jeżeli pani mówi, że potem zepchnął auto, to musiał wykopać dół z długim, pochyłym podjazdem z jednej strony i wybierać ziemię, aż wykop był w najgłębszym miejscu wystarczająco głęboki, żeby całkowicie zakryć samochód. Obstawiałbym dwa dni, może półtora dnia. Ponowne wypełnienie nie zajęłoby dużo czasu. Pewnie ktoś go widział przy pracy, musiał mieć w zanadrzu jakąś historyjkę.

- Czwarty Lipca wypadła w tamtym roku w sobotę, więc większość ludzi miała również wolny piątek. Jeżeli ekipa drogowa dostała trzydniowy weekend, mógł tu być bez świadków.

- Rozumiem - powiedział. - Droga nie była skończona, więc właściwie w ogóle nie było ruchu.

- A co z resztą ziemi? Czy nie zostało sporo ziemi, kiedy już zasypał

dół?

Wlepił we mnie swoje zielone oczy:

- O, tak. Samochód zajął miejsce jakichś dwustu jardów kwadratowych ziemi. Lekko licząc.

- Co z tym zrobił? Wywiózł?

- Raczej mało prawdopodobne. Największa wywrotka, jakiej używano w tamtych czasach, miała pojemność pięciu jardów kwadratowych, więc to by mu zajęło o wiele za dużo czasu, szczególnie gdyby chciał wywieźć ziemię gdzieś daleko. Najprostszym rozwiązaniem byłoby przepchnąć ziemię na drugą stronę szosy i rozsypać po polu.

- Czy nikt by nie zauważył, że nagle przybyło tyle świeżej ziemi?

- Niekoniecznie. Jeżeli dobrze pamiętam, pole, na które pani patrzy, należało wtedy do spółdzielni i było uprawiane nieregularnie. Przy budowie dróg panuje straszny bałagan, nikt by nie zauważył odrobiny ziemi więcej.

- To musiał być ktoś, kto już pracował na budowie, nie sądzi pan? Nie każdy może wskoczyć do buldożera i wykopać dół tej wielkości, ot tak. Wygląda na to, że znalazł się na rzeczy.

- To prawda, ale przez to wcale nie mamy mniejszej liczby podejrzanych. Po drugiej wojnie światowej wielu okolicznych facetów pracowało na budowie. Na przykład Foley. Przemysł budowniczy kwitł, podobnie jak rolnictwo, przemysł naftowy i rzeźnie.

- Hmm. Myślę, że nie ma się o co martwić. Jestem pewna, że detektyw Nichols sobie z tym poradzi.

W południe wzięłam samochód Daisy i podjechałam do delikatesów, w których wczoraj zrobiłam zakupy. Ponieważ dzień wcześniej Tannie sprzątnęła mi przed nosa kanapkę z salcesonem brunszwickim na żytnim pieczywie, dzisiaj zamówiłam taką dla siebie. Daisy powiedziała, że jest jej obojętne, co zje na lunch, więc poprosiłam sprzedawcę, żeby zrobił kanapkę z chleba na zakwasie z indykiem. Zamówiłam jeszcze drugą, dodałam chipsy ziemniaczane, napoje gazowane i paczkę ciasteczek. Skoro już utkwiliśmy tu na dobre, równie dobrze możemy coś

smacznego zjeść.

Posiłałyśmy się w samochodzie, przyglądając się wykopowi, jak w kinie dla zmotoryzowanych. Pojawiła się półciężarówka z wózkiem holowniczym, co stanowiło najbardziej ekscytujące zdarzenie ostatnich trzech godzin. Tom Padgett musiał się wreszcie znudzić, bo zobaczyłam, jak się wycofuje i podąża w naszym kierunku. Trzymał w rękach swoje okulary z grubymi oprawkami, polerował jedno szkło białą chusteczką. W dżinsach, kowbojskich butach i koszuli skrojonej na modłę zachodnią wyglądał jak jeździec na rodeo.

Całości dopełniały trochę krzywe nogi.

- Czekaj chwilę - powiedziałam do Daisy. Otworzyłam drzwi i wyszłam z auta. - Dzień dobry. Wybiera się pan na lunch?

- Słucham? - włożył okulary i przyłożył rękę do ucha.

- Zastanawiałam się, czy idzie pan na lunch.

- Tak, proszę pani. Pomyślałem, że czas coś przekąsić.

- Oszczędzę panu wycieczki. Mamy dodatkową kanapkę z indykiem, jeśli ma pan na nią ochotę.

- Chętnie się poczęstuję, jeśli nie macie nic przeciwko.

- Jeżeli pan jej nie zje, trzeba będzie wyrzucić.

Wykorzystał przedni błotnik samochodu Daisy jako prowizoryczny stół piknikowy.

Otworzyłam ostatni napój i podałam mu. Podziękował za chipsy ziemniaczane, a później poczęstował się ciasteczkami, które z zapalem pochłonał.

- Jak idzie wykop? Panu udało się dostać dużo bliżej niż nam.

Użył papierowej chusteczki, żeby wytrzeć usta po jedzeniu. Pokiwał głową:

- Szybko im idzie. Wygląda na to, że niedługo spróbują wyciągnąć samochód na powierzchnię.

- Naprawdę? Są już tak blisko?

Zmiał papier, w który zawinięta była kanapka.

- Dlatego ściągnęli półciężarówkę z wózkiem holowniczym. Może im

się nie uda, ale najgorszą pracę mają już za sobą.

- Do której pan tu wczoraj został?

- Tak długo, jak mogłem. Uzbierało mi się trochę papierkowej roboty, więc musiałem się zbierać, zanim skończyli. Byłem dziś zaskoczony, jak dużo zrobili. Usunęli mnóstwo ziemi.

- Czy to pana sprzęt był używany podczas budowy tej drogi?

- Pewnie. W tamtych czasach było nas tylko dwóch. Ja i facet o nazwisku Bob Ziegler. Do budowy dróg hrabstwo wynajmowało prywatne przedsiębiorstwa, jak nasze, więc korzystaliśmy z tego zapotrzebowania. Byliśmy konkurencją, ale żaden z nas nie miał wystarczającej ilości sprzętu, żeby działać samemu. Ja miałem na składzie głównie ciągniki, a jemu zaczynało brakować sprzętu, bo wiele dróg na osiedla mieszkaniowe było w budowie.

- Dlaczego zajął się pan akurat wypożyczaniem sprzętu ciężkiego?

- Zobaczyłem, że jest zapotrzebowanie, i postanowiłem wkroczyć do akcji. Pożyczyłem pieniądze od kmiotków z lokalnego banku i naciągnąłem rodzinę na tyle, na ile się dało. Najpierw zgromadziłem kilka używanych maszyn rolniczych. Nie miałem biura ani parkingu.

Pracowałem w ciężarówce zaparkowanej przy budce telefonicznej, a techniczne usterki naprawiałem sam. Sprzęt ciężki to nie jest tania sprawa, więc każdy zarobiony cent wracał z powrotem do fabryki, w której kupowałem kolejne maszyny. Powoli zacząłem wychodzić na prostą. Tutaj w okolicy co drugiego faceta znasz ze szkolnej ławy, wystarczyło wsunąć kilka dolarów do kieszeni prywatnego przedsiębiorcy budowlanego i byłeś ustawiony. Przynajmniej na jakiś czas.

- Ma pan jakiś pomysł, jak facet wykopał ten dół? Calvin Wilcox mówi, że użył buldożera.

- Musiał. Jeśli chodzi o sprzęt ruchomy, w 1953 miał do wyboru tylko buldożera albo koparkę gąsienicową, która była wtedy nowinką techniczną. O ile pamiętam, firma Caterpillar wprowadziła na rynek jedną w 1950, ale dla mnie była o wiele za droga, a jeśli Zeigler by ją miał na składzie, wiedziałbym o tym. To musiał być zatem buldożer.

- Jeden z pańskich?
- Musiał być mój albo jego. Nikt inny w mieście nie miał takiego sprzętu.
- Czy przypadkiem nie trzyma pan jeszcze dokumentów z tamtych lat?
- Nie mogę pani pomóc. Chce pani wiedzieć, kto wynajął tę maszynę, ale nie da rady. Trzymam dokumenty tylko tak długo, jak tego wymaga urząd podatkowy, a potem je wywalam. Siedem lat do tyłu.
- Szkoda.
- Dziwne, że detektyw Nichols pozwala pani tak węszyć. Wygląda mi na takiego faceta, który nie daje sobie w kaszę dmuchać.
- Jak na razie nawet nie wiemy, z czym mamy do czynienia.
- Też racja. Z tego, co wiem, prawo nie zabrania zakopywania samochodów. Ci z biura szeryfa też nie lubią, kiedy ktoś wtyka nos w ich sprawy.
- Na szczęście ja nie „wtykam nosa w ich sprawy”. Detektyw Nichols wie, że jeśli dowiem się czegoś nowego, pójdę z tym prosto do niego. Obiecałam mu to.

Usłyszeliśmy jednostajne „piiip, piiip, piiip” cofającego pojazdu. Kierowca półciężarówki z wózkiem holowniczym miał otwarte drzwi, przez które się wychylał, żeby zobaczyć, gdzie jedzie. Większość funkcjonariuszy zebrała się wokół dołu - detektywi, policjanci, technicy. Daisy nie była w stanie się ruszyć, ale ja i Padgett przeszliśmy przez szosę, żeby znaleźć się tak blisko, jak tylko mogliśmy. Kiedy przymocowywano linę do przedniej osi pojazdu, doszło do wymiany zdań. Usłyszałam wycie podnośnika hydraulicznego, gdy lina się napinała.

Samochód z jękiem opuścił swój dół. Klekocząc i trzaskając, wyjechał na powierzchnię po długiej pochyłości. Kiedy wreszcie ukazał się naszym oczom, kierowca półciężarówki zaciągnął hamulec ręczny i wyskoczył z szoferki, żeby też rzucić okiem.

Smutne szczątki bel aira przycupnęły w świetle słońca jak jakaś zahibernowana bestia, której zakłócono sen. Wilgoć przegryzła gumę

wszystkich czterech opon i uleciało z nich powietrze. Rdza tak dokładnie pokryła karoserię, że nie dało się odróżnić koloru. Tylnego okna od strony pasażera nie było. Po tej samej stronie część dachu zapadła się pod ciężarem gleby, nadając samochodowi wygląd gnijącego melona. Ziemia musiała się wdrzeć do wnętrza, przez co powstało zagłębienie, które zauważyłam z pierwszego piętra. Z miejsca, w którym staliśmy, nie było nic widać, jednak później powiedziano nam, że za sprawą skroplonej pary obite tapicerką fotele przegniły aż do sprężyn. Przednia szyba i maska były nietknięte, ale rdza przeżarła na wylot bak. Benzyna wyciekła, tworząc teraz ciemną plamę na dnie dołu. Nawet z takiej odległości poczułam subtelne, ale jedyne w swoim rodzaju, jak odór skunka, wonie - rdzy, przegniłej tapicerki i rozkładającego się ciała.

Jeden z techników dmuchnął na szybę, żeby oczyścić jej kawałek. Skierował do wnętrza snop światła z wielkiej latarki. Potem podszedł do tyłu wozu, tam gdzie nie było szyby, by zajrzeć na siedzenie. Daisy się odwróciła, gryzła kciuk. Technik przywołał ruchem ręki detektywa, ten również zajrzał do środka. Podczas gdy drugi technik robił zdjęcia, Nichols podszedł do Daisy i odprowadził ją kawałek na bok. Przez chwilę coś jej tłumaczył, był bardzo poważny. Wiedziałam, że wieści nie są dobre. Daisy przytakiwała, ale prawie nic nie mówiła, a z wyrazu jej twarzy nie można było nic wyczytać. Detektyw upewnił się, że z Daisy wszystko w porządku, po czym podszedł do półciężarówki. Na jego znak bel air został załadowany na lawetę i zabezpieczony ciężkimi łańcuchami. Wróciła Daisy. Była blada, w oczach miała pustkę jak ktoś, kto nie do końca rozumie, co się dzieje.

- To, co zostało z psa, jest na podłodze. Na tylnym fotelu leżą szczątki szkieletu. Ciało jest owinięte w jakiś całun, ale większość materiału zgniła. Nichols mówi, że przyczyna zgonu będzie znana, kiedy lekarz sądowy obejrzy zwłoki.

- Przykro mi.

- Nie to jest najgorsze. Mówi, że całun wygląda jak resztki koronki. Prawdopodobnie to była firanka, bo z jednej strony widać połamane

plastikowe kółka.

ROZDZIAŁ 26

Wróciłyśmy do domu Daisy. Myślałam, że mnie tam wysadzi, żebym mogła wskoczyć do mojego volkswagena i ruszyć do domu. Jednak poprosiła, żebym z nią pojechała powiedzieć ojcu o odkryciu ciała Violet. Nie byłam pewna, czy już się w pełni otrząsnęła po ciosie, jakim była wiadomość o śmierci matki. Wyglądała na spokojną, ale emocjonalnie musiała być w rozsypce. Pragnęła wyjaśnienia, lecz przecież nie takiego. Chociaż nigdy o tym nie mówiła, prawdopodobnie miała nadzieję, że Violet żyje. Gdyby tak było, miałyby szansę na pojednanie.

Śmierć Violet spowodowała więcej pytań, niż dała odpowiedzi - a były to takie pytania, na które nie ma przynoszących ulgę odpowiedzi. W międzyczasie - jak zawsze praktyczna - skoczyłam do środka i przeniosłam ciuchy z pralki do suszarki, żeby dzinsy były gotowe na podróż do domu. Pojechałyśmy do Cromwell samochodem Daisy, zaparkowałyśmy przed probostwem. Foley siedział na werandzie w drewnianym bujaku, dłonie ułożył na podołku. W wyniku pobicia jego twarz była spuchnięta i obolała. Policzki i powieki nabrzmiały jak napompowane, a siniaki nabrały głębokiego niebieskiego koloru i rozlały się po całej twarzy. Foley wziął prysznic. Miał na sobie czyste ubranie, ale ze względu na tampony w nozdrzach i szynę na nosie nie mógł umyć głowy, kosmyki włosów miał zlepione resztkami zeschłej krwi. Patrzył, jak idziemy w jego stronę, i już wtedy musiał wiedzieć, że przynosimy złe wieści. Tak jak kiedy na widok posępnego policjanta pukającego do drzwi człowiek już wie, że musi się przygotować na cios. Daisy zatrzymała się kilka kroków przed werandą.

- Czy ktoś ci powiedział?

- Nie. Pastor wołał mnie do telefonu, ale nie podszedłem. Chciałem to usłyszeć od ciebie.

- Znaleźli ją w samochodzie. Jej tożsamość jeszcze nie została potwierdzona, ale razem z nią był pies. Z tego, co wiem, nie ma wątpliwości.

- Jak ją zabito?
- Na to pytanie będą mogli odpowiedzieć dopiero po autopsji. Jutro, a może pojutrze.
- Przynajmniej nas nie zostawiła. Znajduję w tym pociechę.
- Nie tak jak podejrzewaliśmy.
- Myślisz, że to ja ją skrzywdziłem?
- Nie wiem, co myśleć.
- Kochałem ją. Wiem, że mi nie wierzysz, ale kochałem ją całym sercem.

Po policzkach pociekły mu dwie samotne łzy, ale wyglądało to dziwnie, jakby zaczął przeciekać. Moim zdaniem nie był to najlepszy moment na dysputę o niewinności Foleya.

Daisy nie miała ochoty go słuchać, a już na pewno nie miała zamiaru patrzeć, jak robi z siebie ofiarę. Wszyscy wiedzieliśmy, kto się okazał prawdziwą ofiarą.

- W ten sposób nie okazuje się miłości, tato. Nie pięścią. Mój Boże. Jeżeli to jest miłość, to dziękuję, obejdę się bez niej.
- To nie było tak.
- Ty tak mówisz. Ja pamiętam tylko, jak ją biłeś do nieprzytomności.
- Nie twierdzę, że nie. Czasem ją uderzyłem. Przecież nie zaprzeczam. Mówię tylko, że nie wolno się skupiać na jednym szczególe i myśleć, że się rozumie całość. Małżeństwo jest bardziej skomplikowane.
- Lepiej wynajmij sobie kolejnego prawnika, tato. Powiem ci, co jest skomplikowane. Była owinięta koronkową firanką, a pies miał zgruchotaną czaszkę.

W drodze do domu Daisy trzymałam buzię na kłódkę, bo wyczułam, że jest podminowana.

Wreszcie się odezwała:

- Przysięgam na Boga - jeżeli ją zabił, chcę, żebyś go przyskrzypiła.
- Chciałabym, żeby to było takie proste, ale to nie moja działka. To śledztwo w sprawie zabójstwa i możesz mi wierzyć, że biuro szeryfa nie potrzebuje mojej pomocy ani wtrącania się. Może i jestem

licencjonowanym prywatnym detektywem, ale to nie robi wrażenia na lokalnych stróżach prawa. Nie ma szybszego sposobu na zadarcie z gliniarzami niż wtrącanie się w ich sprawy.

Daisy miała zdecydowaną minę:

- Jesteś mi winna jeden dzień. Dałam ci dwa tysiące pięćset dolarów.

Pięćset za dzień razy pięć dni, a ty pracowałeś cztery.

- Hmm, to prawda.

- Jeden dzień. Tylko o tyle proszę.

- To co mam robić?

- Na pewno coś wymyślisz. Rozumiem, o co ci chodzi z tym biurem szeryfa, ale w tym momencie wiesz o tej sprawie więcej niż oni.

- To prawda - zgodziłam się. Sama chciałam zaspokoić ciekawość i już kombinowałam, jak by można to zrobić bez deptania glinom po piętach. W przeszłości może i byłam troszkę, troszeczkę winna przekraczania tej cienkiej granicy, ale w wypadku tej sprawy miałam czyste sumienie.

Przynajmniej na razie.

Kiedy dotarliśmy do domu Daisy, włożyłam ciągle gorące od suszarki dzinsy, zebrałam przybory toaletowe i resztę ubrań i spakowałam wszystko do reklamówki. Wzięłam torbę, po czym razem z reklamówką rzuciłam ją na tylne siedzenie i wyjechałam z garażu. W sobotnie popołudnie urzędy państwowe były nieczynne, ale biblioteka publiczna w Santa Maria - otwarta, więc postanowiłam tam zajrzeć. Wjechałam do miasta, kierując się Broadwayem na północ aż do najlepszej dzielnicy miasta, gdzie zostawiłam samochód na parkingu.

Biblioteka mieściła się w jednopiętrowym budynku w hiszpańskim stylu zwieńczonym wszechobecnym w tych stronach dachem z czerwonymi dachówkami. Architektonicznie Santa Maria jest nieco podobna do Santa Teresa, jakkolwiek większa część miasta wygląda na zbudowaną mniej niż dwadzieścia pięć lat temu. Nie zauważyłam „starego miasta” ani niczego, co przypominałoby mieszankę hiszpańskich, wiktoriańskich, post wiktoriańskich, w stylu Craftsman oraz współczesnych domów, którymi szczyliła się Santa Teresa. Wiele

dzielnic - tak jak ta, w której mieszkał Tim Schaefer - pochodziło z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli z czasów, w których jednorodzinne domki były pozbawione nawet odrobiny wdzięku. W bibliotece zapytałam o księgozbiór podręczny. Skierowano mnie na pierwsze piętro, pojechałam tam windą. Najpierw znalazłam mikrofilm „Santa Maria Chronicle” zawierający numery od 1 czerwca do 31 sierpnia 1953. Włożyłam film do urządzenia i wolno przewijałam, szukając czegoś, co mogło mieć jakieś znaczenie.

Jeśli chodzi o wydarzenia w kraju, 19 czerwca w Sing-Sing wykonano wyrok śmierci na Juliusie i Et hel Rosenbergach.

W tym samym okresie cena znaczka pocztowego wzrosła z trzech do pięciu centów.

Najwyraźniej pojawiła się nowa nadzieja na rozejm w Korei. Co do wydarzeń lokalnych, to - jak głosiły reklamy - benzyna była sprzedawana po dwadzieścia dwa centy za galon, bochenek chleba kosztował szesnaście centów, a szesnastouncjowy słoik Kraft Cheez Whiz - pięćdziesiąt siedem centów. Livia Cramer wydawała przyjęcie z niespodzianką, cokolwiek by to było, a gazeta wydrukowała listę nagrodzonych pań. W miejscowych kinach można było obejrzeć Kleopatę Cecila B. DeMille’a z Claudette Colbert i Warrenem Williamem oraz trójwymiarowy film Bwana Devil. Na zbliżający się weekend Czwartego Lipca Santa Maria Indians mieli zaplanowany mecz z Santa Luis Obispo Blues o ósmej trzydzieści wieczorem na Elks Field, a 144. Batalion Artylerii Polowej - zjazd połączony z grillem. Tak jak przewidywałam, chociaż wiele przedsiębiorstw było w piątek otwartych, banki i urzędy państwowe zamknięto. W końcu natrafiłam na artykuł o zniknięciu Violet, ten sam, którego kopię Daisy włożyła do swojego skoroszytu. Wzięłam się do drukowania stron, zaczynając od trzydziestego czerwca i kończąc tydzień później.

Przeniosłam się do sali poświęconej genealogii i historii lokalnej. Sprawdziłam tomy na ścianie po lewej stronie i znalazłam książkę adresową hrabstwa z 1952 roku. Edycji z 1953 brakowało, ale do moich

potrzeb dane z 1952 były nawet bardziej przydatne. Położyłam torbę na podłodze i usiadłam na krześle przy jednym ze stolików.

Wcześniej, kiedy przeglądałam notatki, natknęłam się na mapkę, którą naszkicowałam podczas pierwszej wycieczki do Serena Station.

Spotkałam wielu ludzi, którzy byli blisko związani z Violet, ale nie rozmawiałam z tymi, którzy ją znali tylko z widzenia. Jeśli chodzi o morderstwo, każdy, kto ma coś do ukrycia, może kłamać, udzielać niejasnych odpowiedzi albo próbować obciążyć kogoś innego.

Bezstronny obserwator jest lepszym źródłem informacji.

Serena Station zajmowało dwie strony w książce adresowej hrabstwa: lista zawierała adresy, imiona i zawody członków mniej więcej sześćdziesięciu rodzin. Naliczyłam czterdzieści siedem gospodyń domowych, jedenastu pracowników rafinerii, pielęgniarkę, barmana (B.W. McPhee), parobka, czterech pracowników kolei, pięciu robotników, naczelnika poczty i nauczyciela. Foley uważał się za pracownika budowlanego, a Violet, jak zauważyłam, była wpisana jako kobieta niepracująca zawodowo, nie gospodyni domowa. Blue Moon, pralnia samoobsługowa i warsztat samochodowy były jedynymi przedsiębiorstwami w mieście.

Sąsiadami Sullivanów z lewej strony byli Jon i Bernadette Ericksen. W budynku stojącym za wynajmowanym przez nich domem mieszkali Arnold i Sarah Treadwell. W następnym domu za Ericksenami mieszkała rodzina o nazwisku Hernandez. Spisałam wszystko, bo na tym etapie nie wiedziałam, której informacji będę się chciała bliżej przyjrzeć.

Zauważyłam nazwiska Livii i Cheta Cramerów, ale nie było rodzin o nazwiskach Wilcox ani Ottweiler.

Sprawdziłam pięć stron poświęconych małemu miasteczku o nazwie Cromwell i znalazłam oba nazwiska. W Cromwell było więcej przedsiębiorstw, ale i tak zajmowały tylko osiem dodatkowych kolumn. Skserowałam wszystkie strony, choć nie sądziłam, bym potrzebowała ponownie do nich zajrzeć. Jednak w razie czego nie ma przecież sensu tutaj wracać.

Odłożyłam tom na miejsce i wyciągnęłam książkę adresową miasta z 1956, żeby sprawdzić trzy nazwiska - Ericksen, Treadwell i Hernandez. Dwóch z tych trzech rodzin nie znalazłam, co oznaczało śmierć, rozwód albo po prostu przeprowadzkę do innego miasta. Zauważyłam, że po 1956 książka adresowa hrabstwa została przekształcona na książkę adresową miasta i obejmowała tylko Santa Maria i Lompoc, Serena Station nie było nawet wspomniane.

Wyciągnęłam książkę telefoniczną z 1986 i zagłębiłam się w lekturze z nadzieją na odnalezienie interesujących mnie nazwisk. Jeśli chodzi o Hernandezów, nie było na to szans. Było ich tak wielu, że w życiu nie trafiłabym na tych właściwych. Trochę więcej szczęścia miałam z Ericksenami. Nie znalazłam „J” ani „B”, ale w Santa Maria mieszkał lub mieszkała „A. Ericksen”, być może potomek Jona i Bernadette. W Orcutt znalazłam rodzinę Treadwellów. Co prawda pierwsza litera imienia męża nie pasowała, lecz pomyślałam, że może to jacyś krewni. Zapisałam oba numery telefoniczne i adresy.

Kiedy płaciłam za ksero, wyjaśniłam bibliotekarzowi, czego szukam.

- Gdzie jeszcze mogę znaleźć informacje o Serena Station w 1953 roku? Już przejrzałam stare książki adresowe.

- Może pani zerknąć do indeksu spisu ludności dla hrabstwa Santa Teresa. O ile pamiętam, mamy spisy z lat 1951 i 1954.

- Świetnie.

Niestety, jak się okazało, wcale nie świetnie. Wróciliśmy do półek i bibliotekarz odszukał potrzebny tom z 1951. Znowu usiadłam i poszukałam Serena Station. Każda pozycja uwzględniała imię i nazwisko, adres, zawód i przynależność partyjną (więcej republikanów niż demokratów, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie), ale wszystkie adresy zawierały jedynie numery skrzytek pocztowych, które były mi na nic.

Wróciłam do stron poświęconych Santa Maria i strona po stronie przeglądałam spis mieszkańców. Po dziesięciu minutach dałam za wygraną, bo numerów było przygnębiająco dużo. Miałam nadzieję, że już mam wszystko, czego potrzebuję. Zgarnęłam notatki i zjechałam windą

na parter, rozglądając się za automatem telefonicznym.

Najpierw spróbowałam dodzwonić się do Treadwellów, jednak zdecydowanie nie był to mój szczęśliwy dzień. Odebrała pani Treadwell - nigdy nie mieszkała w Serena Station, nigdy nie знаła Sullivanów i absolutnie nie mogła służyć pomocą, jeśli chodzi o namierzenie Treadwellów z Serena Station. Podejrzewała, że chcę jej coś sprzedać, i odmówiła odpowiedzi na kolejne pytania.

Wykręciłam numer A. Ericksen, odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrałam wiadomość: „Dzień dobry, nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem z Santa Teresa i zastanawiam się, czy to numer do osoby o nazwisku Ericksen, która w 1953 roku mieszkała w Serena Station. Czy mogę prosić o oddzwonienie?”.

Wyrecytowałam swój numer telefonu w Santa Teresa i powtórzyłam nazwisko. Potem wróciłam do samochodu i ruszyłam w kierunku stojedynki.

O siedemnastej piętnaście stanęłam pod drzwiami mojego mieszkania. Nie było mnie od czwartku rano, więc w salonie zrobiło się duszno, powietrze przesiąkło starymi środkami czyszczącymi i gorącym kurzem. Położyłam walizkową maszynę do pisania na biurku. Cheney nagrał dwie wiadomości, prosił, żebym oddzwoniła. Wykręciłam jego numer, ale był zajęty.

Nie miałam torby podróźnej, ale moje niedawno kupione ciuchy były złożone i spakowane w ładnej reklamówce. Wbiegłam na górę spiralnymi schodami i się rozpakowałam. Nastawiłam wodę i zrobiłam sobie filiżankę herbaty, którą wypiałam, siedząc przy kuchennym blacie i przeglądając notatki. Wydawało się całkiem możliwe, że wśród moich rozmówców był morderca Violet. Nieważne, jaki miał motyw - zazdrość, nienawiść, chciwość, zemsta.

Wiedziałam, że to było morderstwo z zimną krwią, bo dół został wykopany na długo przed pogrzebem. Morderca nie mógł przecież mieć pewności, czy niezbędny sprzęt będzie na miejscu, chyba że osobiście dopilnował, by się tam znalazł. Razem z Violet zniknęły jej pieniądze.

Podobno wyjęła ze skrytki depozytowej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Do tego pożyczyła dwa tysiące od brata i pięćset od matki, nie licząc biżuterii, którą ukradła. Gdzie się podziały te pieniądze i biżuteria? Możliwe, że znajdują się w samochodzie. Jednak jeśli zabójca o nich wiedział, to czemu ich sobie nie wziął, zanim zasypał z powrotem dziurę? To musiał być ktoś, kogo znała. Prawdopodobnie miejscowy - wiedział wystarczająco dużo o posiadłości Tannerów i budowie New Gut Road, żeby mieć pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Musiał mieć jakąś wymówkę, na wypadek gdyby ktoś pytał, gdzie był wtedy, kiedy przygotowywano miejsce zbrodni. To oznaczało, że albo nie miał stałej pracy - w tym wypadku mógł tam spędzić tyle czasu, ile potrzebował - albo, jeśli pracował od dziewiątej do piątej, miał wtedy urlop lub był na chorobowym. Jeszcze jedna możliwość - mógł mieć wolny długi weekend.

Moim głównym podejrzanym ciągle był Foley Sullivan. Zgoda, współczułam mu, ale przecież miał lata praktyki w udawaniu niewinnego. Wierzyłam mu, kiedy mówił o swojej miłości do Violet, lecz nie wykluczałam tego, że ją zabił.

Wróciłam do notatek, które zrobiłam po rozmowie z Chetem Cramerem. Nie miałam pojęcia, co mógł zyskać na śmierci Violet, ale go nie wykluczyłam. Nie sądziłam, że ma duże doświadczenie w obsłudze ciężkiego sprzętu, lecz zanotowałam przypadkowo rzuconą uwagę. Powiedział, że jeśli chodzi o brudną robotę, zawsze można kogoś wynająć.

Pomyślałam o Winstonie Smisie, który stracił pracę z powodu Violet. Co prawda Cramer w następnym tygodniu przyjął go z powrotem, ale skąd Winston miał o tym wiedzieć w czasie, kiedy Violet zniknęła? Miałam co do niego wątpliwości. Był pewien, że zniszczyła jego życie, co zresztą na swój sposób okazało się prawdą. Jeżeli zdobyłby wykształcenie - tak jak planował - nie sprzedawałby samochodów i może nie byłby mężem kobiety, która teraz chciała, żeby się wyniósł z jej życia. O Tomie Padgetcie wiedziałam niewiele, ale warto go było sprawdzić.

Steve Ottweiler?

Nie. Zaznaczyłam jego nazwisko, lecz tylko żeby być fair. Skoro podejrzewałam innych, równie dobrze mogłam dopisać do listy i jego. Miał wtedy szesnaście lat i pewnie Violet widziała w nim łatwą ofiarę. Jednak jeżeli tych dwoje miało ognisty romans, to po co miałyby ją zabijać?

Dopisałam również B.W. i Jake'a.

Cały czas miałam wrażenie, że przeoczyłam coś oczywistego, nie wiedziałam tylko co.

Zrobiłam sobie przerwę. Przyrządziłam na kolację kanapkę z masłem orzechowym i korniszonem. Zamiast talerza użyłam papierowej serwetki, w ten sposób ograniczyłam do minimum liczbę brudnych naczyń.

Właśnie myłam nóż, kiedy zadzwonił telefon.

Kobieta po drugiej stronie linii przedstawiła się:

- Mówi Anna Ericksen. Rozumiem, że to ty zostawiłaś mi wiadomość.
- Czy mieszkałaś kiedyś pod numerem 3906 na Land's End Road w Serena Station?

Chwila nieufnej ciszy.

- A do czego ci to potrzebne?
- Przepraszam. Powinnam była wyjaśnić wcześniej. Szukam kontaktu z rodziną, która w 1953 roku mieszkała obok Foleya i Violet Sullivanów.
- To dom moich rodziców, tam dorastałam.
- Naprawdę? Rany, to wspaniale. Mam szczęście, że nie wyszłaś za mąż, wtedy nigdy bym do ciebie nie dotarła.
- Och, kochana. Jestem lesbijką. Za skarby świata nie wyszłabym za mąż. I bez tego mam wystarczająco dużo kłopotów.
- Pamiętasz Violet Sullivan?
- Nie bezpośrednio. Byłam wtedy małym dzieckiem, ale później ludzie cały czas o niej gadali. W 1953 mieszkaliśmy koło Sullivanów. Pewnie wiesz, że znaleźli ją w samochodzie.
- Coś słyszałam. Posłuchaj, wiem, że pewnie niewiele pamiętasz, ale czy jest coś, co możesz mi powiedzieć na temat Violet?

- Nie. Przykro mi, ale niczego nie pamiętam. Natomiast mogę opowiedzieć o tamtym Czwartym Lipca.

- Żartujesz. Pamiętasz tamten konkretny Czwarty Lipca?

- Właśnie tak. Poszliśmy oglądać fajerwerki, a potem przyjaciółka Daisy Tannie przyszła do mnie na noc. Byłam taka podekscytowana! Miałam pięć lat, a ona dziewięć i po prostu ją uwielbiałam. Namówiła mnie na skakanie po moim łóżku, czego nie wolno mi było robić. Podskakiwałyśmy sobie w najlepsze i świetnie się bawiłyśmy. A potem wpadła na mnie i strąciła mnie na podłogę, a ja złamałam rękę. Kość nie zrosła się dobrze, dotąd można wyczuć wypukłość. To jedno z moich pierwszych konkretnych wspomnień.

Nie wierzyłam własnym uszom. Zastanawiałam się, czy ta kobieta popełnia właśnie zasadniczy błąd.

- Słyszałam, że Tannie z tatą oglądali fajerwerki.

- Och, właśnie tak było. Spotkaliśmy się w parku i ojciec Tannie zapytał moją matkę, czy Tannie może zostać u nas na noc. Powiedział, że musi coś załatwić i nie jest pewny, ile czasu mu to zajmie.

- Powiedział, gdzie się wybiera?

- Nawet jeśli powiedział, ja tego nie zapamiętałam. Może mówił matce, ale ona już dawno nie żyje. Czemu nie zapytasz Tannie? Może ona wie.

- Zapytam. Dziękuję, bardzo mi pomogłaś.

ROZDZIAŁ 27

Liza Sobota 4 lipca 1953

Liza Mellincamp często wspominała swoje czternaste urodziny, które wypadły 3 lipca 1953, dzień przed zniknięciem Violet Sullivan. Wiele lat później ciągle nie mogła uwierzyć, że tak wiele się zdarzyło w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin.

Urodzinowy poranek spędziła, sprzątając swój pokój. Violet miała ją zabrać na lunch, więc Liza chciała szybko uporać się z obowiązkami domowymi. Nigdy jeszcze nie była w prawdziwej restauracji i czuła się szalenie podekscytowana. Co prawda kiedyś z matką zjadły po połowie

kanapki z tuńczykiem w sklepie, ale to nie to samo.

O dziewiątej trzydzieści włączyła radio z budzikiem i wysłuchała dwóch powieści w odcinkach *The Romance of Helen Trent* oraz *Our Gal Sunday*, ścieląc łóżko, wyrzucając śmieci i wrzucając brudne ubrania do kosza na bieliznę. W poniedziałek, jak co tydzień, zanieśie wszystko do pralni samoobsługowej. Od jakiegoś czasu Liza zajmowała się domem, bo mama była zwykle tak pijana, że cały czas leżała na sofie w salonie, paliła papierosy i wypalała dziury w drewnianym blacie stolika. Liza uporządkowała rzeczy na biurku, stoliku nocnym i półkach z książkami, a następnie starła kurze. Wytrzepała dywaniki na werandzie, a potem przewiesiła je przez balustradę, aby się wywietrzyły. Wymyła mopem linoleum w swojej sypialni, a potem dodatkowo wypolerowała je płynem *Johnson's Jubilee*. Lubiła, gdy lśniło i wyglądało, jakby było mokre, choć wiedziała, że kiedy wyschnie, znowu będzie matowe. W łazience wyszorowała wannę, sedes i umywalkę. Były zbyt popękane i poplamione, żeby wyglądać naprawdę świeżo i ładnie, ale czuła się lepiej, gdy wiedziała, że to jest zrobione.

O jedenastej wyprasowała swoją najlepszą białą bluzeczkę z *Ship'n Shore* z okrągłym kołnierzykiem i krótkimi rękawami. Wskoczyła pod prysznic, a potem się ubrała. Wcześniej dzwoniła Violet z wiadomością, że ma dla niej wielką niespodziankę. O jedenastej czterdzieści pięć ona i Daisy zajechały przed dom Lizy nowiutkim chevroletem. Violet parsknęła śmiechem na widok zaskoczonej miny Lizy. Liza przedtem nawet nie siedziała w nowym samochodzie, a teraz mogła do woli zachwycać się białymi kołpakami, deską rozdzielczą, tapicerką i lśniącymi chromem korbkami do otwierania okien.

Pojechały do Santa Maria, gdzie wszystkie trzy zjadły lunch w restauracji hotelu Savoy.

Liza i Violet zamówiły koktajl z krewetek na pierwsze danie, a potem maciupęńkie miseczki rosołu i talerz pełen minikanapek - brązowy chleb z białym serem i siekanymi orzechami, z pastą jajeczną, z sałatką, z szynką, a nawet jedna z rzeżuchą i cieniutko pokrojonymi rzodkiewkami.

Liza i Violet jadły, trzymając odchylony mały palec i udając, że są och-
jakie-wytworne. Daisy pałaszowała spaghetti - jedną z niewielu potraw,
które jadła, nie licząc kanapek z galaretką winogronową. Na deser był
tort, Liza dostała kawałek z zapaloną świeczką. Zdmuchnęła ją, a kiedy
stojący dookoła stolika kelnerzy i kelnerki odśpiewali Happy Birthday, aż
się zarumieniła z radości. Właśnie kiedy myślała, że życie nie mogłoby
być cudowniejsze, Violet wręczyła jej nieduże pudełeczko zapakowane w
piękny lawendowy papier. Liza otworzyła prezent drżącymi palcami. W
środku leżał srebrny medalionik w kształcie serca, mniej więcej wielkości
monety pięćdziesięciocentowej. W medalionie była miniaturowa
fotografia Violet.

- Popatrz tylko na to - Violet odsunęła na bok fotografię i pokazała
Lizie miejsce na drugie zdjęcie.

- Tu włożysz zdjęcie swojej Prawdziwej Miłości - Violet wskazała na
puste miejsce. - Myślę, że nie minie rok, a będziesz wiedziała, kto to jest.

- Dziękuję.

- Och, cukierczku, nie płacz. To twoje urodziny.

- To najwspanialszy dzień w moim życiu.

- Będą inne, dużo wspanialsze, ale ciesz się i tym dzisiejszym. Obróć
się, zapnę ci łańcuszek.

Liza posłusznie się odwróciła, uniosła włosy, a Violet zapięła
zameczek. Liza położyła dłoń na medalioniku, który miękko spoczął w
zagłębieniu jej szyi. Srebro już zdążyło się ogrzać od ciepła skóry. Jej
talizman. Nie mogła się powstrzymać, co chwilę musiała go dotykać.
Violet zapłaciła za lunch. Wyciągnęła banknoty z grubego zwitku
pieniędzy i postarała się, aby każdy zauważył, jaka jest bogata. Była cała
w skowronkach i raz po raz wspominała, że już niedługo jej życie
polepszy się o sto procent. Liza pomyślała, że jeżeli to prawda, nie trzeba
powtarzać tego cztery razy podczas posiłku, ale taka właśnie była Violet.

- O rany, Louise, prawie bym zapomniała - przypomniała sobie Violet.

- Potrzebuję opiekunki do dziecka na jutrzejszy wieczór. Masz czas?

Liza przestała się uśmiechać:

- No, nie bardzo. Kathy i ja idziemy obejrzeć fajerwerki.

Violet patrzyła na nią zbita z tropu. Była pewna, że Liza nie odmówi.

- Nie mogłabyś sobie odpuścić? Tylko ten jeden raz.

- Nie wiem... Już jej powiedziałam, że z nią pójdę. Nie chciałabym jej zawieść.

- Uwierz mi, tylko facet jest zawiedziony, kiedy odwołujesz z nim spotkanie. Koleżanki wieczorem to strata czasu.

- A nie mogłabyś poprosić kogoś innego?

- Na litość boską, Lies. Tak późno? Nie ma szans. Poza tym Kathy to mękoła. Widziałam, jak cię rozstawia po kątach. Czy ty nigdy się jej nie sprzeciwisz?

- Mogłabym przyjść na chwilę. Do za kwadrans dziewiąta. Możemy iść do parku przed dziewiątą.

Violet utkwiała w Lizie spojrzenie swoich przejrzyście zielonych oczu.

- Jeśli zostaniesz na cały wieczór, możesz zaprosić Ty'a. Wiesz, że nie mam nic przeciwko. Fajerwerki nie są aż taką atrakcją. W przyszłym roku też będą.

Liza była w kropce. Co miała odpowiedzieć? Violet sprezentowała jej ten idealny dzień, a teraz prosiła o jedną małą przysługę. Oczy Violet rozszerzyły się:

- Proszę, proszę, proszę... Przecież nie możesz spędzać każdej wolnej chwili z Kathy. Ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Liza nie potrafiła odmówić. Zawsze przychodziła opiekować się Daisy.

Violet mogła na nią liczyć, nawet jeśli zapomniała ją wcześniej uprzedzić.

A Kathy ostatnio zachowywała się irytująco.

- No dobrze, zgadzam się. Z Kathy możemy się spotkać w niedzielę.

- Dziękuję ci, landryneczko. Jesteś słodziutka.

- Nie ma sprawy - Liza zaczerwieniła się z radości. Zawsze robiło jej się ciepło na sercu, kiedy ktoś ją chwalił.

Po lunchu, aby przyjemnie zakończyć wspólnie spędzony dzień, Violet zabrała Lizę i Daisy na trójwymiarowy film Bwana Deuil z Robertem Stackiem i Barbarą Britton. Film miał premierę już siedem miesięcy temu, ale do Santa Maria dotarł dopiero niedawno. Wszystkie trzy usadowiły się w pierwszym rzędzie. Na nosach miały tekturowe okulary, a na wargach woskowe usta - żeby było śmieszniej. Chrupały popcorn i batoniki Milk Duds. Violet powiedziała Lizie, że okulary rozdawane na pierwszych pokazach filmów trójwymiarowych miały jedną soczewkę zieloną, a drugą czerwoną. Dzięki nowej technologii wprowadzonej przez Polaroida obie soczewki były teraz przezroczyste, ale Violet nie miała pojęcia, na czym polegał zarówno stary, jak i ulepszony proces. W głowie jej się nie mieściło, w jaki sposób jedno szkło zielone i jedno czerwone sprawiają, że film staje się trójwymiarowy, tak powiedziała. Na ekranie pojawiła się czołówka, usadowiły się wygodniej. Niestety, za pierwszym razem, kiedy lew skoczył z ekranu wprost na widzów, Daisy dostała ataku hysterii i rozszlochała się tak bardzo, że Liza musiała wziąć ją do foyer i przez godzinę uspokajać. Jednak i tak były to najwspanialsze urodziny Lizy i było jej przykro, że dzień chyli się już ku końcowi.

Wróciły do Sullivanów i Liza przez godzinkę posiedziała z Daisy, bo Violet miała coś do załatwienia. Całe szczęście, że Foley wracał do domu dopiero o szóstej, w związku z czym Liza nie musiała mieć z nim do czynienia. Violet jak zwykle się spóźniła, więc Liza dotarła do domu dopiero za kwadrans szósta. Matka usłyszała jej kroki i zawołała ją do salonu. Liza stała w drzwiach i patrzyła, jak matka próbuje usiąść prosto. Wyglądała na tak pijaną, że Liza miała ochotę krzyknąć.

- Co? - zapytała Liza. Nie chciała psuć sobie dobrego humoru, ale

miała też wystarczająco dużo rozumu w głowie, żeby nie ignorować mamy.

- Tylko słówko ostrzeżenia. Była tu Kathy Cramer z prezentem urodzinowym dla ciebie, a kiedy się dowiedziała, że cię nie ma, zrobiła tę swoją minę - matka mówiła tylko trochę niewyraźnie. W pewien dziwny sposób była. Świadoma wszystkiego, co się działo dookoła. Serce podeszło Lizie do gardła. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to żeby Kathy się dowiedziała o jej lunchu z Violet i wyprawie do kina na Bwana Deuil. Kathy od dłuższego czasu gadała o tym filmie, próbowała nawet namówić tatę, żeby podrzucił je do kina. Liza nie uważała, że jest w jakiś sposób zobowiązana czekać, aż będzie mogła obejrzeć ten film z Kathy, ale wiedziała, że z punktu widzenia przyjaciółki sprawa wygląda inaczej.

- I co jej powiedziałaś?

- Nie pamiętam. Wymyśliłam jakąś wymówkę. Wyrwała mnie z głębokiego snu - weszła na werandę, zaczęła się drzeć i łomotać, jakby się paliło. Wrzasnęłam na nią, żeby dała sobie na wstrzymanie. Kiedy się tam wreszcie dowlokłam, już wyglądała tak, jakby połknęła kij. Powiedziałam jej, że nie mam pojęcia, gdzie jesteś. Od razu się naburmuszyła i nabzdyczyła. Naprawdę, Liza, co ty w niej widzisz? Ona jest jak kamień u nogi, ciągnie cię w dół.

- Nie powiedziałaś jej o Violet?

- A dlaczego miałabym mówić?

- Gdzie położyłaś prezent?

- Wzięła go do twojego pokoju i powiedziała, że zostawi na biurku.

Liza pospieszyła do swojego pokoju nagle przestraszona, że Kathy skorzystała z okazji, żeby trochę powęszyć. Pokój wyglądał mniej więcej tak samo jak rano, ale kiedy sprawdziła pamiętnik ukryty za rzędem książek, nie była całkiem pewna, czy nic się nie zmieniło. Gdy usiadła na łóżku i przekartkowała zeszytik, ogarnął ją prawdziwy niepokój. Zapisała tam każdy szczegół romansu z Ty'em Eddingsem. Jeżeli Kathy przeczytała kilka ostatnich wpisów, Liza już nie żyła. Zdaniem Kathy

nawet używanie tampaksów junior było sprzeczne z ideą Absolutnej Czystości.

Liza schowała pamiętnik w innym miejscu, a potem usiadła na łóżku i odpakowała prezent od Kathy, który był pięknie zawinięty w papier w różowe kwiatuszki i ozdobiony na górze śliczną różową kokardką. Róż był ulubionym kolorem Kathy. Liza wolała różne odcienie fioleto, podobnie jak Violet.

Kiedy zobaczyła, co Kathy jej podarowała, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Pudełeczko pudru o zapachu konwalii, to samo, które ofiarowała Kathy z okazji urodzin rok wcześniej, w marcu. Na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze spód pudełeczka - jasne, ta sama metka, której pół oderwała, gdy próbowała jej się pozbyć. Najwyraźniej Kathy nie tylko nie użyła kosmetyku, ale również zapomniała, od kogo go dostała. I co teraz? Liza wcale nie miała ochoty dzwonić do Kathy. Z drugiej strony może lepiej załatwić to teraz i mieć z głowy. Jeżeli Kathy przeczytała jej pamiętnik, na pewno nie przepuści okazji, żeby ją zbesztać i potępić, bo przecież ona, ideał, jak zawsze miała do tego prawo.

Liza poszła do holu, podniosła słuchawkę i wykręciła numer Kathy. Odebrała pani Cramer.

- Dzień dobry, pani Cramer? Mówi Liza. Czy Kathy jest w domu?

- Chwileczkę - zakryła ręką słuchawkę, ale Liza i tak usłyszała, jak krzyczy w głąb domu. - Kathy? Dzwoni Liza.

Długa pauza, kiedy Kathy wlokła się na dół.

- Mam nadzieję, że urodziny się udały - zagaiła w tym czasie pani Cramer.

- Owszem, udały się. Dziękuję.

- Daję Kathy.

Kathy wzięła słuchawkę, jej głos był martwy i odległy:

- Cześć.

- Cześć. Dzwonię podziękować za puder. Ślicznie pachnie.

- Proszę bardzo - nawet te dwa słowa zabrzmiały hardo i wrogo.

- Coś się stało?
- Dlaczego pytasz?
- Kathy, jeśli coś cię gryzie, po prostu mi powiedz.
- No dobrze, więc gdzie byłaś? Właśnie to mnie gryzie. Miałyśmy się spotkać.
- Naprawdę?
- Taaak. Dziś po południu. Moja mama miała nas podwieźć do sklepu. Liza poczuła, jak robi się jej zimno, kiedy Kathy ciągnęła tym swoim cierpięciznym, oskarżycielskim tonem:
 - Miałyśmy wybrać wykroje i materiały, żeby potem uszyć sobie spódniczki i bluzki na jesień. Nie pamiętasz?
 - Pamiętam, że o tym kiedyś wspomniałaś, ale to było dawno temu i nie mówiłaś, kiedy się tym zajmiemy.
 - Ponieważ to było oczywiste. Liza, tak miałyśmy spędzić dzień twoich urodzin. Nie sądziłam, że muszę mówić wielkimi literami. Podjechałyśmy po ciebie przed lunchem, a ciebie nie było. Nawet twoja mama nie wiedziała, gdzie jesteś.
 - Przepraszam. Zapomniałam...
 - Jak mogłaś zapomnieć? To nasza tradycja - zawsze wspólnie spędzamy urodziny.
 - Jak na razie dwa razy - próbowała się bronić Liza. Wiedziała, że pożałuje tego pyskowania, ale nie mogła się powstrzymać.
 - Cóż, wygląda na to, że dla mnie to znaczyło więcej niż dla ciebie - powiedziała Kathy.
- Liza nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała.
 - Gdzie właściwie byłaś? - dopytywała Kathy.
 - Nigdzie konkretnie. Po prostu wyszłam z domu.
 - Wiem, że wyszłaś z domu. Pytam, gdzie byłaś.
 - A co to za różnica? - Liza nie mogła uwierzyć, że tak się stawia, ale miała już dość humorów Kathy.
 - Taka różnica, Lizo, że chciałabym wiedzieć, co było aż tak ważne, że mnie wystawiłaś.

- Nie wystawiłam cię. Po prostu zapomniałam, okej?
- Wiem, że zapomniałaś. Powtarzasz to po raz setny. Nie musisz ciągle do tego wracać.
- Czemu tak się wściekasz? Nie zrobiłam tego złośliwie.
- Nie wściekam się. Dlaczego miałabym się wściekać? Proszę tylko o wyjaśnienie. Chyba chociaż tyle mi się należy w sytuacji, kiedy nie było cię w domu, choć się ze mną umówiłaś.

Liza powoli traciła cierpliwość. Kathy zapędziła ją w kozi róg. Jeżeli powie jej, gdzie była, przyjaciółka zasypie ją pretensjami albo będzie się dąsać do końca życia, albo jedno i drugie.

W każdym razie na pewno nie puści sprawy w niepamięć. Liza widywała ją już w akcji. Kiedy Kathy była wściekła, nie odpuszczała.

- Musiałam coś załatwić.
- Co? - Kathy była coraz bardziej rozdrażniona.
- A jaka to różnica?
- Innymi słowy, nie chcesz mi powiedzieć. Dziękuję ci bardzo. Ja bym cię nigdy tak okropnie nie potraktowała...
- Och, nie przesadzaj. Nie traktuję cię okropnie.
- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.
- Nie powiedziałam, że nie jesteśmy.
- Tak się nie traktuje najlepszej przyjaciółki. Masz przede mną sekrety, jesteś złośliwa...
- Nie jestem złośliwa.
- Wiesz co? Taka jest właśnie między nami różnica. Nie mówisz prawdy. Dzięki Ruchowi Odnowy Moralnej ja się stałam lepszą osobą, ale dla ciebie Absolutna Bezinteresowność nic a nic nie znaczy. Robisz, co chcesz, idziesz, gdzie chcesz, a potem jeszcze kłamiesz...

Liza jej przerwała:

- Muszę kończyć. Mama nie woła.

Kathy mówiła teraz drżącym głosem:

- Wiesz co? Absolutna Szczerłość? Zraniłaś mnie. Głęboko. Cały tydzień czekałam na to spotkanie. To miał być najmiłszy moment dnia.

Postaw się na moim miejscu, pomyśl, jak się poczułam, kiedy usłyszałam, że wyszłaś i nie zostawiłaś mi nawet kartki z wyjaśnieniem.

- Kathy, przecież nie zrobiłam tego specjalnie. Popełniłam błąd.

- W takim razie dlaczego nie zadzwoniłaś, kiedy wróciłaś do domu?

- Przecież właśnie to robię. Rozmawiamy. Dzwonię do ciebie. A może nie?

- Jasne, sto lat później.

- W tej chwili weszłam do domu!

- Nie było cię cały dzień?

- No to co? Nie rób z tego afery.

- Ja robię aferę? Czyli teraz to moja wina?

- Nie powiedziałam, że to twoja wina, ale nie rób z tego wielkiej sprawy. Ty też robisz bez mnie różne rzeczy. Dlaczego mnie nie wolno raz zrobić czegoś bez ciebie?

- Świetnie. Niech i tak będzie. Żałuję, że w ogóle zaczęłam o tym mówić.

Liza traciła już resztki cierpliwości. Jeżeli natychmiast czegoś nie zrobi, to wszystko będzie się za nią ciągnęło do końca życia.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro, okej? Przepraszam.

Zapadła cisza. Kathy nie lubiła oddawać władzy:

- Serio?

- Tak. Mówię to szczerze. Nie chciałam ci powiedzieć, gdzie byłam, bo to ma związek z moją mamą i jej... no wiesz... jej problemem.

- Och, moje biedactwo. Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

- Było mi wstyd. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Oczywiście, że tak. Doskonale cię rozumiem. Ale naprawdę, jeżelibyś mi bardziej ufała, mogłybyśmy uniknąć takich nieporozumień.

- Następnym razem nie będę taka. Przykro mi, że nie byłam z tobą całkowicie szczerą.

- Wszystko w porządku, Lizo. To nie twoja wina, że ona taka jest.

- Dziękuję, że jesteś taka wyrozumiała - skoro już skapitulowała, dlaczego również nie złożyć broni?

- To o której idziemy jutro do parku? Myślisz, że szósta to za wcześnie? Pomyślałam, że możemy sobie zrobić piknik, i przygotowałam pikantne jajka.

Liza nie wiedziała, co powiedzieć.

- Liza?

- Jestem. Niestety, nie mogę iść. To druga sprawa, z którą dzwonię.

Moja mama jest trochę chora i muszę zostać w domu, bo mnie potrzebuje.

- Może jutro będzie się czuła lepiej?

- Nie jestem pewna. Nie sędzę. Nie wygląda dobrze.

- Nie możesz jej zostawić nawet na godzinkę?

- Wolałabym nie.

- A co jej jest?

- Nie wiem. Gdy tylko skończymy rozmawiać, dzwonię po lekarza.

Cały dzień wymiotowała, więc to może być coś poważnego.

- Chcesz, żebym z tobą posiedziała? Nie zależy mi na fajerwerkach.

Możemy zrobić popcorn.

- Lepiej nie. To może być zaraźliwe. Właśnie mnie woła, muszę kończyć. Porozmawiamy jutro, okej?

- Pewnie. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej.

- Ja też.

Kiedy Liza odłożyła słuchawkę na widełki, plecy miała mokre od potu.

W myślach w kółko odtwarzała tę rozmowę, przypominała sobie ton

Kathy i żałowała, że nie była szybsza, kiedy przyjaciółka próbowała ją

pogrążyć. Nie powinna była mieszać w to mamy, ale co innego mogła

zrobić? Nie sądziła, że Kathy kiedyś zorientuje się, że została oszukana.

Wiedziała, że litowała się nad nią ze względu na pijaństwo matki i, jak

często przypominała, modliła się za nią w kościele, w imię Absolutnej

Miłości. Według Lizy nie było w tym wiele miłości, ale też Liza nie była

ekspertem w tej dziedzinie.

Postanowiła przygotować matce wczesną kolację, bo wychodziła z

Ty'em dziś wieczór. Nie mogła się doczekać, kiedy mu powie wszystko,

co usłyszała od Kathy. Ty od początku jej nie lubił - ucieszy się, że Liza

wreszcie się jej sprzeciwiła. Nie za bardzo, ale jednak. Nie wszystko naraz.

Nastawiła wodę na ryż, otworzyła puszkę kukurydzy i puszkę zielonego groszku. Dbała o to, aby matka dobrze się odżywiła, ale ona nie jadła nawet połowy tego, co córka przygotowała, cokolwiek by to było. Dwa dni temu Liza przyrządziła klops, więc teraz tylko wyjęła mięso z lodówki, odcięła plaster i przysmażyła na margarynie. Kiedy posiłek był już gotowy, ułożyła wszystko na tacy, dodała serwetkę, sztućce i zanosła kolację do salonu.

Matce urwał się film. Liza zgasiła tłącego się na popielniczce papierosa i zabrała tacę z powrotem do kuchni. Postawiła ją na ladzie, tak aby matka ją zauważyła, kiedy wstanie.

Następnie umyła naczynia i odłożyła je na półki.

Ty podjechał po nią o dziewiątej wieczorem furgonetką wuja, jak zawsze, gdy udało mu się ją wyżebrać. Kiedy wsiadła, z niezdnym ukłonem wręczył jej papierową torbę.

- Co to? - zapytała, wyjmując butelkę czegoś, co wyglądało jak szampan.

- Szampan Cold Duck. Kupiłem w minimarkecie, żebyśmy mogli wznieść toast. Wszystkiego najlepszego.

- Kupiłeś alkohol?

- Wyglądam na dwadzieścia jeden lat, często kupuję alkohol. Facet nigdy mnie nie wylegitymował.

- Lepiej się módl, żeby ciotka się nie dowiedziała.

Uśmiechnął się, błyskając zębami i prezentując dołeczki w policzkach:

- Mam dla ciebie jeszcze coś, ale zostawię to na później.

Liza uśmiechnęła się, czując, że jej policzki płoną. Nigdy nie dostała prezentu od chłopca. Natychmiast wyobraziła sobie bransoletkę z wygrawerowanymi imionami jej i Ty'a, która upamiętniłaby ich miłość. Pojechali do posiadłości Tannerów, gdzie byli już dwa razy. Nie mogli plątać się po mieście. Gdyby ktoś ich zobaczył, Ty'owi dostałoby się od ciotki.

Nowa droga została już całkowicie splantowana, lecz tylko częściowo wybetonowana.

Robotnicy wykopali wzdłuż niej rów z miejscem na przepust. Żuraw przetransportował mnóstwo blachy falistej. Kiedy Ty skręcał w drogę podjazdową, zobaczyli blokujący dostęp znak „Droga zamknięta”. Szosę przecinał rząd pomarańczowych pachołków dodatkowo utrudniających przejazd. Kolejny znak informował: „Wstęp wzbroniony!”. Chyba komuś naprawdę zależało na tym, by nikt się tu nie kręcił. Ponieważ Czwarty Lipca wypadał w sobotę, urzędy były zamknięte w piątek, dzień wcześniej. Nie odbywały się rozprawy w sądzie, biblioteka i banki były nieczynne. Najwyraźniej ekipa zajmująca się drogą również miała długi weekend.

Ty objechał szlaban, minął zwały ziemi i ciężki sprzęt. W gasnącym świetle dnia lśnił buldożer. Zanim tu przyjechali po raz pierwszy, Ty zbadał teren i odkrył, że znajduje się tam szopa, w której można ukryć pikapa.

Pomógł Lizie wysiąść, wziął ją za rękę i poprowadził przez rozległą drewnianą werandę, która ciągnęła się z tyłu domu.

Z oddali dobiegał ich stłumiony odgłos samochodów przejeżdżających drogą numer sto jeden.

- Poczekaj chwilę - powiedział Ty i wrócił do furgonetki. Za chwilę pojawił się z zawiniątkiem pod pachą.

- Śpiwór - wyjaśnił. Położył rękę na jej plecach i poprowadził ją przez otuloną mrokiem kuchnię i w górę schodami dla służby. Było duszno, zbyt długo dom stał zamknięty. Kiedy dotarli do mieszczącej się od frontu sypialni pana domu, Ty otworzył wszystkie okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Wietrzyk przemykający nad parapetem był co prawda ciepły, ale przynajmniej powietrze się ruszało.

Ty rozłożył śpiwór i przyciągnął Lizę do siebie. Otworzył cold ducka i podał Lizie, żeby napiła się pierwsza. Szampan smakował lepiej, niż się spodziewała, podobało jej się przyjemne ciepło i zawrót głowy. Pili na zmianę, w ten sposób wkrótce opróżnili butelkę do połowy. Liza leżała na

boku, z głową opartą na ręce. Rozmawiali szeptem. Zaczęła mu opowiadać o Kathy, ale chłopak wolał ją całować i znacząco patrzeć jej w oczy.

- Zapomniałbym, twój prezent - przypomniał sobie. Podał jej z uśmiechem słoiczek wazeliny.

- A to po co?

- No wiesz... tak na wszelki wypadek.

Liza poczuła, że zamiast żołądka ma ciasno związany węzeł.

- Nie powinniśmy tego robić. To nie jest dobry pomysł.

- Nie przejmuj się tak. Nie musisz podejmować decyzji w tym momencie. To zależy tylko od ciebie - powiedział Ty.

Przyciągnął ją z powrotem do siebie i zaczął całować. Już dawno mieli za sobą nieśmiałe dotykanie z czasów pierwszych randek. Teraz wkroczyli na dużo bardziej niebezpieczne tereny. Dla Ty'a było jasne, że za każdym razem kiedy się spotykali, zaczynali w momencie, w którym ostatnio przerwali. Ty już się zabrał do zdejmowania z niej ubrania. Liza nie do końca miała na to ochotę, ale nie potrafiła odmówić.

Całowanie było przyjemne, a poza tym była prawdziwą szczęściarą - każda dziewczyna ze szkoły chętnie znalazłaby się na jej miejscu, lecz Ty wybrał właśnie ją. Uległa magii chwili, dała się ponieść jego determinacji i własnej niemożności powiedzenia „nie”. Co prawda jakiś cichutki głosik w głowie podpowiadał jej, że uparty Ty i despotyczna Kathy wcale się tak od siebie nie różnili, ale po szampanie czuła się senna i rozluźniona, więc nic sobie z tego nie robiła. Łatwiej było się poddać, niż sprzeciwiać. W końcu było jej teraz bardzo przyjemnie.

Ty właśnie całował jej nagą pierś, kiedy zobaczyła snop światła omiatający sufit. Gdzieś pod nimi po chrzęszczącym żwirze poruszał się pojazd. Był tak blisko, że słyszeli, jak kierowca szarpie za hamulec. Liza krzyknęła stłumionym głosem i wyrwała się z objęć Ty'a, lądując na czworakach. Drzwiczki pojazdu trzasnęły.

- O mój Boże, ktoś tu jest!

Ty podkradł się do okna i wyjrzał na zewnątrz:

- Nie bój się. Wszystko w porządku. Nie idzie tutaj.

Liza, ciągle na czworakach, ostrożnie podpełzła do okna i wyjrzała zza parapetu. Pojazd stał dziesięć jardów dalej, kierowca był daleko. Wyczuła woń dymu, zanim zauważyła żarzącą się czerwoną końcówkę papierosa.

- Kto to? - zapytała.

- Pewnie strażnik. Chyba sprawdza, czy wszystko w porządku ze sprzętem.

- Musimy uciekać - podpełzła z powrotem do śpiwora i zaczęła zbierać swoje ubrania, na wierzchu położyła buty. Ty włożył dżinsy i czmychnęli do pomieszczenia na bieliznę pościelową, którego drzwi ostrożnie zamknęli. W pośpiechu wciągnęli na siebie resztę ubrań.

Liza była tak zdenerwowana, że prawie zmoczyła majtki. Ty spojrzał na nią:

- W porządku?

- A co, jeśli znajdzie furgonetkę? Zorientuje się, że ktoś tu jest.

Ty otworzył drzwi i rozejrzał się wokół. Było ciemno, ale Liza widziała jego profil. Taki piękny. Przywołał ją ruchem ręki i oboje opuścili kryjówkę. Liza nasłuchiwała uważnie, z zewnątrz jednak nie dobiegały żadne dźwięki. Ty wziął ją za rękę. Razem podkradli się do okna i ostrożnie wyjrzeli. Widziała omiatający szosę snop światła latarki, facet poprawiał pachołki.

Ty podjął decyzję:

- Szybko. Powinniśmy zdążyć dobiec do furgonetki, zanim skończy i będzie wracać.

Ostrożnie wyszli z pokoju i na palcach przeszli przez korytarz, aż znaleźli się przy schodach, którymi zeszli na dół, Liza nie zauważyła na czas, że Ty przystanął i znowu nasłuchuje, weszła na niego i prawie się przewróciła. Panowała cisza. Liza trzymała się koszuli Ty'a, kiedy przechodzili przez pokój kredensowy, a potem przez ogromną kuchnię skąpaną w łagodnym szarym świetle. Przez jedno z okien zaglądał księżyc w ostatniej kwadrze.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, pobiegli przez trawnik do szopy. Ty po

omacku dotarł do drzwiczek od strony kierowcy. Liza wdrapała się pierwsza, przeczołgała się na fotel pasażera, żeby zrobić mu miejsce. Ty wszedł za nią, zgrabnie wślizgnął się za kierownicę. Cicho zatrzasnął drzwiczki. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, nie ośmielając się nawet odetchnąć.

Następnie Ty odwrócił się i wbił wzrok w tylną szybę, przez którą było widać pograżone w ciemności podwórko. Dom zasłaniał widok na to, co się przed nim działo, ale człowiek ma wrażenie, że lepiej słyszy, kiedy patrzy w kierunku źródła dźwięku.

- Myślisz, że powinniśmy zaryzykować? - zapytała Liza.

- Jeszcze nie.

Nagle Liza coś sobie przypomniała i pociągnęła go za rękaw:

- Zapomnieliśmy śpiwora!

- Nie martw się, weźmiemy go następnym razem.

- A jeśli on go znajdzie?

Ty przyłożył palec do ust i ponownie zamilkli. Minęło dziesięć długich minut, aż wreszcie usłyszeli pomruk jednej z wielkich maszyn, zgrzyt budzącego się do życia silnika rozdarł ciszę.

Huk nie ustawał, Ty włączył silnik. Wyjechał tyłem z szopy i ze zgaszonymi światłami powolutku jechał drogą podjazdową.

Kiedy minęli dom, zobaczyli coś na kształt niezgrabnego czołgu leniwie sunącego w odwrotnym kierunku. Nadal byli na drodze podjazdowej, Liza modliła się, żeby nie wjechali w drzewo. Wreszcie oddalili się na bezpieczną odległość i Ty odważył się włączyć światła przeciwmgielne, które oświetliły nieco ich nieznośnie powolną ucieczkę.

W sobotni rano Czwartego Lipca Liza zadzwoniła do Cramerów.

Miała nadzieję, że podczas rozmowy z Kathy uda jej się od niechcienia wtrącić słówko o chorobie matki, żeby wzmocnić kłamstewko.

Powtórzona kłamstwo wydaje się bardziej prawdziwe. Odebrała pani Cramer, która poinformowała Lizę, że Kathy nie może podejść do telefonu. Jej głos był lodowaty, Liza była pewna, że Kathy wypaplała wszystko o ich kłótni.

- W takim razie przekaże jej pani, że dzwoniłam?

- Oczywiście.

Liza nie wyobrażała sobie, w jaki sposób Kathy miałyby się dowiedzieć, że zamiast - jak jej powiedziała - w domu z chorą matką spędzi ten wieczór, opiekując się córeczką Violet. Ty błagał ją, żeby pozwoliła mu przyjść do Sullivanów dotrzymać jej towarzystwa, a ona, rzecz jasna, zgodziła się.

Wczesnym popołudniem zajrzała do Violet. Foleya nie było, więc miała nadzieję na szczerą pogawędkę. Niestety, w pokoju była Daisy zajęta swoimi papierowymi lalkami, zatem ze względu na temat, który Liza chciała poruszyć, nie był to odpowiedni moment. Pokręciła się chwilę, po czym wróciła do domu. Usiadła na werandzie na starym aluminiowym krześle ogrodowym, mając nadzieję, że Kathy będzie przejeżdżać i ją zauważy.

O szóstej piętnaście wieczorem była z powrotem u Sullivanów i pilnowała pluskającej się w wannie Daisy. Violet i jej jazgoczący szpic wyszli. Liza dopilnowała, żeby Daisy porządnie się wytarła i włożyła piżamkę. Usiadły przy kuchennym stole i do ósmej piętnaście zjadły się lodami waniliowymi. Daisy nie znała się dobrze na zegarku, więc Liza powiedziała jej, że już jest dziewiąta i czas do łóżka. Dała jej pigułkę, którą Violet zawsze zostawiała dla córeczki, i patrzyła, jak dziewczynka popija ją mlekiem. Dwadzieścia minut później Daisy leżała w łóżku zakopana w pościeli i powoli zasypiała.

Liza wyszła drzwiami kuchennymi i usadowiła się na jednym z dwóch krzeseł ogrodowych stojących na werandzie, z której rozciągał się widok na zaniedbany skrawek trawnika.

Drewniany płot miał mniej niż sześć stóp wysokości, ale gęsta platanina kapryfolium przelewała się przez jego szczyt i przesłaniała widok na ulicę. Było gorąco, podkoszulek przywarł Lizie do pleców. Wróciła do środka i poszła do salonu. Zgasiła światło i skierowała na twarz podmuch małego wiatraka.

O dziewiątej usłyszała, że Ty skrobie w moskitierę przymocowaną do

drzwi kuchennych.

Stał na zewnątrz, a wzrok, który utkwił w Lizie, przypominał spojrzenie lisa - głodne i cierpliwe. Wpuściła go do środka, a on natychmiast przyłgął do jej ciała i zaczął ją całować.

Tym razem była na tyle przytomna, żeby wyslizgnąć się z jego objęć.

- Ty, nie będziemy tutaj tego robić. Daisy może się obudzić albo Sullivanowie wrócą.

- Nie żartuj sobie. Foley jest w parku, a Violet przed chwilą widziałem, jak pruje tym swoim superwózkiem. Nie będzie ich jeszcze kilka godzin.

- Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu nie.

- A może skoczmy do mojego pikapa? Zaparkowałem za domem.

Rozłożyłem na pace kilka kocy, możemy się położyć i patrzeć na gwiazdy.

- Oszalałeś? Nie mogę zostawić Daisy samej.

- Nie powiedziałem przecież, że gdzieś pojedziemy. Po prostu posiedzimy w zacisznym miejscu i pogadamy, nie budząc jej.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Powinam zostać w domu.

- Czy Violet mówiła, że masz siedzieć wewnątrz domu?

- Nie, ale właśnie za to mi płaci.

- Pół godzinki. Godzinę. Nikt się nigdy nie dowie.

Prosił i błagał, tłumaczył, że to takie proste i niewinne.

Wreszcie poddała się i ruszyła za nim przez podwórko do pikapa.

Oczywiście kiedy tylko rozciągnęli się na pace, Ty zaczął się do niej dobierać. Noc była ciepła, ale Liza drżała. Palce miała tak skostniałe, że włożyła je pod pachy, żeby się ogrzały.

Ty był bardzo troskliwy. Przygotował dwa papierowe kubki i kolejną butelkę cold ducka.

Liza wypila więcej niż połowę, chcąc w ten sposób się uspokoić.

Kiedy rozmawiali, w Silas rozpoczął się pokaz fajerwerków. Najpierw był huk, potem niebo wybuchowało milionami zielonych i niebieskich iskierek, aż wreszcie deszcz czerwonych gwiazdek oprószał ziemię.

Przez pół godziny, oczarowani, przyglądali się widowisku. Było

całkiem jak w filmie, który widziała Liza: mężczyzna i kobieta całowali się i całowali, a wtedy wiatr rozwiał firanki i niebo stanęło w ogniu.

Po chwili Liza straciła poczucie czasu i przestało ją obchodzić, jak długo tutaj są. Czowała, że łączy ją z Ty'em coś szczególnego. Chłopak otoczył ją ramionami i zamruczał jej do ucha:

- Co u ciebie, Lies? Mam zamiar zadbać, żebyś nie złapała kataru.

Wsunął rękę pod jej bluzkę.

- Och, przestań...

- Ale ja nic nie robię - rozpiął jej szorty i przesunął rękę w dół brzucha.

- Może powinniśmy przestać?

- Co przestać?

- Nie możemy tego zrobić.

- Nie podoba ci się?

- Podoba, ale nie powinniśmy posuwać się za daleko, okej?

- Pozwól mi się dotknąć, tylko raz - zaskomlał. Udało mu się wsunąć palec między jej nogi. Złapała go za rękę, żeby mu w tym przeszkodzić.

- Czekaj. Nie mogę tego zrobić. Muszę iść do środka. W każdej chwili mogą wrócić do domu.

- Nie wrócą. Nigdy nie wracają przed zamknięciem Blue Moon.

Przecież ich znasz - piją i świetnie się bawią. A my przecież daleko nie odeszliśmy. Violet nie miałaby nic przeciwko, lubi mnie.

- Wiem, ale musimy być ostrożni.

- Będę ostrożny. Napij się jeszcze łyżeczka szampana. Tak bardzo za tobą szaleję, Lizo. Nie kochasz mnie nawet troszkę? Przecież wiem, że mnie kochasz - wyjął jej z dłoni pusty kubek, wtulił twarz w jej włosy, całował szyję i piersi, aż zrobiło się jej gorąco. Wyszeptał: - Bądź słodziutka, proszę, tylko ten jeden raz bądź dla mnie słodziutka.

Powinna go była powstrzymać, ale czuła się bezwolna i bierna, jak gdyby nie mogła zmienić tego, co się zaraz miało stać. Ty nie odpuszczał

- mówił jej, że ją kocha i że to tortura nie mieć jej, kiedy ich miłość jest taka wielka. W tym czasie zdążył zdjąć jej szorty.

- Pozwól mi go włożyć - wyszeptał. - Tylko jeden raz. Proszę.

Najpierw nie chciała się zgodzić, ale był tak podekscytowany tym pomysłem i tak nieustępliwy, że wreszcie się poddała. Co mogło być w tym złego? Przecież też go pragnęła.

- Obiecujesz, że wyjmiesz na czas?

- Oczywiście, przysięgam. Nie skrzywdziłbym cię. Przecież wiesz, jak cię kocham. Aniołku, pragnę cię tak bardzo, że chyba zaraz oszaleję.

Czuła się jednocześnie silna i przestraszona, a on był piękny i odważny. Nikt nigdy nie mówił jej takich niesamowitych rzeczy. Był taki słodki i tak bardzo tego chciał. Zamknęła oczy, ale słyszała szelest jego ubrania. Cicho krzyknęła, gdy jego ciało niespodziewanie przycisnęło się do niej. Jego skóra była gładka, tuż pod nią prężyły się mięśnie. Był rozgrzany i pachniał mydłem. Nie wiedziała, skąd się wziął słoiczek wazeliny. Ty przyciskał się do niej, wziął jej rękę i przycisnął do tego miejsca, ocierał się o nią, a wszystko po to, żeby się dla niego otworzyła, co też zrobiła. Wiedziała, że sprawy zaszły za daleko, ale on nie przestawał.

Wykonywał rytmiczne ruchy i na nic się zdały jej słabe protesty. W przód i w tył, w przód i w tył, aż wreszcie wydał z siebie dźwięk, jakby właśnie podniósł coś ciężkiego. Jęknął, nie mogąc złapać tchu, a następnie osunął się na nią rozluźniony.

- Och, Lies. O mój Boże. To było fantastyczne. To było takie piękne.

Wszystko nie trwało dłużej niż minutę. Podniosła biodra i wysunął się z niej, zostawiając ją lepka i mokra.

- Co się stało? Wszystko w porządku?

- Nie, nie w porządku. Powiedziałaś, że go wyciągniesz!

- Przepraszam. Miałem taki zamiar, ale nie mogłem się powstrzymać.

Malutka, było tak cudownie. Po prostu nagle jakbym postradał zmysły, a chwilę potem już było po wszystkim.

- Cholera. Która godzina? Muszę iść.

- Nie chodź. Jeszcze nie ma północy. Nie zostawiaj mnie. Dotknij tutaj, czujesz? - znowu położył tam jej rękę.

Została tam, gdzie była, leżąc częściowo pod nim. Było jej ciepło tylko

w te części ciała, które były przykryte jego ciałem. Oprócz tego było jej zimno i czuła się przygnieciona jego ciężarem.

- Muszę wracać do środka. W każdej chwili mogą się zjawić. Co powiedzą, kiedy mnie nie będzie?

- Możesz im powiedzieć, że wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Nie zatrzymuj mnie. Proszę - wyszeptwała, ale on znowu się brał do całowania.

- Jesteś wspaniała. Jesteś niesamowita. Kocham cię - mruczał.

- Ja też cię kocham - powiedziała. - Ty, muszę wracać do środka.

Aby wymknąć się z jego uścisku, przeturlała się na bok i po omacku szukała majtek.

Włożyła je, a potem ruszyła w poszukiwaniu szortów i podkoszulka.

- Posłuchaj, zobaczymy się jutro, dobra?

- Może.

- Cały dzień. Spędzimy razem całutki dzień.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Spotkajmy się na Potter Lodge. Pożyczę od wujka furgonetkę i zabiorę cię na przejażdżkę. Ósma rano.

Zorientowała się, że włożyła majtki na lewą stronę. Uniosła biodra, żeby je przebrać.

- Cholera jasna! Teraz leje mi się po nodze. Daj mi chusteczkę albo coś, żebym mogła się wytrzeć.

Ty podał jej swój podkoszulek, który wcześniej zwinął i odrzucił na bok. Wcisnęła go między nogi i wytarła się najlepiej, jak umiała.

Ostrożnie włożyła majtki i zapięła stanik.

Włożyła podkoszulek i szorty, palcami przeczesła splątane włosy.

Kiedy skończyła się ubierać, przełożyła nogi przez tylną klapę i zeskoczyła z furgonetki.

- Jutro rano punkt ósma. Jeśli cię nie będzie, idę prosto do drzwi i pukam. Mam gdzieś, kto mnie zobaczy - powiedział Ty.

Pospiesznie go pocałowała, zapewniła, że go kocha, po czym pobiegła do domu. Weszła kuchennymi drzwiami, moskitiera zajęczała cichutko.

W kuchni się nie świeciło, podświetlone wskazówki zegara ściennego wskazywały pierwszą piętnaście. Violet i Foley zwykle nie wracali przed drugą w nocy, więc nic jej nie groziło. Wszystko było w porządku. W pograżonym w mroku salonie wciąż się paliła lampka. Wiatrak obracał się miarowo, roztrącając gorące powietrze. W obu sypialniach panowała ciemność. Przystanęła obok pokoju Daisy i wsłuchiwała się w wolny, głęboki i regularny oddech dziecka. Wszystko było w porządku.

Wślizgnęła się do łazienki. W świetle lampki nocnej spuściła szorty i obejrzała majtki. Były mokre od spermy i poplamione krwią. Będzie musiała porozmawiać z Violet. Wiedziała, że powinna była zadbać o to, by użył gumy, ale przecież obiecał jej, że wyciągnie go na czas. Co teraz? Violet będzie wiedzieć. Violet wiedziała o seksie absolutnie wszystko.

Liza wróciła do salonu i skuliła się na sofie. Co się stało, to się nie odstanie. Powiedział, że ją kocha - tak właśnie powiedział - i to on zaproponował ponowne spotkanie, więc to nietak, że ona go prześladowuje czy coś w tym stylu. Mimo wszystko wolałaby, żeby to się nie stało. Z jej pięknych oczu trysnęły łzy. Kiedy tylko Violet wróci, porozmawiają sobie i wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 28

Zadzwoniłam do Sneaky Pete'a. W tle słychać było muzykę z szafy grającej i jednostajny szum rozmów. Był sobotni wieczór, zegar wskazywał kwadrans przed siódmą, prawdziwa zabawa miała się zacząć dopiero grubo po dziewiątej. Odebrała Tannie.

- Cześć, Tannie. Mówi Kinsey. Masz chwilkę?

- Pewnie, jeśli ci nie przeszkadza, że od czasu do czasu skoczę do klientów. Zajmuję się dziś barem, a kelnerka, która miała ze mną pracować, zadzwoniła godzinę temu, by powiedzieć, że jest chora.

- Będę się streszczać. Słyszałaś o Violet?

- Owszem. Biedna kobieta. Co właściwie jej się przytrafiło? Wiem, że została zamordowana, ale nie wiem, w jaki sposób.

- Jeszcze nic nie słyszałam o przyczynie śmierci. Podejrzewam, że dowiemy się czegoś, kiedy przeprowadzą autopsję.

- Autopsję? Ktoś mi powiedział, że zostały z niej same kości. Podobno była owinięta jak mumia, nawet nie było widać twarzy.
 - No, nie całkiem tak. Z tego, co wiem, była zawinięta w materiał, który się rozpadł ze starości. Mumie tak nie wyglądają.
 - Widziałaś ją?
 - Nie widziałam, Daisy też nie. Detektyw Nichols powiedział jej o wszystkim, ale nie chciał, żeby ktoś się zbliżał do samochodu.
 - Jak Daisy sobie radzi?
 - W porządku. Chyba to jeszcze nie do końca do niej dotarło.
 - Myślałam, żeby do niej zadzwonić, ale nie mogłam się zebrać na odwagę. Może jutro. A ty co porabiasz?
 - Próbuję ustalić chronologię wydarzeń tego feralnego weekendu Czwartego Lipca. Chcę się zorientować, gdzie kto był. Ty poszłaś z tatą do parku?
 - Czy już o tym nie rozmawialiśmy? Miałam iść z bratem, ale wybrał się ze znajomymi, więc w końcu tata musiał mnie wziąć.
 - Byliście tam przez cały wieczór?
 - Tak właściwie to nie pamiętam, ale chyba tak.
 - Pytam, bo udało mi się dotrzeć do kobiety, która mieszkała wtedy obok Sullivanów. Anna Ericksen. Pamiętasz ją? Miała wtedy pięć lat.
 - Jak przez mgłę.
 - Właśnie skończyłam z nią rozmawiać. Pamięta, że ona i jej matka spotkały was w parku. Mówi, że twój tata zapytał jej matkę, czy mogłaby się tobą zająć, bo on ma coś do załatwienia. Skończyło się na tym, że zostałam u niej na noc.
 - Nie, nie sędzę... Nic takiego sobie nie przypominam. Jesteś pewna, że mnie z kimś nie pomyliła?
 - Pamiętasz skakanie po łóżku? Mówi, że na nią wpadłaś, a ona wylądowała na podłodze i złamała sobie rękę.
- Tannie parsknęła śmiechem, zaskoczona:
- To była ona? O mój Boże, pamiętam tę dziewczynkę, tylko zapomniałam, jak miała na imię. To był ten Czwarty Lipca? Cholera, kość

przebiła jej skórę. To było obrzydliwe.

- Gdzie twój ojciec mógł pójść tamtego wieczoru?

- Prawdopodobnie do szpitala odwiedzić mamę. Spędzał z nią prawie każdy wieczór. Czemu pytasz?

- Sama nie wiem. To kolejna brakująca informacja, myślałam, że mi pomożesz.

- Mogę zapytać, kiedy z nim będę rozmawiać. Zobaczymy, co odpowie.

- Wiesz co, nic mu nie mów, sama to załatwię. Będę tam w poniedziałek, prawdopodobnie wczesnym popołudniem.

- Dalej pracujesz dla Daisy? Myślałam, że już skończyłaś.

- Dopinam sprawy na ostatni guzik. Zapłaciła mi z góry i jestem jej winna jeden dzień.

Kiedy się rozłączyliśmy, dotarło do mnie, że powinnam tę sprawę jeszcze bardziej zbagatelizować. Jake nie powinien się dowiedzieć, że drążę temat. Jeżeli Tannie mu o tym wspomni, a on ma coś na sumieniu, będzie miał wystarczająco dużo czasu, by wymyślić jakąś historyjkę. Mógł zostawić Tannie pod opieką pani Ericksen, żeby naprawdę odwiedzić Mary Hairl. Jednak podczas naszej jedynej rozmowy nawet o tym nie wspomniał. Właściwie to tak szczegółowo opowiadał o zachowaniu Foleya w parku, że byłam święcie przekonana, iż też tam był. Nie chcę się chwalić, ale umiejętność kłamstwa opanowałam doskonale, więc mogę wam wytłumaczyć, na czym to polega. Kłamanie jest jak magiczna sztuczka - trzeba skupić uwagę widza na czymś nieistotnym, żeby nie zauważył oszustwa.

Zrobiłam sobie krótką przerwę i zadzwoniłam do Cheney'a Phillipsa.

Pogawędziliśmy chwilę. Zapytałam, jak było na konferencji, a potem opowiedziałam mu o swoim odkryciu.

Zaoferował mi drinka u Rosie, nie byłam jednak w towarzyskim nastroju. Pomyślałam, że nie będę owijać w bawełnę:

- Nie bierz tego do siebie, ale po prostu chcę się wyspać we własnym łóżku i z nikim nie rozmawiać. Przez ostatnie cztery dni nie miałam ani

minuty dla siebie i to mnie prawie doprowadziło do szału.

- Jasne. Wygląda na to, że masz teraz mnóstwo roboty. Rozumiem.

Zadzwoń, kiedy będziesz luźniejsza, umówimy się na kolację.

- Nie ma sprawy.

- Hej, Kinsey? Uważaj na siebie. Ktokolwiek to jest, ukrywał swoją zbrodnię przez trzydzieści cztery lata. Nie pozwoli ci, ot, tak sobie, wejść w swoje życie i wszystko popsuć.

- Przecież ja tylko grzebię w starych dokumentach. Kiedy skończę, zamykam sprawę. Zaufaj mi, brudną robotę zostawiam biuru szeryfa. W końcu to jego działka.

Kiedy się rozłączyliśmy, usiadłam i zastanowiłam się nad jego słowami. Wiedziałam, że ma rację. W końcu ktoś mi przebił opony, a było to jeszcze przed znalezieniem samochodu i ciała.

Otworzyłam szafkę zamykaną na klucz, w której trzymam broń palną. Miałam wciąż trzy sztuki. Mój ulubieniec, mały półautomat kaliber 32 - dostałam go od ciotki Gin, kiedy byłam dzieckiem - został zniszczony w eksplozji, która miała mnie zabić. Następny - davis, kaliber 32 - kupiłam, bo mi się podobał. W ten sposób naraziłam się na pogardę i drwiny ze strony tych wszystkich maniaków broni palnej, którzy uważają go za broń niższej rangi. Z szacunku dla nich dokupiłam dwie sztuki poważnej broni, mianowicie H&K P7 i H&K PI3. PI3 był za duży, żeby go wygodnie używać, więc razem z da-visem odłożyłam go na półkę. Wzięłam pudełko naboju Winchester Silvertips, naładowałam P7 i schowałam do torby. Jeśli chodzi o uzbrojenie, byłam teraz przygotowana. Jednak zamiast czuć się pewnie, zwyczajnie się bałam.

Sobotni poranek spędziłam na przepisywaniu notatek na maszynie. Po lunchu podjechałam do biura i przejrzałam pocztę, której spory stosik zebrał się na podłodze. Listonosz wrzucił przez otwór na listy tyle kopert, że można się było o nie potknąć. Sprawdziłam rachunki i nie zostało mi nic innego, jak usiąść i wypisać czeki. Przesłuchiłam wiadomości, których było zaskakująco niewiele, nikt nie miał do mnie nic naprawdę pilnego. W drodze do domu wpadłam na pocztę i wrzuciłam do skrzynki

wypisane czeki. Resztę dnia spędziłam na sprzątaniu mieszkania - dobra terapia dla spragnionych samotności. Kiedy szorujesz muszlę klozetową, ludzie nie pchają się drzwiami i oknami, żeby ci pomóc.

W poniedziałek rano zapakowałam do auta maszynę do pisania i wszystkie notatki. Pojechałam do centrum Santa Teresa, gdzie zatrzymałam się na parkingu publicznym naprzeciwko urzędu hrabstwa, włożyłam broń do schowka i starannie zamknęłam samochód. Wszystkie miejsca, które chciałam odwiedzić, położone były w obrębie dwóch przecznic, nie sądziłam też, żeby w pobliżu czyhało na mnie niebezpieczeństwo. Najpierw zajrzałam do agencji nieruchomości na rogu. Szukałam informacji na temat transakcji obrotu nieruchomościami w 1953 roku w Santa Maria. Akty własności są protokołowane, a następnie odsyłane do nowego właściciela posiadłości, ale fotokopie zostają w Rejestrze Hrabstwa, możliwe nawet, że na zawsze. Najprostszy sposób na uzyskanie do nich dostępu to złożyć wniosek w dziale obsługi klienta w jednej z miejscowych agencji nieruchomości. Większość takich spraw załatwiam w Agencji Nieruchomości Santa Teresa, gdyż mają tam wielką bibliotekę i przy prostszych sprawach oferują darmową pomoc. Obecnie akty własności kataloguje się według adresu posiadłości, ale w latach pięćdziesiątych transakcje były katalogowane według nazwisk. Poprosiłam urzędniczkę, żeby znalazła wszystko, co dotyczy Jake'a Ottweilera, Cheta Cramera i Toma Padgetta. Kazała mi wrócić za godzinę.

Przeszłam przez ulicę do archiwum mieszczącego się w Urzędzie Hrabstwa Santa Teresa. Od 1964 roku majątki stałych mieszkańców Santa Maria były rejestrowane w Wydziale Spadkowym sądu w Santa Maria, natomiast testamenty z roku 1953 zostały zarchiwizowane tutaj, w Urzędzie Hrabstwa. Zawsze uważałam, że testament może odmienić czyjeś życie na lepsze, i teraz właśnie okazało się, że miałam rację. Ostatnia wola Cory Padgett nie była skomplikowana. W chwili śmierci 2 marca 1959 zostawiła wszystko Tomowi, tym samym czyniąc go bardzo bogatym człowiekiem. Według załącznika A, nieruchomości, w skład

których wchodził dom oraz cztery zakłady pogrzebowe, były wyceniane na blisko dwa miliony dolarów. Jej majątek osobisty - gotówka, akcje, papiery wartościowe i biżuteria - dodawały do tej sumy kolejne siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Zapłaciłam za uwierzytelniony odpis aktu zgonu, według którego powodem śmierci Cory Padgett było obustronne odoskrzelowe zapalenie płuc. Nic podejrzanego.

Następnie zajęłam się testamentami rodziców Calvina i Violet. Roscoe Wilcox umarł 16 maja 1951, zostawiając testament podpisany i datowany 21 grudnia 1949. Testament został złożony do Wydziału Spadkowego 24 maja 1951, autentyczność została potwierdzona, majątek zebrany i zinwentaryzowany, a wierzyciele spłaceni. Warunki były proste.

Wykonawcą testamentu wyznaczony został brat Violet Calvin Wilcox.

Testament zawierał dwa zapisy szczególne: w pierwszym Roscoe zostawiał swojemu kościołowi dziesięć tysięcy dolarów, a w drugim zadysponował: „Mojej córce Violet z wdzięcznością za miłość i oddanie, których dowiodła za naszego życia, przekazuję szczodłą sumę jednego dolara, czyli dwa razy tyle, ile jest warta”. Cały materialny majątek osobisty oraz pozostały majątek zostawiał: „mojej żonie Julii Faraday Wilcox, jeżeli mnie przeżyje, a jeżeli nie, mojemu synowi Calvinowi Edwardowi Wilcoxowi”.

Julia Wilcox na mocy testamentu, również podpisanego i datowanego 21 grudnia 1949, zostawiała wszystko mężowi albo, jeżeli umarłby przed nią, synowi Calvinowi. Pozostałe klauzule obu testamentów regulowały następujące szczególne zagadnienia: wycenę majątku, opłacenie kosztów pogrzebu, długi, federalne i kalifornijskie podatki oraz ewentualne roszczenia dotyczące masy spadkowej. Najwyraźniej Violet została pozbawiona nadziei na pieniądze (oprócz tego jednego odziedziczonego dolara) z powodu swojej obojętności, braku współczucia oraz złego charakteru. Chet Cramer sugerował, że Calvin zyskał na jej śmierci. Jednak skoro oba testamenty zostały spisane przed jej zniknięciem, Calvin i tak miał odziedziczyć wszystko, zatem zabicie Violet nic mu nie dawało. Może i nie lubił siostry, lecz wydawało mi się, że nie

ryzykowałby życia i wolności, by się jej pozbyć. Violet mogła go wkurzać, nie mogła mu jednak zaszkodzić.

Ostatnia wola Hairla Tannera mnie zaskoczyła. Najwyraźniej 6 lipca 1953 roku sporządził nowy testament, w ten sposób unieważniając wszystkie poprzednie testamety i kodycyle.

Wyznaczył zarządcę majątku spadkowego ze swojego banku na wykonawcę testamentu i ustanowił dwa depozyty, jeden dla Steve'a Ottweilera i jeden dla Tannie. Pieniądze miały leżeć nietknięte, razem z odsetkami, do czasu gdy wnuki osiągną wiek dwudziestu pięciu lat.

Dodatkowo sprecyzował, że majątek ruchomy miał być również zdeponowany do tego samego czasu. Musiałam się cofnąć i jeszcze raz przestudiować tę klauzulę. Chodziło w niej o to, że Steve miał nie mieć dostępu do pieniędzy na swoim depozycie do 1962 roku, a Tannie nie mogła podjąć swojej części do 1969. Wartość jego majątku osobistego - dzieła sztuki, srebro, antyki - została oszacowana na sześćset tysięcy dolarów, ale wnuki przez długie lata nie mogły sprzedawać, pożyczać pod zastaw ani cieszyć się prawem własności. Po co to wszystko? W pierwszej chwili sądziłam, że chciał w ten sposób ukarać Steve'a i Tannie, ale po chwili przyszło mi na myśl, że jego gniew był zwrócony przeciwko Jake'owi Ottweilerowi. Stary Tanner najwyraźniej nie cofnął się przed niczym, byle Jake nie dostał ani centa z jego pieniędzy, nawet jeśli miałyby je wydać na utrzymanie dzieci. Biorąc pod uwagę warunki testamentu Tannera, Jake musiał pokrywać wydatki dzieci, podobnie jak swoje, z własnej kieszeni. Jeśli Hairl wyznaczyłby Jake'a na wykonawcę testamentu albo powiernika, ten mógłby przynajmniej starać się o rozsądne sumy pieniędzy na wydatki związane ze zdrowiem, opieką i wykształceniem dzieci. Pytanie: skąd Jake wytrzasnął swoją część pieniędzy na zakup Blue Moon?

Skoro już byłam w urzędzie hrabstwa, poprosiłam o spis wniosków o fikcyjne nazwy przedsiębiorstw, bo miałam nadzieję, że w ten sposób się dowiem, jak razem z B.W. wszedł w posiadanie baru. Niestety, wniosek wygasa w ciągu pięciu lat od daty zgłoszenia, a akta są niszczone po

dziesięciu latach. Te z 1953 już dawno powędrowały do niszczarki. W nadziei na znalezienie jakiejś informacji związanej z Blue Moon odwiedziłam też urzędnika wyceniającego nieruchomości dla celów podatkowych, ale powiedziano mi, że piwnica budynku administracji hrabstwa została zalana i akta sprzed 1962 roku przepadły. Niektórzy mają szczęście. Nici z węszenia w interesach Jake'a.

Opuściłam budynek Urzędu Hrabstwa i wróciłam do agencji nieruchomości, skąd odebrałam szarą kopertę ze skserowanymi dokumentami. Poszłam do samochodu, usiadłam na parkingu i przejrzałam stosik moich nowych skarbów. Zaczęłam od informacji związanej z Tomem Padgettem. Było to złożone pod przysięgą oświadczenie do protokołu o śmierci współlokatora, w wyniku którego nazwisko Cory zostało usunięte z aktu własności domu. W ciągu kilku następnych lat Tom Padgett kupił wiele nieruchomości za pieniądze pożyczone z banku w Santa Maria, większość została spłacona na zasadzie zwrotnego przeniesienia własności.

Pobieżnie przyjrzałam się darowiznom poczynionym na rzecz Calvina i Rachel Wilcoksów, lecz żadna z nich nie wzbudziła moich podejrzeń. Następnie przeszłam do Jake'a Ottweilera.

On i B.W. McPhee nabyli nieruchomość, na której znajdował się Blue Moon, 12 grudnia 1953 roku za kwotę dwudziestu dwóch tysięcy dolarów - sumę, którą wyliczyłam na podstawie znaków skarbowych przyklejonych wzdłuż lewego marginesu. Pamiętałam, że B.W. wspomniał o „kilku tysiącach dolarów”, które dorzucił. To znaczyło, że Jake musiał wyłożyć mniej więcej dwadzieścia tysięcy dolarów. Do tego dochodziła spora suma, której potrzebowali na zakup koncesji na alkohol, remont i rozbudowę.

Siedziałam i myślałam o tym, co znalazłam. Potem odpaliłam samochód i wycofałam się z miejsca parkingowego. Czas ruszyć w drogę.

ROZDZIAŁ 29

Kiedy dotarłam do Santa Maria, podjechałam na stację benzynową i zatankowałam. Potem zaparkowałam obok stanowiska serwisowego i

zadzwoiłam z automatu. Telefonowałam do szpitala, w którym pracowała Daisy, poprosiłam, żeby mnie połączyli z archiwum. Kiedy już ją miałam na linii, powiedziałam, że znowu jestem w mieście.

- Czy w jakiś sposób mogłabym się dostać do twojego domu? Muszę przepisać notatki i wykonać parę telefonów.

- Jasne, nie ma problemu. Pod doniczką na werandzie trzymam zapasowy klucz.

- To nie jest najlepszy pomysł, Daisy. Wszyscy chowają klucze pod doniczką. Włamywacze o tym wiedzą, zawsze najpierw tam zagląдают.

- Hmm, fajna sprawa. Miło mi to słyszeć. Zdenerwuj włamywacza, a następna rzecz, jaką zrobi, to rozwali ci okna albo zaczną majstrować przy zamku. Och, skoro już tam będziesz, mogłabyś przełożyć ciuchy z pralki do suszarki?

- Przecież niedawno prałaś. Czy to twoje hobby?

- Hej, to tylko taka niewinna słabostka.

Podjechałam do domu Daisy, weszłam do środka i zrobiłam to, o co mnie prosiła. Potem postawiłam maszynę do pisania na stole w jadalni i wyjęłam notatki. Uważnie przejrzałam karteczki, szukałam niewyjaśnionych wątków. Wiedziałam, że coś przeoczyłam, ale nic nie zwróciło mojej uwagi. A może było to tak oczywiste, że nawet tego nie zauważałam. Kiedy tak próbowałam dopasować do siebie poszczególne kawałeczki, natknęłam się na nazwisko Ty'a Eddingsa. W piątkową noc razem z Lizą był w posiadłości Tannerów. Ona nie umiała mi nic powiedzieć o samochodzie, który podjechał przed dom, może on się okaże lepszym świadkiem.

Zadzwoiłam do Lizy:

- Hej, mówi Kinsey. Właśnie sobie siedzę i przeglądam notatki.

Pomyślałam, że dobrze by było, gdybym porozmawiała z Ty'em Eddingsem.

- O czym?

- O facecie, którego zauważyliście na terenie posiadłości Tannerów tamtej nocy. Wiesz może, gdzie mogę znaleźć Ty'a?

- Nie.

Odczekałam chwilę, a potem ją zachęciłam:

- Może przychodzi ci do głowy jakieś miejsce?

- Powiedziałam ci, że nigdy się ze mną nie skontaktował. Jeśli o mnie chodzi, może leżeć w grobie albo gnić w więzieniu.

- A jego ciotka? Jak się nazywała?

- York. Dahlia. Wyjechała z miasta po śmierci męża, nie wiem, gdzie mieszka.

- A dzieci? Ktoś mi mówił, że Ty miał kuzyna o imieniu Kyle. Czy ma na nazwisko York?

- Tak.

- Liza, dlaczego mi to utrudniasz? Jesteś na mnie zła?

Chwila ciszy. Wreszcie lodowata odpowiedź:

- Nie posądzam cię o brak wrażliwości, Kinsey, ale czy przyszło ci do głowy, że śmierć Violet jest dla mnie przykrym przeżyciem? Dla ciebie to nic wielkiego: „Ho, ho, ho, no cóż. Jedna z głowy, zajmijmy się czym innym”.

Przeszedł mnie dreszcz:

- Przepraszam. O tym nie pomyślałam. Masz całkowitą rację.

Skupiłam się na swojej robocie i zapomniałam, że w grę wchodzi również emocje.

Cisza.

- Chcesz o tym pogadać? - Teraz, po reprimendzie, którą dostałam, pytanie mogło nie zabrzmieć szczerze. Jeśli trzeba ci mówić, jak się masz zachować, to dobre zachowanie przestaje być twoją zasługą.

- Nieszczęśliwie. Potrzebuję trochę czasu, żeby ją opłakać w samotności, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście że nie. Nie chciałam przeszkadzać. Słuchaj, jestem teraz u Daisy. Jeśli przyjdzie ci ochota na rozmowę, zadzwoń.

Cisza. Słyszałam jej oddech. Wreszcie się odezwała:

- Kyle York mieszka w San Luis Obispo. Jest alergologiem.

Rzuciła słuchawką, więc nie usłyszała mojego skruszonego „dziękuję”.

Zadzwoiłam do biura numerów i poprosiłam o numer Kyle'a Yorka, doktora medycyny.

Spodziewałam się numeru do pracy, tymczasem operatorka pozwoliła mi wybrać:

- Chce pani numer do pracy czy do domu?

- Poproszę oba.

Zanotowałam je. Wiedziałam, że jeżeli zadzwonię do pracy, każą mi bez końca czekać przy dźwiękach jakiejś cholernej muzyczki albo jakaś nadgorliwa recepcjonistka szczegółowo wypyta, dlaczego chcę z nim rozmawiać. Miałam zamiar poczekać do wieczoru i wtedy zadzwonić do domu, ale pod wpływem impulsu wykręciłam numer. Po pięciu sygnałach odebrała jakaś kobieta.

- Pani York?

- Hmm, owszem, ale prawdopodobnie chodzi pani o moją synową, której teraz nie ma w domu. Poszła oporządzić psa, nie wróci wcześniej niż za półtorej godziny. Może jej powtórzę, że pani dzwoniła? - jej głos się trząsł, jakby dawno go nie używała.

- Czy mówię z matką doktora Yorka?

- Owszem, to ja. W czym mogę pomóc? - ucieszyła się, że ktoś wie o jej istnieniu. Nie byłam pewna, czy byłaby taka zadowolona, gdyby wiedziała, po co dzwonię.

Miałam jedną setną sekundy, żeby zdecydować, jak to rozegram.

Prawda nie wchodziła w grę.

- Tak właściwie to jestem starą koleżanką Kyle'a, chodziliśmy razem do podstawówki. Straciliśmy kontakt lata temu, ale ktoś mi powiedział, że ma praktykę w San Luis Obispo, i pomyślałam, że do niego zadzwonię.

- To bardzo miło z twojej strony. Mogłabyś powtórzyć nazwisko?

- Tanner - Tannie - Ottweiler.

- Musisz być córką Jake'a Ottweilera.

- Tak, proszę pani.

- Jak się miewa twój ojciec?

- Dobrze. Przesyła ukłony.

- Och, zawsze był taki uprzejmy. Nie widziałam go od szesnastu albo siedemnastu lat. Wyjechałam z Serena Station kilka lat temu, przeprowadziłam się do Kyle'a i jego żony - rozkręciła się. Opowiadała jeszcze przez chwilę, najwyraźniej czuła się samotna i rozpaczliwie łaknęła kontaktu z drugim człowiekiem. Oczywiście zachowałam się jak ostatnia łachudra, ale nie wyprowadziłam jej z błędu. Okłamywanie starszych pań nie należy do najszlachetniejszych zajęć. Nawet ja to wiem. Podzieliliśmy się wspomnieniami, tyle że jej były prawdziwe, a moje - wymyślone na poczekaniu. Następnie zmieniłam temat na bardziej interesujący:

- A co się stało z jego kuzynem, tym z Bakersfield?

- Masz na myśli Ty'a?

- Tak. Z tego, co pamiętam, tak jakoś nagle wyjechał do Bakersfield, od tego czasu nic o nim nie słyszałam. Jak sobie radzi?

- W porządku.

- Ma pani może jego numer?

- Cóż, kochanie, Ty mieszka w Sacramento, ale nie rozumiem, po co ci jego numer, skoro chciałaś porozmawiać z Kyle'em.

- Pomyślałam, że równie dobrze mogę zebrać całą paczkę, skoro już się do tego zabieram - wyjaśniłam. Chciałam, żeby mój głos brzmiał swobodnie i wesoło, ale mi nie wyszło.

Wyczułam, że temperatura naszej rozmowy gwałtownie spada w dół.

Kobieta może i była stara, ale jej intuicja działała bez zarzutu:

- Pani jest Liza Mellincamp, prawda?

- Tak właściwie to nie - jedyny moment w trakcie tej rozmowy, kiedy powiedziałam prawdę. Miałam nadzieję, że spotka mnie za to nagroda.

- Cóż, kimkolwiek pani jest, powiedziałam już wszystko, co uznałam za stosowne. Dziękuję za telefon, ale proszę nas więcej nie niepokoić - odłożyła słuchawkę może trochę zbyt gwałtownie jak na osobę w jej wieku.

Ja też odłożyłam słuchawkę i zrobiłam sobie małą przerwę. Czasami kłamanie wyciska ze mnie siódme poty i przyprawia o zadyszkę. Nie

spodziewałam się takiej reprimendy. Zająłam się układaniem ciuchów Daisy, po prostu żeby przez chwilę o niczym nie myśleć.

Wróciłam do telefonu, zadzwoniłam do biura numerów w Sacramento i poprosiłam o numer osoby o nazwisku Eddings, imię: T., Ty lub Tyler. Tym razem podano mi tylko numer do pracy. Okazało się, że Ty jest adwokatem w firmie prawniczej mającej w nazwie łańcuszek ciągnących się melodyjnie i do taktu jak wyliczanka nazwisk.

Recepcjonistka połączyła mnie z jego sekretarką, od której się dowiedziałam, że pan Eddings jest w sądzie. Podałam jej swoje nazwisko i numer do Daisy, poprosiłam, żeby oddzwonił, kiedy wróci.

- Mogę zapytać, o co chodzi?

- O śmierć.

- Ojejku.

- Taaa, co zrobić, tak to już jest - powiedziałam. - Tak przy okazji, w jakim prawie specjalizuje się pan Eddings?

- Kryminalnym.

- W takim razie proszę mu powiedzieć, że chodzi o morderstwo i muszę z nim jak najszybciej porozmawiać.

Następną godzinę spędziłam na przepisywaniu notatek. To był ostatni dzień pracy dla Daisy i chciałam jej zostawić przejrzysty raport wszystkiego, co zrobiłam. Nie byłam do końca z siebie zadowolona.

Ciągle było za dużo niewyjaśnionych wątków, rutynowe prace nie wniosły wiele. Z drugiej strony Daisy odnalazła matkę, a o to jej przecież od początku chodziło. Pośród wielu pytań bez odpowiedzi najbardziej nie dawała mi spokoju kwestia koronkowej firanki. Foley zerwał firankę w trakcie kłótni z Violet w czwartek wieczorem, drugiego lipca.

Rozwścieczona Violet zerwała wszystkie inne i wyrzuciła do śmieci.

Foley twierdził, że ogarnęły go wyrzuty sumienia tak wielkie, iż następnego dnia kupił jej bel aira.

Jeżeli to on ją zabił i pogrzebał w samochodzie, to po co zawijał jej ciało w firankę? Po co zostawił przedmiot, który rzuciłby na niego podejrzenia, jeżeli jej ciało zostałoby znalezione - co się stało? Foley

może i cierpiał na chorobę ograniczonej wyobraźni, ale przecież nie był aż tak durny.

Kiedy już przepisałam ostatnią notatkę, ułożyłam strony mojego sprawozdania w zgrabny stosik i włożyłam do teczki. Potem wróciłam do artykułów, które skserowałam, tych opublikowanych przed zniknięciem Violet i po nim, i ponownie je przejrzałam. Kiedy wzięłam do rąk artykuł o przyjęciu z niespodzianką Livii Cramer, zorientowałam się, że pani York, która otrzymała jedną z nagród, to ta sama pani York, z którą rozmawiałam niespełna godzinę temu. To jest właśnie zabawne w informacjach - fakty tworzą pewną strukturę. Dane, które w jednym kontekście wydają się nie mieć znaczenia, później okazują się okienkiem wychodzącym na rzeczywistość.

Kiedy przeglądałam pozostałe gazety, natknęłam się na artykuł, którego wcześniej nie zauważyłam. Szóstego lipca na drugiej stronie wydrukowano informację, że niejaki Philemon Sullivan, lat 27, został aresztowany za „pijaństwo i agresywne zachowanie”. Nałożono na niego grzywnę stu pięćdziesięciu dolarów i został skazany na sto dwadzieścia pięć dni w zawieszeniu w więzieniu okręgowym. Czy chodziło o Foleya? Wiek się zgadzał, poza tym po lekturze książki adresowej wiedziałam, że on i Violet byli jedynymi Sullivanami w mieście.

Jeszcze raz sprawdziłam datę. Szósty lipca. Artykuł nie precyzował, kiedy go zgarnięto, ale Foley przysięgał, że po zniknięciu Violet nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Aż do następnego wieczoru. Kogo to obchodziło?

W książce telefonicznej znalazłam numer do kościoła prezbiterian, gdzie pracował Foley.

Podniosłam słuchawkę i wtedy się zawahałam. Nie chciało mi się jechać do Cromwell, jednak pomyślałam, żeby go wypytać przez telefon, nie był zbyt mądry. Lepiej zrobić to w bezpośredniej rozmowie i zobaczyć, jak zareaguje. Czasami wiele można wyczytać z języka ciała i wyrazu twarzy. Poza tym miałam nadzieję, że zadzwoni Ty Eddings. Jeśli zablokuję linię, nie będzie mógł się dodzwonić. Upewniłam się, że

automatyczna sekretarka jest włączona, wrzuciłam teczkę do torby, wzięłam kluczyki do auta i ruszyłam do drzwi.

Znalazłam Foleya w słonecznej kościelnej kuchni, schyłego nad ogromną froterką, za pomocą której polerował nakrapiane, beżowo-białe plastikowe płytki. Poruszał się niezdarne, jak człowiek mający bóle. Był w opłakanym stanie. Twarz miał trochę mniej opuchniętą, ale nie wyglądał dzięki temu o wiele lepiej. Z opatrunku na jego nosie zwiślał plaster. Powieki miały odcień głębokiej lawendy, jakby użył cienia do powiek, żeby zintensyfikować ich kolor. Siniaki powędrowały w dół, siła grawitacji przyprawiła mu podskórną brodę, która nadawała ciemny koloryt dolnej części twarzy. Czarne szwy odchodziły od jego ciągle nabrzmiałych ust jak wąsy zębacza.

Kiedy się zorientował, że tu jestem, wyłączył maszynę i z błogością osunął się na taboret.

Przysunęłam sobie drugi taboret i przycupnęłam na nim.

- Nie powinien pan być w łóżku?

- Nie lubię próżnować. Lepiej pracować i zarabiać na swoje utrzymanie. Co panią tu sprowadza?

- Cały czas myślę o tej koronkowej firance, w którą było owinięte jej ciało.

Spuścił wzrok na swoje dłonie.

- Żałuję, że zerwałem tę firankę. To dlatego odjechała. Wiem, że nie zmienię przeszłości, ale jeśli by wtedy nie odeszła, być może ciągle by żyła.

- Nie o to mi chodziło, Foley. Nie po to jechałam taki kawał drogi, żeby budzić w panu poczucie winy - powiedziałam. - Kiedy zwykle przyjeżdżała śmieciarka?

Musiał się chwilę zastanowić.

- W piątki.

- Ale w tamten piątek nie przyjechała, bo był długi Weekend, tak?

Wzruszył ramionami:

- Skoro pani tak twierdzi. To było tyle lat temu.

- Hmm, proszę się zastanowić. Banki były zamknięte. Nie przyszła poczta, urzędy państwowe były nieczynne. Pracownicy instytucji miejskich mieli wolne, może tylko autobusy jeździły, jeśli wtedy mieliście autobusy w Serena Station.

- Właśnie tak.

- A to oznacza, że firanki były w śmieciach przez całe dwa dni - cały piątek i całą sobotę - zanim znalazły się w samochodzie. Bel air został pogrzebany nie wcześniej niż o dwudziestej pierwszej trzydzieści.

Popatrzył na mnie zaskoczony, lecz ja nie pozwoliłam sobie przerwać:

- Niech pan będzie cierpliwy. Gdzie trzymaliście pojemniki na śmieci?

- W uliczce za domem.

- Ktoś mógł więc niepostrzeżenie ukraść firankę.

- Ukraść? Po co?

- Bo... już wtedy wiedział, że ją zabije i zakopie w samochodzie.

Sprawa kłótni o zerwaną firankę była powszechnie znana. Violet opowiadała o tym każdemu, kto chciał słuchać. A więc jeśli przez przypadek ktoś natknąłby się na ten samochód, fakt, że była owinięta firanką, rzuciłby podejrzenie na pana. - Wyczulam, że trybiki w głowie Foleya intensywnie pracują. Mówiłam dalej: - Kim jest Philemon Sullivan? Czy to pan?

- Matka dała mi takie imię, ale zawsze go nienawidziłem, więc zacząłem się nazywać Foley.

- Czy mniej więcej w tym czasie nie zgarnięto pana za pijaństwo i agresywne zachowanie?

- Kto pani powiedział?

- Widziałam notkę w gazecie o wyroku w zawieszeniu i stu pięćdziesięciodolarowej grzywnie. Gazeta była z szóstego lipca, ale nie napisali, kiedy został pan aresztowany. Kiedy to się stało?

- Nie chcę teraz o tym mówić. To było lata temu.

- Dokładnie: trzydzieści cztery. A więc już chyba może pan uchylić rąbka tajemnicy.

Przez chwilę milczał, a potem przyznał mi rację:

- Aresztowali mnie w piątek, późnym popołudniem, noc spędziłem w więzieniu. Upiłem się w Moonie i chyba nie za dobrze zachowywałem. B.W. zadzwonił do biura szeryfa, żeby przyjechali i mnie aresztowali. Z więzienia zadzwoniłem do Violet, ale nie przyjechała, żeby mnie wyciągnąć. Powiedziała, że to mi dobrze zrobi i że jeśli o nią chodzi, mogę tam zgnieć. Miałem koszmarne kaca, myślałem, że umrę. Wreszcie następnego dnia rano mnie wypuścili.

- W sobotę czwartego? Znowu skinął głową.

- Czy ktoś pana widział?

- Sierżant Schaefer wychodził z posterunku wtedy co ja, zaproponował, że mnie podwiezie do domu. Tom Padgett też by to potwierdził, bo zabraliśmy go po drodze. Akumulator mu padł, jechał do domu po przewody rozruchowe.

- Powiedział mi pan, że musiał „wyskoczyć coś załatwić” wczesnym popołudniem w sobotę. Pamięta pan, co to było?

- Tak, proszę pani. Sierżant Schaefer zapytał, czy pomógłbym mu zmontować stół warsztatowy, który budował w szopie. Jestem dobry w stolarce - może nie w wykańczaniu, ale w tym, co potrzebował zrobić. Miał przygotowane drewno, zbiliśmy z desek stół na narzędzia.

- Kiedy ma pan urodziny?

- Czwartego sierpnia.

- Otóż mam dla pana spóźniony prezent urodzinowy. Oskarżenia o zamordowanie Violet ma pan już z głowy. Ktoś wykopał dla niej grób pomiędzy czwartkową nocą a sobotnim popołudniem, ale to nie mógł być pan. W czwartek w nocy był pan z Violet, demolując dom. Później pojechaliście do Moonu, żeby się upić. Ktoś widział faceta obsługującego buldożera na posiadłości Tannerów w piątek wieczór, ale wtedy pan już był w więzieniu. Wiadomo zatem, gdzie pan był pomiędzy więzieniem a pracą u sierżanta Schaefera.

Utkwił we mnie spojrzenie.

- A niech mnie.

- Na pana miejscu jeszcze bym nie świętowała. Powinien pan, tak jak

zamierzał, wynająć adwokata, żeby chronić własny tyłek. A ja tymczasem wszystko z przyjemnością wyjaśnię Daisy.

W drodze do Santa Maria zatrzymałam się w warsztacie samochodowym Steve'a Ottweilera.

Testament Hairla Tannera nie dawał mi spokoju, ale nie chciałam o to pytać Jake'a. Steve zaprosił mnie do biura, zakładając, że jestem tu w sprawie samochodu. Zaczekałam, aż skończą się powitalne pogaduszki:

- Mogę o coś zapytać?

- Słucham.

- Tannie mi powiedziała, że Hairl Tanner umarł miesiąc po waszej mamie.

- Poniekąd.

- To znaczy?

- Zastrzelił się.

- Samobójstwo?

- Tak. Był zgorzkniałym, pozbawionym złudzeń starym człowiekiem.

Moja babka już nie żyła. Moja mama właśnie umarła. Nie miał po co żyć, a przynajmniej tak mu się wydawało.

- Zostawił list?

- Tak. Zatrzymałam go, jeśli mi nie wierzysz.

- Czy wyjaśnił, dlaczego w ten sposób rozdysonował swój majątek?

- To znaczy?

- Zastanawiam się, dlaczego Hairl Tanner był taki wściekły na waszego tatę.

Parsknął, jakbym go rozbawiła, lecz jego oczy pozostały martwe:

- Dlaczego sądzisz, że był na niego zły?

- Widziałam testament.

- Ach, tak? Jak ci się to udało?

- Znalazłam go w urzędzie hrabstwa. Sprawdziłam też wtedy parę innych testamentów, więc nie myśl, że się czepiam akurat twojego taty.

Wasz dziadek tak to zorganizował, żeby Jake nie dostał ani centa, nawet jeśli pieniądze miałyby iść dla was.

- Nie widzę związku.
 - To mój ostatni dzień pracy. Zostawiam gliniarzom ustalenie, kto zabił Violet. Jednak wcale mi się nie podoba, że ciągle nie wiem, dlaczego zginęła.
 - A czy to nie wszystko jedno?
 - Nie jestem przekonana.
 - Na pewno masz jakąś teorię, inaczej by cię tu nie było.
 - Myślę, że została zabita dla pieniędzy, które zebrała, żeby uciec.
 - A co to ma wspólnego z moim ojcem?
 - Zastanawiam się, skąd wziął pieniądze, za które kupił Blue Moon.
 - Sugerujesz, że... że ją zabił dla pieniędzy?
 - Pytam tylko, w jaki sposób sfinansował zakup baru.
 - Jeżeli tak cię to interesuje, najlepiej idź do Moonu i sama go zapytaj.
- A ja nie mam zamiaru tu siedzieć i wysłuchiwać twoich kretyńskich pytań dotyczących sprawy, o której nic nie wiesz.
- Czemu ty mi nie odpowiesz? Oszczędzisz mi fatygi.
 - Żeby ułatwić ci życie?
 - Żeby nie stawiać swojego ojca w kłopotliwej sytuacji. Myślę, że wiesz więcej, niż mi powiedziałeś.

Wiedziałam, że jest wściekły, ale widziałam, jak walczy sam z sobą:

- Jeżeli już musisz wtykać do tego swój pierdolony nos - moja matka miała ubezpieczenie na życie. Tata dostał sześćdziesiąt tysięcy dolarów, połowę włożył na rachunki oszczędnościowe dla Tannie i dla mnie, a za resztę kupił Moon. Sprawa jest zamknięta i życzę sobie, żebyś stąd wyszła, zanim zadzwonię po policję.

Wstał zza biurka, chwycił mnie za łokieć i bezceremonialnie wyprowadził na zewnątrz.

Gdy wróciłam do Daisy, była już szesnasta, a ja miałam ochotę mieć już tę sprawę z głowy.

Najwyraźniej byłam na tym etapie śledztwa, kiedy ludzie nie tylko się wkurzają, ale uciekają się do chamskiego zachowania, sarkazmu i przemocy fizycznej. Steve Ottweiler musiał wiedzieć, podobnie jak ja, że

nie ma sposobu, by sprawdzić to, co mi powiedział o ubezpieczeniu na życie swojej matki. Jake w życiu mi nie powie, które to było towarzystwo ubezpieczeniowe, a po trzydziestu czterech latach nie mam szans dowiedzieć się tego bez jego pomocy. Pewnie powinnam była iść prosto do Jake'a i przycisnąć go, lecz ten człowiek budził we mnie lekki strach. Kiedy wyszłam od Steve'a, miał mnóstwo czasu, żeby zatelefonować do ojca i powiedzieć mu, co się dzieje. Jake musiał tylko powtórzyć historyjkę, którą usłyszałam od Steve'a, a ja nie byłabym ani na jotę mądrzejsza.

Usiadłam i dopisałam dodatkowe trzy rozmowy do mojego sprawozdania. Pani York, Foley i Steve Ottweiler. Było to zajęcie niewymagające myślenia. Zrobiłam to nie dlatego, że jestem skrupulatna, ale chciałam chwilę spokojnie pomyśleć. Podczas gdy moje palce biegały po klawiaturze, umysł był zajęty czymś innym. Tyle że sama nie wiedziałam czym. Właśnie kończyłam, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrałam pochłonięta moim raportem:

- Halo?
- Panna Millhone?
- Tak.
- Mówi Ty Eddings. Zostawiła mi pani wiadomość

ROZDZIAŁ 30

Kathy Piątek 3 lipca 1953

Kathy stała za drzwiami jadalni, łowiąc widelcem zimne ravioli z puszki. Niewielkie poduszeczki z ciasta były miękkie, a sos pomidorowy zebrał się na górze jak śmietanka.

Kolacja była dopiero za pół godziny, więc Kathy pozwoliła sobie na małe co nieco. Matka uważała, że należy poznawać potrawy z różnych krajów, dlatego w pierwszy piątek każdego miesiąca przyrządzała nowe danie. Nazywała to „edukowaniem podniebień”. W poprzednim miesiącu ugotowała chińską potrawę zwaną subgum chicken chow mein, którą zaserwowała na angielskich muffinach, hojnie poląła sosem sojowym i posypała czymś chrupiącym, brązowym i przypominającym makaron. W

maju przygotowała włoskie spaghetti, a w kwietniu zrobiła francuskie danie beef boigheenyawn do złudzenia przypominające gulasz wołowy. Dzisiaj mieli skosztować welch rabbit, dania walijskiego, które pod okiem matki przygotowała Kathy.

Najpierw otworzyła paczkę żółtego sera w plasterkach, który roztopiła w rondelku z podwójnym dnem, dolewając puszkę skondensowanego mleka. Potem dodała sosu Worcestershire, pół łyżeczki wytrawnej musztardy - i to było wszystko. Mniem. Nie mogła się doczekać. Ravioli zjadła tylko na wypadek, gdyby porcje nie były duże.

Cały problem w tym, że odkąd nauczycielka gimnastyki panna Carrico wspomniała, że Kathy mogłaby zrzucić trzydzieści pięć funtów, matka uważnie obserwowała córkę i nakładała jej porcje tak małe, że Kathy odchodziła od stołu z bólem brzucha. Za pierwszym razem pomyślała, że to pomyłka, i grzecznie poprosiła o dokładkę. Rodzice wymienili wtedy takie spojrzenia, że zaczerwieniła się po czubki uszu. Całkiem jakby przedyskutowali tę sprawę za jej plecami i w tajemnicy przed nią przyznali rację nauczycielce, co chyba nie było w porządku.

Kiedy Kathy po raz pierwszy powiedziała, co panna Carrico sądzi o jej tuszy, matka wpadła w szal. Poszła prosto do dyrektora szkoły ze skargą na mało taktowną i wtykającą nos w nie swoje sprawy nauczycielkę.

Dyrektor musiał udzielić panie Carrico poważnej reprimendy, ponieważ od tej pory zaczęła ignorować Kathy i unikać jej wzroku, tak jakby dziewczyna nie istniała. Nie żeby Kathy zależało. Jeżeli panna Carrico robiłaby problemy z jej oceną z gimnastyki, Kathy miała zamiar powiedzieć matce, jak nauczycielka się zachowuje, gdy w pobliżu jest panna Powell, która uczy gospodarstwa domowego. Kiedy panna Carrico myślała, że nikt jej nie widzi, robiła się spięta i zachowywała się dziwnie. Zupełnie jakby była zakochana w kobiecie, a to, według Kathy, nie było całkiem w porządku. Po jednym ze spotkań Ruchu Odnowy Moralnej zwierzyła się z tych wątpliwości pastorowi. Ten jej odpowiedział, że zbada tę sprawę, ale tymczasem Kathy powinna trzymać język za zębami.

Kathy nie była pewna, ile powinna odczekać, zanim weźmie sprawy w swoje ręce.

Tak właściwie było całkiem możliwe, że panna Carrico miała za złe rodzinie Cramerów ich pozycję w społeczności.

Drugiego czerwca na przykład, w dniu koronacji królowej Elżbiety II, dyrektor zapytał, czy ojciec Kathy zechciałby przynieść ich odbiornik telewizyjny, żeby klasa mogła obejrzeć ceremonię z dalekiej Anglii.

Ojciec przyniósł telewizor i ustawił go w auli siódmej klasy.

Wszystkie dzieciaki zebrały się dookoła, żeby obejrzeć widowisko, a kiedy było już po wszystkim, dyrektor publicznie złożył Kathy podziękowania. Panna Carrico stała na końcu sali z tym swoim ironicznym uśmiechem na ustach, najwyraźniej nieświadoma, że Kathy widzi, co się dzieje w głębi tego jej zazdrosnego serca.

Z drugiej strony Kathy miała nadzieję, że pochwały i uznanie dyrektora nie sprawiły przykrości Lizie. Może i Liza była ładniejsza i dostawała lepsze oceny, ale to przecież nic wobec faktu, że Kathy pochodziła z lepszego domu. Jej ojciec był znanym biznesmenem, a o matce często pisano w rubryce towarzyskiej lokalnej gazety. Kathy - w krótkich białych rękawiczkach i z Biblią (oprawioną w białą skórę), którą dostała na Wielkanoc - co niedziela chodziła z rodzicami do kościoła. No to co, że musiała kupować ubrania w dziale dla puszystych? Matka mówiła, że to tylko dziecięcy tłuszcz i pewnego dnia Kathy zamieni się w łabędzia. Matka biednej Lizy była rozwiedziona i całymi dniami piła. Kathy nie pojmowała, jak Liza może patrzeć ludziom w oczy, ale Livia jej wyjaśniła, że dziewczęta z rozbitych rodzin zasługują na współczucie, a nie na potępienie. Powiedziała, że Liza radzi sobie najlepiej, jak potrafi. Kathy nie powinna traktować jej z góry.

Kathy rozumiała, o co chodzi. Nie tylko nosiła ładne ubrania, ale jej matka miała nową dwudrzwiową lodówkę z oddzielnym zamrażalnikiem. Poza tym lodówka była zaopatrzona w magiczną tackę, wystarczało ją obrócić, żeby wyskoczyły kostki lodu. Na Gwiazdkę ojciec podarował matce nowiutki mikser Waring, którego - od czasu kiedy matka przestała

kupować lody - Kathy używała codziennie po szkole, żeby sobie zrobić gęsty koktajl mleczny. Livia mówiła, że Kathy powinna być wdzięczna losowi. Była wdzięczna, wiedziała, jaką jest szczęściarą, że ma prawdziwą pracę w salonie ojca, podczas gdy Liza zarabiała, opiekując się dzieckiem i prasując ubrania Violet, czyli jako służąca.

Matka Kathy pragnęła wpoić córce cnotę niesienia pomocy tym, którzy sami nie mogą sobie pomóc - ważna lekcja życia, którą Kathy wzięła sobie do serca. Właśnie dlatego wymyśliła akcję „Jesienna garderoba”. Plan był taki, że ona i Liza własnoręcznie uszyją sobie ubrania do szkoły, używając maszyny do szycia marki Singer, należącej do matki Kathy. Liza nie wyglądała na bardzo zainteresowaną. Dwa razy przekładała wycieczkę do sklepu, podczas której zamierzały kupić wykroje i materiały. Za każdym razem znajdowała odpowiednią wymówkę, ale Kathy i tak czuła się zraniona. Kiedy poskarżyła się matce, Livia zasugerowała, że być może Liza wstydzi się przyznać, iż nie ma pieniędzy. Kathy doskonale to rozumiała.

Nawet odłożyła dziesięć dolarów z kieszonkowego, żeby podzielić się z przyjaciółką.

Tego poranka pojawiła się rano przed drzwiami Lizy gotowa (nareszcie!) na wspólną eskapadę do miasta. Była pewna, iż Liza będzie taka podekscytowana, kiedy dotrze do niej, że Kathy ma zamiar spełnić jej marzenia! Już sobie wyobrażała, jak będą wyglądać w podobnych strojach. Nie takich samych, oczywiście, ponieważ każda z nich - jak doradzał magazyn „Seventeen” - musiała wyrazić własną indywidualność. Kiedy nadejdzie jesień, w szkole wszyscy zauważą, że dziewczęta noszą podobne spódniczki i bluzki, a wtedy zrozumieją, że są najlepszymi przyjaciółkami. Kathy wściekła się, kiedy nie zastała Lizy w domu, ale postanowiła nadstawić drugi policzek. Zasada Absolutnej Miłości nauczała, że można wznieść się ponad drobne nieporozumienia. Kathy nawet zostawiła w pokoju Lizy niespodziankę - śliczny prezent urodzinowy.

W sklepie poczuła się tak szczodra, że kupiła aż dwa wykroje, po

jednym dla każdej z nich.

Zrobiła to częściowo po to, żeby pokazać własną wielkoduszność, a częściowo ponieważ potrzebowała dla siebie o wiele większy rozmiar. Kupiła trzy jardy niebieskiej wełenki dla siebie oraz przyjemny, duży skrawek szarego sztruksu dla Lizy.

Miała ochotę podzielić się z przyjaciółką dobrymi nowinami, ale kiedy Liza zadzwoniła podziękować za puder, zapomniała o swoim postanowieniu. Rozczarowanie wzięło górę i prawie się popłakała, zanim Liza wreszcie wszystko jej wyjaśniła. Biedactwo. To nie jej wina, że ma słabą matkę.

Kiedy Kathy usłyszała samochód ojca wjeżdżający na podjazd, szybko schowała opróżnioną do połowy puszkę ravioli za zestaw srebra stołowego, pognąła do salonu i rzuciła się na fotel, przewieszając nogi z jednej strony. W telewizji leciał The Howdy Doody Show i ojciec mógł pomyśleć, że spędziła całe popołudnie przed telewizorem.

- Tatusiu, to ty?

- Tak.

Jedno słowo i już wiedziała, że jest w złym humorze. Sama też nie była w najlepszym po telefonicznej kłótni z Lizą. Wszystko, co jej powiedziała, było szczerą prawdą. Tak baaardzo czekała na tę wyprawę do sklepu. Zanim na scenie pojawiła się Violet, co sobota jeździły do sklepów albo do kina. Livia podwoziła je do Santa Maria i fundowała im lunch w kafeterii, a potem dawała każdej po dolarze na drobne wydatki. Kathy nadal pamiętała smak zapiekanki z tuńczykiem oraz sandwicza z bekonem, sałatą i pomidorem. Wyobrażała sobie wtedy, że razem, trzymając się za ręce, wejdą w dorosłość, najlepsze przyjaciółki, lojalne i szczerze, jak zawsze uwielbiające spędzać razem czas.

Cały semestr zajęło jej zorientowanie się, że coś jest nie tak. Najpierw Liza zrobiła się bardzo zajęta. Kathy nie miała pretensji, bo kiedy wreszcie się spotykały, wszystko było jak dawniej. Chichotały, zajadały się popcornem, nalewały Dr. Peppera do szklanek z lodem i licytowały się, która głośniej beknie. Jednak Liza stopniowo odsuwała się od niej.

Stała się chłodna, udzielała wymijających odpowiedzi, a Kathy nie miała pojęcia dlaczego. Matka pomogła jej rozwiązać tajemnicę: najpierw pojawiła się Violet, potem Ty. Liza miała pełne ręce roboty, więc nic dziwnego, że tak niewiele mogła zaoferować Kathy. A teraz, kiedy całymi dniami opiekowała się Daisy, czym Kathy miała się zająć?

Zaniosła prezent urodzinowy do pokoju Lizy i przez kilka minut szperała w jej rzeczach.

Szczotka do włosów pachniała Lizą, a miś, którego dała jej Kathy, nadal siedział oparty o poduszkę, co Kathy uznała za dobry znak. Nie miała zamiaru węszyć, ale kiedy w ciemnym, zakurzonej kącie za książkami odkryła pamiętnik, usiadła na łóżku i zaczęła go kartkować, bo chciała znowu poczuć się przyjaciółką Lizy. Wiedziała, że to tylko iluzja, ale z przyjemnością wyobrażała sobie, że Liza dzieli się z nią sekretami, nawet jeśli w rzeczywistości od dawna tego nie robiła. Troszkę się bała, że Liza może pisać o niej niemiłe rzeczy za jej plecami. W końcu przyjaciółka mogła mieć jakiś zarzut albo skargę, które bała się wyrazić wprost. Kathy pomyślała, że jeśli zobaczy siebie oczyma Lizy, będzie mogła poprawić to, co przyjaciółce w niej nie odpowiada.

Kiedy tak czytała, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie jest w ogóle wymieniana. Z kolei zapiski dotyczące Ty'a ugodziły ją prosto w serce. Nagle zrozumiała, że podczas gdy ona, Kathy, była zajęta normalnymi problemami nastolatki, Liza wchodziła w kobiecość.

Czytając o szczegółach związku Lizy i Ty'a, Kathy poczuła falę gorąca między nogami.

Dawniej przeżywała coś podobnego, kiedy czytały „True Confession”, ale wiedziała, że to nic dobrego. Zrobiła, co w jej mocy, żeby odciągnąć Lizę od tych świństw i skierować z powrotem w świat gwiazd ekranu i magazynów filmowych. Wydawało się jej, że odniosła sukces, więc odkrycie, że Liza sama ma problemy rodem ze szmatławców, było dla niej podwójnie szokujące. Jak upokorzona Liza musiała się czuć! Nic dziwnego, że nie śmiała się zwierzyć Kathy. Kathy już widziała oczami wyobraźni nagłówki: „Wstydzę się powiedzieć najlepszej przyjaciółce!”,

„Jego miłość sprowadza mnie na złą drogę, ale nie mam siły zaprotestować!”, „Jeśli tylko miałabym powiernika. Młoda kobieta walczy o swoje dziewictwo”.

Natychmiast zrozumiała, że może pomóc przyjaciółce. Załamana Liza nigdy nie odważy się zwierzyć ze swojej trudnej sytuacji. A Kathy naturalnie nie może przyznać, że za jej plecami przeczytała pamiętnik. Nic dziwnego, że Liza odsunęła się od niej, pewnie się bała, że wyda się swojej moralnej przyjaciółce odrażająca. Jak mogła aspirować do Absolutnej Czystości, skoro już była skalana? Pierwszym krokiem były tampaksy. Założenie tamponu mogło rozpętać uśpione instynkty najniższego rzędu. Musi znaleźć sposób, żeby przekonać Lizę, że ciągle jest nadzieja oraz że nie odeszła tak bardzo daleko, by nie można było zawrócić. Była w pełni gotowa ofiarować przyjaciółce pomoc. Chodziło tylko o wyciągnięcie z niej informacji, których teoretycznie jeszcze nie miała.

Kathy czekała na telefon od Lizy i w myślach ćwiczyła różne sposoby na poruszenie tego tematu. To nie jest wina Lizy. Jej ojciec nawet nie mieszkał w tym samym stanie. Prawie go nie widywała, a kiedy już udało im się spotkać, mniej więcej raz na pół roku, nawet ze sobą nie rozmawiali. W efekcie nie miała przewodnika moralnego, więc czego innego można się było spodziewać? W większości scenariuszy z oczu Lizy tryskały łzy wdzięczności, a Kathy musiała długo ją pocieszać. Godziny mijały i kiedy matka wreszcie zawołała: „Kathy? Liza dzwoni”, była już bardzo zaniepokojona.

Szła na dół ze ściśniętym żołądkiem. A co, jeśli Liza spędziła cały dzień z Ty’em? A co, jeśli zaczął ją całować i zmiękła pod jego dotykiem? Kathy miała zamiar dać Lizie do zrozumienia, że może na niej polegać, ale zapomniała o pudrze i podziękowania Lizy zbiły ją z tropu. Następną rzeczą, jaką zapamiętała, był wylewający się z niej potok żalów. Czuła, że zachowuje się żałośnie, lecz tak bardzo chciała, żeby Liza była taka jak dawniej, zamiast być obcą osobą zamkniętą w ramionach „chłopaka ze złej dzielnicy”. Liza nawet nie sprawiała wrażenia skruszonej.

Powiedziała, że przeprasza, ale nie brzmiało to szczerze. Kathy odczuła taką ulgę, kiedy okazało się, że chodzi o matkę Lizy. Chora na coś zaraźliwego? Nic dziwnego. A czego można się spodziewać po kobiecie, która dużo pali i pije? Pocieszyła przyjaciółkę najlepiej jak umiała, niestety, nie potrafiła skierować rozmowy na sami-wiecie-co. Jednak i tak pod koniec czuła się dobrze. Co prawda nadal musiała szukać sposobu na skłonienie Lizy do zwierzeń, ale przynajmniej wszystko zaczynało układać się po staremu. Był tylko jeden problem - Kathy nie była szczęśliwa i sama nie wiedziała, dlaczego tak jest.

Właśnie dlatego zabrała się do puszki ravioli, nie z głodu, ale ponieważ czuła się zagubiona i sfrustrowana. Potem matka zawołała ją na kolację i wreszcie mogła oficjalnie usiąść do stołu.

Nie zwróciła uwagi na niewielką sprzeczkę rodziców, bo zajęła się swoim talerzem. Nie mogła się doczekać dania welch rabbit, które okazało się tak pyszne, jak sądziła. Kopiec złotobrazowego chleba ociekający miękkim, ciepłym serem. Posmarowała tosta margaryną, która cudownie smakowała z roztopionym serem. Ból ustępował i już prawie czuła się bezpiecznie, kiedy ojciec zdawkowo wspomniał o Lizie. Kathy nie mogła się skupić na jego słowach, bo umierała z głodu. Nie dokończyła puszki ravioli i wiedziała, że jeżeli rodzice zauważą, w jakim tempie pochłania kolację, odbiorą jej talerz, co złamie jej serce. A już i tak wiele straciła.

Na pierwszy rzut oka pomysł, że Liza miałyby jeść lunch z Violet, wydawał się absurdalny.

Co ten ojciec wymyślił? Wiedziała, że wspomniał o tym, żeby jej zrobić na złość, ale przecież zwykle nie zmyślał. Jednak popełnił błąd, a ona go bezbłędnie wyłapała:

- Bardzo zabawne. Ha, ha, ha. A gdzie w tym czasie była Daisy?

Zapomniałeś o niej?

- Siedziała sobie razem w nimi nad wielką miską spaghetti i nitka po nitce wsysała makaron, siorbiąc niemiłosiernie.

To przesądziło sprawę. Jej ojciec nie znał Daisy. Skąd by wiedział, że

dzieciak w ten sposób je makaron, gdyby tego nie widział na własne oczy? Zaprotestowała i próbowała dowieść swoich racji tylko po to, by nie zauważył, jak ją zranił. Słaba interwencja matki jeszcze pogorszyła sprawę.

Po kolacji pobiegła do pokoju, przeskakując po dwa stopnie naraz, a ojciec wrócił do pracy. Zatrzęsnęła drzwiami i zamknęła je na klucz.

Szlochając, rzuciła się na łóżko. To najgorszy dzień jej życia! Czuła się zdradzona. Liza cały czas kłamała. Wolała świętować swoje urodziny z Violet Sullivan. Spędziły cały dzień w eleganckiej restauracji, zajadając krewetki.

Kathy tylko chciała być ze swoją przyjaciółką, a Liza zachowała się jak zdrajczyni.

Nie była pewna, jak długo płakała, kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi i mama zawołała ją po imieniu. Kathy wiedziała, że oczy ma wielkości piłeczek pingpongowych, a nos taki zasmarkany, że chyba zbierało jej się na katar.

- Idź sobie!

- Kathy, coś ci przyniosłam. Mogę wejść?

- Zostaw mnie w spokoju.

- Mam dla ciebie coś dobrego.

- Co?

- Otwórz drzwi, sama zobaczysz.

Kathy niechętnie wysiąkała nos w chusteczkę, a potem wytarła oczy skrawkiem podkoszulka.

Wstała i otworzyła drzwi. Mama trzymała szklanek mleka i talerz ciasteczek brownies.

- Co prawda upiekłam je na spotkanie naszego klubu kanasty, ale starczy i dla ciebie. Twoje ulubione - z podwójną porcją czekolady, orzechami włoskimi i pekanami.

- Nie mam apetytu.

- Nie skosztujesz nawet jednego? Prawie nic nie zjadłaś na kolację, musisz być troszkę głodna. Mogę wejść? Tylko na minutkę.

- Proszę.

Kathy usiadła na łóżku. Matka postawiła szklanę z mlekiem i talerz ciasteczek na stoliku nocnym. Kathy wiedziała, że ciasteczka są jeszcze ciepłe, bo czuła zapach czekolady, wonny jak zapach perfum. Nie pamiętała, kiedy matka ostatnio proponowała jej coś do jedzenia.

Zwykle było na odwrót. Teraz siedziały tutaj razem, Kathy ze złamanym sercem, a mama ze zmartwioną miną.

- Czujesz się już lepiej?

- Nie - bez patrzenia na talerz Kathy wyciągnęła rękę, ostrożnie wzięła jedno ciasteczko i trzymała je w ręce.

- Widzę, że jesteś smutna - powiedziała mama.

- No i?

- Rozumiem, że jesteś zła na Lizę, że cię okłamała. Czy stało się coś jeszcze?

- Na przykład co? - odłamała kawałek ciastka i położyła na języku. Znowu zbierało jej się na płacz.

- Nie wiem, cukierczku. Dlatego pytam. Wydaje mi się, że chodzi jeszcze o coś. Czy jest coś, co chcesz mi powiedzieć?

Kathy nie mogła się zorientować, do czego zmierza matka:

- Chyba nie.

- Kathy, dziecinko, nie chcę, żebyśmy miały przed sobą jakieś sekrety. Matka i córka mówią sobie wszystko, jeżeli chcą być przyjaciółkami. Matka nie nazwała jej „dziecinką”, odkąd Kathy dostała pierwszy okres półtora roku temu. Mama była na to przygotowana - już wcześniej kupiła pudełko podpasek i podobną do paska elastyczną rzecz, którą wiązało się wokół talii, żeby podpaska została na miejscu. Kiedy mama pokazywała jej, w jaki sposób zamocować długą, zrobioną z gazy część podpaski w zamku, miała tę samą zmartwioną minę, tak jakby Kathy nagle stanęła w obliczu niebezpieczeństw niemożliwych do wysłownienia. Mama mówiła dalej głosem pełnym miłości:

- Wiem, że coś przede mną ukrywasz. Powiedz mi, o co chodzi.

- Niczego nie ukrywam - przełamała pozostałą część ciasteczka na

dwie części i wpakowała jedną połowę do ust.

- Wiesz, że cokolwiek byś zrobiła, zawsze będę cię kochać.

Kathy spojrzała na nią zdumiona:

- Mamuś, ale ja nic nie zrobiłam! Jak możesz myśleć coś takiego, kiedy ja nawet nie wiem, o co ci chodzi!

- W takim razie co się stało? Chcę, żebyś była absolutnie szczerą. To, co mi powiesz, zostanie między nami.

Kathy wlepiła wzrok w podłogę i milczała. Tak właściwie to nie miała żadnej tajemnicy, ale było coś, co ją poważnie zaniepokoiło. Mama będzie wiedzieć, co z tym zrobić. Tylko nie była pewna, czy może jej zaufać.

- Powiesz tacie.

- Nie, nie powiem. Jeśli to nie dotyczy twojego zdrowia ani bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, to zostanie między nami.

- Nie chodzi o mnie.

- W takim razie o kogo? O Lizę? Czy powiedziała coś paskudnego o twojej wadze?

- Niiiiiiiiieeeeeee - dwie sylaby. Coś paskudnego o jej wadze? Co paskudnego mama mogła mieć na myśli? Przecież to ona uczyła ją o wewnętrznym pięknie.

- Ale chodzi o Lizę?

- Właściwie tak.

- Czy jej matka więcej pije?

Kathy potrząsnęła głową, unikając wzroku matki:

- Po prostu się martwię, to wszystko.

- Tak? A czym się martwisz?

Kathy przysięgała sobie, że nie piśnie ani słówka. Kiedy tylko wymyśli sposób na skłonienie Lizy do zwierzeń, dziewczęta pogrążą się w długiej rozmowie od serca, która przeciągnie się do późna w nocy, tak jak dawniej. Zakręcą włosy i przypną je spinkami, a potem nasmarują buzie noxzemą, żeby nie mieć pryszczki. Delikatnie pomoże Lizie zrozumieć jej błąd i skieruje ją na dobrą drogę. Matka przypatrywała się

jej uważnie.

- Nie mam pojęcia, co takiego może dziać się z Liza, że wstydzisz mi się o tym powiedzieć.

Kathy czuła presję, była rozdarta między lojalnością wobec najlepszej przyjaciółki a pragnieniem, by schronić się w objęcia matki.

- Obiecuję, że nikomu nie powiem - przypomniała mama.

- Czy może chodzi o to, że Liza lubi się dotykać?

- Dotykać się czym?

Matka zbladła:

- O, mój Boże. Czy ona pozwala, żeby Ty Eddings to z nią robił?

Kathy poczuła, że nad jej górną wargą zbiera się cienka warstewka potu.

- Odpowiedz.

Kathy wymruczała coś niewyraźnie, nie chcąc okłamywać mamy.

- Mów głośniej.

- Pozwoliła mu dotknąć swoich piersi i włożyć rękę... - ostatnie słowo wymamrotała.

- Gdzie?

- Tam na dole.

Livia spojrzała na nią przerażonym wzrokiem:

- Powiedziała ci to?

Kathy wzruszyła ramionami.

- Jesteś absolutnie pewna?

Dziewczyna nic nie powiedziała, ale poruszyła ustami w sposób sugerujący, że owszem, jest pewna. W końcu widziała opis na własne oczy.

Matka przyglądała się jej badawczo:

- Nie zmyśliłabyś tego, żeby się na niej odegrać?

- Nie.

- Jak daleko się posunęli?

- Niedaleko. Tylko pieszczoty.

- Pieszczoty? Czy to właśnie nazywasz pieszczotami - kiedy on dotyka

jej części intymnych? Przecież to obrzydliwe. Na zewnątrz jej ubrania czy wewnątrz?

Kathy nie sądziła, że pytania matki będą tak szczegółowe. Pamiętnik nie był na tyle precyzyjny, więc Kathy nie chciała się jednoznacznie wypowiadać. Na zewnątrz, wewnątrz.

Wybrać jedno.

- Na zewnątrz.

- Skąd wiesz?

- Powiedziałyby mi, gdyby wkładał rękę pod ubranie.

- Dzięki Bogu chociaż za to. Zaczekaj tutaj. Zajmę się tym.

- Nie rób tego - jęknęła Kathy. - Nie wolno ci nikomu powiedzieć.

Obiecałaś.

- Nie gadaj głupstw. Ty Eddings został tutaj przysłany po tej nieprzyjemnej historii w Bakersfield, żeby się poprawić. Jeżeli Dahlia York kiedykolwiek dowie się, że o tym wiedziałam i nie poszłam prosto do niej, nigdy się do mnie nie odezwie i będzie mieć do tego święte prawo. Przyjmowałam ją w moim domu, muszę jej powiedzieć.

- A jeśli Liza odkryje, że to ja wygadałam?

- Nigdy się tego nie dowie. Uwierz mi. Nie będziesz zamieszana w tę sprawę.

Przerażona Kathy słuchała, jak matka schodzi na dół do telefonu. Nie chciała donosić na Lizę, jednak matka domyśliła się wszystkiego, zanim Kathy wyjąkała choćby słówko.

Słuchała, jak Livia podaje operatorowi numer Dahlii York. Potem zapadła cisza, czekała na połączenie.

Kathy poczuła ucisk w brzuchu, tak jak przed pójściem do toalety, żeby zrobić numer dwa.

Sytuacja wyrwała się spod kontroli, ale to nie była jej wina. Przecież nie mogła okłamać własnej matki, prawda? Kim by musiała być, żeby to zrobić? Poza tym gdyby Liza od początku była z nią szczerą, nigdy nie puściłaby pary z ust, bo tak właśnie zachowują się najlepsze przyjaciółki. Petting jest zły.

Pastor mówił, że petting może rozbudzić pożądanie, dzieciaki tracą samokontrolę i idą na całość. Może i lepiej, że się wtrąciła. Nie mogła spokojnie przyglądać się, jak coś tak strasznego spotyka jej przyjaciółkę. Było całkiem tak, jak matka tłumaczyła Dahlii: „Jeżeli nie zdusimy tego w zarodku, chłopak skorzysta z okazji”. Matka gadała i gadała, aż wreszcie Kathy przestała jej słuchać.

Tak czy siak, w jaki sposób Liza miała się dowiedzieć, skąd ciotka Ty'a wiedziała o wszystkim?

ROZDZIAŁ 31

Rozmowa z Ty'em Eddingsem była krótka i konkretna. Streściłam mu najnowsze odkrycia - ciało Violet pogrzebane w bel airze, przypuszczenia dotyczące dołu i czasu, który zajęłoby jego wykopanie. Powtórzyłam mu również, co mi powiedziała Liza o mężczyźnie, którego ona i Ty widzieli w posiadłości Tannerów w piątkową noc.

- Pamiętasz markę albo model tego samochodu? Lizie się wydawało, że był ciemnego koloru, ale nie pamięta nic więcej. Mówi, że była taka wystraszona, że tak naprawdę się nie przyglądała.

- To nie był samochód osobowy, ale jeden z nowszych modeli czarnego chevroleta pikapa.

- Serio? Zdziwiasz mnie. Jak to robisz, że pamiętasz takie szczegóły?

- Mój tata miał takiego samego, tyle że z 1948. Ten był nowszy.

- A ten facet? Jak wyglądał?

- Nie pamiętam. Był stary.

- Jak stary? Ty miałaś siedemnaście lat.

- Po trzydziestce, po czterdziestce, coś koło tego. Innymi słowy, nie był nastolatkiem.

- Nie rozpoznałeś go?

- Byłem w mieście dopiero od trzech miesięcy. Nie znałem właściwie nikogo oprócz kumpli z klasy.

- Też racja.

Zadałam jeszcze kilka innych pytań, ale nie potrafił mi pomóc.

Właśnie powoli kończyłam rozmowę, żeby nie marnować jego

cennego, prawniczego czasu, kiedy zapytał:

- Jak się miewa Liza?

- Świetnie. Cieszę się, że zapytałeś. Rozwiodła się. Zajmuje się pieczeniem ciast. Właśnie po raz pierwszy została babcią, ale nigdy byś tego nie zgadł, bo wygląda fantastycznie. Szkoda, że straciliście kontakt.

- To nie moja wina. Ona tak zdecydowała. Pisałem do niej sześć czy siedem razy, ale nigdy nie odpisała. Doszedłem do wniosku, że nie jest zainteresowana.

- Ona mówi co innego. Zniknąłeś w ten sam weekend co Violet. Była zdruzgotana. Nawet teraz mówi, że byłeś miłością jej życia. „Niegrzeczny chłopiec, ale taki słodki” - jej słowa.

- Czyżbyś bawiła się w swatkę?

Roześmiałam się:

- Sama nie wiem. Jesteś wolny?

- Właściwie to tak. Półtora roku temu żona uciekła z moją sekretarką. Jeśli mowa o stracie - nie tęsknię za żoną. Co innego sekretarka, to była najbardziej kompetentna kobieta, jaką w życiu spotkałem.

- Liza nazywa się po mężu Clements. Jest w książce telefonicznej.

Jeżeli coś ci się przypomni, będę wdzięczna za telefon.

- Zadzwoń - powiedział i się rozłączył.

Wykręciłam numer Lizy. Albo nie było jej w domu, albo wyświetlił jej się mój numer. Zostawiłam wiadomość z prośbą o telefon. Nie dzwoniłam, żeby pogadać o jej niegdysiejszym chłopaku. Okłamała mnie w sprawie Foleya i chciałam się dowiedzieć dlaczego. Zerknęłam na zegarek. Za dwadzieścia pięć piąta, byłam jeszcze winna Daisy przynajmniej półtorej godziny. Nie miałam zamiaru podbijać karty zegarowej, ale swój honor mam. Problem polegał na tym, że nie było już sensu nikogo nachodzić, bo kto byłby wystarczająco durny, żeby z własnej woli powiedzieć prawdę?

Tylko głupiec by się przyznał, skoro po trzydziestu czterech latach większość zapewnień nie mogła być potwierdzona ani obalona. W najlepszym razie mogłam liczyć na to, że ludzie zaczną się ze mną dzielić

swoimi podejrzeniami. Ale nawet w takim przypadku odpowiedzi niekoniecznie będą prawdziwe. Sprytny zabójca potrafi skierować podejrzenia na kogoś innego. W każdym razie to już nie był mój problem. Zabójstwem zajmowało się biuro szeryfa, mając do dyspozycji władzę, kompetencje i nowoczesną technikę. Wszystko, co mogłam zrobić, to - za zgodą Daisy - przekazać moje sprawozdanie, które się przyda albo nie. Nieważne, Ty Eddings podsunął mi jeden ciekawy trop. Jeżeli ktokolwiek wiedział, kto kiedyś posiadał czarnego chevroleta pikapa, to człowiek, który je sprzedawał. Odbyłam już dwie rozmowy z Chetem Cramerem, zrobił na mnie wrażenie wystarczająco miłego człowieka. Znał swój towar i swoich klientów, jedno i drugie było jego pasją. Co mi zaszkodzi zadać mu kilka pytań? Po raz drugi tego popołudnia sięgnęłam po kurtkę i torbę, a następnie poszłam do samochodu. Tak jak się spodziewałam, Cramer był na miejscu, w salonie otwartym codziennie do dziewiątej wieczorem. Chet mi powiedział, że po dniu ciężkiej pracy (i paru głębszych) wielu mężczyzn miało ochotę pooglądać nowe auta. Czy jest lepsza nagroda za dobrze wykonaną robotę, niż posiedzieć w gorącej corvette z przymilającym się sprzedawcą, który prezentuje przeróżne gadzety i chce ubić z tobą interes? Możesz udawać, że przyszedłeś tylko popatrzeć, ale tylko do chwili gdy zrozumiesz, że naprawdę możesz wrócić do domu nowym autem. Kiedy weszłam do środka, Cramer właśnie gawędził z jakąś parą. Był z niego prawdziwy stary wyga, klienci pewnie nawet nie podejrzewali, co tu się naprawdę dzieje. Cramer wysłał Winstona po kluczyki, a potem z niemalże ojcowską dumą obserwował, jak Winston bierze ich na jazdę próbną. Zauważył mnie i serdecznie przywitał. Może myślał, że wreszcie mam ochotę coś kupić.

- Przyjechałam, żeby przetestować pańską pamięć - rozwiąłam jego nadzieje. - Próbuję się dowiedzieć, kto w 1953 roku był właścicielem jednego z nowszych modeli czarnego chevroleta pikapa.

Uśmiechnął się:

- Polowa mężczyzn w mieście. Chodźmy na górę, do mojego gabinetu,

sprawdzą to.

- Chwała Bogu! Trzyma pan dokumenty z tamtej epoki?

- Trzymam dokumenty od 1925 roku, kiedy wszedłem do branży.

Podążyłam za nim po schodach i do gabinetu. Otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem, znaleźliśmy się w magazynie z pewnością nie mniejszym niż gabinet. Szafki na dokumenty ciągnęły się wzdłuż trzech ścian, każda szuflada była starannie opisana: rok oraz typ pojazdu.

- Nie wierzę - powiedziałam.

- Cóż, wyjaśnię pani, po co to trzymam. Każdy pojazd, który sprzedaję, jest załącznikiem potencjalnej przyszłej transakcji. Klient wchodzi, a ja mu opowiadam o samochodach, które miał, i o każdym przeglądzie, na który przyjechał. Mogę porównać zeszłoroczny model z tegorocznym albo tegoroczny z tym, który miał sześć lat temu. Wady i zalety. Facet wie, że może mi zaufać, ponieważ zanim przyszedł, porządnie się przygotowałem, a teraz mam wszystko w małym paluszku. Facet umiera - ja rozmawiam z jego synem, wspominam staruszkę i być może przy okazji sprzedaję synowi samochód. Omijając nazwisko Ty'a i okoliczności, w jakich widział auto, opowiedziałam mu, czego się dowiedziałam.

Cramer przyglądał mi się z zainteresowaniem:

- Mówi pani, że facet rozpoznał pojazd, bo jego ojciec miał model 1948.

- Właśnie tak. I nie mógł to być model nowszy niż 1953, bo te z 1954 nie weszły jeszcze na rynek na początku lipca.

- Ma pani całkowitą rację. W grę wchodzi zatem pięć roczników. To nie powinno być bardzo trudne. Proszę spocząć, a ja przyniosę wszystko, co mam. Na biurku leży puszka czekoladowych ciasteczek, proszę się poczęstować. Upiekła je moja żona, Caroleena. Jest znakomitą kucharką. Ciasteczka były niesamowite, więc w oczekiwaniu na Cramera schrupałam jeszcze jedno.

Po pięciu minutach wynurzył się z magazynu z naręczem teczek:

- Każdy dokument jest zaopatrzony w odnośnik zawierający nazwisko

klienta oraz typ pojazdu, który wcześniej u mnie kupił. Nie posuwam się do kodowania kolorów, ale mogę znaleźć umowę dotyczącą każdego samochodu, który sprzedałem. Przyniosłem Advance Design Series, lata 1949-1953.

Wręczył mi notatnik, pióro i dwie teczki, a sam zajął się pozostałymi trzema. Siedzieliśmy i przeglądaliśmy umowę za umową. Sprawdzaliśmy kolor pikapa i zapisywaliśmy każdego, kto kupił czarny. Dwadzieścia pięć minut później każde z nas miało gotową listę, chociaż nazwiska na mojej niewiele mi mówiły. Cramer wstał, skserował obie listy i dał mi kopie.

Rzuciłam okiem na jego spis:

- Nie znam nikogo.

Wzruszył ramionami:

- Mógł być kupiony w innym kolorze, a później przemalowany.

- Jeśli tak, to nie mamy szans znaleźć właściciela.

- Jest jeszcze inna możliwość, ten człowiek mógł pożyczyć pikapa. W tamtych czasach nikt nie zamykał drzwi na klucz, a kluczyki zwykle zostawały w stacyjce.

- Już to gdzieś słyszałam i jest w tym sporo racji. Kiedy jedziesz kopać grób, pewnie nie chcesz używać własnej ciężarówki z kalifornijską tablicą rejestracyjną. Hmmm. Przykro mi, że zabrałam panu tyle czasu.

- Podejrzewam, że w pani zawodzie nie każdy trop prowadzi do celu.

- To na pewno. Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Chętnie odpowiem, ale dokładnie pamiętam tylko rzeczy związane z salonem.

- Rozumiem. Grzebałam w starych dokumentach i natknęłam się na coś dziwnego.

- Mianowicie?

- Testament Hairla Tannera - opowiedziałam Cramerowi o warunkach.

- Pierwsze słyszę. Wygląda na to, że staruszek był o coś niezłe wkurzony. Ciekawe, o co poszło?

- Myślę, że Jake i Violet mieli romans, a on to odkrył.

Malująca się na jego twarzy radosna satysfakcja jakby odrobinę przygasła:

- Nie wierzę w to.
- W co - że mieli romans czy że Tanner to odkrył?
- Violet i Jake. Nie wyobrażam ich sobie razem.
- Dlaczego nie? Jake musiał być przystojny. To znaczy teraz też nie wygląda źle, więc mogę sobie wyobrazić, jak wyglądał trzydzieści cztery lata temu. Jego żona umierała na raka macicy, więc ich życie seksualne nie mogło być wiele warte. Jeżeli natknął się na Violet w Moonie - w tej całej pijackiej atmosferze - to wcale bym się nie zdziwiła, gdyby skończyło się w łóżku. Z tego, co słyszałam, uganiała się za każdym facetem, którego zobaczyła.

Byłam tak pochłonięta przekonywaniem go, że przestałam obserwować jego reakcje. Teraz zerknęłam na jego twarz i oświeciło mnie, że przecież jego żoną jest rozdęty klon Violet Sullivan. Miał dostęp do tylu pikapów, do ilu chciał, a ja nie miałam pojęcia, jak spędził dni poprzedzające śmierć Violet. Jakie pokłady głupoty jeszcze w sobie odkryję? Rozsiadłam się tutaj, gotowa przedstawić mu wszystkie dowody, jakie zebrałam, podczas gdy wszystko wskazywało na to, że on też mógł ją zabić.

- Proszę mówić dalej - zachęcił.

Spuściłam z tonu:

- Tak właściwie to już wszystko. Nie mam dowodów. Miałam nadzieję, że może pan słyszał jakieś plotki na ten temat.
- Nie słyszałem i byłoby mi przykro, gdyby to się okazało prawdą. Mary Hairl była cudowną kobietą i jeśli Jake miał kogoś na boku, powinien się wstydzić.
- Mam nadzieję, że zachowa pan tę refleksję dla siebie. To tylko moje domysły. Nie chciałabym, żeby pan stracił o nim dobre zdanie, jeśli jest niewinny.

Wyprostował się gwałtownie i zbył mnie machnięciem ręki:

- Czas wracać do pracy. Mam coś do załatwienia.

- Oczywiście. Przepraszam, że pana zatrzymuję. Dziękuję za pomoc.

Uścisnęliśmy sobie ręce nad biurkiem. Kiedy wychodziłam, zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że siedzi bez ruchu.

Obszerną klatką schodową zeszłam na dół do salonu wystawowego na parterze. Chciałam porozmawiać z Winstonem, żeby się dowiedzieć, czy on ma powód przypuszczać, że między Violet a Jake'em coś było.

Siedział w swoim biurze i był tak pogrążony w rozmowie telefonicznej, że nawet na mnie nie spojrzał. Wróciłam na parking, otworzyłam samochód i wślizgnęłam się za kierownicę. Sięgałam do stacyjki i właśnie wtedy wreszcie to do mnie dotarło. Przez tyle dni miałam wrażenie, że umyka mi coś oczywistego, jednak czym usilniej próbowałam to uchwycić, tym bardziej było nieuchwytnie. Teraz, choć nic tego nie zapowiadało, samo wpadło w moje ręce. Pies.

Kiedy dotarłam do domu Daisy, na podjeździe stał jej samochód.

Odłożyłam klucz na miejsce pod doniczkę. Zamiast wpadać bez uprzedzenia, uprzejmie zadzwoniłam do drzwi i zaczęłam na werandzie, aż mi otworzy. Wystarczył jeden rzut oka i wiedziałam, że coś się stało. Ciągle miała na sobie ciuchy z pracy. Jej blada cera przybrała odcień szarości, a oczy były pełne napięcia. Raczej nie płakała, ale na pewno przeżyła szok.

- Co się stało?

Położyła dłoń na ustach i potrząsnęła głową. Jak lunatyk podeszła do obitego tapicerką krzesła i osunęła się na jego krawędź. Zamknęłam za sobą drzwi. Podeszłam do kanapy i usiadłam, nasze kolana prawie się teraz stykały.

- Powiesz mi, co się stało?

Pokiwała głową, lecz nadal nic nie mówiła. Potrzebowała czasu. Nie wiedziałam, co się stało, ale na pewno spadł na nią ciężki cios. Minęła minuta. Westchnęła. Może umarł jej ojciec?

Kolejna minuta.

Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła tak cicho, że musiałam się pochylić w jej stronę, żeby coś usłyszeć.

- Był tu detektyw Nichols. Wyszedł kilka minut temu. Kiedy zadzwoniłaś, myślałam, że to on wraca.

- Złe wieści?

Pokiwała głową i ponownie zamilkła.

- W bagażniku znaleźli dwie brązowe torby wypełnione ubraniami matki. Najwyraźniej od nas odchodziła, a przynajmniej tak jej się wydawało.

- Przecież musiałaś się tego domyślać.

- Nie o to chodzi.

Położyłam jej rękę na ramieniu:

- Nie spiesz się. Wszystko w porządku. Nigdzie się nie wybieram.

- Powiedział, że gdyby mógł, oszczędziłby mi tego. Jednak bał się, że i tak dotrze to do mnie. Nie chciał, żebym się dowiedziała od kogoś innego.

Czekałam.

- Technicy zbadali samochód.

Czekałam.

Zaczerpnęła głęboko tchu, a potem głośno wypuściła powietrze.

- Kiedy lekarz sądowy zdjął z niej firankę, okazało się, że ma związane z tyłu ręce. Myślą, że żyła jeszcze przez pewien czas. Prawdopodobnie pies został zabity łopata, którą znaleźli na dnie dołu, kiedy podnieśli samochód. Możliwe, że ten człowiek ją ogłuszył i włożył do samochodu, myśląc, że jest martwa. Ale ona w pewnym momencie ocknęła się i zrozumiała, co się dzieje.

Zamilkła, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu chusteczki. Wysiąkała nos.

- Chociaż związana, i tak próbowała się wydostać na wolność. Jej paznokcie były połamane, ich fragmenty znaleźli w tapicerce. W jej piętach znaleźli kawałeczki szkła. Zdołała wybić nogami okno, ale on już wtedy zasypywał dół.

Przerwała, próbowała się opanować. Mogłam tylko patrzeć i jej nie poganiać. Było duszno, czułam ciężar ciemności, którą musiała poznać

Violet. Po co wołać o pomoc? Wszystko otulała cisza, dźwięki zginęłyby w okrywającej ją ziemi. Ciemność wokół musiała być nieprzenikniona. Daisy znowu się odezwała, zwracając się do wymiętoszonej chusteczki:

- Zapytałam go... zapytałam... co ona czuła. W jaki sposób umarła. Powiedział, że to było zatrucie dwutlenkiem węgla. Nie pamiętam wszystkiego... techniczne szczegóły wyleciały mi z głowy. Chodziło o to, że głębokość oddechu jest regulowana przez ciśnienie tlenu i dwutlenku węgla w tętnicach; takie pH, które kontroluje odruchy płuc i klatki piersiowej. Jeżeli w powietrzu, które wdychasz, nie ma wystarczającej ilości tlenu, zaczynasz oddychać szybciej. Organizm potrzebuje tlenu, więc cię zmusza... żebyś zaczerpnął więcej powietrza. Jej serce zaczęło walić jak oszalałe, a temperatura ciała się podniosła. Pociła się. Czuła coraz bardziej dotkliwy ból w klatce piersiowej. Oddychała coraz szybciej, ale z każdym haustem powietrza zużywała więcej tlenu i produkowała więcej dwutlenku węgla. Zaczęły się halucynacje. Powiedział, że później jej świadomość się wyłączyła. W końcu może nadszedł spokój... kiedy zrozumiała, że jej los już jest przesądzony. Wyobrażasz sobie taką śmierć? Myślę tylko o tym, jak bardzo musiała być przestraszona, jak tam było zimno i ciemno i jak powoli traciła nadzieję.

Poczułam, że odwracam się od tych obrazów, że chcę się schronić w bezpieczne miejsce. Rozumiałam, w jak trudnym położeniu znalazł się Nichols. Wiedział, że jeśli przedstawi jej fakty, te wizje będą ją prześladować do końca życia. Jeśli dowiedziałyby się kiedyś o tym z nieoficjalnego źródła, i tak przeżyłaby szok. Jeśli do tej przerażającej wiedzy dołączyłoby przeświadczenie o jego zdradzie, jeszcze trudniej by jej było się z tego podnieść.

Daisy znowu wyciągnęła nos. Zaczęła mówić o czymś innym.

Dostrzegłam zmianę w jej zachowaniu. Więcej już nie mogła przyjąć. Kawaleczek po kawaleczku przyswoi sobie te informacje, ale będzie to trwało bardzo długo. Podniosła sześć okrągłych czarnych kółek, które

leżały na stole.

- Dał mi to.

- Co to jest?

- Bransoletki mojej matki. Czyste srebro. Wyczyszczę je i będę nosić.

Ostatnia rzecz, jaką od niej dostałam - położyła je z powrotem na stole. -

Myślałam, że już wyjechałaś.

- Taki miałam zamiar.

- Skończyłaś wszystko?

- Nie całkiem. Chodźmy na podwórko. Potrzebujemy przestrzeni - o mało nie powiedziałam „powietrza”, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

Siedziałyśmy na tarasie z tyłu domu w zamierającym świetle dnia.

Wyjaśniłam jej, dlaczego Foley nie mógł mieć nic wspólnego ze śmiercią jej matki.

- To mnie trochę pociesza - powiedziała.

- Marna pociecha, ale przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Natomiast cała reszta - to, co spotkało twoją matkę - mrozi mi krew w żyłach.

- Proszę, zmieńmy temat. Za każdym razem, kiedy o tym myślę, czuję, jakbym sama się dusiła. Co masz jeszcze w planach? Powiedziałaś, że nie całkiem skończyłaś.

- Zastanawiam się, skąd twoja matka miała tego psa.

Moje pytanie ją zaskoczyło.

- Dostała go.

- Od kogo?

- Nie wiem. A co za różnica?

- Czy ten pies miał papiery?

- Chodzi ci o to, czy miał rodowód? Wydaje mi się, że tak. A co?

- Czystej krwi płowy szpic nawet wtedy musiał kosztować sporo grosza. Myślę, że to ten mężczyzna - tajemniczy kochanek - kupił jej szczeniaka. Szalała na punkcie tego wypierdka, bo dostała go od niego.

Zastanowiła się nad tym:

- Tak, to ma sens. Myślisz o kimś konkretnym?
- Mam przeczucie, że to mógł być Jake. Wiemy, że pozwała go do sądu grodzkiego, kiedy jego pies zagryzł jej pudła.
- Pamiętam to. Miniaturowa pudelka o imieniu Poppy. Mama poszła z nią na spacer, a pitbull Jake'a ją zaatakował i zabił na miejscu. Mama się wściekła.
- Może pomyślał, że nowy szczeniak jej to wynagrodzi.
- Masz zamiar go o to zapytać?
- Chyba nie. Nie zmuszę go do powiedzenia prawdy. Chciałabym dotrzeć do hodowcy i dowiedzieć się, kto zapłacił za psa. Nie jestem pewna, czy mi się uda, ale może warto wykonać parę telefonów. Ciągłe jest wielu ludzi, którzy tu mieszkali w latach pięćdziesiątych.
- Zrobię kolację. Musimy coś zjeść.

Daisy krzątała się po kuchni, a ja zajrzałam do teczki i wyciągnęłam kopię listy przedsiębiorstw w Serena Station i Cromwell w 1952 roku. Żadnych hodowców. Niech to.

Dlaczego nic w życiu nie może być łatwe? Naliczyłam dwie kliniki dla zwierząt, pięciu weterynarzy i trzy sklepy dla zwierząt. Wyciągnęłam lokalną książkę telefoniczną i przewertowałam ją. Ciągłe żadnych hodowców, ale za to sześć klinik, piętnaście sklepów dla zwierząt i dwudziestu siedmiu weterynarzy. Porównałam adresy, jednak żadne przedsiębiorstwo związane ze zwierzętami w latach pięćdziesiątych nie przetrwało do dzisiaj. Nie sądziłam bynajmniej, że sklepy dla zwierząt łagodnie przechodzą po prostu z ojca na syna, ale wydawało mi się, że przynoszący zyski interes może zmieniać właścicieli i trwać całe lata pod pierwotną nazwą. Najwyraźniej nie tutaj.

Zdecydowałam się dołączyć do mojej listy również sklepy zoologiczne i zaczęłam wydzwaniać do nich, powtarzając moją historyjkę, aż się jej nauczyłam na pamięć. Nie umiałam zmyślić powodu, dla którego ktoś mógłby potrzebować informacji o sprzedaży czystej krwi szpica wiosną 1953 roku, więc musiałam mówić prawdę. Jeej, nienawidzę tego:

- Pies został zabity wiele lat temu. Sprawa jest dosyć skomplikowana,

dlatego nie będę wchodzić w szczegóły. Szukam hodowcy, wszystko zdarzyło się wiosną 1953. Zna pan / pani kogoś z okolicy, kto w tamtych czasach zajmował się hodowlą szpiców?

Odpowiedzi były różne. Od szorstkich po gawędziarskie, rozwlekłe opowieści o tym, jak ginęły ukochane psy i jak koty przekraczały granice stanów w poszukiwaniu właściciela, który się wyprowadził na drugi koniec kraju. Trafiały się również odpowiedzi związane: „Nie mam pojęcia”, „Nie potrafię pomóc”, „Przykro mi, szefa już nie ma, a ja tu pracuję dopiero od trzech tygodni”, „Może zapyta pani w Dr Water’s Pet Hospital na Donovan Road?”.

- Już z nimi rozmawiałam, ale dziękuję.

- A dlaczego pani zakłada, że to ktoś z okolicy? Szpice są hodowane i sprzedawane w całym kraju. Pies mógł pochodzić z innego stanu.

- Wiem o tym. Po prostu myślę, że to mógł być zakup pod wpływem impulsu. Wie pan, człowiek przechodzi koło sklepu zoologicznego, zerka na wystawę i widzi tam najrozkosznieszego szczeniaka na świecie.

Gawędziłam z weterynarzami i ich asystentami, z właścicielami sklepów zoologicznych, sprzedawcami i hodowcami psów. Miałam wrażenie, że język mi puchnie. Właśnie wykonywałam telefon numer dwadzieścia jeden, kiedy od recepcjonisty z całodobowego pogotowia dla zwierząt wreszcie usłyszałam coś przydatnego:

- Na pani miejscu zapytałbym w służbach zajmujących się niebezpiecznymi zwierzętami. Być może trzymają takie stare dokumenty, szczególnie że z tym szczeniakiem były problemy i sprawa trafiła do sądu.

- Dziękuję. Zadzwonię tam.

Okazało się, że służby zajmujące się niebezpiecznymi zwierzętami nie mają takich dokumentów. Mężczyzna, który odebrał telefon, żałował, że nie może pomóc. Myślałam, że to koniec rozmowy, ale on zapytał:

- A o co dokładnie chodzi?

Wyrecytowałam mu skróconą wersję wydarzeń. Kiedy skończyłam, przez chwilę milczał.

- Wie pani, kto mógłby coś na ten temat wiedzieć? Była taka kobieta, prowadziła hotel dla psów mniej więcej sześć mil za miastem, przy autostradzie numer sto sześćdziesiąt sześć, w miejscu gdzie przecina się z Robinson Road. Z tego, co pamiętam, we wczesnych latach pięćdziesiątych zajmowała się hodowlą szpiców, chociaż niewiele z tego wyszło. To były czasy Rin Tin Tina.

- Ciągłe się tym zajmuje?

- Nie, hotel dla psów został zamknięty, ale wiem, że kobieta ciągle tam mieszka. Jeżdżę tamtędy dwa, trzy razy w miesiącu, kiedy odwiedzam wnuki w Cromwell. Dom wygląda tak samo - te same jaskrawoniebieskie deski i zagracone podwórko. Jeżeli zostałby sprzedany, nowy właściciel pewnie miałby na tyle dobry gust, żeby wysprzątać teren i odmalować dom.

- Pamięta pan jej nazwisko?

- Cholercia, nie pamiętam, a wiedziałem, że pani zapyta. Próbuję sobie przypomnieć. Głowy nie dam, ale to było coś jak Wyatt... Wyman... tak to jakoś brzmiało.

- Od tej chwili jest pan moim najlepszym przyjacielem -powiedziałam i posłałam mu całusa.

Poszperałam w książce telefonicznej i nie minęło pół minuty, a już rozmawiałam z Millicent Wyrick. Robiła wrażenie starej, zrzędlivej i wcale nie zachwyconej, że do niej dzwonię:

- Złotko, musisz mówić głośniej. O co chodzi?

Tak głośno, jak tylko mogłam, powtórzyłam swoją historyjkę, mając nadzieję, że nawet gdy wrzeszczę, mój głos brzmi ujmująco i szczerze:

- Myśli pani, że może pani mieć te informacje?

Wsłuchałam się w wyraźnie podminowaną ciszę.

- Pani Wyrick?

- Spokojnie, nie nerwowo. Ciągłe tu jestem. Próbuję zebrać myśli.

Wiem, że to mam. Pytanie, czy dam radę to odnaleźć.

- Czy mogę w jakiś sposób pomóc?

- Nie, chyba że masz ochotę przekopać się przez moją szopę. Jestem

prawie pewna, że mogę znaleźć dokumentację szczeniaków, ale nie teraz. Teraz siadam do kolacji, a potem mam swoje seriale. Zadzwoń o dziewiątej, to ci powiem, czy mi się udało.

- Mam lepszy pomysł. Zjawię się u pani osobiście.

ROZDZIAŁ 32

Daisy i ja skończyłyśmy kolację kilka minut po siódmej - sałatka i makaron z sosem z puszki.

Żadna z nas nie miała apetytu, ale Daisy chyba czuła się lepiej, kiedy tak zwyczajnie jadłyśmy sobie kolację. Po kolacji ona czytała gazetę, a ja opłukałam naczynia, które zostały po posiłku, i włożyłam je do zmywarki. Usłyszałam, że dzwoni telefon. Daisy odebrała, a po chwili zawołała w stronę kuchni:

- Hej, Kinsey! Dzwoni Liza.

- Powiedz, żeby poczekała. Już idę.

Zanim przeszłam do salonu, zamknęłam zmywarkę i wytarłam ręce w papierowy ręcznik.

Daisy i Liza gawędziły, więc zaczekałam na swoją kolej. Chciałam zapytać Lizę, dlaczego kłamała w sprawie Foleya, ale wydawało mi się, że nie powinnam podejmować tego tematu przy Daisy. Może miała jakiś powód. Jeśli to, co powie, będzie się trzymać kupy, nie ma sensu wystawiać ich przyjaźni na próbę. Daisy wreszcie oddała mi słuchawkę.

- Hej, Liza. Dzięki, że oddzwoniasz.

- Nie chciałam być niemą. Śmierć Violet była dla mnie ciężkim przeżyciem. Wiem, że powinnam się była tego spodziewać, jednak chyba kurczowo trzymałam się tej odrobiny nadziei.

- Jasne - powiedziałam, ze świadomością, że najgorsze ma dopiero przed sobą. - Słuchaj, mogłabyś mi poświęcić pół godzinki? Musimy o czymś porozmawiać.

- Brzmi groźnie. O co chodzi?

- Nie chcę wchodzić w szczegóły. Będzie lepiej porozmawiać w cztery oczy.

- Kiedy?

- Teraz, jeśli ci pasuje. Nie zajmę ci dużo czasu. Jestem umówiona o dziewiątej, ale mogłabym wpaść za jakieś pół godziny.

- W porządku. Za chwilę ma przyjść Kathy, ale nie sądzę, żeby była tak szybko. Powiesz mi, o co chodzi?

- Powiem na miejscu. Naprawdę, to nic wielkiego. Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączyłam się, żeby przypadkiem nie zmieniła zdania.

Oparłam się o blat w kuchni Lizy i patrzyłam, jak dekoruje tort. Miała na sobie za duży biały fartuch, a pod spodem dżinsy i biały podkoszulek.

Wokół głowy przewiązała apaszkę, żeby włosy nie wpadały jej do oczu ani do ciasta. Znad fartucha wystawał miękko zaokrąglony fragment srebrnego medalika.

- Jak tam twoja wnuczka?

- Jest wspaniała. Wiem, że każdy tak mówi, ale ona naprawdę jest prześliczna. Wielkie oczy, usteczka jak różowy pączek róży i delikatne brązowe włoski. Nie mogę się doczekać, kiedy ją dostanę w swoje ręce. Marcy pozwoliła mi ją przez pół minuty potrzymać, ale cały czas nade mną stała, więc z przyjemności nici.

Przed moim przyjściem Liza wyrównała dwie pierwsze warstwy lukru, a teraz ozdabiała wierzch tortu wymyślnym deseniem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to tort urodzinowy trzynastoletniego fana gry Dungeons and Dragons.

Na blacie stały w szeregu tutki z grubego papieru, każda wypełniona lukrem zabarwionym na intensywny kolor i zakończona metalową końcówką służącą do uzyskania innego wzorku: listki, muszelki, ślimaczki, płatki kwiatów, warkocz. Liza znała się na swoim fachu.

Równomiernie naciskając, stworzyła smoka z dziwnym, psim pyskiem. Zmieniła tutkę i obrysowała jego wygięte cielsko jaskrawozielonym i pomarańczowym lukrem, a potem użyła jeszcze czerwonego, żeby dodać płomień wijące się z jego pyska.

- Widziałam już tego smoka. Jest wyhaftowany na kimonie, które wisi w łazience Daisy.

- Należało do jej matki. Ten obraz jest wyryty w mojej pamięci na zawsze.

Znowu pomyślałam o zakopanej żywcem Violet, wyobrażając sobie siebie zamiast niej w samochodzie. Biorąc pod uwagę rozmiar bel aira, musiało być w nim sporo tlenu. Dusić się powoli, umierać na raty.

Chory na astmę albo rozedmę płuc mógł sobie łatwo wyobrazić panikę i cierpienie, które musiały ją ogarnąć, ja mogłam się tego tylko domyślać. I poczułam nagle taką ulgę, że z czystej przyjemności odetchnęłam głęboko.

Liza skończyła dekorowanie, otworzyła lodówkę i włożyła tort na półkę. Zdjęła fartuch i rzuciła go na kuchenny stół.

- A więc o co chodzi?

Miałam zamiar być subtelna i przejść do tematu jakąś delikatną, okrężną drogą, ale smok wybił mnie z rytmu i wypaliłam prosto z mostu:

- Myślę, że skłamałaś na temat Foley'a.

- Ja skłamałam? - powiedziała lekko zaskoczonym tonem. Wydawała się zdziwiona, jakbym rzuciła jej w twarz fałszywe oskarżenie. Tysiące ludzi mogło opowiadać kłamstwa na temat Foley'a, ale przecież nie ona!

- Czego miałyby dotyczyć to kłamstwo?

- Godziny, o której przyszedł.

Podniosła, a potem odłożyła tubkę z jaskrawoniebieskim lukrem, którego użyła, żeby pokolorować tło, na którym wił się smok.

Najwidoczniej nie zachęcałam jej tym do zwierzeń, bo nie powiedziała nic.

Kolejne podejście:

- Słuchaj, Liza. Foley trzyma się swojej wersji od trzydziestu czterech lat. Być może ominął szczegół albo dwa, ale większość jego opowieści została potwierdzona przez świadków.

- Skąd to wiesz?

- Ponieważ z nimi osobiście rozmawiałam.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Liza, proszę, skończ z tym. Już na to za późno. Wychodzi, że twoja

relacja to stek bzdur.

- Co chcesz usłyszeć, że przepraszam?

- Mnie nie musisz przepraszać. To jego skrzywdziłaś.

- Nie skrzywdziłam go. Sam na siebie ściągnął wszystko, co mu się przytrafiło.

- Z twoją pomocą.

- Wybacz. Przyszłaś tutaj, żeby jeszcze innie dobijać? Bo jeśli o to chodzi, to poradzę sobie i bez tego. Mam na głowie wystarczająco dużo spraw.

Podniosłam rękę:

- Masz rację. Cofam wszystko. Życie jest wystarczająco ciężkie i bez tego.

- Dziękuję.

- Tylko powiedz mi, co się zdarzyło. Słuchaj, jest mi przykro z powodu Violet, ale nie rozumiem, co zaszło tamtej nocy. Byłaś w domu czy nie?

- Coś w tym rodzaju.

- Co to znaczy? W sąsiedztwie?

- Nie bądź wredna, bo już nic nie powiem.

- Przepraszam. Zapomniałam się. Mów dalej.

Po chwili milczenia odezwała się z wahaniem:

- Przyszedł do mnie Ty. Zaparkował pikapa za domem, poszliśmy tam, żeby się całować. Byłam niecałe dwadzieścia stóp od domu, więc jeśli coś by się stało, zaraz bym wróciła. Violet wiedziała, że będę miała gościa.

Rozmawiałyśmy o tym, nie miała nic przeciwko.

- Świetnie. Teraz lepiej. Jak długo tam byliście?

- Chwilę. Kiedy wreszcie wróciłam, w pokojach było ciemno.

Zajrzałam do Daisy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić w ich sypialni. Pewnie tam był, skoro tak twierdzi. Później nie mogłam przyznać, że byłam nieodpowiedzialna, dlatego wymyśliłam bajeczkę o jego późnym powrocie. A potem ten funkcjonariusz domagał się odpowiedzi, więc co miałam robić? Zabrnęłam już tak daleko, że musiałam iść w zaparte.

- Rozumiem.

- Dobrze. No to już wiesz.

Przez chwilę myślała, że temat jest zamknięty, a ja - że wreszcie dochodzimy do konkretów.

Miałam swoją teorię, ostrożnie spróbowałam wy badać sytuację:

- A potem przeprowadziłaś się do taty w Kolorado?

- Tak.

- Słyszałam, że nie było ci tam dobrze.

- Nie zagrałam tam miejsca. Nieudany eksperyment, ale tak to już w życiu bywa.

Podeszła do kranu i zwilżyła gąbkę, żeby przetrzeć blat. Zatopiona we własnych myślach, zebrała kilka okruszków i wyrzuciła je do zlewu.

- Czy to bolesny temat?

Po jej ustach przemknął słaby uśmiech.

- Nie wiem. Nigdy nie miałam okazji o tym rozmawiać.

- Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy się pierwszy raz spotkałyśmy?

- O czym? - przesunęła końcówki tutek do dekoracji, żeby pod nimi też przetrzeć.

- O tym, jak straciłaś Violet i Ty'a. Powiedziałaś: „Trzeba grać takimi kartami, jakie się ma w ręce. Nie ma sensu tego później rozpamiętywać”.

- Musiałam być w filozoficznym nastroju. To nie w moim stylu.

- Zaszłaś w ciążę?

Jej oczy odszukały moje:

- Tak.

- Tamtej nocy?

- Pierwszy i ostatni raz z tym chłopakiem - bum!

- Co się stało z dzieckiem?

- Oddałam je do adopcji. Chcesz zobaczyć zdjęcie?

- Jeśli mogę.

Odłożyła gąbkę i sięgnęła do medalionika w kształcie serca. Otworzyła go i przechyliła w moją stronę, żebyśmy mogła zobaczyć. W środku była czarno-biała fotografia Violet. Uniosła ją i pokazała się druga rameczka,

ukryta za pierwszą. Było w niej zdjęcie noworodka. Dziecko wyglądało słabowicie i było całe pomarszczone, widywałam brzydsze, ale to z pewnością do najpiękniejszych nie należało. Liza też spojrzała, była smutna i dumna:

- Była taka maleńka. Kiedy ją zobaczyłam, nie mogłam uwierzyć, że jest tak delikatna. Wiesz, co powiedziała Violet, kiedy mi to dawała? „Tu włożysz zdjęcie swojej Prawdziwej Miłości. Myślę, że nie minie rok, a będziesz wiedziała, kto to jest”. I tak się stało.

- Pozwolili ci ją potrzymać?

- Przez moment. Pielęgniarka mi to odradzała, ale wiedziałam, że już nie będę miała okazji, żeby jej dotknąć. Miałam czternaście lat, mój ojciec nie brał pod uwagę innego rozwiązania. Powinnam była zostać z mamą. Miała swoje problemy, ale była dobrym człowiekiem, na pewno by coś wymyśliła.

- Nie powiedzieli ci, gdzie ją oddają?

- Prawdopodobnie jest w Kolorado. Kilka lat temu napisałam do niej list i zostawiłam w agencji, więc jeśli będzie chciała się skontaktować, dostanie moje nazwisko i adres.

- Ty nigdy się nie dowiedział?

- Myślę, że bym mu powiedziała, ale nigdy nie dał znaku życia.

- Rozmawiałam z nim.

- Wiem. Zaraz potem zadzwonił do mnie i powiedział, że mu dałaś moje nazwisko i numer telefonu.

- Tylko twoje nowe nazwisko. Numer sam sobie wyszukał w książce telefonicznej, co, jak sądzę, świadczy na jego korzyść. Powiedział, że do ciebie pisał. Też ci to mówił?

Kiwnęła głową:

- Prawdopodobnie jego mama przechwyciła te listy. A może dotarły do mojej mamy, a ona nie przesłała ich dalej.

- A może wysłała je do domu twojego ojca, a on zdecydował, że nie powinnaś ich zobaczyć.

- To by pasowało. Był z niego taki dupek. Od tamtej pory prawie się z

nim nie kontaktuję. Jestem pewna, że sądził, że tak będzie dla mnie najlepiej. Boże broń nas przed ludźmi, którzy chcą dla nas najlepiej.

- Co będzie teraz?

- Poczekamy, zobaczymy. Ty powiedział, że jeszcze zadzwoni i się umówimy na spotkanie. Czy to nie będzie dziwne? Po tylu latach...

- Powiesz mu o jego córce?

- Zależy, jak to się potoczy. A tymczasem jesteśmy kwita?

- Całkowicie.

Zerknęła na zegarek:

- Jesteś umówiona na dziewiątą?

- Tak. Posiedzę u Daisy, a potem pojedę.

- Czemu nie zostaniesz tutaj? Kathy powinna zaraz być. Możesz poczekać i się z nią przywitać.

- Szczerze mówiąc, nie przepadam za nią, ale dzięki.

Liza zaśmiała się:

- A za Winstonem?

- Jego lubię.

- Hmm, najwidoczniej wkroczył na wojenną ścieżkę i Kathy się wściekła. Przychodzi, żeby to obgadać.

- Rany. To dopiero nowina. Chciałabym się czegoś więcej dowiedzieć.

Jak na zawołanie zabręczał dzwonek, Kathy otworzyła drzwi i wpadła jak burza do środka z butelką białego wina w ręce. Rzuciła torebkę na stółek i powiedziała:

- Co za dupek z niego! - Miała na sobie buty na wysokich obcasach i pończochy, podkoszulkę i spódnicę w kwiatki, trochę za bardzo eksponującą kształt jej nóg. Zatrzymała się na mój widok. - Przepraszam. Nie wiedziałam, że masz gościa. Jeśli jesteś zajęta, mogę wpaść później.

- Nie, nie. To żaden problem. Kinsey poznała Winstona, ale jestem pewna, że nie piśnie ani słówka.

Podniosłam prawą dłoń, tak jakbym składała przysięgę. Kathy znowu była w ruchu, weszła do kuchni i postawiła butelkę na ladzie.

- Do cholery, a co mnie obchodzi, kto się dowie o tym kutasie. Dobrze

mu tak.

Zabrała się do otwierania butelki - zdjęła folię i wyciągnęła korek.

Podeszła do szafki i wyjęła trzy kieliszki do wina, które ustawiła na blacie. Ja podziękowałam, więc napełniła pozostałe dwa i podała jeden Lizie.

Choć obie były blondynkami, tak się od siebie różniły, że aż dziw. Liza miała delikatne rysy - prosty nos, jedwabiste włosy koloru lnu, szerokie usta. Była szczupłą, miała małe dłonie i długie, wąskie palce. Gęste włosy Kathy były lekko kędzierzawe - prawdopodobnie bardziej wtedy, kiedy w powietrzu było dużo wilgoci. Była solidnie zbudowana, jak ktoś, komu udało się stracić na wadze, lecz kto na pewno znowu przy tyje.

- Co przeskrobał? - zapytała Liza.

- Wynajął adwokata. Tego faceta, jak mu tam, Millera, którego brata zamordowano.

Liza zmarszczyła nos:

- Colin Miller? Kathy, to złe wieści. Ten facet umie wykończyć kobietę. Nie wiem, jak mu się to udaje. Musi być w dobrych stosunkach z sędziami, bo jego klienci świetnie sobie radzą, a wszystkie były żony zostają bez grosza. Joanie Kinsman nie było stać na spłacanie hipoteki. Dopóki nie pojawił się Bart, mieszkała w samochodzie.

- Znakomicie. Właśnie tego mi potrzeba. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Musiał ładnie się wściec! Ten drań wręczył mi dziś pozew! Wyobrażacie sobie? Przychodzę do domu z lekcji tenisa, a tu na schodach czeka woźny sądowy i podtyka mi to gównem pod sam nos! Poczułam się jak kryminalista. I jeszcze coś. Nie chce się wyprowadzić. W tamtym tygodniu namówiłam go, żeby sobie znalazł mieszkanie, wszystko było ustalone. A teraz nie ma zamiaru się ruszać. Mówi, że płaci za ten dom i ma zamiar w nim mieszkać, a jeśli mnie to nie pasuje, sama się mogę wyprowadzić. Co mu odbiło? Wiecie, co jeszcze powiedział? Że jeśli nie przestanę głupio gadać, to przestanie spłacać pożyczkę, zwolni się z pracy i wyjedzie.

- Jeeej, posunął się do ostateczności! Rozmawiałaś z tatą?

- Oczywiście! Zadzwoiłam i wszystko mu opowiedziałam.

- I co powiedział?

- Powiedział, że powinnam trzymać buzię na kłódkę i wynająć dobrego adwokata. Powiedział, że Winston jest świetnym menedżerem i choć jest mu przykro, nie zamierza się go pozbywać.

- Aj.

- Taaa, aj. W każdym razie przepraszam za to najście. Wiem, że się zachowuję jak kompletna wariatka, ale zaraz mi przejdzie. Zdrowie - wzniosła toast i wypła połowę swojego wina. Słyszałam, jak jej grdyka pracuje z każdym łykiem.

Liza upiła łyczek i odstawiła kieliszek. Znowu miała w rękach gąbkę, ale zamiast sprzątać, bawiła się nią.

- Zgadnij, kto dzwonił.

Przez moment Kathy wyglądała na zaskoczoną, że jest mowa o kimś innym niż ona sama.

- Kto?

- Ty.

- Eddings? Żartujesz sobie. Głos z przeszłości. Czego, do diabła, chciał?

- Niczego. Zadzwoił, żeby pogadać. Mieszka w Sacramento.

- Czym się zajmuje?

- Jest adwokatem w sprawach karnych.

- Och, proszę. Tylko pomyśl o jego przeszłości. Dziwię się, że nie skończył w więzieniu.

- Wydaje mi się, że uczył się na własnych błędach.

- Akurat - powiedziała Kathy. - W każdym razie kiedy tylko woźny sądowy sobie poszedł, zadzwoniłam do Winstona. Byłam tak cholernie wkurzona, że z trudem powstrzymywałam się od przeklinania, to znaczy nawet starałam się, ale było ciężko...

- Powiedział, że to twoja matka na nas doniosła.

To ją natychmiast zatrzymało:

- Serio? Hmmm, to dziwne.

- Ty mówisz, że Livia zadzwoniła do jego ciotki Dahlii, która natychmiast zadzwoniła do jego mamy. Właśnie dlatego jego matka przyjechała i go ze sobą zabrała.
 - Hę? To dziwne. Nie miałam pojęcia.
 - Ja też. Przeżyłam szok.
 - Może wyświadczyła ci przysługę.
 - Przysługę?
 - Oj, przestań. Przecież ten chłopak był nikim. Tak bardzo ci się podobał, że miałaś kłapki na oczach.
 - A co to obchodziło Livie?
 - Liza, przecież wiesz, jaka była krytyczna. Myślała, że robi dobrze. Miałaś zaledwie czternaście lat i nie powinnaś była zadawać się z kimś takim jak on. Jeżeli matka Ty' a nie zainterweniowała w porę, kto wie, w jakie kłopoty by cię wpędził. To całe dotykanie... Przejrzyj na oczy. Nie widzisz, że on cię chciał wykorzystać?
 - Ale jak się o tym dowiedziała?
 - Co?
 - Wiemy, że Livia powiedziała Dahlii, ale skąd ona wiedziała?
 - Nie patrz na mnie. Wszyscy w szkole wiedzieli. Nie mówili o niczym innym, tylko że wy dwoje kręcicie ze sobą. Sama nie wiem, ile razy musiałam stawać w twojej obronie.
- Liza wpatrzyła się w blat:
- No nie.
 - Zaufaj mi. Byłam po twojej stronie. Pamiętasz Lucy Speiler i tego chłopaka, z którym kręciła? Co za popapraniec...
 - Kathy, uspokój się. To ty jej powiedziałaś.
 - Ja? Jak możesz tak mówić?
 - Jakoś mogę. Byłaś zazdrosna o Violet i o Ty' a. Pamiętasz ten dzień, kiedy przyniosłaś mi prezent urodzinowy, a mnie nie było w domu? Poszłaś do mojego pokoju i przeczytałaś mój pamiętnik, a potem powiedziałaś wszystko mamie. Bóg wie dlaczego. Może myślałaś, że jesteś namaszczona, aby uratować moją nieśmiertelną duszę.

- Może i byłam. Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, jaka naiwna byłaś? I taka żałosna. Violet mogła zrobić z tobą, co tylko chciała. O cokolwiek by cię poprosiła - nieważne, jak szokującego - byłaś jak szczeniak, który kładzie się, przewraca na plecy i liże jej rękę.
 - Byłyśmy przyjaciółkami.
 - Która kobieta przyjaźni się z trzynastolatką? Wiesz, dlaczego to robiła? Bo nikt w jej wieku nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Była łatwa. Była tania i puszczała się z każdym w mieście. Chciałaby, żebyś wylądowała na tym samym wózku. Wiesz, co mówią: nieszczęścia chodzą parami.
 - Nie znałaś jej tak jak ja.
 - Znałam ją wystarczająco dobrze. Tak samo Ty'a. Może i był przystojny, ale nie miał za grosz klasy. W każdym razie skończmy już tę rozmowę. Było - minęło. Nie ma sensu do tego wracać.
 - Zgadzasz się. Nie możemy zmienić przeszłości. Nieważne, co się zdarzyło, bierzemy odpowiedzialność za nasze czyny.
 - Właśnie. - Kathy sięgnęła po butelkę i dokończyła wino, a potem wytarła usta wierzchem dłoni. - Lola mówi, że powinnam porozmawiać z tym adwokatem z San Luis Obispo. Stanleyem Blumem. Mówi, że jest ostry. Kosztuje fortunę, ale jest dobry. Lola mówi, że muszę odpowiedzieć na atak, i to najszybciej jak się da.
 - Pamiętasz Odnowę Moralną?
 - Ha. Rozmawiasz z czempionem wszech czasów. Moje drugie imię brzmi Odnowa Moralna.
 - Pamiętasz Absolutną Szczerłość?
 - Żartujesz? Pewnie, że tak.
 - I to właśnie robią przyjaciele, pomagają sobie nawzajem, kiedy jedno z nich zboczy ze ścieżki cnoty?
- Kathy ze złością wzniosła oczy ku niebu:
- Posłuchaj, Lies, nie myśl, że nie słyszę twojego pełnego wyższości tonu. Możesz być na mnie tak wściekła, jak chcesz, ale zrobiłam to dla ciebie. Zadręczałam się tym - naprawdę - ale musiałam postąpić w

zgodzie ze swoim sumieniem.

- Nie jest ci nawet przykro?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie mam zamiaru przeproszać za zrobienie czegoś, co uważałam za słuszne. Nie chciałam, żebyś popełniła błąd, którego będziesz żałować do końca życia.

- Nieważne. W porządku. Rozumiem.

- Nareszcie.

- Myślę, że gdyby przyszło co do czego, zrobiłabym to samo dla ciebie.

- Wiem, że tak byś postąpiła, i doceniam to. Jesteś dobrą przyjaciółką - Kathy pochyliła się naprzód, jakby chciała ją objąć, ale Liza się nie poruszyła i Kathy musiała udać, że robi coś innego. Strzepnęła pyłek ze spódnicy i upiła kolejny łyk wina. Jej ręka lekko drżała.

- Prawdę powiedziawszy, już to zrobiłam.

- Słucham?

- Zrobiłam to samo dla ciebie. Ty wmieszałaś się w moje życie, więc ja postanowiłam wmieszać się w twoje.

Kathy opuściła kieliszek.

Liza mówiła łagodnym tonem, ale nie spuszczała wzroku z Kathy:

- Dziś po południu zadzwoniłam do Winstona. Powiedziałam mu o Philipie.

- Powiedziałaś mu?

Liza się roześmiała:

- Owszem. Ze szczegółami.

Nie planowałam zbyt długo zostawać u Lizy, lecz kiedy Kathy wyszła, musiałyśmy wszystko omówić. Tak pogodnej i swobodnej Lizy jeszcze nie widziałam. Śmiałyśmy się i gawędziłyśmy, aż przez przypadek zerknęłam na zegarek. Ósma trzydzieści dziewięć.

- Rany, muszę się zbierać. Nie wiedziałam, że jest tak późno. Gdzie mieści się biuro szeryfa?

- Na Foster Road, koło lotniska. Narysuję ci mapkę. Łatwo tam trafisz

- powiedziała. - Najszybciej będzie pojechać autostradą numer sto

sześćdziesiąt sześć, a potem Winsler Road do Dinsmore.

- Taaa, widziałam tę drogę.

Liza naszkicowała mapkę na serwetce. Skala właściwie nie była zachowana, ale rozumiałam, o co chodzi. Włożyłam serwetkę do kieszeni.

- Dzięki. Dowiem się ostatniej rzeczy i jadę do biura szeryfa. Mam nadzieję, że mają tam ksero. Oryginał sprawozdania należy do Daisy, ale chciałabym mieć kopię dla siebie, a drugą zostawić im.

- A potem wracasz do domu?

- Muszę. Na biurku uzbierała mi się sterta papierów, plus korespondencja, plus wiadomości na sekretarce. Jeżeli nie wezmę się do roboty, nie będę w tym miesiącu jadła.

Uścisnęłyśmy się szybko. Kiedy wyszłam, stała na progu, jej sylwetka rysowała się na tle światła z salonu. Poczekała, aż znalazłam się bezpiecznie w samochodzie, a wtedy mi pomachała. Zapaliłam i odjechałam, jeszcze raz zerkając na zegarek. Pani Wyrick zrobiła na mnie wrażenie kobiety, która ma bzika na punkcie punktualności. Spóźniasz się minutę, a ona już przekręca klucz w zamku i gasi światła. Nic by jej tak nie uradowało jak odesłanie mnie z kwitkiem.

Temperatura spadła, noc była dużo chłodniejsza, niż kiedy wyjeżdżałam od Daisy.

Pędziłam Main Street, która zakręcała w autostradę numer sto sześćdziesiąt sześć. Ruch był niewielki. Kiedy zostawiłam Santa Maria w tyle, ze wszystkich stron otoczyła mnie ciemność.

Szerokie pola czerni od czasu do czasu ozdabiała światła jednego lub dwóch samotnych domów. Powietrze pachniało wilgocią. Reflektory mojego auta wypluwały świetlistą ścieżkę, którą podążałam. Nie wiedziałam zbyt dobrze, jak daleko mieszka pani Wyrick. Ta część hrabstwa nie jest skomplikowana, tylko pięć albo sześć dróg położonych względem siebie ukośnie, tak żeby się od czasu do czasu przecinały. Póki co jechałam w stronę szumiącego gdzieś przede mną oceanu otoczonego obwódką niskich wzgórz, atramentowo czarnych na tle grafitowego nieba.

Od czasu do czasu mijałam platformę wiertniczą albo położony głębiej zbiornik oświetlony z tyłu, jakby dla podkreślenia jego wielkości. Po obu stronach drogi biegło ogrodzenie z drutu kolczastego. Widziałam zarys ciągnących się zygziem przez pola rur nawadniających wykonanych z PCV, księżyc oświetlał je na biało. Grupka mizernych sosen - jedyna tutaj tego rodzaju ozdoba - odbijała się pierzastie na tle nieba. Mignęło mi coś jaskrawoniebieskiego - dom pani Wyrick, sto stóp od autostrady, usytuowany na środku złomowiska.

Zwolniłam i skręciłam w poślubiony koleinami podjazd. Mieszkała wśród zardzewiałego sprzętu rolniczego, nieruchomości pojazdów, stert drewna, drewnianych palet i zwojów siatki ogrodzeniowej. Najwyraźniej to tutaj trafiały stare instalacje łazienkowe, kiedy ktoś zdecydował się na remont. Widziałam umywalki, muszle klozetowe i odwrócone do góry dnem wanny. Gdzie indziej stały oparte o drewnianą szopę fragmenty ogrodzenia z kutego żelaza.

Poniewierało się tu tyle żelaznych bram, że gdyby ułożyć je jedna koło drugiej i pospawać, mogłyby opasać pastwisko.

Była też buda dla psa, jakżeby inaczej, i przykuty do niej łańcuchem masywny, morełogowaty pitbull. Miał na szyi za ciasną obrozę i dlatego jego szczekanie brzmiało raczej jak pogłębiający się atak koklusz.

Pomyślałam o pitbullu, który zabił pudelkę miniaturkę Violet, i miałam nadzieję, że ten pies jest dobrze przywiązany.

Zaparkować można było jedynie na dróżce okrążającej dom. Na szczęście w oknach jeszcze świeciły się światła. Zaparkowałam obok wiekowej ciężarówki bez kół, z odpiętą czarną tylną klapą. Wyłączyłam silnik i wysiadłam. W drodze na werandę starałam się nie spuszczać oka z pitbulla. Drewniane stopnie skrzypiały pod moimi krokami, na ten dźwięk pitbull dostał szału.

Raz po raz rzucał się do przodu z taką siłą, że rozklekotana psia buda przesunęła się o stopę.

Za podwórkiem ciągnęło się cmentarzysko starych samochodów.

Może pani Wyrick oprócz tych wszystkich rupieci sprzedawała także

części starych aut.

Górna połowa drzwi była ze szkła, funkcję firaneczki pełniła szmata, która może kiedyś była kuchenną ścierką. Dźwięki dobiegające z telewizora nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że właśnie nadawany jest sitcom. Zapukałam, a szyba w drzwiach zabręczała pod moimi palcami. Po chwili pani Wyrick spojrzała na mnie zza szybki, a następnie otworzyła drzwi. W salonie świeciła się lampa, w głębi widać było rzęsiście oświetloną kuchnię.

Pani Wyrick była łagodniejsza, niż sądziłam. Kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, wyobrażałam sobie wiedźmę - przygarbioną, niezbyt czystą, z rozwianymi siwymi włosami, kaprawymi oczkami i włoskami na brodzie. Kiedy wspomniała o szopie, pomyślałam, że jest jedną z tych staruch zbierających „Life” od 1946. Sądziłam, że jej dom był brudny i po suficie wypełniony czasopismami, między którymi prowadzą wąskie alejki, pełen bezdomnych kotów.

Tymczasem powitała mnie kobieta o okrągłej, ziemistej twarzy. Jej ciało było gąbczaste, jakby rosło i pęczniało, aż zdołało szczelnie wypełnić wszystkie zakamarki sukienki. Być może właśnie zachodził w niej proces fermentacji, bo opryskliwość, którą uraczyła mnie przez telefon, wyraźnie ustąpiła miejsca łagodności. Robiła wrażenie biernej i niezdecydowanej, pachniała czekoladkami z burbonem, którymi ludzie obdarowują się z okazji Bożego Narodzenia. Mogła mieć jakieś osiemdziesiąt pięć lat.

Gdy mnie wpuściła, obróciła się na pięcie i poczłapała z powrotem do swojego fotela, mnie zostawiając zamknięcie drzwi. Śmiech, który dobył się z telewizora, nie mógł zamaskować faktu, że nic zabawnego nie zostało powiedziane. „Wyniosłaś śmieci?” Wybuch śmiechu.

„Nie, a ty?” Im mniej zabawna wypowiedź, tym głośniejsza eksplozja radości. Pani Wyrick wzięła pilota i ściszyła dźwięk. Zauważyłam, że na stole, w zasięgu jej ręki leży opróżniona do połowy półlitrowa butelka old forrestera.

Darowałyśmy sobie wstępne uprzejmości, co mi wcale nie

przeszkadzało. Była tak pijana, że przejście do drzwi wejściowych i z powrotem na fotel było nie lada osiągnięciem.

- Udało się pani?

Głęboko w jej błękitnych oczach coś błysnęło - przebiegłość albo wina. Podniosła złożony kawałek papieru, który zatrzepotał w jej drżących dłoniach:

- Po co ci ta informacja?

- Pamięta pani Violet Sullivan?

- Tak. Wiele lat temu znałam Violet.

- Pewnie pani słyszała, że odnaleziono jej ciało.

- Widziałam w telewizji.

- Zatem wie pani również o szpicu, który był z nią w samochodzie.

- Chyba powiedzieli „pies”. Nie pamiętam, żeby mówili o szpicu.

- Hmm, to był właśnie szpic. Myślę, że to od pani kupiono tego psa.

Czy to papiery szczeniaków?

- Owszem, złotko, ale mogę ci jedynie powiedzieć, kto kupił szczeniaka. Nie mam pojęcia, co się z nim potem stało.

- Rozumiem. Chodzi o to, że podejrzewam, że ten sam mężczyzna, który kupił psa, podarował go Violet, a później ją zabił.

Pokręciła głową:

- Nie, złotko, to nie brzmi wiarygodnie. Nie wierzę w to. Wcale nie.

- Czemu nie? - gdzieś w pobliżu błysnęło światło. Spojrzałam przez ramię, myślałam, że na podjazd wjeżdża samochód. Pies rozszczękał się z nowym zapalem.

Pani Wyrick dotknęła mojego ramienia, obróciłam się z powrotem w jej stronę:

- Bo znam tego człowieka od lat. Mój świętej pamięci mąż i ja przez długi czas byliśmy jego klientami i traktował nas dobrze.

- Mówi pani o Blue Moon?

- Och, nie. Moon to bar. Mój mąż był przeciwnikiem napojów alkoholowych. W życiu nie wypił drinka.

- Przepraszam. Nie chciałam wyciągać pochopnych wniosków.

Sprzedaje pani części do aut?

- Nie do takich jak twoje. Słyszałam twój wóz, kiedy przyjechałaś, pewnie jest zagraniczny. Może i jestem głucha na jedno ucho, ale drugie mam w porządku.

- A części do chevroletów?

- Do chevroletów, fordów i wszystkich innych. Nie rozumiem, jaki to ma związek z pytaniem o psa.

- Mogę zobaczyć tę kartkę?

- Właśnie cały czas myślę, czy powinnam to przekazywać dalej. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Ktoś już został skrzywdzony. Jeśli to pomoże pani zdecydować, z przyjemnością zapłacę za tę informację.

- Sto dolarów?

- Może być - zgodziłam się. Kiedy sięgałam po portfel, zauważyłam, że ręka mi drży.

Muszę stąd wyjść.

Roześmiała się:

- Powiedziałam tak, bo chciałam zobaczyć, co zrobisz. Nie wezmę od ciebie pieniędzy.

- A więc da mi to pani?

- Myślę, że tak, skoro fatygowałaś się taki kawał drogi.

- Dziękuję.

Podła mi dokument.

Całkiem jak na Oscarach. „Nominowani są...” Rozłożyłam kartkę i popatrzyłam na nazwisko, myśląc o prowadzącym, który wyciąga karteczkę z koperty i przez chwilę zna informację, na którą widownia czeka z zapartym tchem. „Zwycięzcą jest...”

- Tom Padgett?

- Znasz Małego Tommy’ego? Zawsze nazywaliśmy go Mały Tommy, w odróżnieniu od jego ojca, Dużego Toma.

- Nie znam go bardzo dobrze, ale się spotkaliśmy - powiedziałam.

Myślałam o tym, jak bogaty jest teraz, po śmierci żony, i jak

zdesperowany musiał się czuć za jej życia.

- Cóż, po prostu nie rozumiem, jak możesz myśleć, że zrobił coś takiego.

- Mogę się mylić.

Czułam wzbierający lęk. Włożyłam kartkę to torby i położyłam rękę na gałce, gotowa do wyjścia.

Robiła wrażenie przykutej do podłogi, a jednocześnie ruchliwej:

- Zawsze powtarzał, że jeżeli ktoś będzie pytał o tego psa, powinnam dać mu znać. Zadzwoiłam więc do niego, by mu powiedzieć, że się do mnie wybierasz.

Poczułam suchość w ustach, a w klatce piersiowej jakby pomruk odległej burzy:

- I co powiedział?

- Wcale go to nie zmartwiło. Powiedział, że podjedzie, żeby zamienić z tobą kilka słów i wyjaśnić parę rzeczy, ale coś go musiało zatrzymać.

- Wydawało mi się, że przed chwilą ktoś przyjechał.

- To nie mógł być on. Tom zapukałby do drzwi.

- Jeżeli się pojawi po moim odjeździe, może mu pani powtórzyć, że myślałam o kimś innym i przepraszam za kłopot?

- Powtórzę mu.

- Mogę skorzystać z pani telefonu?

- Jest tutaj, na ścianie - skinęła głową w kierunku kuchni.

- Dziękuję - przeszłam przez salon, weszłam do kuchni i podniosłam słuchawkę zamontowanego na ścianie aparatu. Głucha cisza. Ostrożnie odłożyłam ją na widełki:

- Chyba nie działa. Już sobie pójdę. Znajdę inny telefon.

- Jak sobie chcesz, złotko. Cieszę się, że wpadłaś.

Wyszłam frontowymi drzwiami. Kiedy położyłam stopę na pierwszym schodku, żarówka na werandzie zgasła. Przez minutę nic nie widziałam, przejście z jaskrawego światła w ciemność było zbyt gwałtowne. Pies zaczął znowu szczekać, ale chyba nie był bliżej domu.

Słyszałam szcęk jego łańcucha, kiedy miotał się tam i z powrotem.

Stałam w oczekiwaniu, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności. Omiotłam wzrokiem teren wokół domu. Mój volkswagen stał tam, gdzie go zostawiłam. W zasięgu wzroku nie widziałam innych samochodów. Autostrada ciągnęła się w obie strony, ale nie było na niej ani jednego auta.

Znalazłam kluczyki i słuchałam ich pobrzękiwania, kiedy schodziłam po schodach. Ręce tak mi się trzęsły, że z trudem otworzyłam drzwi samochodu.

Zanim wsiadłam, odruchowo sprawdziłam tylne siedzenie. Upewniłam się, że drzwi po obu stronach są zamknięte na zamek, i uruchomiłam samochód, wrzucając wsteczny bieg.

Wyjęłam broń ze schowka i położyłam na fotelu pasażera. W celu unieruchomienia położyłam na niej torbę. Przerzuciłam ramię przez zagłówek fotela pasażera i z głową zwróconą do tyłu wycofałam się z podwórka. Skręciłam na autostradę i wrzuciłam pierwszy bieg. Musiałam tylko dotrzeć do biura szeryfa, niecałe dziesięć mil stąd. Z autostrady powinnam skręcić na południe w West Winslet Road, a potem znowu na południe w Blosser, drogę - według Lizy - równoległą do trójkątnego kawałka ziemi, na którym było lotnisko. Foster Road znajdowała się niedaleko najbardziej wysuniętej na południe części lotniska.

Mogłam również jechać inną trasą - stosześćdziesiątką-szóstką prosto do Santa Maria i wjechać w Blosser na peryferiach miasta. Problem w tym, że Padgett Construction i A-Okay Heavy Equipment były przy autostradzie numer sto sześćdziesiąt sześć, pomiędzy mną a miastem. Mój samochód rzucał się w oczy. Jeżeli Padgett mnie szukał, wystarczyło poczekać, aż będę przejeżdżać. Przerzuciłam bieg z drugiego na trzeci, auto zawyło w głośnym proteście. Próbowałam sobie przypomnieć drogi, które łączyły stoszeszdziiesiątkęszóstkę i West Winslet. Były trzy: The Old Cromwell i New Cut już minęłam - pomysł nieaktualny - pozostawała mi tylko droga o nazwie Dinsmore.

Wciskałam pedał gazu, a kiedy zauważyłam znak, gwałtownie skręciłam w prawo. Było tu ciemno jak w piekle. Cały czas uważałam,

czy nie pojawią się światła reflektorów, moje oczy wędrowały tam i z powrotem z zaciemnionej drogi przede mną do wijącej się w lusterku wstecznym drogi za mną. Po prawej wzdłuż drogi leżały odcinki trzydziestosześciorur, przywiezione tu Bóg wie po co. Po drugiej stronie drogi stały koparka i buldożer.

Domyślałam się, że są tu zakładane rury gazowe, instalacje odprowadzające ścieki albo coś w tym stylu.

Właśnie miałam zawrócić, kiedy na drodze za mną pojawiła się para reflektorów, wypełniając prostokąt mojego lusterka oślepiającym światłem, od którego przeszedł mnie dreszcz. Pojazd był coraz bliżej, jechał w moją stronę z prędkością, do jakiej nigdy nie zdołałabym zmusić mojej trzynastoletniej metalowej puszkii. Wcisnęłam pedał gazu, ale byłam bez szans. Kiedy samochód mijał mnie szerokim łukiem, w przelocie zauważyłam upchnięte w środku postaci, zgraję nastoletnich chłopaków. Jeden z nich wyrzucił przez okno pustą puszkę po piwie, patrzyłam, jak aluminiowy przedmiot podskakuje i koziołkuje, a potem znika.

Czerwień ich tylnych świateł bladła, aż wreszcie całkowicie zniknęła.

Minutę później zobaczyłam rozwidlenie, to tutaj Dinsmore się rozdzielała. Jedna nitka prowadziła prosto, a druga odbijała w lewo. W poprzek tej drugiej ustawione były w rzędzie cztery barierki. Każda składała się z deski o wymiarach dwie na cztery stopy pomalowanej w ukośne paski, białe i pomarańczowe, a na górze miała światło odblaskowe, które mrugało, aby dodatkowo ostrzec kierowców.

Zatrzymałam się. Przypomniałam sobie pacholki, które Winston widział tamtej nocy, kiedy zauważył auto Violet.

Miałam dwa wyjścia - potraktować przeszkodę poważnie, jako ostrzeżenie przed robotami drogowymi albo przeszkodami na drodze, albo założyć, że to podstęp, objechać barierki i jechać prosto na Winslet Road. Włączyłam długie światła. Zobaczyłam tył zaparkowanej jakiejś sto jardów dalej ciężarówki. Już wiedziałam, jak to sobie obmyślił. Drogi były położone względem siebie pod kątem większym niż czterdzieści pięć

stopni, przez czterysta jardów odległość między nimi powiększała się. Padgett mógł być dokładnie pośrodku, czekając na właściwy moment, kiedy wybiorę jedną z dwóch dróg. Tak naprawdę to nie robiło różnicy, na którą się zdecyduję. Wycofałam się i z całej siły szarpnęłam kierownicą w prawo.

Dokończyłam zwrot, zmieniłam bieg z wstecznego na jedynekę i pojechałam z powrotem tą samą drogą, którą przyjechałam.

Spojrzałam w lusterko wsteczne, spodziewając się, że zobaczę jakiś pojazd. Nic. Przez chwilę myślałam, że wszystko będzie w porządku, ale wtedy usłyszałam kłap, kłap - kłapanie moich opon. Mocowałam się z kierownicą - która nagle okazała się nieporęczna i sztywna - usiłując zachować kontrolę nad pojazdem, a tymczasem ciśnienie w moich oponach spadało.

Zatrzymałam się. A więc miałam rację. Padgett wpadł dzisiaj do pani Wyrick. Szpikulec do lodu byłby znakomitym narzędziem, żeby zrobić cztery otwory, z których powietrze będzie się wolniutko wydobywało. Metoda nie tak drastyczna jak pociachanie opon w Sun Bonnet Motel, ale za to gwarantująca, że jeszcze kawałek na nich ujadę. Przynajmniej taki, żeby znaleźć się tutaj.

I wtedy zobaczyłam za sobą światła.

Padgett się nie spieszył. Mój silnik był na luzie, ale wiedziałam, że go nie prześcignę.

Miałam ochotę otworzyć drzwi i czmychnąć, ale zdawałam sobie sprawę, że daleko nie ucieknę. Nawet jeśli biegłabym przez szerokie ciemne pola najszybciej, jak potrafię, człowiekowi jadącemu ciężarówką nie będzie trudno mnie dogonić. Sięgnęłam po broń i odbezpieczyłam ją. Zatrzymał się za mną, jego silnik, jak mój, był na Juzie. Poczekał minutę, po czym wysiadł z ciężarówki. Zostawił włączone światła, które zalewały mój samochód upiornym blaskiem.

Podszedł wolnym krokiem, zatrzymał się od strony pasażera. Zapukał w okno, chociaż patrzyłam mu prosto w oczy.

- Kapeć? - zapytał swobodnie, nieco ściszone głosem. Nie podobał

mi się jego uśmieszek.

- Wszystko w porządku. Proszę sobie iść.

Odchylił się do tyłu i udając przesadny sceptycyzm, przyjrzał się oponom:

- Na moje oko wcale nie w porządku. - Oparł ramię na dachu mojego samochodu i przyjrzał mi się z zainteresowaniem. - Boisz się mnie czy co?

Podniosłam pistolet i wycelowałam w niego:

- Powiedziałaś, żeby pan sobie, do kurwy nędzy, poszedł.

- Nie tak nerwowo - podniósł ręce do góry. - Chyba panienka źle zrozumiała moje zamiary. Ja tylko chciałem pomóc...

Powinnam go była wtedy zastrzelić, lecz pomyślałam, że musi być inne wyjście oprócz zabicia go na miejscu. Odłożyłam broń na kolana. Po prostu nie mogłam tak sobie wypalić mu prosto w twarz.

Nacisnęłam pedał gazu i samochód podskoczył do przodu. Padgett stracił równowagę, jednak wcale go to nie rozzłościło, raczej rozbawiło. Może zorientował się, że stchórzyłam.

Jeszcze mocniej przycisnęłam pedał gazu, żeby zwiększyć moją żalostną szybkość. Wiedziałam, że niszczę obręcze, ryzykuję złamanie przedniej osi i Bóg wie jeszcze co, ale musiałam dotrzeć do jakiegoś cywilizowanego miejsca. Telepałam się naprzód i patrzyłam, jak zbity z tropu Padgett potrząsa głową. Spacerowym krokiem wrócił do ciężarówki.

Wszedł do środka, wrzucił bieg i jechał za mną, wcale się nie spiesząc, bo wiedział, że jego pojazd zawsze będzie szybszy. Tymczasem obręcze w moim volkswagenie przebiły opony, odcinając podłużne płaty gumy, i uderzały o nawierzchnię, wzbijając snop iskier. Niemal straciłam kontrolę nad kierownicą, ale nadal kurczowo ją trzymałam. Padgett podjechał do mojego tylnego zderzaka, od czasu do czasu trącając mnie, po prostu żeby przypomnieć, że tam jest.

W oddali zobaczyłam autostradę numer sto sześćdziesiąt sześć.

Dziesiąta w nocy - na drogach prawie nie było ruchu, ale gdzieś musieli

być ludzie, chociażby na stacji benzynowej.

Cromwell znajdowało się bliżej niż Santa Maria, jeśli uda mi się dotrzeć do autostrady, skieruję się właśnie tam. Padgett wrzucił na luz. Usłyszałam, jak zwiększa obroty silnika, ponownie wrzuca jedynkę, a potem z ogłuszającym hukiem uderza w tył mojego samochodu.

Przylgnęłam do kierownicy, ścisnęłam ją tak mocno, że aż kłykcie mi zbieleły. Dostrzegłam przed nami plac budowy z zaparkowanymi po lewej jaskrawożółtym buldożerem i koparką.

Padgett walnął we mnie jeszcze dwa razy, chciał jak najbardziej zniszczyć mój samochód, co mu się zresztą udało. Poczułam swąd palącego się oleju i przypalonej gumy, a poza tym coś wydawało zgrzytliwy odgłos przy każdym obrocie kół. Czarny dym zasnuł tylną szybę. Mój samochód kuśtykał jak jakaś smutna, okaleczona bestia, a ja wsłuchiwałam się w pisk metalu, jakby to było wycie umarłego.

Chciał powtórzyć sztuczkę ze zmianą biegów, ale przedobrzył i silnik mu zgasł. Przekręcił kluczyk w stacyjce, usłyszałam chrzęst rozrusznika. Kiedy wreszcie jego silnik zaskoczył, Padgett wycofał, wyprzedził mnie i pomknął przed siebie. Pomyślałam, że zostawił mnie w spokoju, ale był to tylko mój naiwny optymizm. Wjechał na żwirowy nasyp, zgasił światła i wyszedł z szoferki. Patrzyłam, jak najzwyczajniej w świecie podchodzi sobie do buldożera. Chwycił uchwyt z boku pojazdu i wszedł do środka, dla ułatwienia opierając stopę na gąsienicy. Usadowił się wygodnie i pochylił naprzód. Przekręcił kluczyk i buldożer z pomrukiem obudził się do życia. Włączył reflektory, widziałam, jak sięga w stronę dźwigni kontrolujących tę wielką maszynę. Nie mogłam zrozumieć, do czego zmierza - poza oczywistym zamiarem zabicia mnie, rzecz jasna - dopóki nie zauważyłam sterty ziemi na środku pola po prawej. Wykopał dla mnie grób.

Jechał prosto na mnie. Zahamowałam i sięgnęłam do klamki. Silnik zgasł, ale zanim zdążyłam coś zrobić, już mnie dopadł. Ustawił łyżkę od strony kierowcy, więc nie mogłam otworzyć drzwi. Zredukował bieg i zaczął popychać mój ustawiony bokiem samochód w stronę sterty ziemi.

Nie widziałam dziury, ale wiedziałam, że tam jest. Volkswagen się chwiał i zjeżdżał na boki, od strony drzwi pasażera piętrzyła się ziemia. Włożyłam broń za pasek dżinsów i prześlizgnęłam się na fotel pasażera. Pociągnęłam za klamkę, a potem popchnęłam, próbując - pomimo spiętrzonej sterty ziemi i kamieni - otworzyć drzwi. Nie było na to szans. Dałam sobie spokój i zaczęłam otwierać okno, kręcąc korbką jak szalona. Ziemia zbierająca się z boku samochodu sięgała już prawie do okna. Spojrzałam przez nie i jęknęłam, kiedy zobaczyłam, jak szybko się posuwamy. Pięć mil na godzinę może nie wydawać się zawrotną prędkością, ale tempo było stałe i nieustępliwe, a to oznaczało, że mam małe pole manewru.

Wierzgając nogami, z trudem zdołałam precyzyjnie się przez okno i opuścić samochód na chwilę, zanim - ocierając się o mnie - wpadł do dziury. Buldożer gwałtownie stanął, a volkswagen z hukiem uderzył o dno dziury i zatrząsł się, aż zawirowały tylne koła.

Chwiejnie podniosłam się na nogi i ruszyłam przez puste pola z nadzieją, że zrobię kółko i wrócę na drogę. Pole było świeżo zaorane, ziemia miękka, więc musiałam maszerować, podnosząc wysoko kolana, jak członek orkiestry dętej. Biegłam między skibami i czułam się jak we śnie, poruszałam się rozpaczliwie powoli, jakbym stała w miejscu. Za mną ze wspianą prędkością pięciu mil na godzinę toczył się buldożer Padgetta, był coraz bliżej.

Próbowałam skrócić w lewo, ale on bez problemu skorygował kierunek. Jak na maszynę ważącą jakieś czterdzieści tysięcy funtów, był nad wyraz zwrotny.

Dla zasady wyciągnęłam pistolet zza paska. Zanim zdołałabym stanąć, obrócić się i wycelować, zrównałby mnie z ziemią. Moją jedyną szansą było dotrzeć do jego ciężarówki, którą widziałam przed sobą, z lewej strony. Oddech mi się urywał, w klatce piersiowej rozpętał się ogień, mięśnie ud płonęły, a buty do biegania ważyły tyle, że z każdym krokiem wciągały mnie głębiej w miękką glebę. Skierowałam się w lewo, brnęłam na ukos w stronę drogi, podczas gdy buldożer za mną trzeszczał i huczał,

a jego metalowe bieżniki wyrównywały grunt, który sprawiał mi tyle kłopotu. Z tej odległości żółta koparka wydawała się mała.

Wiedziałam, że koło niej jest droga. Miałam wrażenie, że brnę przez głęboką wodę. Byłam znużona. Poruszałam się coraz wolniej, wlokłam się noga za nogą, próbując oprzeć stopę na wystarczająco twardym kawałku podłoża. Wysoka na jard sterta rur na dalekim końcu drogi jakby minimalnie urosła, a żółta koparka zaczynała odzyskiwać właściwe proporcje. Właśnie zaczynałam opadać z sił, kiedy poczułam, że podłoże się zmienia. Byłam teraz na twardym nasypie. Po chwili znalazłam się na asfalcie i zaczęłam biec. Kiedy znalazłam się pod osłoną ciężarówki, odwróciłam się i oparłam na niej, żeby uspokoić oddech. Widziałam, jak Padgett próbuje unieść łyżkę. W ułamku sekundy wycelowałam, a następnie oddałam cztery strzały.

Nie mogłam chybić, inaczej znalazłabym się w grobie. Tym razem nie było czasu, żeby sprawdzić, jak mi poszło, i za chwilę spróbować jeszcze raz.

Buldożer się włókł, cały czas na pełnym gazie. Uporczywie brnął naprzód, jego cielsko było skierowane prosto na koparkę. Gwałtownie się cofnęłam i przesunęłam na lewo, aż znowu zobaczyłam Padgetta. Osunął się na bok, widziałam krew ciekącą z dziury w szyi. Buldożer wjechał na koparkę, a Padgett wypadł z szoferki. Stałam i czekałam, ściskając w rękach broń, aż ramiona zaczęły mi drżeć od jej ciężaru. Czy zastanawiałam się, czy podejść i udzielić mu pierwszej pomocy? Przez myśl mi to nie przeszło. Opuściłam broń, obeszłam ciężarówkę i usiadłam za kierownicą. Położyłam broń na fotelu pasażera i sięgnęłam po kluczyki, które zostawił w stacyjce. Ciężarówka potulnie odpaliła. Wrzuciłam pierwszy bieg i skierowałam się w stronę świateł na autostradzie numer sto sześćdziesiąt sześć.

EPILOG

Minął prawie rok, zanim ponownie spotkałam Daisy. Właściwie nie było powodu, żeby pozostawać w kontakcie. Zapłaciła mi z góry, więc kiedy w żaden sposób nie skomentowała mojego raportu, nie zaprzętałam

sobie tym głowy. Jednak po kilku tygodniach poczułam się trochę urażona. Nie spodziewałam się co prawda wylewnych podziękowań, ale miło by było c o ś od niej usłyszeć. Cokolwiek by rzec, w końcu narażałam życie i - przy okazji - zastrzeliłam człowieka. Sprawa jego śmierci została dokładnie zbadana przez ludzi z Biura Szeryfa Hrabstwa Santa Teresa, którzy (jak się okazało) nie patrzyli przychylnym okiem na śmiertelne postrzelenie, usprawiedliwione czy nie.

Oczywiście mogłam się sama odezwać do Daisy, ale naprawdę uważałam, że pierwszy ruch powinien należeć do niej. Był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy relacje zawodowe przekształcają się w coś bardziej przypominającego przyjaźń... a przynajmniej tak mi się wydawało. Kilka razy odwiedziłam Sneaky Pete'a - Tannie nie wiedziała więcej niż ja, więc obie byłyśmy trochę obrażone.

W następnych miesiącach zajęłam się swoimi sprawami. Aż wczesnym przedpołudniem trzydziestego pierwszego sierpnia wróciłam do biura, a ona siedziała w zaparkowanym przed budynkiem samochodzie.

Weszłam do środka. Drzwi zostawiłam otwarte i zajęłam się przeglądaniem listów. Chwilę później weszła za mną Daisy.

Położyłam stertę kopert na biurku, po czym odezwałam się tym radosnym, swobodnym tonem, którego używamy, żeby ukryć, jak bardzo czujemy się zranieni:

- Hej, jak się masz?

Usiadłam na swoim fotelu obrotowym. Daisy przycupnęła po drugiej stronie biurka.

Wyglądało na to, że się czuje niezręcznie, ale nie miałam zamiaru niczego jej ułatwiać.

Wreszcie się odezwała:

- Słuchaj, wiem, że powinnam była zadzwonić, przepraszam.

Wpadłam do Sneaky Pete'a, Tannie jest na mnie taka zła, że prawie się do mnie nie odzywa. Jestem wam obu winna przeprosiny.

- Zostawiłaś nas bez słowa wyjaśnienia.

- Wiem - powiedziała. Zerknęła na moje biurko. Prawdopodobnie

desperacko pragnęła papierosa, jednak kiedy zobaczyła, że nie ma popielniczki, rozmyśliła się. - Wiem, że to marna wymówka, ale nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Dopiero teraz to zrozumiałam. Zdawałam sobie sprawę, że mam depresję, i wydawało mi się, że to nie w porządku się wam narzucać, dopóki nie poczuję się lepiej.

- Rozumiem, czym jest depresja - powiedziałam.

- Cieszę się, że rozumiesz. Ja za cholerę nie mogłam. Nie wiem, czego się spodziewałam. Chyba sądziłam, że kiedy się wreszcie dowiem, co się stało z moją matką, wszystko się zmieni. Siedziałam z założonymi rękami, czekając na wielką czarodziejską przemianę. Wreszcie pewnego dnia zrozumiałam, że moje życie jest taką samą kupą gówna jak zawsze. Ciągle za dużo piłam i zadawałam się z nieodpowiednimi mężczyznami. Poza tym byłam śmiertelnie znudzona.

- Czym?

- Ty mi powiedz. Pracą, domem, włosami, ciuchami. Umówiłam się na sesję z nowym psychoanalitykiem, po czym w jej trakcie cały czas byłam wkurzona, że tyle pieniędzy mnie to kosztuje.

- I co zrobiłaś?

- Na początek zrezygnowałam z terapii i postanowiłam to po prostu przeczekać. Wczoraj mnie oświeciło. Siedziałam przy biurku i przepisywałam notatki jakiegoś lekarza, odwalając jak zwykle kawałek cholernie dobrej roboty, kiedy wreszcie do mnie dotarło. Pierwsze siedem lat życia starałam się być grzeczną dziewczynką, żeby mama mnie pokochała i się mną zajęła. Nie zadziałało. Potem, kiedy odeszła, dalej byłam grzeczna, bo myślałam, że dzięki temu do mnie wróci.

- A kiedy nie wróciła?

Daisy z uśmiechem wzruszyła ramionami:

- Pomyślałam, że równie dobrze mogę przestać być grzeczna i zacząć dobrze się bawić. Okazało się, że ona cały czas nie żyła, więc tak czy siak, moje zachowanie nic nie mogło zmienić. Grzeczna, niegrzeczna? A jaka to różnica?

- I dlatego poczułaś się lepiej?

Roześmiała się:

- Nie, chodzi o coś innego. Dotarło do mnie, że gdyby żyła... mogłaby wrócić do domu z własnej woli. Może by za mną tęskniła, może dotarłoby do niej, jak bardzo jej na mnie zależy. Może postanowiłaby wrócić po mnie i następnym razem wyjechałybyśmy razem. Nigdy się tego nie dowiem, jednak równie dużo przemawia za tym, że tak by się stało, co za tym - że nie. Poczułam się lepiej, bo zrozumiałam, że nie muszę żyć jak ktoś, kogo odepchnięto i porzucono. Mogę wybrać, w co chcę wierzyć. Śmierć zabrała matce możliwość wyboru, ale ja ciągle mogę wybierać.

Uważnie się jej przyjrzałam:

- To dobrze. Podoba mi się takie podejście. A więc co teraz?

- Poszukam nowej pracy, może w Santa Maria, może gdzie indziej.

Wątpię, czy mi się uda skończyć z piciem, ale przynajmniej nie obgryzam już paznokci. Jeśli chodzi o mężczyzn, postanowiłam, że na razie wolę być sama. Dopóki nie dojdę do ładu sama z sobą. A to trudne zadanie.

- Nawet bardzo.

- Dzięki, też tak myślę - głęboko odetchnęła. - A teraz zastanawiam się, czy nie masz przypadkiem ochoty na sandwicza z pikantnym salami i serem. Ja stawiam.

- Jasne. Pod warunkiem że będzie w nim również jajko sadzone.

- Jak sobie życzysz. Tannie powiedziała, że już rozgrzewa grill.

Wydawało mi się, że to całkiem niezłe zakończenie tej historii.

Od autorki

Ta historia jest fikcyjna. Wszyscy bohaterowie są wyczarowani z niczego. Innymi słowy, postacie występujące w tej powieści są wytworem mojej wyobraźni i nie mają odpowiedników w realnym świecie. Każdy, kto zna miasteczko Santa Maria i okolice, nie tylko rozpozna scenerię tej powieści, ale również zauważy wiele odstępstw od realiów geograficznych. Na środku płaskich terenów rolniczych nie ma opuszczonej, jednopiętrowej rezydencji w stylu Tudorów. Miasteczka Serena Station, Cromwell, Barker, Freeman, Tullis, Arnaud i Silas są

wymyślone. Niektóre z dróg istnieją, ale jako że ostatnio mianowałam się głównym i jedynym członkiem Regionalnej Agencji do spraw Planowania Transportu Hrabstwa Santa Teresa, na potrzeby tej historii zmieniłam ich położenie, trasę i nazwy. Proszę mi nie pisać, że się pomyliłam, bo tak nie było.

Podziękowania

Autorka pragnie podziękować za nieocenioną pomoc następującym osobom: Stevenowi Humphreyowi; Benowi Holtowi, Ben Holt Equipment; Kenowi Seymourowi, www.1953chevrolet.com; Johnowi Mackallowi, adwokatowi, Seed Mackall LLP; Gregowi Bollerowi, zastępcy prokuratora okręgowego, Santa Barbara County District Attorney's Office; Johnowi Lindrenowi, D&H Equipment; Billowi Turnerowi, emerytowanemu sierżantowi z wydziału dochodzeniowo-sledczego, Santa Barbara County Sheriffs Department; G. Davidowi Dyne'owi, M.D.; T.J. Dwire, Title Officer, Lawyers Title Company; Emily Craig, antropolog sądowej, Kentucky State Medical Examiner's Office; Johnowi White'owi, KellyCo Metal Detector Superstore; Dale'owi Kreiterowi, technikowi bibliotekarskiemu, oraz personelowi The Santa Maria Public Library; Leslie Twine; Florence Michel; CL. Burk i Donowi Gastigerowi.

Dziękuję ci, Hairlu Wilson, że mogłam wykorzystać twoje imię, a tobie, Bobie Ziegler, że użyczyłeś mi swojego imienia i nazwiska.